

GEORGETTE HEYER

Decyza

1

Lis zakradł się dziś w nocy do kurnika i porwał naszą najlepszą nioskę - zauważyła panna Lanyon. — Nieprawdopodobnie się rozzuchwalił, nie sądzisz? - zapytała, a kiedy nie doczekała się odpowiedzi, dodała zmienionym głosem: - No tak, zapewne nic na ten temat nie sądzisz. Nawet gdyby porwano twoją prababcie, też by cię to me obchodziło. Ale dla mnie tego już za wiele i nie wiem, co mam robić.

Siedzący przy stole chłopak oderwał wzrok od leżącej przed nim książki i spojrzał na nią niezbyt przytomnie.

- O co chodzi? - zapytał. - Mówiłaś coś do mnie, Venetio?

- Tak, kochanie - odparła z uśmiechem siostra młodzieńca - ale to naprawdę nie było nic ważnego i właściwie nie oczekiwałam od ciebie odpowiedzi. Założę się, że byłbyś zdumiony, gdybyś wiedział, jakie interesujące rozmowy prowadzę sama z sobą.

- Czytałem.

- Właśnie widzę, że wystygła ci kawa i zupełnie zapomniałeś o kromce chleba z masłem, która leży na twoim talerzu. Zjedz ją natychmiast! Nie powinnam ci pozwolić na czytanie przy stole.

- Och, przy śniadaniu? - powiedział lekceważącym tonem.

- Nie odzwyczaisz mnie od tego.

- Obawiam się, że masz rację. Co czytasz? - zerknęła w otwartą książkę. - O, greka! Nie wątpię, że to jakaś umoralniająca historia.

- Medea - odparł krótko. - Z biblioteki Porsona. Pożyczył mi ją pan Appersett.

- Znam, znam. To o pewnej czarującej istocie, która zamordowała brata, pocięła zwłoki na kawałki i rozrzuciła je na drodze, którą miał iść jej ojciec. Czy nie tak było? Przemiła panienska.

- Nic nie rozumiesz. - Młodzieniec niecierpliwie wzruszył ramionami - A ja nie będę tracił czasu, żeby ci cokolwiek wytłumaczyć.

- Ależ ja wszystko rozumiem! - Patrzyła na niego z rozbawieniem. - A zwłaszcza rozumiem Medeę i podziwiam jej trafną decyzję, chociaż twoje szczątki, mój drogi, raczej pochowałabym w ogrodzie.

Młodzieniec uśmiechnął się i zanim powrócił do przerwanej lektury, zauważył, że w ich sytuacji nie spotkałoby się to ze sprzeciwem rodziców.

Siostra nie podtrzymała rozmowy. Niedojedzona kromka chleba z masłem nadal spoczywała na talerzu, ale próba przekonania brata, by zjadł coś więcej, byłaby stratą czasu. Każda uwaga na ten temat czy nawet pytanie o samopoczucie mogło go zirytować.

Aubrey Lanyon był młodzieńcem szczupłym, raczej niewysokim. Trudno powiedzieć, by wyglądał na chorowitego, ale rysy twarzy miał wyostrzone i wyraźne cienie pod oczami. Osobie postronnej dziwny wydawać się musiał kontrast pomiędzy wyrazem jego twarzy oraz sposobem bycia a chłopcą sylwetką. W istocie, niezbyt dawno wkroczył w siedemnasty rok życia, ale zmarszczki na czole świadczyły o przeżytych cierpieniach, a przebywanie wyłącznie w towarzystwie osób starszych sprawiło, że ten inteligentny, o szerokich zainteresowaniach młodzieniec był nad wiek rozwinięty umysłowo. Uszkodzenie w niemowlęctwie stawu biodrowego uniemożliwiło mu wstąpienie do szkoły w Eton, którą ukończył jego o sześć lat starszy brat Conway. Aubrey utykał na jedną nogę i chociaż zdaniem lekarzy postępy choroby zostały powstrzymane, to jednak przy zmianie pogody czy po większym wysiłku zniekształcony staw dawał o sobie znać ostrym bólem. Oczywiście chłopiec nie mógł uprawiać takich sportów jak jego brat, ale świetnie jeździł konno, dobrze strzelał i tylko on wiedział, a Venetia domyślała się, jak bardzo cierpiał z powodu swego kalectwa.

Mając z konieczności ograniczoną aktywność fizyczną chłopiec całą energię skierował na zdobywanie wiedzy. Dzięki temu już w wieku czternastu lat górował nad swym nauczycielem, jeśli nie posiadanymi wiadomościami, to przynajmniej umiejętnością logicz-

Decyzja

nego rozumowania. Nie ulegało wątpliwości, że potrzebny mu jest nauczyciel o znacznie wyższych kwalifikacjach. Szczęśliwym trafem ktoś taki znalazł się w zasięgu ręki. Beneficjentem pobliskiej parafii był poważny uczonec, który z uwagą obserwował postępy Aubreya Lanyona, a wreszcie zaofiarował swą pomoc w przygotowaniu go do Cambridge. Ojciec chłopca, sir Francis Lanyon, przyjął propozycję z ogromnym zadowoleniem. Oszczędzony został mu trud poszukiwania następnego nauczyciela. Aubrey, który potrafił już dosiadać konia, sam jeździł na plebanię, gdzie całe godziny spędzał w mrocznej bibliotece wielbego Juliusa Appersetta. Żarliwie chłonał wiedzę, korzystając z pomocy swego szlachetnego wychowawcy i utwierdzał go coraz bardziej w przekonaniu o swych nieprzeciętnych zdolnościach. Pan Appersett przedstawił swego ucznia w Trinity College i uzyskał zapewnienie, że zostanie przyjęty w poczet studentów w listopadzie przyszłego roku. Nie wątpił, że jego wychowanek wkrótce wkroczy na drogę kariery naukowej.

Dla siostry i starszego brata również było to oczywiste. Venetia zdawała sobie sprawę z nieprzeciętnych zdolności Aubreya, a Conway, krzepki wysportowany młodzieniec, dla którego napisanie listu wiązało się z wysiłkiem trudnym do zniesienia, patrzył na niego z podziwem, ale i ze współczuciem. Ubieganie się o miejsce w college'u wydawało mu się co najmniej dziwne, ale cóż innego może ten biedny chłopak robić, jak tylko zagrzebać się w książkach?

Venetia ze swej strony też uważała, że przywiązanie Aubreya do książek jest nieco nadmierne. Obawiała się, żeby brat nie stał się dziwakiem i samotnikiem, jak ich nie żyjący ojciec. Chociażby teraz, nie zauważyła, by cieszył się krótkimi, niespodziewanymi wakacjami. Pan Appersett powierzył swoje parafialne obowiązki kuzynowi i wyjechał do wód dla podratowania zdrowia. Każdy kilkunastoletni chłopak w tej sytuacji cisnąłby książki na półkę i sięgnął po wędkę lub strzelbę. Aubrey jednak nie rozstawał się z książką nawet przy śniadaniu, pozwalał, by stygła mu kawa, siedział podpierając dłonią szerokie czoło i wpatrywał się w zadrukowane strony, tak skoncentrowany na tym, co czyta, że nie słyszał skierowanych do niego słów. Nie rozumiał, że takim zachowaniem siostra może czuć się dotknięta. Venetia jednakże już

dawno pogodziła się z faktem, że Aubrey jest równie egoistyczny, jak ich ojciec czy starszy brat, i w końcu z pełnym spokojem zaakceptowała jego niezbyt grzeczne zachowanie. Nie czuła się ani urażona, ani rozczarowana.

Venetia była starsza od niego o dziewięć lat. Wszyscy troje wywodzili się ze starej, zamożnej, choć dość ekscentrycznej rodziny właścicieli majątku Undershaw w Yorkshire. Sir Francis stracił żonę, kiedy Aubrey był jeszcze małym dzieckiem, i od tej pory zamknął się w swym dworze, położonym w odległości mniej więcej piętnastu mil od Yorku, i przebywał tam, nie bacząc na dobro swych dzieci pozbawionych towarzystwa rówieśników. Venetia podejrzewała, że ojciec zawsze cenił sobie samotność, gdyż wydało jej się niemożliwe, by ten tryb życia był wyłącznie rezultatem złamanego serca. Sir Francis należał do ludzi surowych i wyniosłych, nie okazujących łatwo swych uczuć, nie wydawało się więc prawdopodobne, by jego małżeństwo było pasmem niezmaconego niczym szczęścia. Tak przynajmniej widziała to rozsądna Venetia. Wspomnienia o matce z czasem wyblakły, ale zachowały się w jej pamięci takie sceny, jak ostre kłótnie pomiędzy rodzicami, trzaskanie drzwiami, ataki hysterii. Zapamiętała dzień, gdy pozwolono jej wejść do pachnącej perfumami sypialni matki, by mogła zobaczyć ją przepięknie wystrojoną na bal w Castle Howard. Pamiętała jej śliczną, zagniewaną twarz, drogie suknie, francuską pokojówkę, ale nie mogła się doszukać w pamięci przejawów matczynych uczuć czy troski. Niewątpliwie, lady Lanyon nie podzielała upodobań swego męża, zwłaszcza jeśli chodzi o życie na wsi. Każdą wiosnę ta źle dobrana para spędzała w Londynie, a z początkiem lata udawali się do Brighton. Wkrótce po powrocie do Undershaw lady zaczynała grymasić. Coraz gorzej znosiła surowy klimat, zwłaszcza kiedy do Yorkshire zawitała zima. Rozstawała się wówczas z małżonkiem i rozpoczynała serię wizyt u przyjaciół. Wszyscy rozumieli, że sir Francis nie gustuje w tego rodzaju trybie życia, ale kiedy utracił ją, jak mówiono, w rezultacie nagłego ataku choroby, wrócił do domu kompletnie załamany, nie mógł nawet znieść widoku portretu żony na ścianie i nie pozwalał nikomu wymawiać przy nim jej imienia.

Dzieci wychowywały się na odludziu, tylko Conway wysłany został do Eton, stamtąd trafił do wojska i dzięki temu umknął w wielki świat. Dla Venetii i Aubreya najdalszym miejscem, które odwiedzili, było miasteczko Scarborough, a ich kontakty towarzyskie ograniczały się do najbliższych sąsiadów, ale nie czuli się z tego powodu pokrzywdzeni. Aubrey unikał spotkań z nieznajomymi, a w naturze Venetii nie leżało uskarżanie się na cokolwiek. Raz tylko, w wieku siedemnastu lat, bliska była rozpacz, kiedy sir Francis nie pozwolił jej pojechać do swojej siostry do Londynu, gdzie miała zostać wprowadzona w świat wyższych sfer. Cierpiała bardzo z tego powodu, uroniła nawet parę łez, ale po namyśle przyznała ojcu rację. Nie mogła przecież zostawić chorego, ośmioletniego wówczas Aubreya pod wyłączną opieką niańki: nadmierna opiekuńczość tej wyjątkowo dobrej istoty doprowadziłaby go do szaleństwa. Otarła więc łzy i pogodziła się z losem. Ojciec nie był zresztą aż tak bezwzględny. Wprawdzie nie wyraził zgody na wyjazd do Londynu, ale nigdy nie sprzeciwiał się, kiedy korzystała z zaproszeń na bale lub przyjęcia w Yorku lub nawet w Harrogate. Venetię zapraszały albo lady Denny, czyniąc to z prawdziwej sympatii, albo pani Yardley, zmuszona do tego przez swego syna. Na ogół stosunki Venetii z ojcem układały się bardzo dobrze. Sir Francis zawsze akceptował wydatki związane z prowadzeniem przez nią domu, zapewnił niezłe osobiste dochody i umierając zostawił jej całkiem godziwy spadek.

Zmarł trzy lata temu, w miesiąc po wspaniałym zwycięstwie pod Waterloo, w rezultacie nieoczekiwanego ataku apopleksji. Dla dzieci był to wstrząs, ale żałoba nie trwała długo.

- Prawdę mówiąc - powiedziała Venetia ku zgorszeniu lady Denny - bez niego będziemy sobie radzić znacznie lepiej.

- Moja droga! - zawołała zgorszona dama, która przybyła do dworu, żeby przytulić sieroty do piersi. - Chyba przesadziłaś mówiąc coś takiego.

- Ależ nie, madam - odparła z uśmiechem Venetia - przecież wielokrotnie słyszałam od pani, że jest on Wyrodnym ojcem.

- No tak, ale on umarł, Venetio!

- Istotnie. Nie podejrzewam jednak, by teraz był do nas bardziej przywiązany niż za życia. Przecież wie pani dobrze, że nigdy,

w najmniejszym nawet stopniu, nie interesowały go nasze problemy, więc nie powinien oczekiwać, że będziemy po nim rozpaczać.

Lady Denny uznała dalszy spór za bezcelowy, poprosiła tylko Venetię, by nigdy więcej nie mówiła takich rzeczy, i przeszła do spraw bieżących. Na pytanie, co zamierza teraz robić, Venetia stwierdziła, że wszystko zależy od Conwaya. Dopóki brat nie powróci do domu, by objąć spadek, wszystko będzie biegło tak jak dotychczas.

- Poza tym oczywiście - dodała - że teraz mogą zapraszać naszych przyjaciół. Do tej pory zgodę na przekroczenie progu tego domu mieli tylko Edward Yardley i doktor Bentworth.

Minęły trzy lata, a Venetia nadal czekała na powrót Conwaya. Lady Denny coraz rzadziej oburzała się na niego za to, że ciężar prowadzenia domu zrzucił na barki siostry. Nikt się nie dziwił, że Conway nie może wrócić do Angli, gdyż wiadomo było powszechnie, że po krwawej bitwie pod Waterloo angielskie wojska stacjonujące we Francji i Belgii ciągle jeszcze nie doszły do siebie. W parę miesięcy po śmierci ojca Venetia otrzymała krótki list od brata, w którym zapewniał ją, że ma do niej pełne zaufanie, jeśli chodzi o kierowanie majątkiem Undershaw. Obiecał, że gdy tylko w nawale różnych obowiązków uda mu się znaleźć trochę czasu, znów do niej napisze. Venetia wyczuła, że powodem przedłużającej się nieobecności brata nie jest szczególne poczucie odpowiedzialności, ale niechęć porzucenia życia, które, jak można było wnioskować z relacji osób odwiedzających okupacyjną armię, składało się w dużej mierze z meczów krykieta i gry w bilard. W ostatnim liście Conway donosił, że mianowany został adiutantem dowódcy i stacjonuje w Cambrey. Skromne rozmiary listu tłumaczył tym, że właśnie oczekują wizyty jakiegoś dostojnego gościa i cały personel zajęty jest przygotowaniami do parady i uroczystego obiadu. „Jestem pewien, że mnie zrozumiesz”, napisał. Zakończył list pozdrowieniami i krótkim postscriptum: „Nie wiem, o jakim polu piszesz. Najlepiej zrób tak, jak radzi Powick”.

- No proszę, nawet nie przyjdzie mu do głowy, że w ten sposób Venetia może całe życie spędzić w Undershaw i umrzeć w staropanieństwie - zauważyła cierpko lady Denny.

- Och, najpewniej wyjdzie za Edwarda Yardleya - odparł jej mążonek.

- Nie mam nic przeciwko Edwardowi Yardleyowi, przeciwnie, uważam go za mężczyznę godnego szacunku, ale zawsze mówiłam i nie zmienię zdania, że nie jest to człowiek odpowiedni dla niej. Że też nasz Oswald nie jest starszy o dziesięć lat!

W tym momencie przez sir Johna przemówił jego zły duch i rozmowa przybrała nieoczekiwany obrót.

- Mam nadzieję - powiedział - że taka śliczna dziewczyna jak Venetia ma dość rozsądku, by nie zainteresować się najgłupszym smarkaczem w całym hrabstwie.

Potem stwierdził, że już najwyższy czas, by jego szanowna małżonka przestała tolerować to, że syn robi z siebie idiotę smaląc cholewki do Venetii.

Nikt nie mógł zaprzeczyć, że Venetia była śliczną dziewczyną, a nawet niewielu zawahałoby się nazwać ją piękną. Nic dziwnego, że zwracała powszechną uwagę pośród debiutujących w Almack młodych panien. W środowisku, w którym się obracała, po prostu nie miała sobie równej, i to nie tylko z powodu ogromnych oczu o niezwykłym blasku czy wspaniałych złocistych włosów, ani nawet czarującego wykroju pięknych ust. W jej twarzy było coś ujmującego, co nie miało związku z rysami: niezwykły wyraz słodczy i tłumionej, ale nieodpartej radości, no i spojrzenie otwarte, zupełnie pozbawione nieśmiałości.

Wesołe iskierki rozbliły w jej oczach, gdy patrzyła na Aubraya nadal zgłębiającego antyczną tragedię.

- Aubreyu, mój drogi, paskudny bracie - powiedziała. - Posłuchaj mnie jednym uchem, choćby tylko jednym, kochanie.

- Jeśli mam usłyszeć coś, o czym wiesz, że mi się nie spodoba, to odmawiam - odparł, ale jego wzrok wyrażał zainteresowanie.

- Obiecuję ci, że nie będzie to nic przykrego - zapewniła go śmiejąc się Venetia. - Mam do ciebie maleńką prośbę. Jeśli wybierasz się na konną przejażdżkę, bądź tak dobry i wstąp na pocztę. Zapytaj, czy jest dla mnie paczka z Yorku. Bardzo mała paczuszka, drogi bracie, zapewniam cię.

-. Dobrze, mogę tam wstąpić, ale mam nadzieję, że nie ma w tej paczce ryby. Jeśli tak, to wyślij po nią Puxtona, moja droga.

- Jest w niej bardzo ładny jedwab.

Aubray wstał i niepewnym krokiem, utykając, podszedł do okna.

- Wydaje mi się, że jest zbyt gorąco na przejażdżkę, ale jednak pojedę, i to zaraz. O ile wiem, obaj twoi adoratorzy zamierzają złożyć ci dzisiaj poranną wizytę.

- Och, nie! - zawołała Venetia. - Znowu!

- Nie rozumiem tylko, dlaczego Oswald, ile razy tu przyjedzie, jest zawsze taki ponury, jak stary niedźwiedź.

- Aubreyu, proszę cię, nie mów takich rzeczy. On jest po prostu zaszepiony. Sądzę, że rozmyśla o jakichś straszliwych nieszczęściach. Pomyśl tylko, jak przykre byłoby dla niego, gdyby tak poważne rozważania brał ktoś za przejaw ponurego nastroju.

- Co ty opowiadasz? O jakich nieszczęściach może on rozmyślać?

- A skąd ja mam wiedzieć? Biedny chłopiec! To wszystko przez Byrona. Oswald nie może zdecydować się, czy ma upodobnić się do niego, czy do jego bohatera Korsarza. Tak czy inaczej, biedna lady Denny bardzo się tym przejmuje. Podejrzewa, że syn cierpi na zaburzenie krążenia, i błaga go, by zażywał jakieś tam lekarstwa.

- Byron! - skrzywił się Aubrey. - Nie rozumiem, jak można czytać takie głupstwa.

- Ty oczywiście nie czytujesz takich rzeczy i uważasz, że i Oswald powinien porzucić tak banalne lektury. Zastanawiam się tylko, jak Edward usprawiedliwi swoją dzisiejszą wizytę. Nie sądzą aby to były kolejne zaślubiny w rodzinie królewskiej czy powszechne wybory.

- Ciekawe, skąd to jego przekonanie, że interesujemy się takimi sprawami? - Aubrey odwrócił się od okna i spojrzał na siostrę.

- Masz zamiar wyjść za niego? - zapytał.

- Nie... och, nie wiem! Jestem pewna, że byłby dobrym mężem, ale chociaż bardzo się staram, nie czuję do niego nic poza szacunkiem - odpowiedziała na wpół żartobliwie Venetia.

- To dlaczego się starasz?

- Ponieważ wiem, że w końcu muszę wyjść za kogoś. Conway na pewno się ożeni i co wtedy stanie się ze mną? Wątpię, żeby w takiej sytuacji odpowiadało mi mieszkanie tutaj w charakterze domowej ciotuni, no i obawiam się, że moja przyszła bratowa też nie byłaby z tego zadowolona.

- Och, możesz przecież mieszkać ze mną! Ja się nie ożenię i nie

będę miał nic przeciwko twojej obecności w domu. Nigdy nie miałem z tobą kłopotów.

Venetia zapewniła solennie brata, że czuje się ogromnie zobowiązana.

- Na pewno bardziej by ci to odpowiadało niż małżeństwo z Edwardem.

- Biedny Edward! Czy naprawdę tak go nie lubisz?

Aubrey uśmiechnął się kwaśno.

- Jego obecność nigdy nie pozwala mi zapomnieć, że jestem kaleką.

Spoza drzwi dobiegł ich męski głos.

- Są w saloniku, prawda? Proszę się nie fatygować, znam drogę.

- I nie podoba mi się, że tak dobrze zna drogę - dodał półgłosem Aubrey.

- Mnie również, ale nic na to nie poradzę. - Venetia odwróciła się w stronę drzwi, by przywitać przybyłych.

Do jadalni weszli dwaj dżentelmeni wyjątkowo do siebie niepodobni. Starszy, poważnie wyglądający mężczyzna po trzydziestce, kroczył z miną nie pozostawiającą wątpliwości, że jego przybycie będzie dobrze przyjęte. Młodszy, dziesięcioletni, poruszał się niepewnie, a swoje onieśmienie próbował zamaskować pewnością siebie.

- Dzień dobry, Venetio, jak się masz, Aubrey. - Edward Yardley uścisnął dłonie rodzeństwa. - Cóż z was za para śpiochów. Obawiałem się, że w taki piękny dzień nie zastanę was w domu, ale przyszło mi do głowy, że może Aubrey miałby ochotę spróbować szczęścia łowiąc karpie w moim stawie. Co ty na to, drogi chłopcze? Możesz skorzystać z mojej łódki. Wcale się przy tym nie zmęczysz.

- Przy takiej pogodzie nie sędzę, żebym cokolwiek złowił.

- Nie szkodzi, ale taka wycieczka dobrze ci zrobi. Powozikiem możesz podjechać do samego brzegu.

Aubrey odmówił grzecznie, ale pan Yardley zauważył, że chłopiec uprzejmie słowa podziękowania cedzi przez zaciśnięte zęby. Ból stawu biodrowego był oczywiście wystarczającym wytłumaczeniem takiego zachowania.

Tymczasem młody pan Denny poinformował Venetię, może

nawet zbyt impulsywnie, że przyszedł wyłącznie po to, by ją zobaczyć. Niskim, drżącym głosem dodał, że nie mógł już doczekać się tej chwili. Zerknął potem na Aubreya, który przyglądał mu się drwiąco, i zamilkł. Oswald był o prawie trzy lata od niego starszy i wyglądał na młodzieńca światowego, ale Aubrey zawsze wprawiał go w zakłopotanie albo swym obojętnym spojrzeniem, albo jakąś złośliwą uwagą. Nie potrafił zachowywać się swobodnie w jego obecności, gdyż zdawał sobie sprawę z jego umysłowej wyższości, a ponadto odczuwał mimowolny, zwierzęcy wprost wstręt do istoty dotkniętej kalectwem. Uważał przy tym, że Aubrey wykorzystuje swą chorobę w sposób niegodziwy. Gdyby nie ta jego krótsza noga, już dawno ktoś pouczyłby go, jak powinien odnosić się do starszych, pomyślał Oswald. W stosunku do mnie zachowuje się tak impertynencko, bo wie, że z mojej strony nic mu nie grozi.

Zanim Venetia poprosiła gości, żeby usiedli, Oswald stał w niedbałej pozie obok niewielkiej sofy. Nagle zauważył, że jego towarzysz przygląda mu się z wyraźną dezaprobatą. Wprawilo go to w zakłopotanie. Nie był pewny, czy jego w założeniu romantyczna poza nie jest zbyt nonszalancka. Usiadł, a wtedy Edward Yardley przeniósł wzrok na Venetię.

Panu Yardleyowi obce były romantyczne pozy, rozsiadł się więc wygodnie w obecności damy. Nie przywiązywał też wagi do stroju. Poranną wizytę złożył ubrany w kurtkę myśliwską i spodnie z kozłowej skóry, na szyi zawiązał jedwabną chustkę. Cały jego strój charakteryzował się prostotą. Żeby uniknąć kłopotów z układaniem fryzury, włosy obcięte miał znacznie krócej, niż wymagała tego aktualna moda. Mógł służyć za wzór zasługującego na zaufanie wiejskiego dżentelmena o niewygórowanych ambicjach. Z całą pewnością nikt obcy nie przypuściłby, że to on, a nie Oswald jest jedynym uwielbianym dzieckiem owdowiałej kobiety.

Edward stracił ojca, gdy miał dziesięć lat, i w ten sposób w bardzo młodym wieku został spadkobiercą sporego majątku, dostatecznie dużego, by roztropnemu mężczyźnie zapewnić wygodne i urozmaicone życie. Przywykły do rozrzutności młodzieniaszek mógłby uznać ten majątek za skromny, ale Edward nie miał zbyt wielkich wymagań. Jego posiadłość, położona w odległości dziesięciu mil od Undershaw, nie była ani tak rozległa, ani dochodowa

jak majątek Lanyonów, ale uważano ją powszechnie za całkiem godziwą. Zapewniała jej właścicielowi dobre miejsce na trybunach wyścigów konnych, a jego ambicje wyżej nie sięgały. Obdarzony przez naturę poważnym usposobieniem, Edward wykazywał silne poczucie obowiązku. Pomimo wysiłków matki, która robiła wszystko, by wypaczyć jego charakter, wcześniej wziął sprawy majątku w swoje ręce i wyrósł na poważnego młodego człowieka o ustalonych zasadach. Chociaż wykazywał niedostatek błyskotliwości i odznaczał się niezbyt żywym usposobieniem, braki te wyrównywała znaczna doza zdrowego rozsądku. Niewątpliwie był zbyt apodyktyczny w stosunku do swojej matki i podwładnych, ale tak się złożyło, że wszyscy wokół niego szczerze wierzyli w jego zdolności do podejmowania trafnych decyzji, niezależnie od okoliczności.

Venetia uznała, że powinna zatrzeć wrażenie wywołane niegrzecznym zachowaniem Aubreya.

- Jak to miło, że pomyślałeś o moim bracie - powiedziała. - Nie powinienesz robić sobie tylu kłopotów. Założę się, że masz tysiąc innych spraw do załatwienia.

- Może nie cały tysiąc - odpowiedział z uśmiechem Edward - nawet nie sto, chociaż istotnie jestem bardzo zajęty. Proszę nie sądzić, że zaniedbuję jakieś poważne sprawy. Nigdy nie pozwoliłbym sobie na to. To, co najpilniejsze, załatwiłem, zanim się obudziłaś. Przy dobrej organizacji na wszystko można znaleźć czas. Jeśli chodzi o dzisiejszą wizytę, to miałem jeszcze jeden powód, żeby zjawić się tutaj. Przywiozłem wtorkowy numer „Morning Post”. Zaznaczyłem fragment, który cię zapewne zainteresuje. Jest to artykuł na temat naszej armii okupacyjnej. Wynika z niego, że Francuzi coraz niechętniej odnoszą się do brytyjskich żołnierzy. Kto wie, czy w związku z tym nie powinnaś spodziewać się rychłego powrotu Conwaya. Nie zdziwiłbym się, gdyby przyjechał tutaj jeszcze przed końcem roku.

Venetia wzięła gazetę, podziękowała uprzejmie, chociaż tonem wskazującym na rozbawienie. Unikała przy tym spojrzenia Aubreya, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Oboje wiedzieli, że użyczenie Venetii prenumerowanego londyńskiego dziennika Edward wykorzystuje jako pretekst do częstych wizyt. Postępował tak od

momentu, kiedy zorientował się, że w Undershaw jedynym źródłem informacji ze świata jest tygodnik „Liverpool Mercury”. Początkowo zjawiał się z gazetą tylko wtedy, gdy znalazł w niej jakąś szczególnie ważną wiadomość, jak choćby śmierć króla Szwecji i wstąpienie na tron marszałka Bernadotte'a. Wiosną informacji równie ważnych było sporo. Zaczęło się od sensacyjnej wiadomości, że księżniczka Elizabeth, mimo niemłodego już wieku zaręczyła się z księciem Hesse Homburg. Niewiele brakowało, by opisy jej strojów i liczne artykuły wychwalające zdolności panny młodej utrudniły pójście w ślady księżniczki jej braciom, mężczyznom w średnim wieku. Sprawy te były niezmiernie istotne, gdyż następczyni tronu, biedna księżna Charlotta, zmarła niedawno w połogu i jej dziecko również. Nawet Edward musiał przyznać, że było to wydarzenie dramatyczne, gdyż dwaj królewscy synowie mieli już ponad pięćdziesiąt lat, a wszyscy wiedzieli, że trzeci, najstarszy, jest szczęśliwym ojcem dużej gromadki bastardów. W czerwcu gazety doniosły jeszcze o ślubie Clarence'a i od tej pory Edward miał coraz większe kłopoty ze znalezieniem jakichś zdarzeń, które mogłyby zainteresować Lanyonów. Parę razy przyniósł gazety z informacjami o zdrowiu królowej, potem zadowolnić się musiał wiadomościami o sporach w kierownictwie wigów. Nawet największy optymista nie mógłby przypuszczać, że tego rodzaju fakty zainteresują Venetię, jednak tym razem Edward sądził, że perspektywa bliskiego powrotu Conwaya wywrze na rodzeństwie wrażenie.

Venetia stwierdziła jednak, że Conway musiałby chyba zrzucić mundur, by znaleźć się tutaj, a Aubrey wzruszył ramionami i zauważył, że nie ma powodu do zmartwienia. Jego zdaniem Conway na pewno znajdzie sobie jakiś powód, żeby nawet po wycofaniu wojsk okupacyjnych pozostać w armii.

- Też bym tak zrobił... - stwierdził Oswald, ale szybko zorientował się, że dla gospodarzy mogło to zabrzmieć nieuprzejmie. Zamilkł, a po chwili wydukał: - To znaczy... chciałem powiedzieć, że na miejscu Conwaya... On z pewnością nudziłby się tutaj, czas płynąłby dla niego piekielnie wolno. Zresztą dla każdego, kto zobaczył kawałek świata.

- Ty też zapewne nudzisz się po tej wycieczce do Indii Zachodnich, prawda? - zapytał Aubrey.

Edward roześmiał się, a Oswald zapomniał, że postanowił nie reagować na złośliwości Aubreya, i wybuchnął:

- Z pewnością widziałem więcej niż ty! Wyobrażam sobie, jak bylibyście zdumieni, gdybym wam opowiedział o tym, co zobaczyłem na Jamajce.

- Tak, tak. Niewątpliwie bylibyśmy zdumieni - zgodził się Aubrey i zaczął podnosić się z krzesła.

Edward, wykazując nadmierną troskliwość, pośpieszył mu z pomocą. Aubrey powstrzymał się, by nie odtrącić jego ręki, ale niezadowolone wyraził dziękując mu lodowatym tonem. Zaczekał, aż Edward cofnie zaciśniętą na jego łokciu dłoń i dopiero wtedy odwrócił się w stronę siostry.

- Pojadę teraz po tę paczkę, moja droga, a ty, jeśli znajdziesz wolną chwilę, napisz do Taplowa i poproś go, żeby przysyłał nam któryś z londyńskich dzienników. Powinniśmy w przyszłości zaprenumerować jakąś gazetę, nie sądzisz?

- Nie widzę potrzeby - wtrącił Edward. - Z przyjemnością podzielę się z wami swoją.

- Ale jeśli zaprenumerujemy własną, nie będziesz się czuł w obowiązku przyjeżdżać do nas tak często - powiedział Aubrey tonem pełnym słodyczy.

- Gdybym wiedział, że tak wam na tym zależy, mógłbym codziennie przywozić gazetę mojego ojca - zaproponował Oswald.

- To nonsens - zirytował się Edward. - Poza tym ciekawe, co powiedziałyby na to sir John. Zresztą Yenetia dobrze wie, że na mnie może zawsze polegać.

Po tej uwadze Oswald pomyślał, że na nim Venetia mogłaby polegać w daleko bardziej niebezpiecznych przedsięwzięciach niż dostarczanie codziennej gazety. Tak też miała zabrzmieć replika młodzieńca. Nim jednakże została wygłoszona, uległa tak poważnej transformacji, że wywołała jedynie ironiczny uśmiech Edwarda.

Rozmowę przerwało pojawienie się starej niani Lanyonów. Weszła do pokoju w poszukiwaniu Venetii, ale na widok pana Yardleya, którego darzyła sympatią, cofnęła się mówiąc, że jej sprawy mogą poczekać. Venetia wolała jednak zająć się domowymi obowiązkami - nawet jeśli byłoby to przeglądanie zniszczonej pościeli czy wysłuchiwanie narzekań na młodsze służące - niż

przebywać nadal w towarzystwie swych nie chcianych adoratorów. Wstała z krzesła z postanowieniem odprawienia gości w możliwie uprzejmy sposób. Powiedziała, że nie może narażać starej niani na to, by dłużej na nią czekała.

- Zaniechałam nieco swoje obowiązki i jeśli się nie poprawię, narażę się na gorzkie wymówki. - Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę do Oswalda. - Muszę was pożegnać, ale mam nadzieję, że nie obrażacie się na mnie. Jesteśmy przecież starymi przyjaciółmi.

Nawet obecność Edwarda nie powstrzymała Oswalda od złożenia na dłoni Venetii gorącego pocałunku, a ona przyjęła te wyrazy uczucia z niewzruszoną obojętnością, po czym podała rękę Edwardowi.

- Chciałbym zamienić jeszcze z tobą parę słów - powiedział z uśmiechem Edward, potem otworzył drzwi do holu, przepuścił przez nie Venetię i wyszedł za nią, zostawiając swego rywala w salonie. - Nie powinnaś zachęcać tego niemądrego chłopaka do nadskakiwania ci.

- Czyżbym go zachęcała? - Venetia była wyraźnie zaskoczona. - Wydaje mi się, że traktuję go podobnie jak Aubreya, tyle że Aubrey nie plecie głupstw i sprawia wrażenie znacznie starszego niż ten biedny Oswald.

- Moja droga Venetio. Nie oskarżam cię o flirtowanie z nim - powiedział Edward z pobłażliwym uśmiechem. - Nie jestem też zazdrosny, jeśli coś takiego przyszło ci na myśl.

- Cóż za pomysł! Nie masz powodu, żeby być zazdrosny, zresztą nie masz do tego prawa.

- Na pewno nie mam powodu, natomiast jeśli chodzi o prawo, to dopóki Conway nie powróci do domu, rozmowa o tym byłaby przedwczesna. Zgadzasz się ze mną, prawda? Możesz się teraz domyślić, czemu pragnąłem jak najszybciej przywieźć dzisiejszą gazetę.

- Edwardzie! Proszę nie oczekiwać zbyt wiele po powrocie Conwaya. Ostatnio coś mi się wydaje, że twoim zdaniem tylko czekam, żeby paść w twoje ramiona. Nie chciałabym, żebyś tak uważał.

- Jestem pewien, że nigdy nie powiedziałem czegoś takiego - zauważył ponuro Edward.

- To prawda, nigdy - potwierdziła Venetia uśmiechając się figlarnie. - Edwardzie, zanim Conway wróci i tak zmęczy mnie swoją obecnością, że gotowa będę przyjąć każdą propozycję małżeństwa, proszę, byś zadał sobie pytanie, czy naprawdę chcesz mnie poślubić. Bo mam co do tego wątpliwości.

Edward sprawiał wrażenie zaskoczonego, nawet zaszokowanego, ale po chwili uśmiechnął się.

- Na tyle dobrze znam ciebie i twoje zamiłowanie do żartów, że wiem, kiedy wolno mi uwierzyć w to, co mówisz, a kiedy nie.

- Edwardzie! Bardzo, bardzo proszę, żebyś starał się nie ulegać złudzeniom. Ty mnie nie znasz i obawiam się, że doznasz szoku, kiedy okaże się, że wbrew temu, co sądzisz, wcale nie żartowałam.

- Niewykłuczone, że znam cię lepiej, niż ty znasz samą siebie - stwierdził Edward tonem na tyle żartobliwym, by nie ujawnić utraty pewności siebie. - A w ogóle ten sposób wyrażania to są sztuczki, których nauczyłaś się zapewne od Aubreya. Na ogół nie wykraczasz poza granice tego, co jest stosowne, ale mówiąc o Conwayu stwarzasz wrażenie, jak gdybyś nie darzyła go sympatią.

- Bo istotnie nie przepadam za nim - wyznała szczerze Venetia.

- Cóż ty opowiadasz, Venetio!

- Ależ to prawda - upierała się. - Och, widzę, że jesteś zdumiony. Nie twierdzę, że go nie lubię, chociaż obawiam się, że mogłoby do tego dojść, gdybym miała z nim dłużej przebywać pod jednym dachem. Conway nie potrafi dostrzec innych spraw oprócz własnych, no i... jest straszliwie pospolity.

- Nie powinnaś mówić takich rzeczy - stwierdził z naciskiem Edward. - Nic dziwnego, że Aubrey w sposób lekceważący skomentował wiadomość o możliwości powrotu brata, skoro ty wyrażasz się o nim bez odrobiny szacunku.

- Mój drogi Edwardzie! Przed chwilą stwierdziłeś, że to ja uczę się od Aubreya - zażartowała Venetia, ale widząc, że jej słowa nie rozbawiły Edwarda, dodała poważnie: - Prawda, jeśli chcesz przyjąć ją do wiadomości, polega na tym, że nie ma tu żadnych sztuczek. I ja, i brat mówimy to, co myślimy, i muszę przyznać, że zaskakująco często nasze poglądy są zbieżne, chociaż znacznie różnimy się gustami i upodobaniami.

Edward milczał przez dłuższą chwilę, a potem powiedział:

- Rozumiem, Venetio, że masz prawo mieć żal do brata. Od śmierci ojca znajdujesz się w dość przykrych sytuacji, a Conway bez skrpułów brzemień swoich obowiązków przerzucił na twoje barki. Inaczej jest w przypadku Aubreya. Z trudem powstrzymywałem się, by nie skarcić go, gdy lekceważąco wyrażał się o bracie. W końcu, niezależnie od wszystkiego, Conway ma dobry charakter i zawsze był bardzo miły w stosunku do Aubreya.

- Tak, tyle że Aubreyowi nie wystarcza, by ktoś był miły, żeby go lubić.

- Przecież to, co mówisz, pozbawione jest sensu!

- Ależ nie! Aubrey nie lubi ludzi za to, jak się zachowują, ale za to, co mają w głowie.

- Myślę, że wyjdzie mu na korzyść, jeśli Conway szybko wróci do domu - przerwał jej Edward. - Jeśli jedynymi ludźmi, których on darzy sympatią, są osoby o klasycznym wykształceniu, to jest już najwyższy czas, by...

- Och, opowiadasz głupstwa. Przecież wiesz, że Aubrey lubi choćby mnie!

- Proszę wybaczyć. Nie wątpię, że musiałem cię źle zrozumieć - powiedział oschle Edward.

- Chyba tak. To, co mówiłam o Conwayu, też źle zrozumiałaś. Wcale nie czuję do niego niechęci, a jeśli chodzi o moją sytuację, to istotnie nie jest zbyt łatwa - wybuchnęła Venetia, ale kiedy zauważyła, że Edward sprawia wrażenie obrażonego, dodała spokojnym tonem: - Widzę, że cię zirytowałam. Przestańmy się spierać. Dzisiaj jest zbyt gorąco na kłótnie. Muszę zresztą już iść, bo czeka na mnie niania. Do widzenia i dziękuję za to, że byłeś tak uprzejmy i przywozłeś nam gazetę.

2

Ledwie Venetia zdołała rozstać się z nianią, która poza podartymi prześcieradłami pokazała jej jeszcze dwie koszule Aubreya ze zniszczonymi na skutek nieostrożnego maglowania mankietami, wpadła w objęcia gospodyni. Pretekstem do rozmowy było przypomnienie Venetii, że teraz albo nigdy należy przystąpić do smażenia konfitur z jeżyn. Prawdziwym jednak powodem, dla którego pani Gurnard polowała na nią, okazała się próba usprawiedliwienia praczki, siostrzenicy gospodyni, niesłusznie jej zdaniem oskarżonej przez nianię. Uczuciem wypełniającym od dwudziestu sześciu lat życie tych kobiet była nieustanna zazdrość. Venetia wiedziała, że rzekome przewinienie praczki pociągnie za sobą szereg oskarżeń pod adresem niani. Potem niania, zaniepokojona długą rozmową Venetii z gospodynią, będzie próbowała wydobyć z niej informacje, jakich to kłamstw wysłuchiwała od swej rywalki. Nauczona wieloletnim doświadczeniem Venetia skierowała rozmowę z powrotem na konfitury i poprawiła nieco humor pani Gurnard obiecując, że jeszcze dziś przyniesie jej koszyk jeżyn. Potem szybko uciekła do swojej sypialni, zanim ta groźna niewiasta przypomni sobie inne poważne wykroczenia niani.

Venetia zrzuciła batystową sukienkę i wyjęła z szafy starą kretonową, niemodną suknię w kolorze niebieskim, który tak już wypłowiwał, że wydawał się szary. Do zbierania jeżyn ubiór ten wydał się jej odpowiedni. Nawet niania nie będzie zbyt lamentować, jeśli znajdzie na niej plamy, pomyślała. Przydeptane pantofle i pelerynka uzupełniały strój. Zaopatrzona w duży koszyk Venetia opuściła dom. Po drodze dowiedziała się jeszcze od lokaja, że młody pan Denny pojechał za interesami do Thirsk i w drodze

powrotnej jeszcze raz wstąpi do Undershaw, gdyż spodziewa się, że, być może, panna Lanyon ma do przekazania jakieś wiadomości dla jego matki.

Jedynym towarzyszem Venetii w planowanej wyprawie był sympatyczny, ale nieco zwariowany spaniel, którego dostała w prezencie od Aubreya, kiedy okazało się, że pies nie nadaje się do polowania, gdyż panicznie boi się huku wystrzałów. Jako towarzysz wędrowek spaniel był dla samotnej damy wprost idealny. Uwielbiał spacerować. Przez pierwsze paręset metrów zachowywał się jak pies rzadko spuszczały z łańcucha. Szalał z radości, skakał wokół swojej pani z histerycznym szczekaniem. Potem uspokajał się, ale za to, głuchy na wszelkie nawoływania, znikał w zaroślach i tylko co jakiś czas pojawiał się z wywieszonym jęczorem i miną taką, jak gdyby z trudem udało mu się oderwać od niesłychanie ważnych spraw, po to tylko, żeby upewnić się, czy jego pani nie grozi jakieś niebezpieczeństwo.

Venetia, jak większość wychowanych na wsi panien jej generacji, była dobrym piechurkiem, ale w przeciwieństwie do swych dobrze urodzonych rówieśnic nie wahała się spacerować samotnie. Przywykła do tego jeszcze w dzieciństwie, kiedy to robiła wszystko, by uciec guwernantce, pannie Poddemore, która uważała, że godzinny spacer jest zupełnie wystarczający dla młodej damy. Jeśli okoliczności sprzyjały, że Venetia musiała w towarzystwie guwernantki udać się do odległej o całą milę pobliskiej wioski, wyprawa taka stawała się dla niej prawdziwą udręką. Na równi denerwował ją dostojny krok nauczycielki, jak i trwająca całą drogę pouczająca rozmowa. Panna Poddemore była osobą wykształconą, chociaż nie tak utalentowaną, jak jej ciągle darzona szacunkiem poprzedniczka, panna Selina Trimmer. Brakowało jej zarówno siły charakteru panny Trimmer, jak i zdolności do pobudzania zainteresowań uczennicy.

Kiedy Venetia skończyła szesnaście lat, była tak szczerze znudzona swą nauczycielką, że postanowiła doprowadzić do przerwania edukacji. Poinformowała ojca, że jest już osobą niemal dorosłą, zdolną świetnie radzić sobie z prowadzeniem domu, chciałyby więc zrezygnować z usług panny Poddemore. Niania była od tego momentu jedyną opiekunką młodej panienki. Venetia

stwierdziła zresztą kiedyś w rozmowie z lady Denny, że dama do towarzystwa wcale nie jest jej potrzebna, bo ani nie przyjmuje gości w Undershaw, ani sama nie składa żadnych wizyt. Lady Denny istotnie nie dostrzegała nic niewłaściwego w tym, że młoda dziewczyna mieszkająca w domu ojca obywa się bez przyzwoitki, stwierdziła jednak, że wysoce niestosowne jest poruszanie się po okolicy bez towarzystwa choćby pokojówki. Venetia roześmiała się na to i powiedziała, że podobnego zdania była panna Poddemore, a za wzór stawiała jej lady Harriet Cavendish, również uczennicę niezwyklej panny Trimmer, która nigdy nie wyszła poza ogród, jeśli nie towarzyszył jej choćby lokaj.

- Nie jestem córką księcia - dokończyła - a więc nie czuję się w obowiązku wzorować na lady Harriet. No i, madam, to było przynajmniej dziesięć lat temu. Poza tym, po co mam zabierać którąś ze służących, jeśli one mają tyle pracy? Spacer straciłby dla mnie całą przyjemność. Nie, nie, ja oczywiście nie z tego powodu pozbyłam się panny Poddemore! Zresztą cóż może mi się przydać tutaj, gdzie wszyscy wiedzą, kim jestem?

Lady Denny westchnęła i zadowolicić się musiała zapewnieniem, że jej młoda protegowana nigdy nie wybierze się sama do Yorku lub Thirsk. Po śmierci sir Francisa ponowiła swe nalegania, ale bez nadziei, że odniosą jakikolwiek skutek. Obawiała się, że Venetia powie jej, iż nie jest już dzieckiem, i trudno byłoby temu zaprzeczyć. Venetia miała wówczas dwadzieścia dwa lata i była niebezpiecznie blisko staropanieństwa.

- Patrząc na to wszystko - powiedziała potem do męża - uważam za skandal, że tak piękna, tak pełna życia majątna dziewczyna... ech. Moim zdaniem jej ciotka powinna się wstydzić. Nigdy nie próbowała przekonać sir Francisa, żeby wysłał Venetię do Londynu, kiedy to dziecko zaczynało dorastać, a i teraz nie słyszałam, by cokolwiek zrobiła w tym kierunku. Ona chyba jest taką samą egoistką, jak jej zmarły brat. Gdyby nie to, że wyjazd taki jest bardzo kosztowny i że musimy przede wszystkim myśleć o naszych córkach, sama podjęłabym w tej sprawie jakieś kroki, chociaż jeśli coś wyjdzie z tego flirtu pomiędzy Clarą a Conwayem, w co zresztą nie wierzę, to zdecydowana jestem postarać się, żeby cała piątka zaprezentowana została na dworze. A może, jak mówiłam,

po prostu zabiorę ją do Londynu? Nie wątpię, że skończyłoby się to świetnym małżeństwem, mimo że Venetia pierwszą młodość ma już za sobą. Boję się tylko, że nie zechce zostawić Aubreya samego - dodała tonem pełnym zniechęcenia. - A wkrótce będzie za późno. Nie wiem tylko, czy ona zdaje sobie z tego sprawę.

Venetia doskonale zdawała sobie sprawę ze swego położenia, ale nic nie mogła na to poradzić. Dopóki Conway pozostawał w armii, musiała prowadzić takie życie jak dotychczas. Lady Denny dziwiłaby się bardzo, gdyby wiedziała, z jakim niepokojem Venetia myśli o przyszłości.

Dla każdej kobiety taka sytuacja byłaby nader przykra. Wydawało się, że pozostaje jej tylko wybór pomiędzy małżeństwem z Edwardem Yardleyem a staropanieństwem i zamieszkaniem w domu brata jako, prawdopodobnie niechętnie widziana, rezydentka. Oczywiście nie miała obowiązku pozostać w Undershaw, ale taki był nakaz obyczajowości. Niezamężne damy nie mieszkaly samotnie, chociaż zdarzały się takie przypadki kobietom w wieku wykluczającym małżeństwo. Przed laty postąpiła tak lady Eleonor Butler wraz ze swą serdeczną przyjaciółką Sarah Ponsonby, narażając się przy tym opinii wyższych sfer. Zamieszkały gdzieś w Walii, w wynajętym domu, i do tej pory żyły tam w odosobnieniu jak mniszki. Widocznie sytuacja taka im odpowiadała, gdyż nikt nie słyszał, by któraś z nich próbowała wrócić do świata. Venetia nie była jednakże tak wielką ekscentryczką i nawet gdyby miała serdeczną przyjaciółkę, nie przyszłoby jej do głowy, żeby z nią zamieszkać. Sensowniejsze wydawało jej się, mimo wszystko, małżeństwo z Edwardem, chociaż, nie ulegając nawet dziewczęcym marzeniom o szlachetnym i przystojnym narzeczonym, wyczuwała, że lepszym rozwiązaniem byłoby poślubienie innego mężczyzny.

Venetia nigdy nie była zakochana, a w wieku dwudziestu pięciu lat nie miała już zbyt wygórowanych oczekiwań. Cała jej wiedza o romantycznych uczuciach pochodziła z przeczytanych książek i jeśli nawet kiedyś oczekiwała przybycia rycerza na białym koniu, to szybko jej zdrowy rozsądek poradził sobie z takimi marzeniami. Uczestnicząc od czasu do czasu w towarzyskich spotkaniach w Yorku, zorientowała się, że wzbudza żywe zainteresowanie i że niejeden młody dżentelmen, ujęty najpierw jej urodą, a potem

pełnym uroku sposobem bycia chętnie kontynuowałby znajomość poza salą balową. Niestety, panujące obyczaje nie zezwalały na to i chociaż niektórzy z nich buntowali się przeciwko tyranii rodziców, nie kwapiących się zapraszać młodej damy do swego domu, żaden nie był na tyle zadurzony w pięknej pannie Lanyon, by odważyć się złamać konwenanse, narażając się przy tym środowisku, i wybrać się z Yorku do Undershaw, by tu, choćby przypadkiem, spotkać Venetię i zostać zaproszonym do jej domu.

Tylko Edward Yardley, chrześniak sir Francis'a, miał cichą zgodę na odwiedzanie Lanyonów, chociaż nie był tu zbyt gorąco zapraszany. W czasie jego wizyt sir Francis rzadko opuszczał bibliotekę, ale skoro pozwolono mu spacerować, rozmawiać, odbywać konne przejażdżki z Venetią, powszechnie sądzono, że jego oświadczenia zostaną zaakceptowane przez jej ponurego ojca.

Nie można powiedzieć, by Edward zasługiwał na miano niecierpliwego kochanka. Venetia była, co prawda, tym magnesem przyciągającym go do Undershaw, ale o jej rękę poprosił już cztery lata temu i ostatnio powziął pewne wątpliwości, czy postąpił właściwie. Świadczył Venetii rozliczne uprzejmości, no i w końcu zdawał sobie sprawę ze swych zalet, a ona mimo wszystko nie kochała go. Wołała raczej stosunki przyjacielskie, lecz Edward, skoro raz podjął decyzję, starał się być konsekwentny. Nie przejmował się zbytwno oziębłością Venetii, kładł ją na karb dziewczęcej skromności, a nawet przywiązania do osamotnionego ojca. Zapewnił ją, że godzi się czekać do chwili, kiedy Venetia zrozumie stan swoich uczuć. Zachowywał się w stosunku do niej opiekuńczo, co często prowokowało jej bunt i chęć postępowania wbrew jego radom oraz wygłaszania uwag, których intencją było zaszokowanie adoratora. Nie dawało to zresztą oczekiwanych rezultatów. Edward otwarcie wyrażał w takich sytuacjach dezaprobatę, złagodzoną pewną nutą pobłażania. Fascynowała go żywotność Venetii i nie wątpił, że kiedy już zostanie jej mężem, potrafi skierować ją na właściwe tory.

Po śmierci sir Francis'a Edward ponowił swe oświadczenia i znów nie został przyjęty. Tym razem nalegał mocniej, czego zresztą Venetia oczekiwała, nie przypuszczała jednak, że teraz odmowę przyjęcia oświadczenia będzie sobie tłumaczył, jak to

określił, delikatnością jej sytuacji. Stwierdził, że szanuje jej skrupuły, chociaż osobiście uważa je za bezsensowne, i zapewnił, że ponowi propozycję dopiero, gdy Conway, jej naturalny opiekun, powróci do domu. Venetia nie potrafiła zrozumieć jego stanowiska. Widziała dwa możliwe wytłumaczenia: albo Edward przeświadczony jest, że jako żona zapewni mu wiele szczęścia, albo takie postępowanie i poglądy zasugerowała mu matka. To drugie wyjaśnienie wydawało się mało prawdopodobne. Pani Yardley, bezbarwna, niewysoka kobieta, zawsze posłuszna woli syna i niezwykłe do niego przywiązana, okazywała Venetii wiele uprzejmości, ale łatwo można było wyczuć, że nie jest zachwycona matrymonialnymi planami syna.

Wobec realnej perspektywy wycofania armii okupacyjnej z Francji problem przyszłości Venetii nabrał niespodziewanie ostrości. Idąc przez niewielki park otaczający dwór w Undershaw, Venetia zmagala się z nim, ale, jak musiała przyznać ze smutkiem, bez większych rezultatów. Opierając się na domniemaniu, a w każdym razie możliwości, rychłego powrotu Conwaya, mogła przypuszczać, że Edward rychło ponowi oświadczenia i będzie oczekiwał pozytywnej odpowiedzi. Żadnej innej nie przyjmie łatwo. Teraz zdawała sobie sprawę, że popełniła błąd dając mu do zrozumienia, że decyzja zapadnie zaraz po powrocie Conwaya. Edward nie zechce zrozumieć, że jej plany życiowe zależą od tego, co dalej zamierza robić starszy brat. Przed wstąpieniem do armii Conway nawiązał nie zobowiązujący, sentymentalny romans z Clarą Denny, ale wszystko wskazywało na to, że Clara potraktowała to poważnie. Jeśli uczucia brata okażą się podobne, Venetia powinna liczyć się z tym, że wkrótce pojawi się w Undershaw bratowa i będzie musiała przekazać prowadzenie domu w ręce osoby, której nigdy nie darzyła zbytnią sympatią. Taki obrót spraw niewątpliwie okaże się zły zarówno dla niej jak i dla mnie, pomyślała. Nie potrafię grać drugich skrzypiec, szczególnie jeśli pierwsze grać będzie ta biedna mała Clara.

Małżeństwo z Edwardem zapewniłoby jej bezpieczeństwo i wygodę. Byłby na pewno dobrym mężem, który potrafiłby uchronić ją przed wszelkimi kłopotami. Venetia jednakże oczekiwała od życia czegoś innego niż ten pocziwy męczyzna. W jej naturze

leżało podejmowanie ryzyka, nie zaś unikanie go. Ponieważ nigdy nie uskarżała się na przymusową samotność, Edward sądził, że ona, tak jak i on, z zadowoleniem zdecyduje się spędzić całe życie w zaciszu Cleveden Hills. Nie domyślał się, że Venetia nie wyobrażała sobie, by tego rodzaju egzystencja była jej przeznaczeniem. Pragnęła zobaczyć świat, a małżeństwo interesowało ją jedynie jako sposób ucieczki od monotonnego życia dobrze urodzonej prowincjonalnej panny.

Nie ma dla mnie dobrego wyjścia, rozmyślała Venetia idąc wąską ścieżką oddzielającą park od sąsiadującego z Undershaw majątku Elliston Priory. Pozostaje mi tylko podjąć decyzję, czy wolę być ciotką dzieci Conwaya, czy matką dzieci Edwarda, a przeczuwam, że dzieci Edwarda będą potwornie nudne. Biedne maleństwa... Gdzież się podział ten przeklęty pies?

- Flurry! Flurry!

Po kilku minutach nawoływania pojawił się wreszcie mały przyjaciel, pełen skruchy, zdyszany, z jęczorem zwisającym z pyska. Był na tyle zmęczony, że towarzyszył swej pani przez najbliższe paręset metrów aż do bramy, przez którą Venetia weszła na teren sąsiedniej posesji. Mogła to zrobić bez skrępowania, gdyż była w doskonałych stosunkach z zarządcą majątku lorda Damerela. Flurry znał tę drogę i odzyskawszy siły popędził w stronę lasu rosnącego na stoku łagodnie opadającym w stronę strumienia przecinającego grunty Priory. Po drugiej stronie strumienia stał duży stary dwór. Był to budynek wzniesiony w czasach Tudorów, bez jednolitego planu, na starych fundamentach, ale znacznie powiększony i upiękuszony, a przy tym wyjątkowo niewygodny. Dwór nie interesował Venetii, natomiast otaczające go lasy były ulubionym miejscem zabaw trójki Lanyonów. Dziwactwa sir Francisa nie przeszkadzały mu dbać o to, by jego majątek znajdował się w nienagannym stanie. Dzieci wołały więc szukać przygód w bardziej dzikim otoczeniu. Gęste lasy w posiadłości Priory znakomicie odpowiadały ich potrzebom. Dla Venetii, nawet teraz, miejsca te zachowały dawny urok, toteż często wybierała się tu na spacer. Właściciel rzadko pojawiał się w tych stronach, mogła więc pozwolić swemu nieposłusznemu psu biegać na swobodzie i płoszyć bażanty bez obawy, że ściągnie na swą głowę burzę przekleństw.

„Niegodziwy baron”, jak dawno temu nazwała lorda Damerela, oczywiście nie wiedział o tych spacerach, zresztą pewnie nic by go nie obchodziły, gdyż goście, których niekiedy zapraszał do Priory, nie interesowali się polowaniem.

Lord pochodził ze starej szacownej rodziny, ale uważany był za osobę przynoszącą wstyd okolicy. W dystyngowanym towarzystwie nie wymawiało się jego imienia. Niewinne pytania dzieci o przyczynach ciągłej nieobecności lorda Damerela w Priory pozostawały bez odpowiedzi. Usłyszeć mogły tylko, że są zbyt młode, by to zrozumieć. Nakazywano im zapomnieć o tym człowieku i nie rozmawiać na jego temat. Należało się domyślać, że jego lordowska mość jest człowiekiem złym, i na tym koniec.

Tyle Venetia i Conway dowiedzieli się od panny Poddemore, co oczywiście pobudziło ich ciekawość. Spekulowali na wszystkie możliwe i niemożliwe sposoby, jakie to przestępstwo może mieć na sumieniu lord, i wbrew intencjom panny Poddemore kreowali go na romantyczną postać. Dopiero po latach Venetia odkryła, że Damerel nie był ani mordercą, ani zdrajcą, ani piratem, ani nawet rozbójnikiem, a jego przewinienia nie są wcale aż tak romantyczne. Jedyne dziecko wiekowych już rodziców szykowany był do kariery dyplomatycznej. Zakochał się jednak szaleńczo w mężatce i uciekł z nią, niszcząc sobie tym samym karierę, łamiąc serce matce i wywołując atak apopleksji u ojca, który nigdy już całkiem nie wyzdrowiał. Zmarł w trzy lata później po następnym ataku, co wystarczyło, by młodego lorda uznano za zabójcę ojca. Wdowa, która zdaniem Venetii miała wiele wspólnych cech z sir Francisem, zamieszkała w odosobnieniu w Londynie, do swego majątku w hrabstwie Yorkshire zaglądała bardzo rzadko. Jeśli chodzi o nowego lorda Damerela, to krążyło o nim wiele plotek, ale nikt tak naprawdę nie wiedział, co się z nim dzieje. Jego skandaliczny uczynek zbiegł się w czasie z krótkotrwałym pokojem w Amiens i młody lord skorzystał z okazji, by wywieźć swą damę za granicę. Wiadomo było jeszcze, że jej małżonek nie zgodził się na rozwód. O tym, jak długo kochankowie przebywali razem, dokąd się schronili, kiedy znów wybuchła wojna, i jak zakończył się cały romans, spekulowano bez końca. Według najgłośniejszej wersji lord porzucił swą kochankę, wydając ją na pastwę żołnierzy

Bonapartego, na co, jak mówili mieszkańcy wioski swoim córkom, w pełni zasłużyła. Taki właśnie los, twierdzili, czeka każda dziewczynę, która nie strzeże swojej cnoty.

Jak przedstawiała się prawda, nie wiadomo, ale jedno było pewne: lord Damerel powrócił po paru latach do Anglii bez swej kochanki. Od tego momentu, jeśli choćby połowa tego, co o nim mówiono, była prawdą, lord oddawał się najbardziej wyszukany formom rozpusty i znalazł się na najlepszej drodze do roztrwonienia odziedziczonej fortuny, czym utwierdzał swoich krytyków w przekonaniu, że słusznie przypisywano mu najhaniebniejsze czyny. Swój majątek odwiedzał nieregularnie i na krótko, tak że tylko nielicznym sąsiadom udawało się choćby przelotnie rzucić na niego okiem. Ostatnio, w sierpniu, lord spędził co prawda cały tydzień w Priory, ale towarzyszyły temu skandaliczne okoliczności. Nie przyjechał sam, ale przywiózł ze sobą gromadę gości. I to jakich gości! Przybyli tutaj rzekomo z powodu wyścigów konnych w Yorku, jako że koń Damerela brał udział w którejś z gonitw. Nieszczęsny Imber, lokaj, który przez lata opiekował się dworem, znalazł się w poważnym kłopotcie, gdyż nigdy dotąd nie przyjmowano w tym domu takiej liczby gości. Kiedy pani Imber dowiedziała się, że będzie musiała przygotowywać posiłki dla gromady hałaśliwych elegantów i trzech kobiet, o których od pierwszego wejrzenia dobrze wiedziała, kim są, stwierdziła, że raczej opuści Priory, niż zgodzi się na takie poniżenie. Przeważało wreszcie przywiązanie do rodziny i podjęła się tych trudów, czego potem gorzko żałowała, zwłaszcza gdy Okazało się, że, jak można było oczekiwać, żadna z wiejskich dziewczyn nie zgodziła się przyjść do pracy w miejscu niewiele lepszym niż osławiony Korynt i lord musiał sprowadzić z Yorku trzy niezbyt rozgarnięte służące. Lokaj Imber stwierdził, że starszy pan zapewne przewraca się w grobie widząc, co dzieje się w jego szacownym domu. Choć goście nie oddawali się wulgarnym zabawom, takim jak choćby „polowanie na wiewiórkę”, to jednak zamienili dwór w jaskinię hazardu i całkowicie osuszili piwnicę. Panom w układaniu się do łóżka musieli pomagać lokaje, a to, że budynek nie spłonął doszczętnie, zawdzięczać można wyłącznie wrażliwemu zmysłowi węchu pana Ansforda, który nocą wyczuł zapach dymu i nie wahał

się w poszukiwaniu źródła ognia dotrzeć do sypialni jednej z dam, by w porę zerwać tłące się zasłony nad jej łóżkiem. Przeżrana dama, ubrana jedynie w nocną koszulę, aczkolwiek bardziej przywoitą niż suknia, którą nosiła w ciągu dnia, cały czas przeraźliwie krzyczała.

Orgie trwały siedem dni, ale sąsiadom dostarczyły tematów do plotek na cały miesiąc.

Potem przez dłuższy czas nikt nie słyszał o Damerelu. Nie pojawił się na następnych konnych wyścigach w Yorku, przypuszczano więc, że jeśli nie zdecyduje się przyjechać na polowanie na bażanty, co wydawało się mało prawdopodobne ze względu na kiepski stan jego lasów, to nie należy spodziewać się jego obecności przed przyszłym rokiem. Tym większe więc było zaskoczenie Venetii, kiedy po zapełnieniu koszyka jeżynami odkryła nagle, że znajduje się on znacznie bliżej, niż ktokolwiek mógł przypuszczać. Zatrzymała się właśnie na skraju lasu, by uwolnić zaplątaną w gałęzie kolczastego krzewu sukienkę, gdy nagle usłyszała męski, wibrujący rozbawieniem głos:

- Różą dziką zarosły ścieżki na tym pełnym znoju świecie...

Zaskoczona odwróciła głowę i stwierdziła, że przygląda się jej wysoki mężczyzna siedzący na pięknym siwku. Nie znała go, ale jego wygląd i głos wskazywały, że jest dżentelmenem. Szybko domyśliła się, że przypadek postawił ją twarzą w twarz z „niegodziwym baronem”. Patrzyła na niego z żywym zainteresowaniem, nieświadomie pozwalając i jemu podziwiać swą czarującą buzię. Lord z wyrazem zdumienia na twarzy uniósł brwi, zeskokczył z konia i długim swobodnym krokiem podszedł do niej. Venetia nie znała się zbyt na męskiej modzie, ale zauważyła, że chociaż jeździec nosił strój taki jak inni mieszkający na wsi dżentelmeni, to była jednak pewna subtelna różnica w wyglądzie jego ubrania. Żaden prowincjonalny krawiec nie potrafiłby tak skroić spodni czy marynarki z szarego samodziału. Zresztą żaden tutejszy elegant nie potrafiłby nosić ubrania z tak wyszukaną elegancją. Mężczyzna okazał się wyższy, niż początkowo sądziła. Poruszał się swobodnie, może nawet nonszalancko.

- Oto słuszna kara za naruszenie moich praw - powiedział.

- Proszę stać spokojnie.

Venetia posłusznie stała bez ruchu, podczas gdy lord wyplątywał sukienkę spomiędzy gałęzi dzikiej róży.

- Gotowe - oznajmił prostując się - ale jak zawsze żądam okupu od tych, którzy kradną moje jeżyny. Niechże ci się przyjrzą.

Zanim zdołała ochłonać ze zdumienia z powodu tak niezwykłego sposobu zwracania się do niej, objął ją mocno ramieniem, a drugą ręką zsunął kapelusik na tył głowy. Bardziej ze złością niż lękiem próbowała go odepchnąć, ale on zupełnie się tym nie przejął, wzmocnił tylko uścisk. W jego oczach widać było rozbawienie.

- „lecz jakże piękna jest...” - nie dokończył, tylko wycisnął na jej ustach mocny pocałunek.

Venetia z zaczerwienionymi policzkami i skrzącymi się gniewem oczami próbowała wyrwać się z jego ramion, ale jej wysiłki wywoływały jedynie śmiech Damerela. Mogła jeszcze tylko liczyć na pomoc spaniela, który akurat wyskoczył z zarośli i zobaczył swoją panią dzielnie walczącą z obcym mężczyzną. Instykt nakazywał pośpieszyć jej z pomocą, ale równocześnie krępowała go wpojona zasada, że nie wolno atakować istot dwunożnych. Próbował wybrnąć z sytuacji głośno szczekając, a kiedy to nie dało rezultatów, uległ jednak instyktowi.

Damerel miał wysokie skórzane buty, więc bohaterski atak spaniela nie okazał się dla niego groźny. Zwolnił jednak nieco uścisk i Venetii udało się wyrwać z jego ramion.

- Siad! - rozkazał tonem nie dopuszczającym sprzeciwu.

Flurry natychmiast uspokoił się i usiadł merdając ogonem.

- Czy ci nie wstyd tak się na mnie rzucać? - Damerel odchylił ku górze łeb psa.

Flurry natychmiast uznał przewagę mężczyzny i patrzył na niego z miną wyrażającą przekonanie, że cały incydent to po prostu zwykłe nieporozumienie.

Venetia wcale nie skorzystała z okazji, by umknąć. Z zainteresowaniem obserwowała rozgrywającą się scenę. Poprawiła wreszcie kapelusz i mruknęła:

- Ależ to bezrozumne zwierzę. Żeby tak łatwo dać się ujarzmić. A jeśli chodzi o pana - powiedziała napotykając zaciekawiony wzrok lorda - to cytaty, którymi pan sypie, wcale nie zmieniają

mojej oceny pańskiego zachowania i nie potrafię o panu inaczej myśleć niż jak o „natrętnym, skończonym łotrze”.

Damerel wybuchnął śmiechem.

- Brawo! Gdzie ty to przeczytałaś?

Venetia pamiętała dalszy ciąg przytoczonej kwestii.

- Nie czuję się w obowiązku dokszałcać pana - odparła.

- Powiem tyle tylko, że ten cytat został dobrze dobrany, chociaż w oryginale użyty był w innym kontekście.

- Oho! Zdziwiasz mnie coraz bardziej. A jeśli chodzi o cytat, to rozpoznaję autora. Widzę tylko, że będę musiał staranniejsze studiować Szekspira.

- Coś mi się wydaje, że rzadko poświęca pan czas pożytecznym zajęciom.

- Kim pani jest, u licha? - zapytał nagle. - Wziąłem panią za wiejską dziewczynę, może córkę jednego z moich dzierżawców.

- Czyżby? Jeśli w ten sposób traktuje pan wiejskie dziewczęta, to nie zdobędzie pan sobie tutaj sympatii.

- Och, boję się raczej, że mogę zdobyć jej zbyt wiele. Ale kim pani jest? Może najpierw sam powinienem się przedstawić? Nazywam się Damerel.

- Tak sobie pomyślałam, gdy pana zobaczyłam. Potem, naturalnie, byłam już całkiem pewna.

- Ho, ho! „Moje dobre imię, Jagonie, gdzie moje dobre imię”

- roześmiał się. - Jest pani najbardziej niezwykłą kobietą, jaką spotkałem w swym trzydziestoosmioletnim życiu.

- Nawet pan sobie nie wyobraża, jak bardzo czuję się zaszczycona - zapewniła go. - Mogłoby mi się przewrócić w głowie, gdybym nie była pewna, że pośród dziesiątków innych mój obraz wkrótce zatrze się w pańskiej pamięci.

- A więc nie usłyszę pani imienia? I tak dowiem się, kim pani jest.

- Myślę, że bez trudu, bo ludzie w tej okolicy znają mnie lepiej niż pana. Nazywam się Lanyon. Venetia Lanyon z Undershaw.

- Ciekawe! Undershaw? Ach, tak! Ten majątek sąsiaduje z moim, prawda? Czy zawsze spaceruje pani po okolicy zupełnie sama?

- Tak, chyba że ktoś mnie ostrzeże, że przebywa pan w Priory.
- A to złośliwa koteczka! - mruknął. Potem spojrzął na nią i powiedział: - Jakże, u licha, mogłem rozpoznać pannę Lanyon z Undershaw w dziewczynie ubranej w wypłowiałą suknię i słomkowy kapelusz, wędrującą samotnie bez choćby pokojówki?

- Och, czy mam przez to rozumieć, że gdyby pan wiedział, kim jestem, nie zaczepiłby pan mnie? Jakie to rycerskie.

- Nie, nie, wcale nie jestem taki rycerski. To obecność służącej, a nie pani pozycja powstrzymałaby mnie od działania. Niemniej nie mogę się nadziwić, że taka piękna kobieta sama wędruje po okolicy. A może pani nie wie, że jest piękna?

- Wiem - odparła Venetia. - „... te jej wargi, ledwie różowe...”.

- O, nie. Myli się pani. Zresztą wybrała pani niewłaściwego poetę „...jak paki róży przyprószone śniegiem ...”.

- Czy to z wiersza „Kupujcie wiśnie?” - zapytała, a kiedy potwierdził skinieniem głowy, roześmiała się i powiedziała z triumfem: - W takim razie wiem, co jest dalej: „... nie może ich kupić ni pan, ni książę...”. Niech to będzie nauką dla pana, że trzeba być ostrożnym przy doborze poetów.

- Jest pani czarujaca! - zawołał.

- Nie... - wyciągnęła ręce, by go powstrzymać, ale on złapał ją za ramiona, przytulił do siebie i przytrzymał w mocnym uścisku. Serce Venetii biło jak szalone, czuła, że traci oddech, ale nie ze strachu.

- No właśnie - powiedział żartobliwym tonem. - Powinna była pani uciec, moja złocista dziewczyno, kiedy przez chwilę miała pani okazję.

- Wiem i właśnie się zastanawiam, dlaczego tego nie zrobiłam - odparła szczerze.

- A ja się domyślałam.

- O nie - potrząsnęła głową. - Myli się pan sądząc, że czekałam na następny pocałunek. Jestem znacznie słabsza od pana i nie potrafię się obronić. Nie musi się pan nawet obawiać, że ktoś wywie pan na pojedynek. Mój brat jest jeszcze chłopcem i do tego kaleką. Zresztą może wie pan o tym?

- Nie, i cieszę się, że usłyszałem to od pani. Jeśli już mam coś robić, to wolę mieć przy tym czyste sumienie.

Spojrzała na niego pytająco, zastanawiając się, co miał na myśli. Chociaż słowa te zabrzmiały jak żart, wyczuła w nich nutę goryczy. W jego oczach dostrzegła jednak rozbawienie i przyszedł jej na myśl fragment wiersza Byrona „...chichot szatana krył się w jego szyderczym uśmiechu”.

- Proszę pozwolić mi odejść — zwróciła się do Damerela. - Och, przyszła mi nagle do głowy pewna zabawna myśl - roześmiała się.
- O mój Boże! Biedny Oswald!

Damerel wydawał się zaskoczony tak jej słowami, jak i wyrazem rozbawienia na twarzy.

- Cóż to za myśl tak panią rozbawiła?

- Nie wiem, czy i panu wyda się to równie zabawne - powiedziała poprawiając suknię - ale jeśli nie, to tylko dlatego, że nie zna pan Oswalda.

- Kim on jest, u licha? Czy to pani brat?

- Na Boga! Nie! Jest synem sir Johna Denny'ego i ciągle marzy o tym, żeby brano go za Byronowskiego Korsarza. Układa sobie włosy w jakieś dzikie sploty, na szyi wiąże jedwabną chustkę i udaje człowieka pogrążonego w czarnych myślach.

- Doprawdy? A co on ma z nami wspólnego?

- Tylko to, że gdyby pana zobaczył - odparła podnosząc koszyk - to zzieleniałby z zazdrości, gdyż wygląda pan dokładnie tak, jak on chciałby wyglądać, chociaż pan, jak sędzę, wcale się o to nie stara.

- Bohater poematów Byrona! O mój Boże! Dlaczego pani...
- przerwał, gdyż w tym momencie z zarośli poderwał się dorodny bażant. Potem dokończył ze złością: - Czy ten pani nieznośny pies musi płoszyć moje ptaki?

- Tak, bo mój brat denerwuje się, kiedy Flurry robi to w lasach Undershaw. Dlatego zabrałam go dzisiaj ze sobą. Lubi się bawić, ale jest całkiem bezużyteczny jako pies do polowania. Biedny zwierzak korzysta z każdej okazji, żeby pogonić za zwierzyną. Czy ma pan coś przeciwko temu? Byłabym tym zdziwiona, gdyż nigdy nie przyjeżdża pan tu na polowania.

- Istotnie, dotychczas nie przyjeżdżałem, ale w tym roku sprawy mają się inaczej. Dopóki pani nie spotkałem, zamierzałem zatrzymać się w Yorkshire tylko parę dni. Teraz zmieniłem zdanie i zostaję w Priory na dłużej.

DECYZJA

- Czuję się zaszczycona - powiedziała gniewnie Venetia.
- Trochę nudno jest w naszych stronach, ale to może się zmienić, jeśli pan zdecyduje się nieco dłużej przebywać wśród nas. - Zawołała spaniela, potem dygnęła lekko i powiedziała:
- Żegnam.

- O, tylko nie żegnam! - zaprotestował. - Pragnąłbym panią lepiej poznać, panno Lanyon z Undershaw.

- Dziwiłabym się, gdyby było inaczej po tak obiecującym początku, ale sam pan wie, że życie niesie z sobą wiele rozczarowań, i obawiam się, że przeżyje pan właśnie jedno z nich.

Venetia ruszyła w stronę drogi. Damerel szedł obok niej.

- Boi się pani? - zapytał prowokująco.

- Oczywiście! Cóż za niemądre pytanie. Przecież musi pan wiedzieć, że w okolicy uważają pana za wilkołaka, który w każdej chwili gotów jest rzucić się na każde niewinne dziecko.

- Czyżby było aż tak źle? - zapytał rozbawiony, ale i zaskoczony. - Nie sądzi pani, że powinienem poprawić swoją skandaliczną reputację?

- To z całą pewnością nie jest stosowny temat - stwierdziła wychodząc na drogę prowadzącą w stronę domu.

- Co za złośliwość - mruknął. - No dobrze. Proszę opowiedzieć bratu, jak niecznie panią wykorzystałem, i proszę się nie obawiać. Nie zrobię mu krzywdy.

3

i rzez całą drogę powrotną do domu Venetia odczuwała niezwykły zamęt w myślach. Wiedziała, że po tak nieoczekiwanych zdarzeniach potrzebny jest czas na spokojną refleksję, więc nie śpieszyła się. Rozważając okoliczności spotkania ze znanym rozpustnikiem, doszła do wniosku, że i tak miała wiele szczęścia unikając znacznie gorszego losu. Wyrzucała sobie tylko, że wykazała pewien brak wrażliwości. Dobrze wychowana panienka powinna zemdleć po pocałunku obcego mężczyzny, a przynajmniej znaleźć się w stanie najwyższego wzburzenia, powinna być wstrząśnięta, chyba że kłamią wszystkie romanse, jakie przeczytała. Na pewno nie należało wdawać się w rozmowę z napastnikiem, wyrzucała sobie. Co gorsza, zamiast oburzenia, odczuwała pewnego rodzaju ożywienie. Nie podobało jej się oczywiście to, że Damerel zastosował wobec niej przemoc, ale nie mogła zaprzeczyć, że w którymś momencie miała ochotę odwzajemnić pocałunek i nie wątpiła, że byłoby to przyjemne. Naturalnie nie pragnęła, by napastował ją obcy człowiek, ale gdyby chociaż Edward pocałował ją w ten sposób! Uśmiechnęła się na tę myśl, Czymś absurdalnym było wyobrazić sobie Edwarda w tak niestosownej sytuacji. Jej wielbiciel zawsze panował nad swoimi uczuciami, zresztą nie były one chyba zbyt silne. Po raz pierwszy zaczęła zastanawiać się, czy Edward nie jest przypadkiem człowiekiem oziębłym.

Pytanie pozostało bez odpowiedzi, natomiast nie ulegało wątpliwości, że Damerel wkraczając brutalnie na scenę natychmiast ją zdominował i niezależnie od tego, czy był naprawdę łotrem, czy tylko intrygującą postacią, nie można było zaprzeczyć, że tchnął życie w rozgrywane na niej przedstawienie.

Venetia zastanawiała się, co powiedzieć Aubreyowi. Jeśli wspomni o spotkaniu z Dameralem, na pewno wywoła to serię pytań, na które, być może, trudno będzie jej odpowiedzieć. Z drugiej strony jeśli nic nie powie, a Damerel istotnie zamierza kontynuować znajomość, to niewątpliwie pozna Aubreya i chociaż zapewne nie zaznajomi go ze szczegółami ich pierwszego spotkania, to wspomni na pewno, że już ją wcześniej poznał. Aubreyowi wyda się wówczas dziwne, że nic nie wie o tak niezwykłym wydarzeniu. Najbardziej jednak prawdopodobne wydało się Venetii, że Damerel wcale nie zmieni swych planów i nie pozostanie na dłużej w Priory, postanowiła więc nic nie mówić bratu o tym nieoczekiwanym spotkaniu.

Ucieszyła się jednak szczerze, gdy Aubrey sam rozpoczął rozmowę o Damerelu. Było to o tyle dziwne, że brat nie interesował się sąsiadami, a zwłaszcza człowiekiem, którego nigdy nie widział na oczy.

- W wiosce mówią, że Damerel wrócił do domu, ale tym razem sam - powiedział siadając do obiadu.

- A więc nie zanosí się na nowy skandal. Plotkarze będą zawiedzeni. Ciekawe, co go tu przygnało?

- Zapewne interesy - odparł obojętnie Aubrey. - Najwyższy czas, żeby zajął się swoim majątkiem.

Venetia zgodziła się z bratem i na tym skończyła się rozmowa o Damerelu. Temat ten powrócił jednak, tym razem poruszony nie przez Aubreya. Ekscytująca wiadomość o powrocie lorda szybko rozeszła się po okolicy i jeszcze przed wieczorem niania i pani Gurnard zawarły czasowo rozejm i zaczęły wspólnie nalegać na Venetię, by zachowywała się z jak największą rozwagą. Pod żadnym pozorem nie wolno jej wychodzić samej poza ogród. Nigdy nie wiadomo, co może się zdarzyć, ostrzegają ją.

Uwagi dwóch życzliwych kobiet Venetia przyjęła spokojnie, natomiast niewiele brakowało, by straciła panowanie nad sobą, gdy następnego dnia do Undershaw przybył Edward Yardley.

- Nie sądzę, żeby ten człowiek zatrzymał się w Priory dłużej niż dzień czy dwa, ale uważam, że bezwzględnie powinnaś, Venetio, zrezygnować z samotnych spacerów - powiedział Edward, przyjmując kategoryczny ton, który szczególnie irytował Venetię. - Jak dobrze wiesz, nigdy nie podobał mi się ten twój zwyczaj.

Z wizytą przybył również Oswald Denny, by w dramatycznej formie zapewnić Venetię, że gdyby Damerel odważył się ją zaczepić, to on będzie wiedział, jak rozprawić się z „tym facetem”. Jego słowom towarzyszył wymowny ruch ręką ku rękojeści niewidocznej szpady, co wystarczyło, by wywołać wybuch śmiechu Venetii.

- Możesz się śmiać, Venetio - oświadczył - ale ja byłem w krajach, gdzie życie ludzkie nie znaczy zbyt wiele. Zapewniam cię, że bez żadnych skrupułów wyzwę tego człowieka, jeśli tylko spotka cię z jego strony najdrobniejszy choćby afront.

Po tym wszystkim Venetia nie była zaskoczona, gdy w dwa dni później na dziedzińcu zatrzymał się elegancki powozik i wysiadła zeń lady Denny. Wkrótce zorientowała się, że celem wizyty nie jest ostrzeżenie młodej przyjaciółki przed notorycznym rozpustnikiem, ale przekazanie paru ostatnich plotek na jego temat. Okazało się, że lady Denny rozmawiała z nim. Co więcej, szanowny małżonek, sir John, spotkał go przypadkowo i skorzystał z okazji, by uzyskać od niego wsparcie dla pewnych poczynań w tutejszej parafii. Damerel okazał się tak sympatyczny, że sir John przywiózł go do Ebbersley i zaprosił na obiad.

- Możesz sobie wyobrazić moje zdumienie, gdy zobaczyłam ich na progu salonu. Uwierz mi, moja droga, że nie byłam tym zachwycona, gdyż Clara i Emily są akurat w wieku, w którym dziewczęta łatwo potrafią zakochać się w nieodpowiednim mężczyźnie. Na szczęście nie muszę się niczego obawiać. Obydwie zgodnie stwierdziły, że są głęboko rozczarowane gościem, ich zdaniem zbyt starym i wcale nie pięknym.

— Starym? - zdziwiła się Venetia.

- Taki wydał się dziewczętom - wyjaśniła lady Denny. - Przepuszczam, że nie przekroczył jeszcze czterdziestki, ale nie jestem pewna. Jako dziecko rzadko przebywał w Priory, gdyż lady Damerel nie znosiła Yorkshire i przyjeżdżała tutaj tylko na przyjęcia z okazji wyścigów konnych. Ty jej nie pamiętasz, moja droga, ale była to wyniosła, niesympatyczna kobieta i muszę przyznać, że syn nie odziedziczył tego po niej, chociaż, prawdę mówiąc, nie ma on zbyt wielu powodów do zadzierania nosa. Chyba tylko to, że Damerelowie to bardzo stara rodzina. O jego ojcu mówiono, że

zawsze potrafił się godnie zachować. W każdym razie nie zauważyłam, żeby jego syn przybierał wyniosłe pozy. Może raczej zachowywał się zbyt swobodnie. Nie znaczy to, żeby raziły mnie jego maniery, ale na mój gust jego sposób bycia jest nieco zbyt szorstki. Jeśli chodzi o dziewczęta, to one nie były nim zachwycone, chociaż szczerze mówiąc, oceniłyby go zapewne inaczej, gdyby poświęcił im choć trochę uwagi, ale on zamienił z nimi tylko parę zdawkowych słów.

- O, to bardzo nieładnie z jego strony - stwierdziła Venetia.

- Wygląda na to, że zaprezentował się wyjątkowo niekorzystnie.

- Tak, ale jestem z tego zadowolona - powiedziała z przejęciem lady Denny. - Pomyśl, jakbym się czuła, gdyby okazał się ujmująco miły! Na dodatek sir John stwierdził, że kochana Clara nie jest na tyle piękna, by zwrócić na siebie uwagę takiego mężczyzny jak Damerel! Jak można powiedzieć coś takiego o swojej córce! Ciekawe, co by powiedział, gdyby Damerel oczarował Clare, ale on na taką moją uwagę stwierdził tylko, że chce mieć dobre stosunki z sąsiadami i że nonsensowne są obawy, by Damerel mógł zachować się niestosownie w stosunku do takiej panienki jak Clara. Może sobie mówić, co chce, ale wszyscy wiedzą, że ten mężczyzna bez skrupułów uwiódł damę niemal pod samym nosem jej męża.

- Kim ona była? - zainteresowała się Venetia. - I co się z nią stało?

- Nie mam pojęcia, co się z nią teraz dzieje, wiem tylko, że była jedną z trzech córek Rendleshama, znanych z wyjątkowej urody, co zresztą miało duże znaczenie, bo Rendlesham był biedny jak mysz kościelna. Mimo to wszystkie trzy piękne córki dobrze wyszły za mąż. Nie znaczy to, że chciałabym takich mężów dla moich córek, nawet gdyby sir John był w podobnych kłopotach jak Rendlesham. Mąż tej, o której mowa, nazywał się Vebster. Myślę, że urodził się już jako człowiek zamożny. Jego ojciec, jak mówią, był dorobkiewiczem, natomiast o dziadku niewiele wiadomo, podobno miał jakiś sklepik. Tak czy inaczej, Gregory Vebster był już bogaty jak Midas i dlatego Rendlesham mógł go zaakceptować. Vebster zawsze usiłował odgrywać rolę człowieka wrażliwego, ale nie potrafił stanąć na wysokości zadania, gdy znalazł się w kłopotach. Za żadne skarby nie chciał zgodzić się na rozwód, zachowywał

się jak szaleniec, pałał żądzą zemsty i gdyby nie to, że skreślił kark w wypadku na drodze do Newmarket, ta kobieta ciągle byłaby jego żoną. Ten wypadek, moja droga, zdarzył się w niespełna trzy lata po faktycznym zerwaniu małżeństwa, ale wyobraź sobie, że z nieznanych mi powodów Damerel nie ożenił się z tą kobietą, chociaż wszyscy oczekiwali takiego zakończenia. Stracił w ten sposób wiele w moich oczach i chyba rozumiesz, dlaczego mam opory przed przyjmowaniem go u siebie. Jeśli porzucając lady Sophię miał nadzieję, że przebłaga swoją rodzinę, to mylił się. Rodzina wyrzekła się go i do Anglii wrócił dopiero po śmierci lady Damerel. Gdyby nie to, że odziedziczył jakieś dochody po swym bogatym ojcu chrzestnym, to prawdopodobnie żyłby w skrajnej nędzy, no a przede wszystkim nie mógłby wyjechać na kontynent ze swą ukochaną Sophią. Widać z tego, jak nierozsądne bywa obdarowywanie młodego człowieka pieniędzmi.

- Rodzina wyrzekła się go? - zdziwiła się Venetia. - Postąpili niesprawiedliwie.

- Niesprawiedliwie? - powtórzyła lady Denny.

- Tak, gdyż niewątpliwie sami byli w jakimś stopniu winni, że doszło do tego romansu. On miał wówczas dwadzieścia dwa lata, prawda? Założę się, że ona była starsza od niego.

- Tak, była starsza o parę lat, ale...

- W takim razie jej wina była nie mniejsza niż jego, a nawet większa. I chociaż moim zdaniem powinien się być z nią ożenić, to nie mogę powstrzymać się od myśli, że otrzymała to, na co zasłużyła. Bliska jestem współczucia dla „niegodziwego barona”. Czy on zamierza zatrzymać się dłużej w Yorkshire? Czy nie powinniśmy nawiązać z nim jakichś kontaktów?

- Ja zostałam już do tego zmuszona, ale zdecydowana jestem ograniczyć tę znajomość do całkiem formalnej wymiany grzeczności. Mężowi powiedziałam, żeby nie kazał mi zapraszać go na kolację. „Kogo poza nim mogłabym na taką kolację zaprosić?”, zapytałam go. „Czy może naszą słodką Venetię?” Zgodził się ze mną, że byłoby to niestosowne. O tyle dobrze się składa, że Damerel jest kawalerem. Jeśli dżentelmeni chcą go odwiedzać, to mogą to robić, ale on nie może zapraszać dam na swoje przyjęcia.

Po tym stwierdzeniu lady Denny pożegnała się, zostawiając swą

młodą przyjaciółkę oczekującą dalszych wydarzeń z mieszanymi uczuciami: nie potrafiła nawet powiedzieć, czy życzy sobie, żeby Damerel znalazł jakiś sposób, by się z nią zobaczyć, czy też wolałaby, żeby opuścił Priory. Sprawiało jej przykrość, że poza krótkimi przejażdżkami konnymi z Aubreyem zmuszona jest poruszać się tylko w obrębie parku. Chociaż nie przywiązywała wagi do ostrzeżeń niani, zdawała sobie sprawę, że jeśli Damerel ponownie spotka ją spacerującą samotnie, niechybnie dojdzie do wniosku, że jego zaloty są mile widziane. Pomyślała, że najlepiej byłoby, gdyby jednak wyjechał. Bądź co bądź to mężczyzna niebezpieczny, o fatalnej reputacji i ponowne spotkanie z nim mogło być demoralizujące dla kogoś, kto jak ona prowadził życie niemal klasztorne.

Kiedy jednak minął tydzień bez żadnej wiadomości od Damerela, poczuła się dotknięta. Wiedziała, że nadal przebywa w Priory, ale nie podjął żadnych kroków, żeby zawrzeć znajomość z najbliższymi sąsiadami. W wiosce mówiono, że cały czas poświęca porządkowaniu spraw finansowych. Po raz pierwszy jego rządcy, panu Croyde'owi, udało się przedłożyć właścicielowi pełną listę palących potrzeb i nie tylko zaakceptowane zostały najważniejsze wydatki, ale i dostrzegł on u swojego pana zainteresowanie stanem zaniebanego majątku i gotowość wysłuchania rad. Edward zauważył ironicznie, że jedno, co może zmusić Damerela do wydania paru pensów na ratowanie majątku, to nadzieja, że będzie mógł w przyszłości wyciągnąć z niego więcej pieniędzy na rozrywki. Yenetia skłonna była przypuszczać, że nagłe zainteresowanie stanem gospodarstwa służy jedynie za pretekst do przedłużenia pobytu w Priory, i to po to, żeby ponownie z nią się spotkać. Uważała, że w tej sytuacji łatwo mu przyjdzie znaleźć jakiś rozsądny powód do złożenia wizyty w Undershaw. Zbyt była niewinna, by zauważyć, że Damerel, ekspert w sztuce flirtowania, może stosować dobrze znaną taktykę: udaje obojętność, by zmusić ją do wyciągnięcia prostego wniosku, że wcale aż tak bardzo mu się nie spodobała. Tak czy inaczej, ciągle wyobrażała sobie następne spotkanie i czuła żal do Damerela, że traktuje ją lekceważąco. Popadła w tak zły nastrój, że nawet brat to zauważył.

Do drugiego spotkania doszło ani nie z jej inicjatywy, ani nie z inicjatywy Damerela, ale za sprawą Aubreya.

Któregoś dnia lord Damerel wracał w towarzystwie swojego rządcy z kolejnej inspekcji majątku, gdy usłyszał ciche wołanie o pomoc. Rozejrzał się wokół, ale nic nie zauważył. Po chwili wołanie powtórzyło się. Croyde uniósł się w strzemionach, żeby zajrzeć za żywopłot rosnący obok drogi.

- Dobry Boże! - zawołał. - To panicz Aubrey! Od dawna obawiałem się, że ten jego młody kasztanek napyta mu biedy. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, to zajmę się tym chłopcem..

- Oczywiście. Jest tu gdzieś brama, czy musimy przedrzeć się przez żywopłot?

Okazało się, że brama znajduje się bardzo blisko, i już po chwili obaj jeźdźcy zeskoczyli z koni, a Croyde ukląkł obok Aubreya, leżącego na trawie obok rowu biegnącego wzdłuż żywopłotu. Obok stał koń również poważnie kontuzjowany.

Twarz chłopca była kredowobiała. Nie ulegało wątpliwości, że bardzo cierpi.

- Upadłem na niesprawną nogę i nie mogę wstać - wyszeptał. - Myślę, że straciłem przytomność. Gdzie jest Rufus? Paskudnie się przewrócił. Mam nadzieję, że nie połamał nóg.

- Niech się panicz nie przejmuje tym niezdarnym stworzeniem - powiedział Croyde. - Ważniejsze jest, czy pan sobie czegoś nie złamał, sir.

- Na pewno nic. Na litość boską, niech mnie pan nie szarpie za nogę, bo znowu zemdleję. Wygląda na to, że musiałem ją skrócić w kostce. - Z wysiłkiem uniósł się na łokciach. Zbladł przy tym jeszcze bardziej. Z bólu przygryzł wargi. Croyde podtrzymał go i chłopiec po chwili znów mógł się odezwać. - Zaraz dojdę do siebie. Mój koń...

- Twój koń paskudnie zranił sobie pęcinę i chociaż kości ma całe, nie możesz na nim jechać - odezwał się Damerel. - Pytanie tylko, czy jesteś pewien, że nic sobie nie złamałeś?

- Na pewno nic sobie nie złamałem - potwierdził Aubrey. - To tylko moje biodro. Mam od dawna uszkodzony staw biodrowy. Gdyby pan mógł wysłać kogoś do Undershaw, to przysłał po mnie powóz.

- To jest młody pan Lanyon, milordzie - wyjaśnił Croyde. - Moim zdaniem byłoby lepiej sprowadzić powóz z Priory, bo do Undershaw jest ponad sześć mil.

- I do tego fatalna droga - dodał Damerel patrząc na Aubreya.
- Tak. Zabierzemy go do Priory. Pojedź tam szybko, każ przygotować łóżko i niech Nidd wróci tu z tobą, bo trzeba będzie zająć się końmi. Na razie podłóż to chłopcu pod głowę. - Mówiąc to zdjął płaszcz, zwinął go i podał rządcy. - Pośpiesz się. I przywieź ze sobą butelkę brandy.

Teraz on ukląkł koło Aubreya i rozluźnił mu kołnierzyk. Chłopak otworzył oczy.

- Co takiego?... Och, dziękuję. Czy pan jest lordem Dameremem, sir?

- Tak. Nazywam się Damerel, ale teraz lepiej nie staraj się rozmawiać ze mną.

- Dlaczego?

- Jesteś lekko kontuzjowany i powinieneś spokojnie leżeć.

- Nie wiem nawet, jak długo tu jestem. Zaraz po wypadku ocknąłem się, ale kiedy próbowałem wstać, chyba jeszcze raz straciłem przytomność. Sam pan widzi, nie mogę się podnieść.

- Nic dziwnego, mając niesprawny staw biodrowy i skręconą nogę... Cholernie głupio robiłeś podejmując takie próby.

Aubrey uśmiechnął się leciutko, a potem zamknął oczy i nie otwierał ich aż do przybycia rządcy z powozem. Z drobnych ruchów jego brwi i mięśni twarzy, Damerel domyślał się, że chłopiec nie stracił znów przytomności ani nie zasnął. Kiedy go podnieśli, mruknął coś, że z niewielką pomocą będzie mógł iść, ale posłuchał Damerela, kiedy ten kazał mu złapać go za szyję. Przeniesienie szczupłego chłopca do powozu nie przedstawiało żadnych trudności, ale już ułożenie na siedzeniu musiało sprawić mu ból. Prawdziwą torturą była jednak jazda po wyboistej drodze. Aubrey nie skarżył się, ale przy wynoszeniu z powozu znów zemdlał.

- Może to i lepiej - powiedział Damerel niosąc go do domu.
- Nie, nie, pani Imber. Proszę, zabrać te sole trzeźwiące. Musimy mu zdjąć buty, zanim odzyska przytomność. Marston, podaj brzytwę.

Operacja zdejmowania butów nie przywróciła Aubreya do przytomności. Ocknął się dopiero wówczas, kiedy ubrany był już w gościnną nocną koszulę. Zimny okład na opuchniętej prawej

kostce przyniósł ogromną ulgę i wydawało mu się nawet, że zelżał również ostry ból promieniujący od lewego stawu biodrowego. Sole trzeźwiące pozwoliły mu powoli odzyskać jasność umysłu. Najpierw nieprzytomnym wzrokiem spojrzął na Damerela i jego lokaja, ale gdy zobaczył zatroskane oblicze pani Imber, wróciła mu pamięć.

- Och, teraz sobie przypominam. Przewróciłem się. Niech to diabli!

- Zdarza się nawet najlepszym - powiedział Damerel. - Nie powinieneś się tym przejmować.

Aubrey uniósł głowę i spojrzął na niego.

- Jestem panu ogromnie zobowiązany, sir. I przepraszam. Musi mnie pan uważać za wyjątkową fujare, skoro narobiłem panu tyle kłopotów z powodu głupiego upadku.

- Przeciwnie, uważam, że zachowałeś się bardzo dzielnie. Bardziej dzielnie niż rozsądnie. Co ci przyszło do głowy, żeby dosiadać takiego potężnego młodego ogiera?

- On się wcale nie spłoszył. To ja go popędzałem. Widać jechałem nieostrożnie, ale do tej pory zawsze dobrze sobie z nim radziłem.

- Rozsądku to z pewnością ci brakuje - powiedział Damerel, ale z tak wyrozumiałym uśmiechem, że Aubrey nawet nie zaprotestował. - Domyślam się, że nie tylko mój rządca mówił ci, że ten koń jest zbyt silny dla ciebie. Gdzie ja teraz znajdę doktora, żeby obmacał twoje kości?

- Nigdzie! To znaczy, nie chcę żadnego doktora. Zacznie mnie szarpać za ręce, nogi i dopiero wtedy wszystko mnie rozboli. Nic mi nie jest. Muszę tylko poleżeć spokojnie przez chwilę.

- Panie Aubrey, dobrze pan wie, że panna Lanyon wezwie do pana doktora i żadne gadanie nic tu nie pomoże - odezwała się pani Imber. - Proszę nie opowiadać, że będzie panu po badaniu gorzej. On jest równie dobry, jak najlepsi doktorzy w Londynie. Mówię o doktorze Bentworth, milordzie. Gdyby Croyde nie zabrał ze sobą Nidda, to już bym go wysłała do Yorku.

- Jeśli przyprowadził konie, to może zaraz jechać. Napiszę tylko kilka słów do doktora, tymczasem...

- Wolałbym, żeby nie wysyłał pan nikogo - sprzeciwił się

Aubrey. - Jestem przekonany, że zanim tu przyjedzie, będę się już na tyle dobrze czuł, że odeśle mnie pan do domu. A teraz najlepiej nie zajmujcie się mną. Nie chciałbym sprawiać wam kłopotu. Bardzo nie lubię zamieszania wokół mojej osoby.

Pani Imber była zaskoczona tą niezbyt uprzejmą wypowiedzią, ale Damerel odpowiedział chłodno:

- No dobrze, koniec zamieszania. A ty spróbuj teraz zasnąć.

Obolałemu Aubreyowi propozycja ta wydała się tak bezsensowna, że z trudem powstrzymał się od jakiejś złośliwej uwagi. Zostawiono go samego, ale ciągle towarzyszyły mu czarne myśli. Zastanawiał się, czy kontuzja nie okaże się na tyle poważna, że na całe miesiące zostanie przykuty do łóżka. Zanim jednak zdążył popaść w ciężką depresję, wrócił Damerel ze szklanką w ręku.

- Nie czujesz się najlepiej, prawda? - powiedział rzuciwszy okiem na Aubreya. - Wypij to.

- Mam nadzieję, że nie jest to lekarstwo - mruknął Aubrey.

- Ale jeśli przynosi pan laudanum, to dziękuję bardzo.

- Jak będę chciał wiedzieć, na co masz ochotę, to cię zapytam - stwierdził Damerel. - W tym momencie nie widzę takiej potrzeby. Zrób, co ci mówię, a na pewno poczujesz się lepiej.

- Gorzej nie może już być - westchnął Aubrey i wziął szklankę.

- Nie bądź taki pewny! Nie jestem zbyt cierpliwy, a i litości też się po mnie nie spodziewaj. Chyba wiesz, że znalazłeś się w jaskini wilkołaka.

Aubrey uśmiechnął się, ale zaraz patrząc z niesmakiem na lekarstwo powiedział:

- Nie wypiję tego, bo, jak sędzę, nie jest to absolutnie konieczne. W końcu nie jestem chuchrem, nawet jeśli kiepsko jeżdżę konno.

- Jesteś uparciuchem. No i kto teraz robi zamieszanie? I to z powodu leku, po którym poczujesz się lepiej. Wypij to zaraz i nie każ mi służyć twoich banialuków.

Aubrey nie przywykł do wykonywania tak kategorycznych poleceń, ale kiedy spojrzył na Damerela, skapitulował.

- No dobrze już, dobrze - powiedział z kwaśnym uśmiechem.

- Teraz już lepiej - pochwalił go Damerel odbierając pustą szklankę. Coś w ściągniętej szczupłej twarzy Aubreya sprawiło, że dodał: - Jestem przekonany, że twoja kontuzja nie okaże się

poważna. Jakieś drobne otarcia, parę siniaków i to wszystko. Gdyby to było coś poważniejszego, ból byłby silniejszy. Rozchmurz się, młody przyjacielu.

- Tak, tak. Ja też tak sądzę - Aubrey spojrzął na Damerela.
- I jestem panu bardzo zobowiązany. Wcale nie chciałem być nieuprzejmy. Proszę mi wybaczyć, sir.

- Drobiazg. Postaraj się teraz zasnąć.

- Chyba zasnę po wypiciu tego ohydneho napoju - zgodził się Aubrey i uśmiechnął w taki sposób, że wydał się Damerelowi dzieckiem. - Tylko boję się, że moja siostra będzie się bardzo niepokoić. Czy nie uważa pan...

- Nie przejmuj się. Już wysłałem do Undershaw stajennego z listem do niej.

- Och, dziękuję panu. Myślę, że nie napisał pan nic, co mogłoby ją przerazić.

- Oczywiście że nie. Napisałem dokładnie to, co przed chwilą mówiłem. Poprosiłem też, żeby zapakowała parę drobiazgów, takich jak koszula nocna, i przesłała je przez posłańca, który odda jej list, Przydadzą ci się.

- To bardzo dobrze. - Aubrey odetchnął z ulgą. - Nie będzie się więc zamartwiać.

4

List, który otrzymała Venetia, napisany był w wyjątkowo eleganckim stylu, ale wyczuwało się w nim poczucie humoru autora. Damerel dołożył wielu starań, by tak właśnie brzmiał dla adresatki, i zastanawiał się tylko, jakie wywrze on na niej wrażenie. Zwracał się do Venetii jak do osoby nieznajomej, aczkolwiek wydawało mu się nieprawdopodobne, by uwierzyła, że nie pamięta, kim ona jest. Chociaż starał się nie napisać ani jednego słowa, które zdradziłoby jego rozbawienie całą sytuacją, przekonany był, że ona zrozumie, jak bardzo los zakpił sobie z niej, oddając inicjatywę w jego ręce. Nie przypuszczał, by wywołana tym irytacja powstrzymała ją od odwiedzenia młodszego brata, którego była, jak się wydaje, jedyną opiekunką. Nie wątpił też, że po przybyciu do Priory potrafi ją jakoś udobruchać. Zakończył oficjalnymi pozdrowieniami i żałował tylko, że nie będzie widział jej miny w czasie odczytywania listu.

Tymczasem w Undershaw Venetia denerwowała się bardziej, niż przypuszczał. Zanim otrzymała list, starała się ukrywać swoje wielkie zaniepokojenie przed nianią, która już od południa, gdy Aubrey nie wrócił na obiad, wieściła najstraszniejsze nieszczęścia. To, że Aubrey nie zjawił się na wspólnym posiłku, nie było jeszcze zbyt niepokojące: nie znała tym razem jego planów, a wiedziała, że czasem, przy okazji przejażdżki, zdarza mu się zapędzić do Thirsk, a nawet do Yorku, gdzie znajdowała się ulubiona księgarnia jego nauczyciela. Gdy jednak o czwartej po południu nadal nie było brata, postanowiła wysłać służących na poszukiwania. Kiedy więc Ribble wręczył jej list, a niania załamując ręce zaczęła lamentować, że ona wie już wszystko, że jej niewinnego baranka

czeka pewna śmierć, że leży teraz w Priory z połamanyymi wszystkimi kosteczkami, na żadną myśl o Damerelu nie było miejsca w jej głowie. Drżącymi rękami otworzyła list i bliska omdlenia ze strachu, spodziewając się najgorszego, przebiegła wzrokiem starannie przygotowany tekst.

- Nie, nie! - zawołała wreszcie. - Nie jest poważnie ranny. Rufus przewrócił się z nim, ale Aubrey nie ma żadnego złamania. Zwichnięta noga w kostce, jakieś otarcia, stłuczenia i chyba żadnego uszkodzenia biodra. Posłuchaj, nianiu, lord Damerel już wysłał kogoś do Yorku po doktora Bentwortha. Och, jak to miło z jego strony! Pisze, że chociaż Aubrey, jak sam twierdzi, upadł na lewą nogę, to, jak wynika z innych obrażeń, chyba niezbyt groźnie, a staw biodrowy został tylko trochę nadwężony. Mam nadzieję, że ma rację. Lord zdecydował przewieźć go do Priory, zamiast narażać na tortury związane z długą drogą do domu. Prosi, żebym przez posłańca przesłała parę drobiazgów dla Aubreya... zupełnie jakbym nie mogła sama ich zawieźć.

- I nie zawiesz - stwierdziła stanowczo niania. - Bóg chyba chce, żebym ja, stara kobieta, wpadła w szpony rozpustnika. Święta księga mówi, że i na sprawiedliwych spadają czasem nieszczęścia, ale oni liczyć mogą na pomoc Opatrzności. Ja też wierzę, że taka pomoc zostanie mi udzielona, chociaż do głowy by mi nie przyszło, że będę zmuszona stanąć twarzą w twarz z takim grzesznikiem. Tak, Venetio, nie pozwolę postawić ci nogi na progu tego niegodziwego domu. Nigdy!

Przez następne dwadzieścia minut Venetia zmuszona była uspokajać nianię, gdyż jej wzburzenie osiągnęło rzadko spotykany poziom, na co wskazywało odwoływanie się do Biblii. Na nic zdało się dowodzenie, że w tym przypadku Damerel bardziej przypomina dobrego Samarytanina niż rozpustnika. Niania trwała przy swoim. Wreszcie udało się Venetii możliwie najłagodniej przekonać ją, że odwiedzenie Aubreya jest nieuniknione. Sukces okazał się jedynie częściowy, bo chociaż niania wiedziała, że panna Venetia nie odstępowała od raz powziętej decyzji, i musiała przyznać, że istnieje pewne podobieństwo pomiędzy Damerel a dobrym Samarytaninem, to jednak nadal nazywała go człowiekiem niegodziwym i podejrzewała, że za jego samarytańskim uczynkiem kryją się złe zamiary.

Prawdę mówiąc bliższa była prawdy, niż sama sądziła. Pannie Lanyon brakowało sprytu i wyrachowania. Świat znała tylko z przeczytanych książek, doświadczenie nie nauczyło jej, by nie wierzyć w szczerość intencji tych, którzy byli dla niej mili. Tak więc, kiedy Damerel widząc nadjeżdżających gości pośpieszył na ich spotkanie, zapomniała o tym, że powinna zachowywać się jak młoda dama, wyskoczyła z powozu, podbiegła do niego i podała mu obydwie ręce w geście wyrażającym głęboką wdzięczność.

- Tak bardzo jestem panu zobowiązana, że trudno mi to wprost wyrazić! - zawołała. - Mogę tylko powiedzieć dziękuję. Jak to miło, że przysłał pan ten list. Chyba domyślał się pan, że szaleję z niepokoju. Och, proszę potwierdzić, że istotnie brat nie jest poważnie ranny.

Minęła dłuższa chwila, zanim Damerel uwolnił jej ręce i zdołał coś powiedzieć. Kiedy spotkał ją pierwszy raz, ubraną w wypłowiałą suknię i podniszczony kapelusz, wydawała mu się ładną dziewczyną. Teraz, kiedy zobaczył ją w prostej, eleganckiej sukni koloru żonkili, w zgrabnym słomkowym kapeluszu, którego szerokie rondo stwarzało obramowanie dla jej ślicznej, przyjacielsko uśmiechniętej twarzy, wydała mu się tak piękna, że wprost oniemiał z wrażenia. Nie zdawał sobie sprawy, że zbyt długo trzyma jej dłonie w zbyt mocnym uścisku, dopiero niania wymownym chrząknięciem przywołała go do rzeczywistości.

- Dłaczego... Tak, panno Lanyon, to, co napisałem, jest prawdą, ale chociaż mam pewne doświadczenia, jeśli chodzi o złamania, to jednak zdecydowałem się posłać po doktora ze względu na kalectwo pani brata. Mam nadzieję, że wkrótce tu będzie, a na razie zaprowadzę panią do chłopca. Na pewno chciałaby go pani zobaczyć.

- Dziękuję. Jak pan widzi, przyjechała ze mną niania. Jeśli pan pozwoli, mogłaby zostać tutaj i opiekować się nim.

- Och, to świetnie! - powiedział uśmiechając się, a potem zwrócił się do patrzącej na niego z niechęcią niani: - Pani najlepiej wie, czego mu trzeba. Mając taką opiekę będzie się tu czuł jak w domu.

- Czy on bardzo cierpi? - zapytała Venetia wchodząc razem z Damerelem do domu.

- Nie, teraz już nie. Podałem mu sporą dawkę laudanum i jest już w miarę spokojny, a może nawet zasnął.

—' Dał mu pan laudanum? - zdziwiła się Venetia. - O, skoro wziął lekarstwo, to widocznie bardzo cierpiał. Nigdy nie chce zażywać żadnych leków, choćby lekkich środków nasennych, gdy nie może zasnąć z powodu bólu biodra.

- No cóż, całkiem dobrowolnie to on tego nie przełknął - powiedział Damerel, prowadząc ją przez obszerny hol ku schodom. - Rozumiem jego opory, ale nie mogłem pozwolić, żeby odgrywał rolę młodego Spartanina. Widziałem, że cierpi tak z powodu obrażeń, jak i z obawy, że upadek może mieć dalsze przykre następstwa.

- Miał pan rację - zgodziła się - ale nie potrafię sobie wyobrazić, jak go pan skłonił do przełknięcia lekarstwa, chyba że wlał mu je pan siłą w gardło. Nigdy nie widziałam nikogo tak upartego jak on.

- Nie, nie musiałem używać przemocy - Damerel roześmiał się i otworzył drzwi do pokoju Aubreya.

Chłopiec leżał pośrodku ogromnego łóża z baldachimem opartym na czterech kolumnach. Miał na sobie nocną koszulę o wiele na niego za dużą i chociaż jego twarz odzyskała już kolory, wyglądał w niej jak chore dziecko. Kiedy Venetia dotknęła jego ręki, otworzył oczy, uśmiechnął się do niej sennie i mruknął:

- To głupstwo! Poślukłem się nieco, ale to nic poważnego, moja droga. Myślę, że mu zbyt pofolgowałem. Mam na myśli Rufusa.

- Ach, ty ryzykancie! - szepnęła czule.

- Wiem. Lord Damerel uważa, że mam więcej odwagi niż rozsądku... - przerwał, bo zauważył nagle nianię, która po odstawieniu na stolik swojej wypchanej torby zaczęła rozwiązywać wstążki od kapelusza z miną świadczącą o tym, że gotowa jest pozostać przy boku chłopca niezależnie od ponurych konsekwencji tego kroku. - Och, nie! - jęknął. - Na Boga, jak ty mogłaś, Venetio! Zabierz ją stąd. Nie zniosę, jeśli będzie się przy mnie kręcić jak przy niemowlęciu.

- Niewdzięczny dzieciak - zauważył Damerel. - Obawiam się, że będziesz żałował, jeżeli niania zostawi cię tu na mojej łasce. Ode mnie możesz nawet dostawać lanie.

Ku zaskoczeniu Venetii Aubrey parsknął śmiechem. Potem uniósł głowę tak, by spojrzeć na Damerela.

- A czy pan pogodzi się z jej obecnością, sir?
- I to bardzo chętnie. Sam nawet nie wiesz, jakie masz szczęście.

Aubrey skrzywił się, ale kiedy Damerel wyszedł z pokoju powiedział:

- On mi się całkiem podoba, wiesz? No i chyba ma rację.

Zamknął oczy i po chwili znów zasnął. Venetii pozostało tylko usiąść i czekać na przybycie doktora Bentwortha. Niania rozpakowała swą torbę. Jej zacięte usta wyrażały głęboką dezaprobatę. Otwierała je tylko po to, by od czasu do czasu wygłosić pod adresem Venetii kolejne ostrzeżenie, mające uchronić ją przed wpadnięciem w sidła rozpustnika. Potem pani Imber zabrała ją do sąsiedniego pokoju i Venetia została sama ze swoimi myślami. Stała przy oknie i patrzyła na zaniedbany ogród. W wyobraźni widziała siebie zasiewającą na klombach ulubione kwiaty, grupę mężczyzn koszących trawniki... Zastanawiała się, jak długo przyjdzie jej czekać. Od Yorku dzieliła ich odległość dwunastu mil, poza tym lekarz mógł być zbyt zajęty, by natychmiast udać się do Priory.

Kiedy niania wróciła do pokoju, Venetia z zadowoleniem stwierdziła, że jej nastrój nieco się poprawił. Naturalnie opinia niani o morale Damerela i przekonanie, że los, jaki go w końcu spotka, będzie ostrzeżeniem dla innych grzeszników, nie uległy zmianie, ale głęboką niechęć osłabił nieco fakt, że Damerel polecił pani Imber nie tylko przygotować dla niej łóżko w garderobie, ale i spełniać wszelkie jej życzenia. Ponadto okazało się, że lokaj nie jest, jak można się było spodziewać, impertyneckim gałganem, ale całkiem szacownym człowiekiem odnoszącym się do niej uprzejmie, zgadzającym się z jej zdaniem, co więcej, stwierdził, że sprawi mu ogromną radość wspólne z nią opiekowanie się chorym. Wyglądało na to, że niania przystała na to z wdzięcznością, ale czy zrobiła to ujęta jego taktem, czy też wiedząc, jak Aubrey broni się przed okazywaniem mu nadmiernej troskliwości, pozostało jej tajemnicą. Nie mogła się jednak powstrzymać, by nie wytknąć Venetii, że jej obecność tutaj jest zbyteczna. Wreszcie obudził się Aubrey i niania uznała, że to właściwy moment, żeby przebrać go w przywiezioną z domu koszulę nocną. Gdy była tym zajęta, do pokoju wszedł Damerel i zaprosił Venetię na wspólny obiad. Zanim się niania

spozstrzegła, zaproszenie zostało przyjęte i Damerel wyprowadził Venetię z pokoju.

- Dziękuję - powiedziała, kiedy zamknęły się za nią drzwi.

- Zjawił się pan w najbardziej odpowiednim momencie. Niania tak była zajęta, że nie zwróciła uwagi na to, co robię.

- To prawda. W innej sytuacji chyba bym sobie z nią nie poradził - zgodził się. - A czy pani zawsze jej ulega?

- Nie, ale dzisiaj jest ogromnie wzburzona. Boję się, żeby nie powiedziała panu czegoś przykrego, za co musiałabym się wstydzić.

- Och, proszę się tym nie przejmować - roześmiał się. - Chciałbym tylko wiedzieć, jak mam się do niej zwracać.

- My zawsze nazywaliśmy ją nianią.

- W tym przypadku nie mogę was naśladować. Jak brzmi jej nazwisko?

— Priddy. Młodszy służący zwracają się do niej „pani Priddy”. Co prawda nie wiem dlaczego, bo ona nigdy nie była mężatką.

- Dla mnie więc również będzie panią Priddy. Nie mogę przecież w jej oczach stawiać się wyżej niż młodzi służący... Czyżbym się wywyższał ponad nich? - dodał, gdy usłyszał śmiech Venetii i dostrzegł w jej oczach szczerą rozbawienie. - A może ona uzna taki sposób zwracania się do niej za niestosowny?

- Nie sądzę - odparła. - Nigdy nie słyszałam, żeby z tego powodu skarciła nawet pomoc kuchenną.

- Dobry Boże! Kto wie, czy mnie to nie czeka - roześmiał się.

Venetia, ośmielona odkryciem, że gospodarz wykazuje tak duże poczucie humoru, również wybuchnęła śmiechem, a potem powiedziała:

- Och, niania miewa bardzo ostry język. Potrafi każdego zaskoczyć najbardziej wymyślnymi pogrózkami. Ot, choćby: „Niech ciebie i twoje potomstwo robaki obsiada”.

- Nie mam nic przeciwko robakom.

- Ale przecież tu mowa o pana dzieciach.

- Im to też nie zaszkodzi.

- Biedne maleństwa. Pan nawet sobie nie wyobraża, ile spustoszenia może dokonać jeden mały robaczek.

- Jest pani zdumiewającą dziewczyną. Czy wie pani o tym?

- zapytał nagle.

- Dlaczego? Czyżbym powiedziała coś niestosownego?
- Przeciwnie, to mnie się wydaje, że mówię rzeczy niestosowne.
- Naprawdę? - zmarszczyła brwi. - Wiem, że zachowałam się nietaktownie mówiąc o dzieciach, podczas gdy, jak sądzę, nie jest pan żonaty.

- O ile mi wiadomo nie.

- No właśnie. Niewiele brakowało, bym sama pana o to zapytała. Proszę wybaczyć. Rozumie pan, ja rzadko rozmawiam z kimkolwiek poza swoim bratem i potem, kiedy znajdę się w towarzystwie, zdarza mi się popełniać gafy.

— W mojej obecności nie musi się pani zbytnio pilnować - powiedział wprowadzając ją do jadalni. - Podoba mi się pani szczerść. Nie lubię kobiet, które tylko chichocą i rumienią się.

- Chyba nigdy tak się nie zachowywałam, nawet jak byłam młodą panienką - stwierdziła Venetia i usiadła na krześle, które podsunął jej lokaj.

- Dawno temu - zauważył prowokująco,

- Pan chyba wie, że mam dwadzieścia pięć lat.

- Muszę pani uwierzyć na słowo. Chciałbym tylko wiedzieć, czy czuje pani niechęć do mojej płci, czy też ślubowała pani zachować dziewictwo.

- Proszę mnie nie rozśmieszać, kiedy jem zupę. Oczywiście że nie.

- No to kawalerowie w Yorkshire muszą być okropnymi fajtlapami. A poza tym to nic dziwnego, że zakrztusiła się pani. Ta zupa składa się wyłącznie z cebuli, a o ile się nie mylę - powiedział wzrokiem po roztawionych na stole półmiskach - najgorsze przed nami. Co to za potrawa, Imber?

- Cielęcina w sosie beszamelowym. Pani Imber nie spodziewała się gości - odpowiedział skruszonym głosem lokaj. - Ale na drugie danie będzie jeszcze baranina w cieście drożdżowym, przepiórki z francuską fasolką i grzybkami, no i owoce. Mamy nadzieję, że panienka wybaczy, ale bez kremu i galaretki. Przygotowanie takich specjałów, jak panienka wie, wymaga sporo czasu, a jego lordowska mość nie przepada za słodyczami.

- Jestem zaskoczona, że pani Imber zdołała przygotować tyle potraw - szybko odezwała się Yenetia. - Przy takim zamieszaniu

w domu trudno znaleźć wolną chwilę. Proszę jej przekazać, że uwielbiam cielecinę, a nie znoszę wszelkich galaretek.

Damerel przyglądał się jej z lekkim uśmiechem na twarzy.

- Wszystko mi się w pani podoba - stwierdził, kiedy Imber zebrał puste talerze po zupie i wyszedł. - Pani twarz, imię i maniery. Proszę mi opowiedzieć o sobie. Dlaczego nie poznałem pani wcześniej? Czy nie bywa pani w Londynie?

- Nie - potrząsnęła głową. - Chociaż, być może, zacznę tam bywać, kiedy Aubrey rozpocznie studia w Cambridge. A jeśli chodzi o moje życie, to jest jak biała, pusta karta, milordzie.

- Czy mam to rozumieć, że celowo odcięła się pani od świata? Nie dam się przekonać, że jest pani pogrążona w melancholii. W to nie uwierzę.

- Na Boga, nie! Ja po prostu nie mam historii. Całe życie spędziłam w Undershaw i nie robiłam niczego, o czym warto by mówić. Liczę natomiast na to, że pan opowie mi o swoich przeżyciach.

Spojrzał na nią wzrokiem, który nagle stał się surowy. W wyrazie jego twarzy i w charakterystycznym skrzywieniu warg Venetia dostrzegła coś, co upodobało go do korsarza.

- Raczej nie - odparł cierpko.

- Miałam na myśli tylko niektóre pana przeżycia! - zawołała udając oburzenie. - Przecież nie mógł pan przez całe życie zajmować się tylko jakimiś idiotycznymi romansami.

- Och, przez znaczną jego część, zapewniam panią - roześmiał się. - Co chciałaby pani wiedzieć?

- Mógłby pan opowiedzieć o swoich podróżach. Odwiedził pan na pewno wiele interesujących miejsc, prawda?

- O, tak.

- Zazdroszczę panu. Zawsze marzyłam o podróżach. Niestety, jest to dla mnie nieosiągalne. Samotna kobieta musi się liczyć z tyloma ograniczeniami... Ciągle jednak nie mogę się powstrzymać, by nie planować podróży w różne dziwne miejsca, o których czytałam.

- Nie, nie. Proszę tego nie robić! - zaprotestował Damerel. - Z takich marzeń, proszę mi wierzyć, rodzą się czasem najgorsze dziwactwa. Wolałbym, żeby pani nie zrujnowała sobie życia jak ta

kobieta ze Stanhope, wędrująca gdzieś po pustyni z gromadą śmierdzących Beduinów.

- Zapewniam pana, że nic takiego mnie nie pociąga. Zresztą tego rodzaju życie wydaje mi się równie nudne jak to, które tu prowadzę. Domyślałam się, że ma pan na myśli lady Hester. Czy miał pan okazję poznać tę damę?

- Tak, w Palmirze w... zapomniałem... trzynastym czy czternastym roku. To zresztą nieważne.

- Był pan w Grecji? I w krajach Lewantu? - zapytała niecierpliwie.

- Tak, byłem. Czyżby interesowała się pani historią starożytną?

- Ja w niewielkim stopniu, ale Aubrey żyje tym od dawna. Bardzo proszę opowiedzieć mi o Atenach. O tym, co go najbardziej ciekawi, może rozmawiać tylko z panem Appersettem i chociaż jest to bardzo wykształcony człowiek, to jednak nie widział na własne oczy tego, co pan miał okazję zobaczyć.

- Opowiem Aubreyowi wszystko, co zechce, jeśli tylko od pani, tajemnicza panno Lanyon, dowiem się tego, co chcę wiedzieć.

- Dobrze, chociaż niewiele mam do opowiedzenia, a to, że nazywa mnie pan „tajemniczą”, wprawia mnie w zakłopotanie.

- Uważam panią za osobę tajemniczą - przerwał rozbawiony wyrazem niewinnego oczekiwania w jej oczach - gdyż ma pani dwadzieścia pięć lat, a ciągle jest pani osobą niezamężną i, o ile zdołałem się zorientować, z nikim nie związaną.

- To nieprawda! - zawołała Venetia podchwytyjąc żartobliwy ton rozmówcy. - Mam dwóch wielbicieli. Jeden z nich jest przesadnie romantyczny, natomiast drugi...

- A drugi? - ponaglił ją, gdy się zawahała.

- Drugi cieszy się powszechnym szacunkiem. Jest... zacny.

- No, a czyż pani nie jest szczytem doskonałości?

- O nie! Ale nie tu tkwi przyczyna mojego „staropanieństwa”. Wyjaśnienie jest całkiem proste. Mój ojciec był samotnikiem.

- Nie widzę związku...

- Ale to właśnie jest prawdziwa przyczyna.

- Przecież, na Boga, nie zamknął pani w odosobnieniu!

- Ścisłe mówiąc nie, chociaż nieraz podejrzewałam, że chętnie by to zrobił. Moja matka umarła, rozumie pan, a on chyba

szaleńczo ją kochał, gdyż popadł w skrajną depresję. I zupełnie jak Henryk I nigdy się nie uśmiechnął, nie pozwolił, by w domu wymawiano jej imię. Zresztą miałam wówczas zaledwie dziesięć lat i z rodzicami nie byłam mocno związana. Niezbyt dobrze pamiętam, jak matka wyglądała. Wiem tylko, że była piękna i ładnie się ubierała. W każdym razie jej śmierć wtrąciła ojca w czarną rozpacz, zerwał wszelkie kontakty ze światem, tak że do siedemnastego roku życia nie zamieniłam słowa z nikim poza domownikami.

- Wielki Boże! On był chyba szalony!

- Och, nie! Po prostu wyjątkowo ekscentryczny. Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek zainteresował się czymś, co nie dotyczyło wyłącznie jego, ale tacy właśnie są ekscentrycy. Jedno muszę stwierdzić, kiedy dorosłam, pozwolił, żeby lady Denny i pani Yardley zabierały mnie czasem na przyjęcia do Yorku, a nawet kiedyś zgodził się, bym spędziła tydzień w Harrogate z moją ciotką, panią Hendred. Miałam nadzieję, że pozwoli mi odwiedzić ją w Londynie. Ciocia sama to zaproponowała, ale ojciec nie wyraził zgody, a ona nie nalegała zbyt mocno.

- Biedna Venetia!

Jeśli nawet zauważyła, że po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu, to nie dała tego poznać po sobie i mówiła dalej:

- Bardzo rozpaczalam z tego powodu, ale w końcu, rozumie pan, i tak nie mogłabym wyjechać, nawet gdyby ojciec się zgodził. Aubrey ciągle był przykuty do łóżka i uważałam, że nie powinnam zostawić go samego.

- A więc nigdy nie była pani dalej niż w Harrogate! Nie dziwię się, że marzy pani o podróżach. Jak pani mogła znieść taką bezprzykładną tyranię?

- Och, ojciec tylko w tych sprawach był tak nieugięty. W innych mogłam postępować tak, jak chciałam. Czy sądzi pan, że czułam się nieszczęśliwa? Ani trochę. Czasem byłam odrobinę rozżalona, ale nie nudziłam się mając na głowie prowadzenie domu i opiekę nad Aubreym.

- Kiedy umarł pani ojciec? Wydaje mi się, że parę lat temu. Czemu więc została pani tutaj? Czy to siła przyzwyczajenia?

- Nie, to wymóg okoliczności. Mój starszy brat jest oficerem

w armii lorda Hilla i dopóki nie zdecyduje się zwolnić ze służby, ktoś musi zajmować się Undershaw. Jest też Aubrey. Nie przypuszczam, żeby zgodził się przenieść gdzieś indziej, gdyż tutaj ma swego nauczyciela, pana Appersetta, a nie mogłabym zostawić go samego.

- Doskonale rozumiem, że tęskniłyby za panią, ale...

- Aubrey? - roześmiała się. - Och, nie! Aubrey bardziej kocha książki niż ludzi. Chodzi o to, że niania doprowadziłyby go do szaleństwa okazując mu nadmierną troskliwość, czego nie znosi. Mam nadzieję, że tutaj nie zamęczy go na śmierć. Musiałam zabrać ją ze sobą, bo inaczej przyszłaby pewno na piechotę. Ona wie, co trzeba robić, gdy boli go biodro, a poza wszystkim nie mogę zostawić go wyłącznie na pana opiece. Może zresztą doktor Bentworth pozwoli przewieźć go do domu.

Jednakże doktor, chociaż rozwiął obawy Aubreya, że kontuzja może być poważna, odniósł się negatywnie do propozycji niani, by przetransportować chłopca do Undershaw. „Trzeba mu zapewnić spokój, to szybko wróci do zdrowia” - stwierdził. Niania przyjęła ten werdykt niechętnie, natomiast Aubrey, obolały po przebyтым badaniu, z ulgą zgodził się pozostać w Priory.

Venetia taktownie nie towarzyszyła lekarzowi przy łóżku brata. Poprosiła Damerela, by ją przy tym zastąpił.

- Chętnie to zrobię. Proszę się o nic nie martwić.

Dopiero po dłuższej chwili dotarło do Venetii, że zwróciła się do niego jak do starego przyjaciela. Potem zaczęła rozmyślać o obiedzie, po którym długo jeszcze siedzieli i rozmawiali: Damerel odchyłony na oparcie rzeźbionego krzesła ze szklanką portwajnu w ręce, a ona z łokciami opartymi o stół i nadgryzionym jabłkiem w dłoni. Siedzieli tak w mroku zapadającego zmierzchu, dopóki lokaj nie postawił na stole zapalonych świec w zaśniedziałych świecznikach. Próbowwała przypomnieć sobie, o czym rozmawiali w czasie tej uroczej godziny... a może o niczym... Nie wiedziała. Wiedziała tylko, że znalazła przyjaciela.

Kiedy doktor oznajmił, że odradza przewiezenie Aubreya do Undershaw, odniosła wrażenie, że z zaskoczeniem, a zarazem ulgą, przyjął jej spokojną reakcję na ten werdykt. Zdziwiła ją nuta współczucia w jego głosie, ale szybko zorientowała się, co miał na

myśli mówiąc o kłopotliwej i niezręcznej sytuacji, w jakiej się znalazła. Gdy Damerel wrócił do pokoju po odprowadzeniu doktora do powozu, odezwała się do niego nieśmiało:

- Przykro mi, że nie pomyślałam o tym, jak wielkim kłopotem dla pana będzie dłuższa obecność Aubreya.

- Ależ nie! - zaprotestował gorąco. - Skąd coś takiego przyszło pani na myśl?

- Doktor Bentworth wyraził ubolewanie, że stawia mnie w tak niezręcznej sytuacji. Oczywiście chodziło mu o to, że obciążam pana opieką nad biednym Aubreyem, i miał rację. Dziwię się, że wcześniej nie przyszło mi to głowy, ale przepraszam...

- Zapewniam panią, że nie o to mu chodziło - przerwał jej Damerel, - Doktor troszczy się nie o mnie, lecz o panią. Uznał niewątpliwie za niestosowne to, że zmuszona jest pani zacieśnić znajomość z człowiekiem o libertyńskich poglądach. Walczyła w nim moralność z etyką lekarską i tym razem zwyciężyła medycyna, ale załóżę się, że moralność przyprawi go o bezsenność.

- Tak pan to ocenia? - zdziwiła się Venetia.

- Tak - odparł ponuro. - Być może boi się jeszcze, że mogą wyrzucić zły wpływ na Aubreya.

- Nie sądzą, żeby się to panu udało - powiedziała spokojnie. Dostrzegła błysk rozbawienia w oczach Damerela. - Gdyby nawet urządził pan szaloną orgię, to on zapewne uznałby ją za dziecięcą zabawę w porównaniu z orgiami w starożytnym Rzymie, że nie wspomnę o bachantkach, kobietach, o których, jak mi się wydaje, chłopiec w jego wieku nie powinien zbyt wiele wiedzieć.

Damerel powstrzymał się, by nie wybuchnąć śmiechem, i siłą się na powagę odparł:

- Obiecuję pani, że dopóki Aubrey pozostawać będzie pod moim dachem, nie urządzę żadnej orgii.

- Wierzę panu, chociaż muszę powiedzieć, że warto byłoby ją urządzić po to tylko, żeby zobaczyć minę niani.

Roześmiał się serdecznie, a potem potrząsnął głową i powiedział:

- Dlaczego, och, dlaczego nie poznałem pani wcześniej?

- Istotnie szkoda - zgodziła się. - Ja też żałuję, bo zawsze chciałam mieć przyjaciela, z którym mogłabym szczerze się pośmiać.

DECYZJA

- Śmiać się z przyjacielem... - powtórzył.

- Zapewne ma pan przyjaciół, z którymi świetnie się pan bawi - powiedziała nieśmiało. - Mnie brakuje kogoś takiego, a wydaje mi się, że jest to ważniejsze nawet, niż mieć kogoś, kto współczuje w nieszczęściu, bo takiego człowieka niekoniecznie musimy darzyć sympatią.

- Ma pani rację. Zazwyczaj lubi się tego, z kim łączy nas podobne poczucie humoru. Tylko że zdarza się to bardzo rzadko. Mój Boże, jak rzadko! Założę się, że pani godni szacunku sąsiedzi patrzą zdziwieni, gdy pani się śmieje.

- No właśnie, albo pytają, co miałam na myśli, kiedy pozwolę sobie zażartować. - Venetia spojrzała na zegar stojący przed kominkiem. - Muszę już iść - stwierdziła.

- Tak, musi pani. Kazałem przygotować powóz. Jest jeszcze na tyle widno, że stangret bez kłopotów dowiezie panią do domu, ale za godzinę będzie już zupełnie ciemno. - Ujął ją za ręce i mocno uściskał jej dłonie. - Przyjedzie pani jutro odwiedzić Aubreya? Niech pani nie pozwoli zacnym sąsiadom odwieść się od tego zamiaru. Poza granicami mojego majątku niczego pani nie gwarantuję, proszę mi nie dowierzać, ale w moim domu... - przerwał, na jego twarzy pojawił się uśmiech niezupełnie drwiący, ale lekko ironiczny. - W moim domu będę zawsze pamiętał, że urodziłem się džentelmenem.

5

Venetię obudziły jasne promienie słońca przebijające poprzez cienkie perkalowe zasłony na oknach jej sypialni. Przez parę minut leżała nieruchomo, na wpół rozbudzona, gdzieś w połowie pomiędzy snem a świadomością, zdając sobie jednak sprawę, najpierw mgliście, a potem z rosnącą ostrością, z uczucia radosnego oczekiwania, jak w dzieciństwie, kiedy budziła się wiedząc, że właśnie nadszedł dzień obiecannej majówki. Gdzieś w ogrodzie wyśpiewywał swoją pieśń drozd. Cudowna słodycz jego melodii tak bardzo harmonizowała z jej nastrojem, że wydawała się tworzyć atmosferę szczęścia. Słuchała śpiewu nie zastanawiając się, co jest źródłem tego szczęścia, dopiero po pewnym czasie uświadomiła sobie, gdzie tkwi przyczyna jej stanu ducha. Zyskała przyjaciela!

Krew zaczęła szybciej pulsować w jej żyłach, poczuła dziwną lekkość, a niezwykle podniecenie, które ją ogarnęło i napełniło jak tajemniczy eliksir, nie pozwoliło jej pozostać w łóżku. Dom pogrążony był w ciszy, jedynym dźwiękiem, jaki dobiegał do jej uszu, był śpiew ptaka. Doszła do wniosku, że jest jeszcze bardzo wcześnie, przytuliła więc twarz do poduszki i próbowała znów zasnąć. Bez skutku. Promienie słońca, przygaszone wzorem na zasłonach, drażniły jej oczy. Uniosła powieki poddając się, wbrew rozsądkowi, niejasnym pragnieniom. Z radością witała nowy, pełen słodkich obietnic dzień. Ptasi trel zabrzmiał dla niej jak zachęta i polecenie: odrzuciła puchową pierzynkę, wyskoczyła z łóżka, lekkim krokiem podbiegła do okna i otworzyła je.

Bażant spacerujący po trawniku zamarł w bezruchu z wysoko uniesioną głową osadzoną na długiej, lśniącej szyi, a potem,

rozumiejąc, że jeszcze przez parę tygodni może się czuć bezpieczny, podjął poranną wędrowkę. W zagłębieniach snuły się jesienne mgły. gęsta rosa lśniła na źdźbłach trawy. Powietrze było chłodne, ale dzień zapowiadał się gorący i pogodny.

Tam, poza parkiem, za ścieżką ograniczającą od wschodu posiadłość Undershaw i rozległymi polami uprawnymi, znajdował się dwór w Priory. W linii prostej niezbyt daleko, ale drogą odległy o ponad pięć mil. Venetia pomyślała o Aubreyu, zastanawiała się, czy dobrze spał tej nocy i ile jeszcze godzin musi minąć, zanim będzie mogła go odwiedzić. Nagle uświadomiła sobie, że to nie troska o brata sprawia, iż niecierpliwie oczekuje wyjazdu do Priory. Po prostu pragnęła spotkać się z przyjacielem. To jego obraz wypierał z jej świadomości obraz brata i wywoływał przyrwy gorących uczuć. Zastanawiała się czy on również obudził się w podobnym nastroju, czy tak jak i ona wygląda przez okno i liczy godziny do jej przybycia. Bezskutecznie próbowała przypomnieć sobie, o czym rozmawiali poprzedniego dnia. Pamiętała tylko, że w jego towarzystwie czuła się tak dobrze, jak gdyby znała go przez całe życie. Wydawało jej się niemożliwe, żeby on nie podzielał tych uczuć. Po chwili zastanowienia zrozumiała jednak, jak bardzo różni się ich sytuacja. To, co dla niej było całkiem nowym doświadczeniem, dla niego mogło stanowić jedynie drobną wariację na stary temat. Musiał przecież mieć wiele przyjaciół i przyjaciółek z którymi rozumiał się zapewne znacznie lepiej niż z nią, i to irytowało ją bardziej niż sam fakt ich istnienia. Nie szokowały jej ani nie oburzały jego dawne romanse. Nie miały dla niej znaczenia, podobnie jak ich pierwsze spotkanie w lesie. Mężczyźni, jak wiadomo, nierzadko ulegają gwałtownym żądom i w swych poczynaniach często nie kierują się ani rozumem, ani sercem, postępują wbrew nakazom swej prawdziwej natury. Niewinność nie jest dla nich najwyższą cnotą. Pamiętała swoje zdumienie, gdy dowiedziała się, że tak nieskazitelny dżentelmen, jak sir John Denny, nie zawsze dochowywał wierności swej małżonce. Czy lady Denny bardzo to przeżywała? Zapewne, przejmowała się tym, ale nie na tyle, by dopuścić do zerwania małżeństwa.

- Mężczyźni, moja droga, są inni niż kobiety - powiedziała kiedyś. - Nawet najlepsi z nich. Mówię ci to, bo moim zdaniem

każda dziewczyna powinna wiedzieć, że ta twarz, którą mężczyzna pokazuje światu, nie jest jedynym jego obliczem. Jestem przekonana, że gdybyśmy mogły zobaczyć ich w pewnych sytuacjach... choćby w towarzystwie kobiet określonej konduity, to nie poznałybyśmy naszych mężów lub braci. Nie wątpię, że byłybyśmy zdegustowane. To prawda, że są oni pod pewnymi względami odrażający, byłoby jednak z naszej strony niesprawiedliwe oskarżać ich o to, z czym sami nie potrafią sobie poradzić. Powinnyśmy być raczej zadowolone, że romanse, które im się przytrafiają, nie zmieniają ich prawdziwych uczuć. W tych sprawach uczucia nie wchodzi w grę, a na nasze życie nie wywierają większego wpływu niż sprawienie sobie nowego kapelusza. Można więc powiedzieć, że dopóki mąż obdarza cię chociaż odrobiną czułości, nie masz powodu do narzekań. Byłoby głupotą popadanie w rozpacz z powodu zdarzenia, które dla niego jest jedynie drobnym grzeszkiem. Moja matka mawiała, że nigdy nie należy wścibiać nosa w sprawy, które nas nie dotyczą bezpośrednio, lepiej patrzeć w przeciwnym kierunku. Muszę przyznać, że była to dobra rada. Naturalnie ona miała na myśli dżentelmenów z urodzenia i charakteru. Z mężczyznami z niższych sfer lub bohaterami skandali po prostu nie utrzymujemy kontaktów.

Los jednak postawił Damerela na drodze Venetii i chociaż nie należał on do ludzi z innej sfery, to niewątpliwie był człowiekiem o dość swobodnych obyczajach. Lady Denny musiała go przyjąć w miarę uprzejmie, ale nie zamierzała zacieśniać tak niestosownej znajomości i nie ulegało wątpliwości, że będzie wstrząśnięta, kiedy dowie się, że jej młoda protegowana nawiązała z nim przyjazne kontakty, a co gorsza odwiedza go w jego domu. Czy dama ta potrafi zrozumieć, że podobnie jak ci nie wymienieni z nazwiska mężowie, Damerel też ma drugą, lepszą stronę charakteru? Venetia przypuszczała, że raczej nie. Jedyne, czego mogła oczekiwać, to pogodzenia się z faktem, że dopóki Aubrey przebywa w Priory, jego siostra powinna go odwiedzać, choćby nawet Damerel był brutalnym, półdzikim Kalibanem.

Z zamyślenia wyrwał Venetię hałas rozsuwanych zasłon w salonie pod jej sypialnią. Skoro służba wstała, to widocznie było już około szóstej. Próbując usprawiedliwić przed sobą fakt, że zerwała się

z łóżka o godzinę wcześniej niż zwykle, Venetia przypomniła sobie wiele pilnych obowiązków, które zaniedbała poprzedniego dnia i postanowiła niezwłocznie zająć się pracą.

Nie należała do osób przesadnie poświęcających się prowadzeniu domu, ale zanim zasiadła do śniadania, zdążyła odwiedzić oborę i stajnię, omówić z rządcą sprawę jesiennych zasiewów, przekazać kobiecie opiekującej się drobiem uwagi pani Gurnard i wysłuchać w zamian narzekań na paskudny charakter kur. Następnie kazała staremu upartemu ogrodnikowi podwiązać dalej, chociaż nie przypuszczała, że wykona jej polecenie, gdyż staruszek kwiaty te traktował jak chwasty, o których nikt nie słyszał w latach jego młodości, toteż pozostawał głuchy na wszelkie uwagi Venetii dotyczące ich pielęgnacji.

Pani Gurnard bez większych oporów uznała za oczywiste, że Venetia pojedzie odwiedzić biednego Aubreya. Nadała się jednak, gdy Venetia odmówiła zabrania ze sobą ogromnego kosza wypełnionego taką ilością specjalnie przygotowanych potraw, że wystarczyłyby na urządzenie sporego przyjęcia. Na pytanie, czy wydaje jej się, że Aubrey przebywa na bezludnej wyspie, odpowiedziała, że dla biednego chłopca byłoby to daleko lepsze, niż narażać się na spożywanie posiłków przyrządzanych przez panią Imber.

- Nigdy nie zapomnę upieczonej przez nią pulardy, choćbym żyła dłużej niż sto lat.

- Jakiej pulardy? - zdziwiła się Venetia.

- Ha, ha, kurczaków! - zawołała pani Gurnard. - To były zwykłe kogutki, jeden w drugi, panienko.

Venetia bez zrozumienia odniosła się do oburzenia gospodyni i zajęła się gromadzeniem przedmiotów, które niania w pośpiechu zapomniała zapakować, między innymi koszuli uszytej przez nią dla Aubreya oraz paru drobiazgów z jej koszyka do robót ręcznych, takich jak igły, nici, nożyczki, srebrny naparstek i grudka wosku. Venetia zamierzała zapakować te wszystkie przedmioty w serwetę, ale doszła do wniosku, że z całą pewnością niania stwierdzi, że otrzymała niewłaściwe nici, nie te nożyczki, o które jej chodziło, i igłę o całkiem nieodpowiednich rozmiarach, postanowiła więc zawieźć do Priory cały koszyk.

Zaspokojenie potrzeb Aubreya okazało się jeszcze trudniejszym

zadaniem, gdyż życzył sobie, żeby mu przywieźć nie tylko papier i parę ołówków, ale i sporo książek. „Fedore”, zgodnie z jego instrukcjami, znalazła na biurku w bibliotece, natomiast odszukanie Manneringa wymagało ogromnego wysiłku, gdyż gorliwa pokojówka, dla której leżąca na krześle otwarta książka była wyzwaniem, upchnęła ją na najniższą półkę pomiędzy leksykony i słowniki. Z Wergiliuszem nie było większych kłopotów. Aubrey z całą pewnością prosił, żeby przywieźć mu „Eneidę”, natomiast nie mogła sobie przypomnieć, czy z Horacego wybrać miała „Satyry” i „Ody”, czy też „Listy”. Po krótkim namyśle dołączyła do kolekcji wszystkie trzy tomy. Ribble zaniósł pakunki do holu, tam odebrał je od niego stajenny Fingle i ulokował w czekającym przy wejściu powoziku mrużąc przy tym pod nosem, że wkrótce panicz Aubrey przez to studiowanie wpędzi się dodatkowo w zapalenie opon mózgowych.

Na koniec Venetia, dumna z tego, że tak dobrze wypełniła obowiązki siostry uczonego, wyruszyła do Priory, ale tam zamiast pochwał usłyszała zupełnie coś innego.

- Niepotrzebnie przywiozłaś te książki - powiedział Aubrey.
 - Damerel ma świetną bibliotekę, na tyle dużą, że trzeba korzystać z katalogu. Przyniósł mi go wczoraj wieczorem i wybrałem sobie parę pozycji. Ostrzegłem go, że będzie miał kłopoty z pozbyciem się mnie ze swojego domu, ale powiedział, że może mi pożyczyć każdą książkę, którą zechcę... Och, to ty, Fingle? Jak się miewasz? Czy rzuciłeś już okiem na Rufusa? Opiekuje się nim stajenny lorda Damerela, ale wolałbym, żebyś i ty obejrzał jego nogę... Nie, nie. Nie zostawiaj tutaj tych książek. Nie będą mi potrzebne.

- Jesteś okropnym chłopakiem - szepnęła Venetia nachylając się nad bratem, żeby pocałować go w czoło. - Mówisz mi to teraz, kiedy pół godziny straciłam, by odszukać Guya Manneringa. Przywiozłam ci również całego Horacego, bo nie mogłam sobie przypomnieć, o który tom mnie prosiłeś.

Venetia wyciągnęła książkę z paczki, którą ciągle trzymał w rękach Fingle, uśmiechnęła się przy tym do niego znacząco, a potem podeszła znów do Aubreya i zapytała, jak spał w nocy.

- Och, znośnie - odpowiedział.

- Coś mi się wydaje, że mnie oszukujesz, kochanie. Domyślam się, że nie wypięś syropu z maku, który przywiozła niania.

- Po dawce laudanum, którą zaaplikował mi Damerel, nie mogłem już nic więcej zażyć. On mnie zresztą poparł i niania, oburzona, ku mojej ucieście odeszła od łóżka. Damerel przyniósł szachownicę i rozegraliśmy parę partyjek. Jest świetnym graczem! Tylko raz udało mi się wygrać. Potem długo rozmawialiśmy, aż do północy. Czy ty wiesz, że on czytuje klasyków? Mówił mi, że ukończył Oksford, tyle że zapomniał wszystkiego, czego się tam nauczył, ale to oczywiście nieprawda. On ma ogromne wiadomości! Był w Grecji i potrafił mi opisać rzeczy naprawdę tego warte, nie tak jak ten człowiek, który niedawno odwiedził Appersetta i o Grecji umiał powiedzieć tyle tylko, że nie mógł tam pić wina, bo pachnie żywicą, i że w hotelu gryzły go pluskwy.

- Miałeś więc całkiem miły wieczór.

- Tak, tylko ta moja przeklęta noga... Chociaż gdyby nie ten wypadek, to nigdy nie poznałbym Damerela, więc nie żałuję.

- Zapewne cieszy cię, że możesz porozmawiać z kimś, kto ma

- Poza tym Damerel nie pyta mnie po dziesięć razy w ciągu godziny, jak się czuję i czy nie chciałbym innej poduszki. Nie mówię, że ty się tak zachowujesz, ale niania może nawet świętego wyprowadzić z równowagi. Po co ją tu przywiozłaś? Marston może zrobić wszystko, co jest niezbędne, bez wpedzania mnie w zdenerwowanie.

- Mój drogi, dobrze wiesz, że nie jestem w stanie trzymać jej z dala od ciebie. Teraz powiedz mi, jak czujesz się dzisiaj, a potem obiecuje, że nie zapytam o to więcej.

- Och, czuję się wystarczająco dobrze - odparł krótko. Po chwili uśmiechnął się i dodał: - Jeśli już musisz wiedzieć, to czuję się paskudnie, zupełnie jak gdybym miał połamane wszystkie kości. Bentworth zapewnia mnie jednak, że nie mam poważnych uszkodzeń i bóle wkrótce ustąpią. Zagrajmy w pikietę, jeśli masz ochotę zostać u mnie na chwilę. Poszukaj kart, powinny być tam, na stole.

Propozycja Aubreya uspokoiła nieco Venetię. Po wejściu do pokoju zauważyła, że brat ma twarz pobladłą i ściągniętą. Trudno byłoby oczekiwać, że chłopiec o tak kruchej psychice nie dozna wstrząsu z powodu tego przykrego wypadku. Teraz zorientowała

się, że jego nastrój wcale nie jest najgorszy, co budziło nadzieję na szybki powrót do zdrowia. Kiedy w pokoju pojawiła się niania, by zmienić kompres na opuchniętej nodze Aubreya, Venetia zauważyła, że ona również optymistycznie ocenia sytuację i humor poprawił jej się wyraźnie. Niewątpliwie niania wykazywała pożałowania godny brak taktu w postępowaniu z Aubreyem, ale potrafiła opiekować się nim. Znała go lepiej niż ktokolwiek i skoro ona, mająca za sobą bogate doświadczenie, widzi więcej powodów do gderania niż rozpaczania, to siostra mogła odsunąć od siebie wszelkie złe przecucia.

Kiedy wszedł Marston ze szklanką mleka dla chorego, Venetia zabrała nianię do sąsiedniego pokoju.

- Wiesz dobrze, nianiu, jaki jest Aubrey - powiedziała zamykając za sobą drzwi. - Jeśli tylko zorientuje się, że nam na tym zależy, nie będzie chciał wypić tego mleka, tylko po to, żeby udowodnić, że nie pozwoli traktować się jak dziecko.

- O, tak! - zgodziła się z goryczą w głosie niania. - Jeśli Marston albo jego lordowska mość każą mu coś zrobić, to na pewno posłucha, zupełnie jak gdyby to oni opiekowali się nim od niemowlęstwa. Równie dobrze mogłabym wrócić do domu, ale nie zrobię tego, dopóki on tu jest. Jego lordowska mość może to sobie wybić z głowy!

- Czyżby próbował cię odesłać? - zapytała zdziwiona Venetia.

- Nie, i niech mu się nie wydaje, że może to zrobić. Sama zapytałam panicza Aubreya, czy woli, żeby zajmował się nim Marston, bo jeśli tak, to ja natychmiast spakuję swoje rzeczy i wyjadę. Zresztą panicz Aubrey dzisiejszej nocy był tak nieznośny, że nikt nie miałby mi za złe, gdybym to zrobiła. Nie odeszłam jednak i nawet jego lordowska mość może to potwierdzić, że dopóki tu jestem, panienska nie musi się o brata martwić. A najlepiej byłoby, gdyby panienska w ogóle tu nie przyjeżdżała. Jestem pewna, że panicz Aubrey wcale by się nie zmartwił, gdyby żadna z nas nie kręciła się koło niego. On najchętniej leżałby w łóżku obłożony tymi bezpiecznymi książkami i rozmawiał z lordem o tych jego pogańskich bożkach.

- O, niechby tylko poczuł się gorzej, to zaraz chciałby, żebyś ty, nianiu, była przy nim - powiedziała Venetia, by pocieszyć

rozzaloną staruszkę. - Myślę, że poza wszystkim powinniśmy wziąć pod uwagę, że Aubrey jest w takim wieku, kiedy nie czuje się już dzieckiem, a jeszcze nie jest mężczyzną i stąd ta jego potrzeba ciągłego potwierdzania swojej wartości. Pamiętasz, jaki niemiły był dla ciebie Conway w jego wieku? Ale po powrocie z Hiszpanii pozwalał się już i rozpieszczać, i karcić.

Conway cieszył się wyjątkową sympatią niani, więc nie była skłonna przyznać, że mógł on kiedykolwiek zachowywać się w sposób odbiegający od doskonałości, ale jeśli chodziło o Aubreya, to czuła się w obowiązku potwierdzić, że opinia Venetii zbliżona jest do opinii lorda Damerela, chociaż, dodała, nikt tak dobrze jak ona nie rozumie, jak bardzo ten chłopiec pragnie wykazać, że jest równie sprawny i samodzielny, jak jego uprzywilejowani przez los rówieśnicy. Po tym oświadczeniu Venetia była już pewna, że jego lordowska mość z wyjątkowym talentem potrafi zjednywać sobie sympatię starszych pań.

Nie ulegało wątpliwości, że Damerelowi udało się zmiękczyć serce niani. Mogła czuć się rozzalona, że Aubrey woli jego towarzystwo, ale nie mogła złego słowa powiedzieć o kimś, kto nie dość, że dba o chłopca, to jeszcze potrafi wprawić go w znakomity nastrój w sytuacji, która raczej powinna wywoływać przygnębienie.

- Nie należę od osób skłonnych wybaczać grzechy, panno Venetio - powiedziała niania surowym tonem - ale też i nie mam prawa nikogo potępiać. Powiem tylko, że w stosunku do panicza Aubreya sam pastor nie byłby tak miły jak on. - Zamilkła i po dłuższej chwili, w czasie której niewątpliwie ciężko wewnętrznie zmagala się ze sobą, dodała: - Dobrze wiem, jakie są moje obowiązki w stosunku do panienci, panno Venetio, ale muszę stwierdzić, że dostrzegam tu znak łaski, jakiego nie spodziewałam się zobaczyć. Kto wie, może i Bóg będzie miał litość nad lordem, jeśli zdecyduje się zejść ze złej drogi. Nieraz paniencie mówiłam, że i grzesznik może dostąpić zbawienia, choć nie jest to łatwe.

Pomimo tej końcowej nuty pesymizmu, Venetia doszła do wniosku, że niania pogodziła się już z losem, który kazał jej przebywać pod tym bezbożnym dachem. Aubrey, kiedy z rozbawieniem wysłuchał relacji z tej rozmowy, stwierdził, że zmiana

nastawienia niani wynika stąd, że Damerel pojechał specjalnie do Thirsk po to, by przywieźć rolę płótna opatrunkowego.

- Jeśli chodzi o ścisłość, to rzecz wyglądała trochę inaczej. Wybierał się tam, żeby załatwić jakieś swoje interesy, ale kiedy niania zaczęła uskarżać się, że nie ma czym opatrywać mojej kostki, powiedział, że postara się to szybko załatwić. Zapewnił ją, że zaraz pojedzie do Thirsk, a ona zrozumiała, że wyłącznie w tej sprawie. Od tego momentu zaczęła wychwalać jego uprzejmość, chociaż, zapewniam cię, przedtem wyrażała się o nim bardzo krytycznie. Powiedziała nawet, że będzie jęczał w ogniu piekielnym.

- Coś podobnego! - zdumiała się Venetia.

- Ależ tak. A może wiesz, skąd ten cytat pochodzi? Nie mogliśmy znaleźć tego wersetu, chociaż przejrzelśmy całą Biblię.

- A więc powiedziałeś o tym Damerelowi?

- Oczywiście. On się przecież nie przejmuje tym, co niania o nim mówi.

- Myślę, że go to ubawiło - zauważyła uśmiechając się Venetia.

- Czy lord dawno wyjechał do Thirsk?

- Wczesnym rankiem. Zapomniałem powiedzieć, że zostawił dla ciebie wiadomość, coś w tym rodzaju, że musiał wyjechać i ma nadzieję, że nie będziesz miała mu tego za złe. Nie pamiętam dokładnie, co mówił, ale nie było to nic ważnego, takie tam uprzejmości. Wspomniał, że wróci koło południa... aha, i że liczy na to, że jeszcze cię tutaj zastanie... Venetio, zerknij, czy na stole nie ma mojego Tytlera. Niania musiała tę książkę odłożyć, kiedy bandażowała mi kostkę, bo przecież czytałem ją przed twoim przyjściem. Zawsze, jak tylko się zjawi, musi narobić bałaganu. „Esej o regułach przekładów”... tak, właśnie to. Dziękuję.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to zostawię cię samego i pospaceruję sobie po ogrodzie - powiedziała Venetia wręczając mu książkę. Z rozbawieniem obserwowała, jak szybko szuka w niej rozdziału, na którym przerwał czytanie.

- Tak, tak - odpowiedział nie patrząc na nią. - Wkrótce zresztą zaczną wmuszać we mnie drugie śniadanie, a przedtem chciałbym skończyć ten rozdział.

Roześmiała się i właśnie miała wyjść, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Wszedł Imber, żeby zaanonsować pana Yardleya.

- O Boże! - zdołał tylko jęknąć Aubrey.

Edward, z ponurą miną, krocząc dostojnie, wszedł do pokoju.

- Och, Aubrey! - zawołał z patosem. - Cieszę się, że wyglądasz lepiej, niż się spodziewałem. - Potem przywitał się z Venetią i dodał nieco ciszej: - Co za pech! Nic nie wiedziałem. Dopiero Ribble pół godziny temu powiedział mi, co się stało. Chyba nigdy nic tak mną nie wstrząsnęło.

- Aż tak przejąłeś się tym, że spadłem z konia? - zdziwił się Aubrey. - Na Boga, Edwardzie, nie bądź taki przewrażliwiony.

Edward istotnie wydawał się mocno przejęty. Chyba naprawdę doznał szoku. Nie wiedząc o niczym wybrał się do Undershaw i tam czekała go wiadomość, że Aubrey miał ciężki wypadek, co już samo przez się kazało mu oczekiwać najgorszego. Ledwie Ribble uspokoił go nieco, gdy zaskoczony został dalszą informacją. Dowiedział się, że Aubrey leży w domu Damerela i towarzyszy mu tam nie tylko niania, ale i siostra. Wstrząsnęła nim do głębi niestosowność takiej sytuacji. Nawet kiedy dotarło do niego, że przecież Venetia nie nocuje w Priory, nie mógł pozbyć się wrażenia, że chyba tylko śmierć Aubreya byłaby zdarzeniem bardziej dramatycznym niż fakt, że Venetia znalazła się w towarzystwie libertyna, którego tryb życia wywołuje zgorzenie wśród okolicznych mieszkańców. Groza tej sytuacji była trudna wprost do opisanía. Istniała przecież możliwość, że człowiek taki jak Damerel weźmie jej swobodę, wynikającą z braku doświadczenia, za przesadną śmiałość i może obrazić ją swym zachowaniem.

Edward, mężczyzna zrównoważony, nie przypuszczał, by Damerel zaryzykował uwiedzenie cnotliwej dziewczyny z wyższych sfer. Obawiał się jednak, że otwartość i swobodne zachowanie Venetii nad którym zresztą zawsze ubolewał, może nasunąć lordowi podejrzenie, że jego zaloty są dobrze widziane, a przy tym musiał przecież zauważyć, że jedynym jej obrońcą jest kaleki chłopiec.

W tej sytuacji Edwardowi obowiązki, jakie na nim ciążyły, wydawały się całkiem jasne. Zdawał sobie sprawę, że dalszy bieg wypadków może pociągnąć za sobą konieczność działań budzących odrazę w mężczyźnie wrażliwym, o wyrobionym smaku, jednak gotów był nie cofnąć się przed niczym. Zacisnął zęby i ruszył do Priory w wielce wojowniczym nastroju, właściwym bardziej

Oswaldowi Denny'emu, ale zachowując spokój i determinację człowieka gotowego bronić reputacji damy, którą uważał za swą narzeczoną. W najlepszym przypadku liczył na to, że z właściwym skutkiem przemówi Venetii do rozsądku, w najgorszym zdecydowany był uświadomić Damerelowi prawdziwą sytuację tej kobiety. Zadanie to nie było przyjemne i napawało niesmakiem kogoś, kto dumny był ze swej poprawności i przyzwoitego trybu życia. Jeśli istotnie Damerel tak dalece nie liczy się z opinią środowiska, to niewykluczone, że cała sprawa skończy się skandalem, czego chciałby uniknąć. Nie brakowało mu, naturalnie, odwagi, ale wolałby nie doprowadzić do sytuacji, w której zmuszony będzie któregoś ranka stanąć przed jego lordowską mością w odległości dwudziestu jardów z pistoletem w ręku. Jeśli do tego dojdzie, to tylko z powodu lekkomyślności Aubreya i karygodnej nierozwagi Venetii, a on, jako człowiek honoru, nie będzie się mógł wycofać nawet, gdy uda mu się zmusić ją do refleksji nad tym, co mogłoby się zdarzyć, jeśliby swoim zachowaniem dała Damerelowi powód do fałszywej oceny jej charakteru.

W tej sytuacji podróży Edwarda z Undershaw do Priory towarzyszył nie tyle romantyczny zapał, ile raczej uczucie oburzenia, a nastrój rozdrażnienia narastał w nim w miarę zbliżania się do celu.

Przyjazd Edwarda do Priory niemal zbiegł się z powrotem Damerela z Thirsk. Ledwie zsiadł z konia, gdy zobaczył lorda, który wyszedł zza rogu budynku od strony stajni i skierował się ku wejściu. Pod pachą trzymał sporą paczkę i szpicrutę, a równocześnie zdejmował rękawiczki. Na widok Edwarda zatrzymał się zaskoczony i przez chwilę przyglądali się sobie w milczeniu. W oczach jednego widać było niepokój, w oczach drugiego narastające rozbawienie. Damerel uniósł pytająco brwi, a Edward odezwał się oschle:

- Lord Damerel, jeśli się nie mylę? - Były to jedyne słowa, jakie zdołał z siebie wydobyć.

Od tego momentu spotkanie przebiegało zupełnie inaczej niż sobie to w drodze do Priory wyobrażał. Damerel podszedł do niego i wyciągnął rękę.

- Tak, jestem Damerel, ale nie wiem, z kim mam przyjemność - powiedział uśmiechając się przyjaźnie. - A może jest pan przyjacielem młodego Lanyona? Witam pana.

Edwardowi nie pozostało nic innego, jak tylko uścisnąć podaną mu dłoń. Po przyjacielskim geście gospodarza nie mógł już traktować go tak oficjalnie, jak zamierzał.

- Dzień dobry - powiedział uprzejmie, a nawet ciepło. - Zgadł pan, sir. Jestem przyjacielem Aubreya Lanyona, a nawet, mogę powiedzieć, starym przyjacielem ich rodziny. Nie sądzę, żeby pan znał moje nazwisko. Nazywam się Yardley, Edward Yardley z Netherfold.

Damerel ściągnął brwi, zastanawiał się przez chwilę, a potem zapytał:

- Czy to nie pański majątek graniczy z moim od południowego wschodu? Tak, wydaje mi się, że tak. O, najwyraźniej czynię postępy w poznawaniu sąsiadów. - Damerel uśmiechnął się. - Czy widział się już pan z Aubreyem?

- Dopiero co, milordzie, przyjechałem... z Undershaw, gdzie lokaj poinformował mnie o tym fatalnym wypadku. Wspomniał też, że panna Lanyon jest tutaj.

- Tak? - powiedział obojętnym tonem Damerel. - Od rana przebywałem poza domem, więc nie jestem pewny. Jeśli jest, to zapewne przy swoim bracie. Pofatyguję się pan na górę?

- Dziękuję - odparł Edward z lekkim ukłonem. - Chętnie go odwiedzę, jeśli Aubrey czuje się na tyle dobrze, by przyjmować wizyty.

- Z pewnością mu to nie zaszkodzi - stwierdził Damerel i poprowadził gościa w stronę wejścia. - Nie jest on poważnie ranny, żadnego złamania... Sprowadziłem co prawda wczoraj doktora, ale tylko dlatego, że dowiedziałem się o jego uszkodzonym stawie biodrowym. Na razie chłopak musi leżeć, ale doktor Bentworth jest zdania, że jeśli zapewni mu się na pewien czas całkowity spokój, to można nie obawiać się żadnych przykrych następstw tego upadku. Nie sądzę, żeby były kłopoty z utrzymaniem go w łóżku, bo odkrył istnienie mojej biblioteki - dokończył Damerel.

- Zawsze pochłaniały go książki - zauważył ponuro Edward.

Po wejściu do holu Damerel pociągnął za wiszący obok kamiennego kominka postrzępiony sznur od dzwonka. Równocześnie przyglądał się Edwardowi z błyskiem rozbawienia w oczach.

- Pan, jak sądzę, zbyt dobrze zna Aubreya, żeby sprawiała na panu wrażenie jego niezwykła inteligencja, natomiast ja po spędzeniu z nim paru godzin byłem po prostu zmęczony. Mój niezbyt sprawny i niestety rozleniwiony mózg, pracując z całą mocą nie mógł sobie poradzić w dyskusji z tym chłopcem, kalekim, ale o niesłychanie byстрым umyśle.

- Uważa pan, że on jest taki mądry? - zapytał z niedowierzaniem Edward. - Ja tam często zauważam u niego brak zdrowego rozsądku, no ale nie jestem zbyt mocny w książkach.

- Zdrowego rozsądku to mu z pewnością brakuje! - zawołał Damerel.

- Istotnie, szkoda, że nie miał go tyle, by zrezygnować z posiadania konia, nad którym nie potrafi zapanować - powiedział Edward uśmiechając się kwaśno. - Ostrzegłem go od razu, gdy tylko zobaczyłem tego kasztanka, a nawet błagałem gorąco, by zrezygnował z tego konia.

- Naprawdę? I nie posłuchał? Zaskoczył mnie pan.

- Jemu zawsze we wszystkim ustępowano. Do pewnego stopnia tłumaczyć to można chorobą, ale na zbyt swobodne postępowanie chłopca miało też wpływ domowe wychowanie - powiedział Edward. - Jego ojciec, sir Francis Lanyon, człowiek pod wieloma względami godny szacunku, był, można rzec, ekscentrykiem.

- Wspominała o tym panna Lanyon. Powiedziałbym raczej, że był dziwakiem, ale nie spierajmy się o terminy.

- Nie powinno się źle mówić o zmarłych - ciągnął Edward - ale jeśli chodzi o dzieci, to absolutnie się nimi nie zajmował. Można by oczekiwać, że zapewni swojej córce choćby damę do towarzystwa, ale gdzież tam. Zwrócił pan zapewne uwagę na swobodne maniery panny Lanyon, na jej zwyczaj oddalania się od domu bez opieki i nie wątpię, że nie wiedząc, w jakich warunkach ona się wychowywała, uznał pan to za dziwne.

- Niewątpliwie, tak by mi się wydało, gdybym spotkał ją przed laty, kiedy była małą dziewczynką - powiedział chłodno Damerel, a potem zwrócił się do lokaja, który akurat zjawił się w holu. - Imber, pan Yardley przyszedł odwiedzić naszego chorego. Zaprowadź go na górę i przy okazji powiedz pani Priddy, że

przywiozłem jej rolkę płótna opatrunkowego. - Skinieniem głowy pożegnał Edwarda i wszedł do salonu sąsiadującego z hołem.

Edward ruszył za lokajem szerokimi schodami w górę. Z jednej strony odczuł ulgę stwierdziwszy, że Damerel wyraźnie nie interesuje się Venetią, z drugiej zirytował go sposób, w jaki gospodarz rozstał się z nim.

Zazwyczaj Edward ignorował impertynenckie zachowania Aubreya, ale tym razem uwaga o tym, że jest przewrażliwiony, wyprowadziła go z równowagi. Z trudem opanował chęć ostrzejszej odpowiedzi. Nigdy nie pozwalał sobie na spontaniczne reakcje, toteż i tym razem, dopiero po chwili, spokojnym tonem powiedział:

- Pozwól mi zauważyć, Aubreyu, że nie doszłoby do tego przykrego wypadku, gdybyś nie próbował udawać takiego dzielnego jeźdźca.

- O, wypadek nie był znowu taki groźny - wtrąciła Venetia.
- Jak to miło, Edwardzie, że przyszedłeś odwiedzić Aubreya.

- Muszę uznać za przykry, żeby nie powiedzieć więcej, wypadek, który ciebie postawił w tak niezręcznej sytuacji - stwierdził Edward.

- Proszę cię, nie przejmuj się tym - uspokajała go Venetia.
- Wołałabym, oczywiście, żeby Aubrey przebywał w domu, ale tutaj mogę go codziennie odwiedzać, a on, jak mi się zdaje, wcale nie tęskni do powrotu. Muszę ci wyznać, Edwardzie, że zdumiona jestem uprzejmością lorda Damerela w stosunku do Aubreya, no i tym, jak traktuje nianię, a wiesz przecież dobrze, jaka ona jest.

- Nie przeczę, że masz wiele powodów, by czuć się zobowiązana w stosunku do Damerela - odparł ponuro - ale nie oczekuj ode mnie, bym się nie obawiał, że twoje długi wdzięczności mogą mieć nie najlepsze i daleko idące konsekwencje.

- Jakie konsekwencje? Proszę, wytłumacz mi, co masz na myśli, bo ja naprawdę nie rozumiem. Jedyne jak dotychczas rezultatem mojej tu obecności jest nawiązanie miłej znajomości. Przekonałam się przy tym, że „niegodziwy baron” nie jest aż tak czarnym charakterem, jak o nim mówią.

- Oczywiście, biorę pod uwagę, Venetio, twój brak doświadczenia, ale powinnaś przecież zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie wiąże się ze znajomością z człowiekiem o takiej reputacji jak Damerel. Ja z pewnością nie chciałbym się z nim

zaprzyjaźnić, a w twoim przypadku sprawa jest na tyle delikatna, że wszystkie moje uczucia buntują się przeciwko takiej możliwości.

- *Quousque tandem abutere, Catilina, patientia nostra?* - mruknął nagle Aubrey.

Edward spojrzął na niego.

- Jeśli chcesz, żebym cię zrozumiał, to zwracaj się do mnie w naszym ojczystym języku. Ja nie udaję uczonego.

- Posłużę się więc zdaniem, które niewątpliwie potrafiysz sobie przetłumaczyć: *Non amo te, Sabidi!*

- Aubreyu, proszę cię, przestań - wtrąciła Venetia. - Przecież wszelkie spory nie mają tu sensu. Edwardowi zależy tylko na tym, żeby przestrzegać nakazów przyzwoitości, ale niech mi wolno będzie powiedzieć, że Damerel też dba o to. Kiedy tak dokuczyłeś biednej niani, że chciała wrócić do domu, to właśnie on stwierdził, że powinna zostać ze względu na moją reputację. A przecież nikt nie powie, że jestem panienką, która dopiero co zdjęła szkolny fartuszek.

Edward uspokoił się wyraźnie i nawet lekko się uśmiechnął.

- Czyżby można było powiedzieć, że jesteś stateczną kobietą w średnim wieku? - zażartował. - Jego lordowska mość ma rację i muszę przyznać, że nie pozostaje to bez wpływu na moją o nim opinię, niemniej wolałbym, żebyś zaniechała wizyt u Aubreya. Nie jest aż tak poważnie chory, żeby twoja obecność przy nim była konieczna, a jeśli odwiedzasz go tylko po to, aby go rozerwać, to muszę stwierdzić, Aubreyu, nawet gdyby sprawiło ci to przykrość, że zasłużyłeś na to, żeby zostawić cię samego. Gdybyś słuchał rad starszych i mądrzejszych, nic takiego by ci się nie przydarzyło. Nikt bardziej niż ja nie współczuje ci z powodu twojej ułomności, ale, niestety, głupotą muszę nazwać upór, żeby dosiadać tak niesfornego konia jak ten kasztanek. Mówiłem ci o tym wcześniej, ale...

- Czy sądzisz, że Rufus poniósł? - przerwał mu Aubrey. - Mylisz się. To ja go zmusiłem do skoku przez żywopłot. Po prostu błąd, który nie ma żadnego związku z moją ułomnością. Zdaję sobie z tego doskonale sprawę i ciągle to sobie wyrzucam.

- Dobrze, że się przyznajesz do błędu - powiedział Edward z uśmiechem. - Odrobina brawury, wszystko lub nic, tak? Nie

zamierzałem cię karcnąć, bo mam nadzieję, że ten wypadek będzie dla ciebie świetną lekcją i nauczyłeś się tym razem więcej, niż mógłbyś się nauczyć ode mnie.

- To bardzo prawdopodobne - odpowiedział bez namysłu Aubrey. - Nie śmiałybym zresztą uczyć się od ciebie, Edwardzie. Gdyby tak było, mógłbym nabrać tak twojej roztropności, jak i innych cech... *quod avertat Deus*.

W tym momencie w drzwiach pokoju stanął Damerel.

- Czy mogę wejść? - zapytał z czarującym uśmiechem. - Ach, do usług, panno Lanyon. - Na moment spotkały się ich oczy, potem Damerel mówił dalej swobodnym tonem: - Poleciłem Marstonowi przynieść tutaj drugie śniadanie, żeby mogła je pani zjeść w towarzystwie brata. Przyszedłem tylko, żeby dowiedzieć się, czy życzy pani sobie herbatę, no i po to, by naszego gościa zapytać, czy nie zjadłby drugiego śniadania razem ze mną. - Zwrócił się teraz do Edwarda. - Co pan na to, Yardley?

- Jest pan bardzo uprzejmy, milordzie, ale ja nigdy nie jadam o tej porze - odparł Oschle Edward.

- Wobec tego wypijemy szklaneczkę sherry - powiedział z niezachwianą gotowością Damerel. - Zostawmy nieszczęsnego chorego pod opieką siostry i niani. Pani Priddy dysponuje teraz ogromną stertą materiałów opatrunkowych i wkrótce rzuci się na niego z nowymi kompresami albo okładami, więc niewątpliwie, drogi panie, już za chwilę nasza obecność tutaj okaże się niepożądana.

Edward był wyraźnie niezadowolony, ale nie miał innego wyjścia jak tylko pożegnać się, tym bardziej że nie doczekał się ze strony Venetii jakiegoś gestu zachęcającego do przedłużenia wizyty.

- To prawda, Edwardzie, powinieneś pozostawić nas samych - powiedziała uprzejmie. - Wiem, że mnie zrozumiesz. Nie możemy przecież pozwolić, żeby Aubrey się denerwował. Nie jest jeszcze całkiem zdrowy, a doktor Bentworth szczególnie nalegał na to, żeby zapewnić mu spokój.

Edward zaczął od zapewnienia, że wcale nie zamierzał irytować Aubreya, ale zaraz potem duch moralizatora nie pozwolił mu powstrzymać się od uwagi, że chłopiec wpada w złość tylko dlatego, iż szczerze oddana osoba zwraca mu uwagę. Nie dokończył.

Przerwała mu Venetia, zauważywszy, że Aubrey podniósł się na łokciach i chce coś powiedzieć.

- Tak, tak, ale nie przejmuj się - zawołała - tylko idź już!

Popchnęła go w stronę drzwi, które Damerel już wcześniej otworzył. Edward zamierzał jeszcze zaproponować Venetii, że będzie jej towarzyszył w drodze powrotnej do Undershaw, ale zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, znalazł się za drzwiami, a Damerel szybko je zamknął.

- Jak pan widzi, chłopiec jest dość mocno poturbowany - powiedział.

- Można tylko mieć nadzieję, że będzie to dla niego dobrą nauzką.

- Również tak sędzę - zgodził się Damerel.

- Gdyby tylko pozwolił się przekonać, że te wszystkie cierpienia są skutkiem głupiego uporu, z jakim nalega na to, aby dosiadać wierzchowca, nad którym nie potrafi panować. Ja uważam, że takie postępowanie należy uznać za wysoce nierozważne... z jego słabą nogą, wie pan...

- Ale czułyby się tchórzliwym niezdara, gdyby tego nie zrobił! - zauważył Damerel. - Czy znał pan młodzieńca, który rozwagę uważałby za cnotę?

- Należałoby sądzić, że w sytuacji, kiedy dobrze wie, jakie mogą być konsekwencje upadku... O, z nim to zawsze tak samo. Nie znosi, jeśli ktoś robi mu jakiegokolwiek uwagi. Zaraz wpada w zły humor. Nie zazdroszczy panu, że musi się pan nim zajmować.

- Och, ja nie krytykuję jego postępowania, nie robię mu uwag. Poza wszystkim nie mam do tego prawa.

Edward pominął milczeniem wypowiedź Damerela. Dopiero w holu powiedział lekko rozdrażnionym tonem:

- Nie wiem, kiedy panna Lanyon zamierza wrócić do Undershaw. Chętnie bym jej towarzyszył, miałem jej to nawet zaproponować.

- Obawiam się, że ja też nie wiem - powiedział poważnym tonem Damerel, opanowując rozbawienie. - Czy chce pan, żebym ją o to zapytał?

- Och, nie. To nie ma znaczenia, dziękuję. Przypuszczam, że nie opuści Aubreya, nim minie mu zły nastrój, chociaż dla niego byłoby lepiej, gdyby go zostawiła samego.

DECYZJA

- Drogi panie, jeśli uważa pan, że eskorta służącego jest dla niej nie wystarczająca, to może pan tutaj na nią czekać tak długo, jak pan zechce - powiedział Damerel. - Mógłbym pana zastąpić i odprowadzić ją, ale nie wiem, czy akurat nie będę zajęty, zresztą nie sądzę, żeby to było konieczne. Jeśli jednak jest pan zdania...

- Nie. nie! Ja tylko... Istotnie, skoro ma tutaj swego służącego, to nie widzę powodu, by na nią czekać. Jest pan bardzo uprzejmy, sir, ale mam jeszcze mnóstwo spraw do załatwienia, a i tak zmarnowałem dzisiaj wiele czasu.

Potem Edward pożegnał się, nie skorzystał z zaproszenia na drinka, wyraził jeszcze w wyszukanych słowach swoje uczucia wdzięczności za troskę okazaną Aubreyowi i nadzieję, że tak szybko, jak tylko będzie to możliwe, to przykre brzemię zostanie zdjęte z ramion jego lordowskiej mości.

Damerel wysłuchał go uprzejmie, tylko oczy błyszczały mu niespokojnie.

- Och, obecność Aubreya wcale mi nie ciąży - rzucił niedbałe tonem, który wcześniej, przy przywitaniu, dotknął nieco Edwarda. Następnie powiedział „do widzenia” i zanim gość włożył nogę w strzemię, odwrócił się do niego tyłem i poszedł z powrotem do pokoju Aubreya.

6

Aubrey ciągle jeszcze był mocno zirytowany, oczy mu błyszczały, policzki płonęły.

- Gdzie jest Edward? - zapytał.

- *Abit excessit...*

- Coś takiego! Już? *Vae victis!* Wykopał go pan?

- Wręcz przeciwnie! Prosiłem, żeby czuł się tu jak u siebie w domu.

- Na Boga, nie!

- On zapewne też odniósł się do tej propozycji bez entuzjazmu, chociaż nie wyraził tego słowami. Jestem pewien, że niezbyt mnie lubi, ale jest zbyt dobrze wychowany, by mi to powiedzieć - stwierdził Damerel. - A określenie „zacny” doskonale do niego pasuje - dodał zwracając się do Venetii.

- Tak pan sądzi? - roześmiała się.

- Oczywiście. Biedny człowiek. Było mi go szczerze żal.

- Żałuje go pan? Tego łykawego konia? - wybuchnął Aubrey.

- Nie radziłbym zachęcać go, by pański dom traktował jak swój. W naszym zachowuje się w ten sposób od śmierci ojca. Wtrąca się do wszystkiego i moralizuje. Mówię ci, Venetio, jeśli wyjdiesz za niego za mąż, to nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

- Och, nie mam wcale takiego zamiaru, więc przestań się gorączkować.

Aubrey poruszył się niespokojnie, krzywiąc się przy tym z bólu.

- Na Jowisza, wolałbym już mieszkać z Conwayem niż z tym nadętym, nudnym zarozumialcem, który przez całe życie zajmował się wyłącznie gospodarstwem. I on chce mnie pouczać! On, który jest najgorszym jeźdźcem w całym hrabstwie i gotów jest jechać

pół mili, żeby znaleźć lukę w żywopłocie, chociaż jego koń mógłby go przeskoczyć z kłusa. A wygląda przy tym jak parobek. I do tego ma tyle pewności siebie, że przychodzi tutaj, żeby moralizować. Możesz mu powiedzieć, Venetio, że tego rodzaju uwagi przyjmuję wyłącznie od Conwaya, ale od nikogo więcej.

- Dobry Boże! Ten chłopiec zaraz zażąda ode mnie satysfakcji!
- zawołał Damerel - Panie Lanyon, najuniższej pana przepraszam.

Aubrey odwrócił głowę i spojrzał na niego niespokojnie, ale i z irytacją.

- Kpi pan ze mnie - stwierdził.

- Jakżebym śmiał! Błagam tylko o wybaczenie, że miałem tyle pewności siebie, by pana skarcić. Jak mogłem wykazać taki brak taktu...

- Bzdury - mruknął Aubrey, ale uśmiechnął się przy tym nieznacznie. - Powiedział pan tylko, że jestem młodym głupcem i że mam więcej odwagi niż rozsądku, a to mnie wcale nie dotknęło.

- Coś podobnego! - zawołała Venetia. - To nadzwyczajne. Sądziłam, że jego lordowska mość mówił ci tylko same miłe rzeczy, skoro nabrałeś do niego takiego zaufania.

- W każdym razie nie moralizował - powiedział Aubrey.

- A jeśli mowa o zaufaniu, to po tym, jak pozwolił temu fajłapie przyjść tutaj...

- Ach, ty niewdzięczny dzieciaku! A kto cię przed nim obronił? Gdybym nie przyszedł z opowieścią o niani i rolce materiałów opatrunkowych, to on by tu jeszcze siedział. Jeśli nie przestaniesz się awanturować, to następnym razem nie będę próbował go wypłoszyć.

- No tak - Aubrey westchnął. - Przepraszam. Ja nie chciałem... Och, milordzie, nie wiem, co za diabeł sprawił, że ten kiep tak mnie wyprowadził z równowagi. Nigdy dotąd nic takiego mi się nie zdarzyło.

Aubrey zaczął się powoli uspokajać. Zanim Marston przyniósł tacę z pieczonym kurczakiem na zimno, owocami i herbatą całkiem już przyszedł do siebie i chociaż nie tknął kurczaka, bez większych problemów dał się namówić na filiżankę herbaty i nawet zjadł kromkę chleba z masłem. Damerel wyszedł, kiedy przyniesiono drugie śniadanie, ale wrócił, gdy pani Priddy zaczęła przygotowywać

się do zmiany okładów na nodze Aubreya i opatrzenia własnego wyrobu maścią licznych skaleczeń chłopca. Zanim niania przystąpiła do akcji, poprosił Venetię, by wyszła z nim na spacer do ogrodu.

Venetia miała na to wielką ochotę, ale przekonana była, że napotka zdecydowany opór ze strony starej piastunki. Tymczasem niania powiedziała tylko, że powinna włożyć kapelusz. Było to równie zdumiewające jak fakt, że, jak się zdawało, nie zauważyła u Aubreya wyraźnych oznak wyczerpania. Normalnie w takiej sytuacji posypałyby się liczne pytania, wymówki i napomnienia, tym razem przyglądała mu się tylko uważnie, ale bez słowa.

Tę niezwykłą powściągliwość niani Aubrey zawdzięczał Damerelowi, który chwilę wcześniej zatrzymał ją na schodach i poinformował o fatalnych skutkach wizyty Edwarda.

Edward jako poważny kandydat do ręki Venetii cieszył się oczywiście względami pani Priddy, ale każdy, kto wyrządziłby krzywdę Aubreyowi, musiał liczyć się z utratą jej sympatii. Kiedy dowiedziała się, że chłopiec został przez niego mocno skarcony, rozgniewała się. Karcenie Aubreya było przywilejem, który zarezerwowała wyłącznie dla siebie. Gdyby była przy tym obecna, dałaby naturalnie Edwardowi do zrozumienia, jak niestosowne jest jego postępowanie. Na szczęście pod jej nieobecność Damerel zachowywał się w sposób godny pochwały. W tej sytuacji zdecydowała się nawet posłuchać jego rady i zgodziła się z nim, że przypominanie tego epizodu Aubreyowi byłoby nieroztropne. Damerel uważał ponadto, że najlepiej będzie zostawić Aubreya samego, żeby się trochę przespał i z tego właśnie powodu należy usunąć z jego pokoju siostrę. A może Venetia wybrałaby się na spacer do ogrodu?

- Co pani o tym sądzi? - zapytał.

Zadowolona, ale i nieco zaniepokojona niania powiedziała, że Venetia nie ma żadnego powodu, by zostać dłużej w Priory, na co Damerel uśmiechnął się i powiedział:

- To prawda, że nie ma, ale nie namówimy jej, żeby wróciła do domu, dopóki sama się nie przekona, że brat czuje się już całkiem dobrze.

Niania musiała przyznać mu rację, ale doszła do wniosku, że skoro Damerel zachowuje się jak uprzejmy, może nawet trochę

nudny gospodarz, a nie jak uwodziciel niewinnych istot, to można przystać na jego plan.

- Zupełnie nie rozumiem, co pan zrobił, że niania stała się taka słodka i ustepliwa - powiedziała Venetia, kiedy w towarzystwie Damerela zbiegała schodami w dół. >

- Czy uważa pani, że nie jestem do tego zdolny? - spojrzał na nią pytająco.

- Domyślam się, że pochlebstwami potrafi pan zyskać przychyłność młodych kobiet, a przynajmniej ma pan przeświadczenie, że jest to możliwe, ale przecież nie próbował pan chyba flirtować z nianią.

- A więc pani się wydaje, że ja potrafię tylko flirtować. Nie docenia pani moich talentów, panno Lanyon. Pierwszego wyłomu w pozycjach obronnych niani dokonałem wykazując troskliwość w stosunku do Aubreya i zgadzając się ze wszystkimi jej decyzjami w jego sprawach. Stosując tę diabelską strategię zburzyłem pierwszy zewnętrzny mur. Potem poświęciłem pani zacnego zalotnika i po jego trupie zaatakowałem dalsze fortyfikacje. Tak była zadowolona, że uwolniłem od niego Aubreya, że nie tylko zgodziła się na naszą ryzykowną eskapadę, ale obiecała nie zwracać uwagi i nie komentować marnego wyglądu pani brata.

- Czyżby niania była zadowolona, że wypłoszył pan Edwarda? - zapytała z niedowierzaniem Yenetia. - Przecież on jest jej ulubieńcem.

- Tak? No, jeśli w przyszłości potrafi się odpowiednio zachować, w co zresztą wątpię, to być może odzyska swoją pozycję, ale nie wcześniej, nim ona, jeśli można jej wierzyć, solidnie zmyje mu głowę. Na pewno nie nastąpi to, dopóki Aubrey przebywa pod moim dachem. Już ja o to zadbam. Co prawda zapewniłem tego godnego szacunku młodego człowieka, który zresztą niezbyt przypadł mi do gustu, że może przyjeżdżać tutaj, ilekroć zechce, ale równocześnie wzbudziłem w pani szlachetnej niani płomień sprawiedliwego gniewu, więc nie sądzę, by udało mu się skorzystać z mojej *carte blanche*. Szalenie mi przykro, panno Lanyon, ale coś mi się wydaje, że pani zacny zalotnik będzie odczuwał przez pewien czas niedosyt kontaktów z panią.

- Zabrzmiało to tak, jak gdyby przypuszczał pan, że zależy mi

na jego wizytach - oburzyła się Venetia - a przecież byłam ogromnie uradowana, gdy los sprawił, że zjawił się pan w pokoju Aubreya właśnie w najbardziej drażliwym momencie jego wizyty.

- Akurat los! Przyszedłem specjalnie, żeby go wypłoszyć, zanim doprowadzi Aubreya do ostateczności.

- W ogóle nie powinien pan pozwolić mu tam wchodzić - powiedziała surowym tonem Venetia.

- Wiem o tym. Niestety, wyraziłem zgodę, zanim zorientowałem się, z kim mam do czynienia. A kiedy już wiedziałem, to przyszedł Imber, żeby go zaprowadzić na górę, i nie miałem wyjścia.

Venetia roześmiała się, ale po chwili powiedziała smutnym tonem:

- Obawiam się, że Aubrey jest poważniej kontuzjowany, niż sądziłam. Wiem, że nie lubi Edwarda, ale jeszcze nigdy na nikogo tak się nie zirytował.

- Być może nigdy nie miał z nim kontaktów po tego rodzaju wstrząsie i nie przespanej nocy - zauważył Damerel, otwierając drzwi prowadzące do ogrodu. - Sądząc po tym, co od niego usłyszałem w czasie naszej krótkiej rozmowy, musiał Aubreyowi powiedzieć coś, co człowiek mający odrobinę taktu powinien przemilczeć.

- Istotnie. Wypowiadał się tak, jak gdyby był jego ojcem.

- Albo starszym bratem. Niewątpliwie uważa, że pełni taką rolę, bo podziękował mi za to, co nazwał moją uprzejmością w stosunku do Aubreya.

- Podziękował panu? No nie... - oczy Venetii rozblęły. - Tego już za wiele. To po prostu impertynencja. W końcu jedyną osobą, która kiedykolwiek stwierdziła, że powinnam go poślubić, był mój ojciec, a Edward uznał za oczywiste, że będę kierowała się jego wolą! Tak, popełniłam zapewne błąd pozwalając mu przypuszczać, że kiedy wróci mój brat, zaakceptuję być może jego oświadczenia. Powiedziałam mu, co prawda, że tak nie będzie, ale on mi nie uwierzył, no i proszę, co z tego wynikło!

- O ile znam tego pana, to wydaje mi się, że przekonanie go byłoby równie trudne, jak wykonanie pracy Herkulesa - zauważył Damerel.

- Tak, niemniej prawdą jest, że chyba niedostatecznie mocno próbowałam go przekonać - przyznała szczerze Venetia.

- Czy mam to rozumieć, że choćby przez krótką chwilę myślała pani o tym, żeby przyjąć oświadczyzny tego gbura? Dobry Boże, przecież ten jegomość jest śmiertelnie nudny.

- Oczywiście, ale to nie znaczy, że nie może być dobrym mężem. Jest uprzejmy, poważny i... zacny, czyli znakomicie nadaje się na męża.

- Nie wątpię, ale nie na pani męża.

- Istotnie. Wydaje mi się, że zdręczylibyśmy się na śmierć. Rzecz w tym, że ponieważ ojciec był jego chrzestnym ojcem, Edward odwiedzał nas często i znaleźmy się dobrze od dzieciństwa, toteż kiedy poprosił mnie o rękę, to chociaż wcale nie miałam ochoty na małżeństwo z nim, zaczęłam się zastanawiać, czy nie lepiej będzie wyjść za niego, niż zostać starą panną trzymającą się rękawa Conwaya. Skoro jednak Aubrey tak bardzo go nie znosi, na pewno do małżeństwa nie dojdzie ... Boże, ten ogród jest straszliwie zapuszczony! Proszę spojrzeć na te róże wyrosnięte jak drzewa. Chyba od lat nikt ich nie przycinał.

- Prawdopodobnie tak. Jeśli sprawi to pani przyjemność, to każę komuś zająć się nimi.

- Och, nie o tej porze roku - roześmiała się - ale wiosną chciałabym, żeby pan to zrobił. To mógłby być przepiękny ogród. Dokąd pan mnie prowadzi?

- W stronę strumienia. Jest tam ławeczka w cieniu, będziemy z niej mogli przyglądać się pstragom.

- Świetnie! Czy w tym roku wpuszczał pan narybek do strumienia? Aubrey kiedyś złowił w nim trzyfuntowego pstrąga.

- Ach, tak. Naprawdę złowił?

- Tak, ale nie kłusował. Zapewniam pana. Croyde mu pozwolił, zresztą jak co roku. W końcu pan nie łowi tutaj ryb.

- No tak, teraz już wiem, czemu miałem tak marne rezultaty, ile razy wzięłem wędkę do ręki. Cóż to za rodzeństwo! Najpierw moje jeżyny, teraz pstrągi... - powiedział z wesołym błyskiem w oku.

- To zdarzyło się tak dawno - powiedziała Venetia bez cienia zakłopotania, nie patrząc jednak na niego.

- A jaka była pani wtedy zła!

- Przynajmniej powinnam. Po tak ohydny pańskim postępkem...

- Nie wydaje mi się wcale taki ohydny.

Odwrociła głowę w jego stronę i przyglądała mu się badawczo, jak gdyby chciała z jego twarzy odczytać odpowiedź na jakieś ważne pytanie.

- Tak też przypuszczałam. Jakie to dziwne...

- Co takiego?

- Żeby mieć ochotę pocałować kogoś, kogo się wcale nie zna. Wydaje mi się to czystym szaleństwem, a przy tym wskazuje na godne politowania pragnienie, by wydać się oryginalnym - powiedziała marszcząc brwi, a potem dodała już nieco łagodniej: - Sądzę jednakże, że jest to jedna z tych szczególnych cech dżentelmenów, nawet tych cieszących się powszechnym szacunkiem, których nikt nie potrafi zrozumieć, nie będę się więc dłużej nad tym zastanawiać.

Damerel roześmiał się i zauważył:

- O, na pewno nie ma tu mowy o dżentelmenach cieszących się powszechnym szacunkiem.

Tak rozmawiając minęli różany ogród i poprzez, zwieńczone łukiem przejście w żywopłocie wyszli na łąki łagodnie opadające w stronę strumienia. Venetia zatrzymała się.

- Ach, cóż za piękny widok. Patrząc na Priory z przeciwległego brzegu trudno sobie wyobrazić, że roztacza się stąd tak wspaniała panorama. Nigdy dotąd nie byłam tutaj.

- Ja również rzadko tu przychodzę, zresztą teraz bardziej interesuje mnie bliższy widok.

- Tak? Te zielone drzewa?

- Nie. Zielona dziewczyna. To dlatego zostałem tu dłużej. Czyżby pani nie domyślała się tego?

- Nie sądzę, żebym była tak bardzo zielona. Co prawda wiem o życiu tylko to, czego dowiedziałam się z książek, ale przeczytałam ich bardzo wiele i... wydaje mi się, że pan ze mną flirtuje.

- Ależ nie! Ja dopiero próbuję.

- A ja sobie tego nie życzę. Przypuszczam, że do Yorkshire przyjechał pan, po to, żeby się nieco „podreperować”. Tak się chyba mówi o przyjeździe na wieś, kiedy już całkiem zabraknie pieniędzy.

- O, widzę, że istotnie nie jest pani aż tak bardzo zielona - roześmiał się. - Jest pani bliska prawdy.

- Jeśli choćby połowa z tego, co o panu mówią, jest prawdą, to wydatki ma pan ogromne. Czy rzeczywiście trzyma pan własne konie na wszystkich głównych placówkach pocztowych?

- Żeby tak robić, musiałbym być nie lada bogaczem. Konie mam tylko przy drogach do Brighton i Newmarket. A co jeszcze opowiadają o mnie? Może tego nie wypada powtarzać?

Venetia pozwoliła poprowadzić się ku kamiennej ławce pod rozłożystym wiązem, usiadła i położyła dłonie na kolanach.

- Och, nie - powiedziała. - W każdym razie ja nic takiego nie słyszałam. - Spojrzała na niego figlarnie i dodała: - Wielokrotnie razem z Conwayem próbowaliśmy dociec, dlaczego pan jest tym „niegodziwym baronem”. Tak pana nazywaliśmy. Nikt nie chciał nam tego wyjaśnić, co tym bardziej pobudzało naszą fantazję. Nie wyobraża pan sobie, jakie zbrodnie przypisywaliśmy panu. W jednej z wersji był pan nawet piratem, ale Conway, który zawsze wykazywał mniej fantazji niż ja, przekonał mnie, że to chyba niemożliwe. Wtedy zrobiłam z pana rozbójnika, ale to też mu nie odpowiadało. On uważał, że prawdopodobnie zabił pan kogoś w pojedynku i był zmuszony uciekać z kraju.

Do tej pory Damerel słuchał z rozbawieniem, ale w tym momencie wyraz jego twarzy zmienił się. Uśmiechał się jeszcze, ale już bez iskerek rozbawienia w oczach.

- Conway miał trochę racji. Istotnie, zabiłem kogoś, chociaż nie w pojedynku. Zabiłem swojego ojca.

Słowa te głęboko wstrząsnęły Venetią.

- Kto panu to powiedział! - zawołała, a kiedy on tylko wzruszył ramionami, dodała: - Ten, kto to powiedział, zachował się nikczemnie... a przy tym jest to bezsensowne!

- Chyba jednak nie. Przecież to wiadomość o mojej ucieczce z tą kobietą wywołała atak, po którym ojciec nie wrócił już do zdrowia. Czy nie wiedziała pani o tym?

- Wszyscy wiedzą. Wiedzą też, że umarł w trzy lata później po drugim ataku. Czy jest pan tego świadomy? Prawdę mówiąc szkoda, że nie poinformowano pana wcześniej o groźbie ataku apopleksji. W ten sposób stał się pan nieświadomym jego sprawcą, ale jeśli wydaje się panu, że wcześniej czy później nie doszłoby do tego, to znaczy, że niewiele pan wie o takich sprawach.

Mój ojciec też doznał podobnego ataku, który zakończył się zgonem, a nie przeżył przecież żadnego wstrząsu. Tego nie można było uniknąć - położyła dłoń na jego dłoni. - Zapewniam pana.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się zagadkowo.

- Niech się pani nie wydaje, że z tego powodu nie mogłem sypiać po nocach. Nie byłem znów, tak bardzo uczuciowo z nim związany - powiedział.

- Ja też nie kochałam swojego ojca. Prawdę mówiąc nie lubiłam go... Nie wyobraża pan sobie, jak miło mi jest, że mogę coś takiego powiedzieć, nie obawiając się, że usłyszę, jak bardzo jest to niestosowne, i że moim obowiązkiem było kochać go. Jak mogłam kochać ojca, skoro on nigdy ani trochę nie zajmował się nami?

- Istotnie, nie miała pani powodów, by darzyć go uczuciem - zauważył. - Muszę jednak szczerze przyznać, że mojemu ojcu jedyny syn sprawił ogromny zawód.

- Mnie się wydaje, że gdybym miała jedynego syna... albo nawet wielu synów, to jednak postąpiłabym inaczej, gdyby znaleźli się w podobnych kłopotach jak pan - stwierdziła Venetia. - Na pewno nie wyrzekłabym się ich. Myślę, że i pan tak by nie postąpił.

- Na Boga, nie! Kimże jestem, żeby w kogokolwiek rzucać kamieniem? Zapewne próbowałbym powstrzymać go przed popełnieniem głupstwa, chociaż jeśli byłby choćby w połowie tak zaślepiiony jak ja, to sądzę, że nie odniósłbym sukcesu.

Długie milczenie, w czasie którego Damerel zdawał się bez większego zadowolenia rozmyślać o minionych latach, przerwała Venetia.

- Czy ona umarła? - zapytała.

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Kto? Sophia? O ile mi wiadomo nie. Co pani przyszło do głowy?

- Tylko to, że nikt jej od dawna nie widział, a pan się nie ożenił, prawda?

- Och, nie! A chce pani wiedzieć dlaczego? Jeśli interesują panią takie historie z zamierzchłej przeszłości, to powinna pani wiedzieć, że w tym czasie, kiedy umarł Webster, jej mąż, Sophia już nie mieszkała ze mną. Proszę nie patrzeć na mnie z takim wyrzutem!

- Nie, nie... to co innego - powiedziała niepewnie Venetia.

- Ach, rozumiem, to jest współczucie. Całkiem niepotrzebne.

Łączące nas uczucie było silne, dopóki trwało, ale szybko minęło. Szczęśliwie uniknęliśmy wzajemnego znudzenia się sobą dzięki temu, że na scenie pojawił się pewien utalentowany weneccjanin.

- Utalentowany weneccjanin?

- Przynajmniej z wyglądu. Przystojny, elegancki. Sposób zachowania i manieri całkowicie poza zasięgiem moich możliwości.

- A pieniądze?

- To również. Miał ich tyle, że mógł zaspokajać najbardziej wyszukane zachcianki. Na przykład jeździł tylko na siwych koniach, nosił wyłącznie czarne płaszcze i zawsze, latem i zimą, miał w butonierce białą kamelię.

- Dobry Boże, co to za dziwak! Jak ktoś taki mógł się jej ... to znaczy lady Sophii podobać?

- Proszę się nie dziwić, to był czarujący mężczyzna. A poza wszystkim ta biedna dziewczyna śmiertelnie się już ze mną nudziła. Nie można jej mieć za złe, że bardziej podobał jej się doświadczony uwodziciel niż nieopierzony student z arystokratycznej rodziny, jakim wówczas byłem. I tak nie mogę się nadziwić, dlaczego tak długo znosiła moją zapalczywość i zazdrość. Moja głupota była bezgraniczna. Niech pani sobie wyobrazi Aubreya zakochanego do szaleństwa. Wydaje mi się, że to musiało być coś w tym rodzaju. Próbowałem zaimponować jej wiedzą i nie miałem tyle zdrowego rozsądku, by nie doprowadzać jej do rozpaczcy cytatami z klasyków. Nawet próbowałem uczyć ją łaciny, ale jedyne, czego się ode mnie nauczyła, to tego, jak elegancko uciec z kochankiem. Zastosowała praktycznie tę umiejętność, zanim doszliśmy do stanu, w którym gotowi byliśmy wzajemnie się zamordować, za co jestem jej wdzięczny. Ona zresztą też doczekała się nagrody, gdyż Vebster był na tyle uprzejmy, że skrzył kark, i Sophia skłoniła swego weneccjanina do poślubienia jej. Najprawdopodobniej, by to osiągnąć, musiała grozić, że go opuści, a on nie był pewny, czy łatwo uda mu się znaleźć inną kobietę dzielącą jego zamiłowanie do czerni i bieli. Sama zresztą miała mlecznobiałą cerę i czarne... kruczoczarne włosy, a oczy tak ciemne, że również wydawały się czarne. Drobna, pulchna piękność. Słyszałem, że po ślubie zawsze ubierała się w białe suknie i czarne płaszcze. Gotów jestem przysiąc, że efekt był fantastyczny.

Venetia wyczuła kpinę w jego słowach, ale nie dała się nią zwieść. Nic nie powiedziała, żeby głosem nie zdradzić swoich uczuć, spuściła wzrok, by ukryć wzburzenie. Przeraził ją fakt, że szczupłe palce jej dłoni same zacisnęły się w' pięści, więc je rozprostowała. Nie zrobiła jednak tego dostatecznie szybko, a może zdradziło ją przedłużające się milczenie, dość że Damerel uśmiechnął się ironicznie i powiedział:

- No i widzi pani, jaką tragedię mam za sobą. Całkiem pozbawioną romantyzmu. Obawiam się, że była to raczej farsa. Niczego w niej nie brakowało, nawet nieuniknionego spotkania dwóch dzielnych dżentelmenów o świecie, z którego obaj wyszli bez szwanku. Zawdzięczam to mojemu rywalowi, który przy wszystkich swoich talentach był jeszcze znakomitym strzelcem i mógł naszpikować mnie ołowiem nawet z dwa razy większej odległości. Nie zrobił tego, wypalił w powietrze.

W ten sposób Venetia dowiedziała się więcej nawet, niż sobie życzyła. Mogła oczywiście ironicznym uśmiechem skwitować wspomnienia z młodości, ale potrafiła zrozumieć, jak głęboko zraniona została duma tego młodego wówczas mężczyzny przez lekkomyślną kobietę i doświadczonego lowelasa. Miała braci, więc wiedziała, jak bardzo chłopcy podatni są na zranienie. Zdawało jej się, że widzi Damerela takim, jaki był wtedy: przystojny, wysoki młodzieniec o szerokich ramionach tak jak teraz, ale o twarzy nie poranej zmarszczkami i oczach pełnych zapału, nie zaś znużenia. Musiał być wówczas zuchowaty i zapalczywy i musiał się zapewne bardzo wszystkim przejmować. Dopiero doświadczenie uczyniło z niego cynika, wtedy na pewno nie był taki, z pewnością nie potrafiłby śmiać się z własnych szaleństw.

Wszystko co robił od momentu, kiedy w swoim mniemaniu wystawił się na pośmiewisko, Venetia uważała za rezultat zdrady, której dopuściła się Sophia. Nie wiedziała, zresztą i nie obchodziło jej, jak daleko posunął się w swych późniejszych niecznych postępach. Zastanawiała się tylko, czy jego cnotliwi rodzice nie pomyśleli o tym, że mógł przecież wrócić do domu w roli syna marnotrawnego. Powinni wiedzieć, że niewiele należało zrobić, by tak się stało. Ośmielony łagodną krytyką, wróciłby zapewne, ale nie, skazali go na pozostanie w tej beznadziejnej sytuacji i na cierpienia zdradzonego kochanka. Rodzina przeznaczyła mu rolę

Izmaela, a on ją przyjął, czerpiąc perwersyjną przyjemność z dostarczania bogatych dowodów swej deprawacji. I to wszystko z powodu drobnej, pulchnej, czarnookiej kobiety, starszej od niego, której tytuł szlachecki i ślubna obrączka skrywały duszę kurtyzany.

- Fatalnie, nieprawdaż? - powiedział Damerel. - Zamiast bohatercko zginąć za wielką miłość, zostałem żywy ze swą rozpaczą, chociaż muszę przyznać, nie na długo.

- Ogromnie się cieszę i mam nadzieję, że pańska następna kochanka była równie dobra, jak piękna - powiedziała ciepło Venetia.

- Czarująca mała zalotnica - odparł z wyrazem rozbawienia w oczach.

- Świetnie! Było to dla pana najlepsze lekarstwo, jestem tego pewna. Chciałabym jeszcze tylko zwrócić uwagę na pewien drobiazg, który zapewne umknął pana uwagi: otóż nie wątpię, że lady Sophia okropnie utyłła. Chyba pan wie, że tak zazwyczaj dzieje się się z małymi pulchnymi kobietami. Nie wspomnę już o tym, że Włosi używają do gotowania ogromnej ilości oliwy, co dla kobiecej figury jest fatalne. Można tylko mieć nadzieję, że jednak nie stała się taką nieruchawą, tłustą kluchą. Może pan się śmiać - dodała, kiedy zauważyła, że ramiona zaczynają mu drgać - ale zapewniam pana, że to wielce prawdopodobne. Co więcej, gdyby pański ojciec ostrzegł pana przed takim rozwojem sytuacji, uzyskałby lepszy efekt, niż zachowując się w niemądry i ekstrawagancki sposób, jak szekspirowscy bohaterowie. Co przyszło seniorowi rodu Capulettich z tego, że wpadł w furię? Albo Learowi? Ale pański ojciec nie był chyba wielbicielem Szekspira.

- Wygląda na to, że nie był - zgodził się Damerel. Siedział z głową opartą na dłoniach, z trudem opanowując rozbawienie.

- Nie powinnam tego mówić - powiedziała przepraszająco Venetia. - Takie zachowanie należy, niestety, do moich złych nawyków... Aubreya również. Często mówimy dokładnie to, co przyjdzie nam na myśl. Przepraszam.

Damerel uniósł głowę i powiedział śmiejąc się:

- Och, nie, nie. „Rozkoszny umysł sam kieruje mową”.

Venetia ściągnęła brwi i pytająco spojrzała na niego.

- Cóż to? Oczytana panna Lanyon ma kłopoty? - powiedział

prowokująco. - Napisał to Ben Jonson dla innej Venetii. Trafiłem na to wczoraj wieczorem, po pani wyjściu.

- Naprawdę? - zapytała zaskoczona i uradowana. - Nie słyszałam o tym. W ogóle nie wiedziałam, że istnieje jakiś wiersz dedykowany Venetii. Jaka ona była?

- Podobna do pani, jeśli John Aubrey nie myli się: „piękne, ponętne stworzenie”.

- Wolałabym, żeby nie wpadał pan w tak banalny ton - powiedziała poważnie, zupełnie nie poruszona komplementem. - Przypomina pan w tym moich adoratorów na przyjęciach w Yorku.

- Cóż za złośliwa wiedźma - szepnęła.

- O, tak już lepiej... między przyjaciółmi - roześmiała się.

- A więc uważa pani, że był to tylko tani komplement? Nie rozumiem dlaczego. Przecież wie pani o tym, że jest piękna. Sama mi to pani powiedziała.

- Ja? - oburzyła się Venetia. - Nigdy nie mówię takich rzeczy!

- A jednak. To było, kiedy zbierała pani jeżyny... moje jeżyny.

- Och, to tylko po to, żeby wprawić pana w zakłopotanie - odparła rumieniąc się.

- Dobry Boże, dziewczyno, przecież wiem, że ma pani lustro. Sama pani o tym kiedyś wspomniała.

- Mam i mówi mi ono, że jestem dość ładna. Coś tam odziedzyczyłam po matce, ale niania powiedziała mi kiedyś, zapewne po to, żebym nie była zbyt zarozumiała, że nigdy nie będę tak piękna jak ona.

- I nie miała racji.

- Och, czyżby pan znał moją matkę? - zapytała. - Umarła, gdy miałam dziesięć lat, i słabo ją pamiętam. Rzadko ją widywaliśmy. Oboje z ojcem przebywali przeważnie poza domem. Nie widziałam też jej portretów, jeśli nawet jakieś były, to zniszczył je ojciec. Nie pozwalał nawet słowem o niej wspomnieć, nie mógł nawet znieść dźwięku jej imienia. I nikt o niej nic nie mówił, tylko czasami, przy wyjątkowych okazjach, niania. Taki sposób demonstrowania przywiązania wydawał mi się dziwny, ale w końcu ojciec był ekscentrykiem. Czy przypominam ją chociaż trochę?

- Myślę, że tak. Rysy, o ile pamiętam, miała bardziej regularne, ale za to pani włosy mają bardziej złocisty odcień i oczy głębszy błękit. No i pani uśmiech jest znacznie słodszy.

- O Boże, znowu zaczyna pan pleść bzdury. To przecież niemożliwe, żeby pan po tak długim okresie czasu pamiętał odcień barwy jej włosów, kolor oczu, więc proszę mnie nie oszukiwać.

- Tak, madam - powiedział żartobliwie. - Daleko bardziej odpowiada mi rozmowa o pani oczach albo nawet o pani ślicznych ustach, którym błędnie przypisywała pani kolor bladuróżowy.

- Nie mogę zrozumieć - przerwała mu - dlaczego ciągle przypomina pan ten epizod, o którym powinien pan raczej zapomnieć.

- Nie rozumie pani? - Dłonią o długich, pięknych palcach ujął ją pod brodę. - Może powinienem pani uświadomić, że chociaż jako gospodarz zmuszony jestem zachowywać się wyjątkowo poprawnie, są to wyłącznie pozory... Bóg jeden wie, dlaczego to pani mówię.

Odsunęła jego rękę, ale roześmiała się.

- Pan wybaczy, ale nie potraktuję poważnie tego, co usłyszałam. Poza tym, drogi przyjacielu, myślę, że jest już najwyższy czas, żeby pan przestał przekonywać wszystkich, że pański charakter jest bardziej czarny, niż sobie to inni wyobrażają. Takie zachowanie weszło panu w przyzwyczajenie w czasach, kiedy był pan młodszy i głupi i w tamtych okolicznościach można uznać to za całkiem zrozumiałe. Przypomina mi to Conwaya, który też miał zwyczaj przechwalania się przede mną szokującymi wybrykami, których rzekomo dokonywał w Eton. W większości były to zmyślane historyjki.

- Dziękuję, ale nigdy tak nie postępowałem. Nie miałem potrzeby niczego zmyślać. Jakimi to niezwykłymi cechami próbuje mnie pani obdarzyć? Wyjątkową wrażliwością? Kierowaniem się wzniosłymi zasadami?

- Och nie, nic w tym rodzaju - odparła wstając z ławki. - Nie mam nic przeciwko temu, że obciąża się pan strasznymi przestępstwami, sama zresztą wiem, że ma pan opinię hazardzisty, hulaki i człowieka o wyjątkowo chwiejnym charakterze. Nie jestem jednakże aż tak zielona, żeby nie dostrzec u pana przynajmniej jednej cnoty i jednej zalety.

- Coś podobnego! Cóż to za cechy pani u mnie dostrzegła?

- Dobroć i bogaty umysł - powiedziała.

Potem oparła się na jego ramieniu i powoli ruszyli w stronę domu.

7

Edward Yardley wracał do Netherfold w nie najlepszym nastroju, ale bez obawy, że Damerel mógłby stać się jego rywalem. Nie spodobał mu się ten człowiek i ani w jego wyglądzie, ani w sposobie bycia nie dostrzegł nic, co mogłoby wzbudzić zainteresowanie Venetii. Dbały o konwenanse w towarzyskich kontaktach Edward uważał swobodne zachowanie Damerela za niestosowne dla człowieka jego sfery, a oschły sposób mówienia za szczególnie niewłaściwy. Nie było też nic nadzwyczajnego w jego postaci, a wyraz twarzy, śniadej, o regularnych zresztą rysach wydawał mu się niemiły. Ubrany był niezbyt wyszukanie. Edward wiedział, że kobiety przywiązują wagę do strojów i gdyby Damerel miał na sobie żółte pantaloney, wyczyszczone do lustrzanego połysku buty z cholewami, wciętą w talii marynarkę i monstrialny fular, przy rękawach koszuli ozdobne spinki, pierścienie na palcach i bogaty łańcuszek od zegarka, mógłby wydać się mu niebezpiecznym rywalem.

Damerel jednakże miał na sobie prostą kurtkę do konnej jazdy, bryczesy z kozłej skóry, skromną chustkę na szyi i żadnych ozdób poza ciężkim sygnetem i monoklem. Nie był na pewno uosobieniem modnisią, a nawet nie przypominał w niczym eleganckiego obywatela, chociaż mówiono o nim, że wiele podróżuje. Wyglądał po prostu na zwyczajnego dżentelmena z wyższych sfer. Edward, który spodziewał się zastać rozpustnika, musiał przyznać, że Damerel sprawia wrażenie kogoś całkiem normalnego, przeciętnego. Przyszły mu na myśl szokujące historie o tym człowieku, które docierały do Yorkshire. Pochlebiał sobie, że nigdy w nie tak całkiem nie wierzył. Ot, choćby w tę opowieść o pewnej rzymiance,

która ponoć porzuciła męża i dzieci i z Damerelą wyruszyła w rejs po Morzu Śródziemnym na jachcie o dwuznacznej nazwie „Korynt”, albo o pewnej, olśniewającej urody tancerce, której tournée po wyzwolonej Europie upamiętniło się tym, że opiekujący się nią Damerel kazał w zajmowanych przez nią apartamentach posypywać podłogi płatkami róż, a jako napój orzeźwiający podawał jej wyłącznie różowego szampana. Edward skrupulatnie oszacował koszty takich ekstrawaganckich wyczynów i definitywnie uznał te opowieści za zmyślane. Teraz, kiedy spotkał Damerelę twarzą w twarz, jeszcze bardziej utwierdził się w tym przekonaniu. Prawdę mówiąc nie obawiał się zbytnio, by wrażliwa kobieta mogła ulec urokom takich tandetnych luksusów, ale pomimo to po opuszczeniu Priory odczuł wyraźną ulgę. Damerel mógł próbować oczarować Wenecję (choć, jak się zdaje, jej uroda nie wywarła na nim większego wrażenia), ale Edward, świadomy swej wartości, nie sądził, by jego zalety mógł w jej oczach przyćmić ten szorstki, nieciekawym mężczyzna. Co prawda, natura nie obdarowała kobiet zdolnością trzeźwego osądu, ale Edward uważał, że pod tym względem Wenecja korzystnie wyróżnia się spośród osób jej płci i chociaż spotkała w swoim życiu niewielu mężczyzn, trzej, których znała dobrze, to znaczy jej ojciec, Conway, no i on, stanowiąc wystarczający wzór poprawnych manier i dobrych obyczajów, by posługując się zdrowym rozsądkiem właściwie ocenić Damerelę.

Najgorsze w tym wszystkim, zdaniem Edwarda, było to, że jeśli wszyscy dowiedzą się o tych codziennych wizytach w Priory, uszczerbku doznać może jej reputacja. Ten problem dręczył go tak bardzo, że postanowił podzielić się swoimi wątpliwościami z matką.

Pani Yardley, łagodna, drobna kobieta, była osobą tak pozbawioną wyrazu, że nikt nie domyśliłby się, jak bardzo podziwiała swego syna i jak bardzo jest nim zachwycona. Jej twarz o perłowo-białej cerze przecinała kreska bezbarwnych ust, nie ożywiały jej nawet bladoniebieskie oczy. Włosy w kolorze piasku upięte miała starannie pod wdowim czepkiem. Nie należała do osób rozmownych, słuchała relacji Edwarda bez komentarza i bez zmiany wyrazu twarzy. Dopiero kiedy wspomniął, że Wenecja codziennie odwiedza Aubreya w Priory, na moment błysk zainte-

resowania ożywił jej oczy, ale zaraz potem zgasł równie szybko, jak się pojawił. Edward nic nie zauważył, tylko dalej relacjonował swoje spostrzeżenia, nie oczekując jej opinii.

- Tak - powiedziała nic nie mówiącym tonem, kiedy przerwał na krótko.

Na ogół taka odpowiedź zadowalała go, jednak tym razem uznał ją za niewystarczającą, bo chociaż sam stwierdził, że nie ma nic złego w tych wizytach, skoro rolę przyzwoitki pełni niania, to jednak nie był o tym w pełni przekonany i chętnie usłyszałby potwierdzenie.

- Dziwne byłoby, gdyby tego nie robiła - powiedział. - Wiesz przecież, jak bardzo przywiązana jest do Aubreya.

- Tak, to prawda. Ten chłopak wiele jej zawdzięcza. Zawsze to mówiłam - stwierdziła matka.

- Jeśli o tym mowa, to dobrze byłoby, gdyby zdawał sobie z tego sprawę, ale on uważa, że mu się to po prostu należy. Jeśli chodzi o Venetię, to nie ma w tym nic złego, że go tam odwiedza.

- Oczywiście, że nie.

- Jeśli weźmie się pod uwagę, że jest z nią niania, no i fakt, że nie jest już młodą panienką, to nie sądzę, by ludzie zaczęli na jej temat plotkować.

- Och, jestem przekonana, że nie!

- Naturalnie nie podoba mi się, że musiała zawrzeć znajomość z tym człowiekiem, ale myślę, że dostatecznie wyraźnie dałem mu do zrozumienia, jak przedstawia się jej sytuacja. Nie znaczy to, że mam jakieś zastrzeżenia do jego zachowania. Zresztą wydaje mi się, a potrafię to dobrze ocenić, że Venetia nie przypadła mu do gustu.

- Też mi się wydaje, że ona nie jest w jego guście.

- Najprawdopodobniej nie. - Twarz Edwarda rozjaśnił uśmiech.

- Nie wątpię, że przyzwoite damy nudzą go śmiertelnie. A ona, jak wiadomo, do takich należy. Za jej swobodnym zachowaniem kryje się prawdziwa delikatność charakteru, a przy tym jest na tyle rozsądna, że nie robi z pewnością nic, co ośmieliłoby jego lordowską moc do jakichś niestosownych kroków.

- Och, tak. Jestem o tym przekonana.

Edward sprawiał wrażenie odprężonego, ale po dłuższej chwili jego niepokój powrócił.

- Mimo wszystko sytuacja jest dość niezręczna - powiedział.
- Utrzymywanie bliższej znajomości z lordem Damerem bardzo by mi nie odpowiadało. Gdybyśmy mieszkali tak blisko Priory, że możliwe byłyby częste wizyty, to być może w zaistniałej sytuacji uważałbym je za swój obowiązek, ale jeździć codziennie trzydzieści mil, tam i z powrotem... O nie, to nie wchodzi w rachubę.

- Tak, mój drogi, masz rację. Nie sędzę, żebyś musiał tam ponownie jechać. Jestem przekonana, że za dzień lub dwa Aubrey będzie już w domu, a poza tym nie przypuszczam, by lord Damerel zamierzał dłużej pozostać w Priory. Nigdy tak nie robił, nieprawdaż?

Opinia matki złagodziła niepokój Edwarda, ale prawdziwej ulgi doznał dopiero następnego wieczoru, kiedy w jej towarzystwie znalazł się na uroczystym obiedzie w Ebbesley i zorientował się, że gospodarze nie przywiązują do tego, co się wydarzyło, większej wagi.

W tym przypadku mylił się jednak. Lady Denny nie lubiła moralizujących młodych mężczyzn i z tego powodu starannie ukrywała swoje zaniepokojenie odczuwane od momentu, kiedy mążzonek przywiózł jej wiadomość o tym, co się stało. Sir John dowiedział się o wszystkim od Damerela, którego spotkał w Thirsk. Oczywiście przekazał to żonie w sposób możliwie oględny. Kiedy zorientował się, jakie to wywarło na niej wrażenie, spojrzął na nią unosząc brwi, a gdy wyjaśniła, co w tej sytuacji należy zrobić, znów przyglądał się jej przez dłuższą chwilę w milczeniu, jak gdyby powiedziała coś absolutnie niezrozumiałego. Wreszcie powrócił do porannej lektury, mruknawszy tylko, żeby nie plotła głupstw.

Szybko dowiodła mu, że nie są to głupstwa. Powiedziała, że może sobie mówić, co chce (on wyraźnie nie miał ochoty skorzystać z tego wielkodusznego przyzwolenia), ale ona doskonale wie, do czego może dojść, gdy rzuci się niedoświadczoną dziewczynę w ramiona notorycznego libertyna. Na nic zdały się jego zapewnienia, że Damerel nie zachowa się niestosownie w stosunku do kobiety, która znalazła się w tak przykrej sytuacji. Raczej nie, chociaż nigdy nie wiadomo, co może zrobić człowiek o takiej opinii. Bardziej prawdopodobne jest jednak co innego: lord rozkocha w sobie tę biedną, niewinną istotę, a potem porzuci ją ze złamanym sercem.

Sir John stwierdził, że takiego rozwoju sytuacji nie brał pod uwagę, ale nie uważa Venetii za osobę biedną i nieporadną. Jest to, bądź co bądź, dwudziestopięcioletnia, wyjątkowo rozsądna kobieta, w pełni zdolna do troszczenia się o siebie. Wyraził jeszcze nadzieję, że szanowna małżonka nie narobi zamieszania bez powodu i powstrzyma się od ingerowania w nie swoje sprawy.

Takie bezduszne stanowisko męża zasługiwało na surowe potraktowanie, ale zanim lady Denny zdołała zareagować, zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem w tym, co powiedział sir John, nie ma ziarna prawdy i doszła do wniosku, że znajomość z tym rozpustnikiem prawdopodobnie niczym Venetii nie zagraża. W każdym razie nie zamierzała zachęcać Edwarda Yardleya do jakichkolwiek działań i dlatego, kiedy grobowym głosem oznajmił jej o wypadku Aubreya, potraktowała całą rzecz lekko, a nawet stwierdziła, że uważa za szczęśliwe zrzęcenie losu fakt pojawienia się Damerela w miejscu wypadku, tym bardziej że wykazał on wiele zdrowego rozsądku i niezwłocznie posłał po doktora Bentwortha.

Edward uznał, że w swej opinii lady Denny posunęła się zbyt daleko, i jego twarz przybrała surowy wygląd. Gospodyni odwróciła się akurat, żeby przywitać państwa Trayne, ale do rozmowy wtrącił się jej syn.

- Nie widzę powodu, żeby pan się tym zajmował - powiedział widząc zaszępienie oblicze Edwarda. - Panna Lanyon wie, że może zawsze na mnie polegać.

Dobre wychowanie nie pozwoliło Edwardowi zareagować tak, jak należało, udał więc, że nie dosłyszał słów młodego pana Denny'ego. Był jednak coraz bardziej rozdrażniony, a co gorsza wróciły wszystkie poprzednie wątpliwości. Nieco później pewne wsparcie uzyskał od panny Denny, która wyznała, że szczerze współczuje Venetii. W jej oczach ciągle trwał obraz sentymentalnego jasnowłosego młodzieńca, żołnierza, i w związku z tym Damerel wydawał jej się brzydki, stary i w ogóle nie do przyjęcia.

- Biedna Venetia - powiedziała Clara. - Założę się, że ten człowiek zamęczy ją swoją uprzejmością i zanudzi na śmierć. Kiedy papa przyprowadził go do nas, do domu, ze mną i Emily zamienił ledwie parę słów, a w rozmowie z mamą powtarzał same

banafy. Venetia tego nie znieś. Ona ma tak żywy umysł, no i przyzwyczajona jest do rozmów z panem i Aubreyem, a wy jesteście tacy mądry!

Edward był wyraźnie zadowolony, ale uśmiechnął się skromnie i powiedział:

- Mam nadzieję, że w rozmowie wypowiadam się rozsądnie, ale sama pani wie, że nie udaję uczonego. Jeśli o to chodzi, to pozostaję w cieniu Aubreya.

- On istotnie ma mnóstwo książkowej wiedzy - zgodziła się Clara.

- To prawda. Ja podobnie bym to określił, natomiast lord Damerel uważa go za niezwykle zdolnego.

- Czyżby? Może ma rację, ale muszę przyznać, że nie rozumiem połowy tego, co on mówi. Pan przecież też ma mnóstwo wiadomości, a przy tym wyraża się pan jasno, tak że nadażam za pana rozumowaniem, chociaż nie jestem na tyle mądra, by brać udział w dyskusjach.

Edward zbyt szanował prawdę, by zaprotestować, więc tylko bardzo uprzejmie powiedział, że nie gustuje zbyt w rozmowach z intelektualistami, i rozbawił ją paradoksalnym stwierdzeniem, że ktoś, kto posiada wielką wiedzę, wcale nie musi być mądry. Clara roześmiała się szczerze.

- No właśnie! Dokładnie to miałam na myśli, kiedy mówiłam, że lord Damerel dla Venetii będzie nudny. Jestem przekonana, że on nigdy nie potrafiłby powiedzieć czegoś równie dowcipnego.

Tak więc lady Denny uspokajała się tym, że Venetia ma zbyt dużo zdrowego rozsądku, by zakochać się w rozpustniku, a Edward wracając do domu pocieszał się, że Venetia prowadzi z Damerelem nudne rozmowy. Ponieważ ani ona, ani on przez dłuższy czas nie mieli okazji zetknąć się z panną Lanyon, oboje pozostawali w błogim spokoju, nie zdając sobie sprawy z tego, że urodę Venetii wzbogacił teraz rozjaśniający jej twarz promyk prawdziwego szczęścia, jakiego po raz pierwszy zaznała.

Aubrey spędził w Priory dziesięć dni. Pogoda przez cały czas sprzyjała jego siostrze. Tylko jeden dzień był chłodny i deszczowy, ale wtedy złocisty jesienny krajobraz przeniósł się do wnętrza domu. Damerel kazał rozpalić ogień na kominku w bibliotece

i w migotliwym blasku płomieni grzbiety książek, wypełniających półki od podłogi aż po sufit, wyglądały jak pożółkłe jesienne liście. Aubrey został przeniesiony do biblioteki i ułożony na sofie. W trójkę grali w karty, razem oglądali ilustracje w książkach, odkrywali nowe skarby na przepełnionych półkach i spierali się gorąco o wszystko, poczynając od problemów filozoficznych, a kończąc na kwestii, czy czarny koń, bez najmniejszej nawet białej plamki, przynosi pecha. Potem Damerel wyjął swój grecki szkicownik, usadowił Aubreya bliżej światła i nawet niania siedząca przy oknie z zadowoleniem obserwowała grupę przeglądającą rysunki. Venetia usiadła na podłodze, Aubrey nachylony ku niej objaśniał szkice i tylko co jakiś czas oboje zwracali się z pytaniami do Damerela, który stał oparty o poręcz sofy. W oczach niani oboje wydawali się dziećmi, a Damerel osobą dorosłą, łaskawie pozwalającą zadrezczać się pytaniami. Może popełniała błąd, pozwalając tym młodym na tak bliską znajomość z grzesznikiem, bo przecież Pismo ostrzega, że grzesznicy są jak niespokojne morze, którego wody wyrzucają muł i szlam. Z drugiej strony Pismo ostrzega też przed oszczercami i fałszywymi świadkami. Prorok Jeremiasz powiedział: „Na każdego może paść oszczerstwo” i wystarczy rozejrzeć się wokół, aby przekonać się, że to prawda. Niania coraz bardziej skłaniała się ku opinii, że jego lordowska mość jest ofiarą takich fałszywych świadectw. Gdyby ktoś ją pytał, mogłaby tylko powiedzieć, że bierze ludzi takimi, jakimi są, a on okazał się dżentelmenem zachowującym się w stosunku do Venetii i panicza Aubreya raczej jak wuj niż jak uwodziciel, a przy tym lepiej niż inni potrafił zrozumieć, jak ciężkim zadaniem jest opiekowanie się dwójką takich uparciuchów. Jeśli prawdą jest, że kiedyś uciekł z zamężną kobietą, to zdarzyło się to bardzo dawno temu, zresztą ona, niania, wie, co o takich kobietach sądzić. Ladacznice, oto, kim one są, i niech Bóg ma w opiece młodych mężczyzn, którzy wpadają w ich sidła. A nawet jeśli prawdą jest, że jakieś nieprzystojne zabawy miały miejsce w Priory przed rokiem, to Pismo przecież nawołuje grzeszników, by zeszli ze złej drogi, i być może jego lordowska mość tak właśnie postąpił. Bądź co bądź żadnych nieprzystojnych zachowań nie zauważyła. Tego była pewna.

Trzy dni zajęło Damerelowi obwinienie sobie niani wokół palca: obłąskawienie, jak to nazwał Aubrey, który - niewiele brakowało - a zepsułyby całą grę wybuchem śmiechu, gdy Damerel skwapliwie zgadzał się z nianią, że nie ma sensu zakładanie pokrowców na meble, bo to i tak nie chroni obić przed molami, że stoły, krzesła i szafy w salonie należy częściej polerować i że w ogóle dom powinien być utrzymywany w porządku. Niania udzielała tego rodzaju wskazówek z tym większą przyjemnością, że w Undershaw nigdy nie wolno jej było wkraczać w zakres obowiązków pani Gurnard. Pani Imber, bezradna, skromna osoba, która robiła zawsze to, co jej kazano, wdzięczna była za każdą poradę. Niania wybierała się do Priory z oporami, ale teraz czuła się tu znakomicie i zamierzała, korzystając z pomocy państwa Imberów, żony ogrodnika i zaangażowanej w sąsiedniej wsi dziewczyny, przewrócić dom do góry nogami, jak to określił pan Imber. Po raz pierwszy od czasu, kiedy rządziła w pokojach dziecińczych w Undershaw, poczuła, że znów bezdyskusyjnie trzyma berło, i kiedy tylko zorientowała się, że nie musi obawiać się Damerela, pozbyła się czujności i zaczęła krążyć po tym ogromnym, zbudowanym bez planu domu, poganiając służbę i tak bardzo zajęta się nowymi, przyjętymi dobrowolnie obowiązkami, że nie dostrzegła dziwnego blasku w oczach Venetii i nie podejrzewała, że zamiast jechać do domu, panna Lanyon udaje się z Damerelem na spacer po ogrodzie albo wzdłuż brzegu strumienia, a potem pozwala odprowadzać się do Undershaw najdłuższą z możliwych dróg.

I stajenny, i lokaj Damerela orientowali się w zaistniałej sytuacji, ale Nidd nie informował niani, ile godzin spędza w stajni w Priory klacz Venetii albo kuc, którego zaprzęgano do jej dwukółki. Marston też nie powiadamiał jej, że Venetia udała się do domu w towarzystwie Damerela.

Nidd uważał tę sytuację za nieco dziwną, ale kiedy wyjawił Marstonowi swoje wątpliwości, w odpowiedzi uzyskał tylko karcące spojrzenie. Marston też był zresztą zdziwiony, gdyż jego lordowska mość nie miał w zwyczaju zadawać się z niewinnymi młodymi damami. Prowadził swobodny tryb życia, ale nie aż do tego stopnia. Może zresztą nie chciał się narażać uwodząc panienki z dobrych domów. Marston tego nie wiedział, ale nigdy dotąd,

w czasie długich lat służby, nie zauważył, by jego pan zalecał się do takiej damy jak panna Lanyon. Nigdy nie widział go zachowującego się w stosunku do swych kochanek tak, jak zachowywał się wobec niej: tak spokojnie i wstrzemięźliwie. Od dnia kiedy przywiózł do domu Aubreya, nigdy nie był nawet podchmielony, co oznaczało, że się nie nudzi ani nie wpada w ponury nastrój. Nie był niespokojny, chociaż pobyt w Priory, planowany na dzień lub dwa, przedłużył się niebywale. Zrezygnował widać z udziału w polowaniu w lasach lorda Flavella: poinformował Marstona, że odwołał tę wizytę. Czy wróca do Londynu, kiedy Aubrey opuści Priory? Wiedzieli tyle, że jego lordowska mość nie ma żadnych planów, ale sądzi, że przez jakiś czas pozostanie jeszcze w Yorkshire.

Niewykluczone, że on uprawia jakiś nowy rodzaj flirtu, ale wyraźnie przypomina to konkury. Jeśli tak, zastanawiał się Marston, to ciekawe, czy panna Lanyon wie, jaki tryb życia prowadził dotąd lord Damerel, no i ciekawe, co na taki związek powiedziałyby jej starszy brat.

Marston byłby zdumiony, gdyby orientował się, ile Venetia wie i jak bardzo ubawiły ją relacje Damerela o niektórych jego przeżyciach. Dziwiłby się też, gdyby wiedział, jaki stopień zażyłości osiągnęła ta dziwna para.

Byli dobrymi przyjaciółmi. Patrząc z boku można by sądzić, że są bliskimi krewnymi, tak szczerze i bezceremonialnie zachowywali się w stosunku do siebie. Odgrywając rolę wiernego przyjaciela, traktowaną jako element taktyki w grze, którą niewielu mężczyzn znało lepiej niż on, Damerel zaczął wkrótce pełnić rolę doradcy Venetii. Omawiał z nią skomplikowane problemy dotyczące kierowania majątkiem starszego brata, dyskutował o szczególnych trudnościach, jakie sprawia opieka nad młodszym bratem, wynikających z przewagi jego intelektu nad możliwościami ułomnego ciała. Udzielał jej wielu dobrych rad, często takich, których sam nigdy nie potrafił wprowadzić w życie. W jednym tylko przypadku okazał się bezradny: musiał przyznać, że nie widzi sposobu, by odwieść Aubreya od niszczącej go pasji zdobywania wiedzy.

- Zbyt był osamotniony - powiedział. - Gdyby uczył się w Eton, niewątpliwie znalazłby tam licznych przyjaciół, natomiast

tutaj ma ich tylko dwoje: panią i tego starego pastora... zapomniałem, jak się nazywa. Jemu potrzebny jest kolega w jego wieku o podobnych zainteresowaniach, no i musi pozbyć się wrażenia, że wszyscy mu współczują bądź lekceważą go.

Venetia spojrzała na niego zaskoczona.

- Jest pan pierwszą osobą, która zrozumiała, co najbardziej tego chłopca dręczy w jego kalectwie. Nawet doktor Bentworth nie potrafi właściwie ocenić jego odczuć, a ja mogłam się tylko ich domyślać, bo on nigdy o tym nie mówił. Ale z panem rozmawiał na ten temat, prawda? Kiedyś wspomniał, że powiedział mu pan, że mając do wyboru wspaniałe ciało albo wspaniały umysł wybrałby pan to drugie, bo umysł jest trwalszy niż ciało. Wiem, że zrobiło to na nim wrażenie, gdyż po raz pierwszy w rozmowie poruszył ten temat, a ja byłam panu tak wdzięczna, że chętnie bym pana uściskała.

- Coś podobnego! Naprawdę?

Venetia roześmiała się i potrząsnęła głową.

- Nie, ja nie żartuję. To, co pan powiedział, było dokładnie tym, co Aubrey powinien usłyszeć, a to, że rozmawiał z panem o takich sprawach, dowodzi, jak bardzo pana lubi. Dobrze pan wie, jaki on jest szorstki w kontaktach z obcymi, a niemal wpada w furję, kiedy tacy ludzie jak lady Denny pytają go o zdrowie albo kiedy Edward próbuje pomóc mu wstać z krzesła.

- Nie dziwię się. Czyżby ten dureń w ten sposób się zachowywał?

- Tak, i nic na to nie mogę poradzić. Robi to z dobrego serca, ale rozumie pan...

- On troszczy się wyłącznie o to, żeby wydać się uprzejmy, a Aubrey tego nie znosi.

- Powiedziałam o tym Edwardowi, ale on uważa, że to nieprawda. A uprzejmości z pana strony Aubrey przyjmuje bez sprzeciwu. Inna sprawa, że macie wspólne zainteresowania, ale przy tym potrafi pan zakpić z niego, potraktować go surowo, zagrozić najgorszymi konsekwencjami, jeśli nie wypije waleriany.

- Pani uważa, że to właśnie jest uprzejmość? - zapytał z rozbawieniem.

- Tak, i pan zapewne też jest tego zdania, inaczej nie za-

chowowałyby się pan w ten sposób. Jestem przekonana, że Aubrey w takiej sytuacji czuje się taki sam jak inni chłopcy, bo pan nie zwraca uwagi na jego kalectwo. Pobyt w Priory znakomicie na niego wpłynął, dał mu znacznie więcej niż moje towarzystwo, bo w końcu ja jestem tylko kobietą, siostrą, co jeszcze pogarsza sytuację.

- Jest pani dobrą siostrą. Mam nadzieję, że Aubrey potrafi to docenić, chociaż w to wątpię. Proszę mu nie pozwalać się ranić. Jest do pani przywiązany, ale, moja droga, to wielki egoista!

.- Och, wiem o tym dobrze - odparła - ale on nie jest tak samolubny jak papa, a nawet jak Conway... zapewniam pana. Aubrey niewątpliwie zrobiłby wszystko, żeby wyświadczyć mi przysługę, jeśli byłoby to konieczne, a ojciec nie. Conway też potrafi myśleć tylko o sobie.

To właśnie takie wypowiedzi sprawiały, że Damerel był wiecznie rozbawiony i że nazywał ją swoją radością. Venetia zaakceptowała spokojnie ten tytuł, prosiła tylko, by przypadkiem nie użył go przy niani.

- Byłoby panu przykro, gdyby tak misternie pochlebstwami budowane zaufanie legło w gruzach, a poza tym nastąpiłby kres mojej swobody.

- O nie, nie zgadzam się z panią. Niania tak łatwo nie zmieni swojego stanowiska. Cieszę się jej wyjątkowymi względami.

- Uważam raczej, że jest pan na dobrej drodze do takiego stanu, i to tylko dlatego, że stanął pan po jej stronie w sporze z panią Imber. Pewno nie wie pan, że pańska pozycja była wczoraj bardzo zachwiana, kiedy nie pozwolił jej pan wytrzepać dywanu z biblioteki. Znow zaczęła narzekać na pogańskie obyczaje, a Aubrey słyszał, jak mówiła, że jeden grzesznik może uczynić wiele zła.

- Tak, ale potem przy jakiejś okazji zachwycałem się zrobionymi przez nią frywolitkami i odzyskałem jej pełne zaufanie.

- Szkoda, że tych zrobionych przez siebie koronek nie dała panu w prezencie w dowód zaufania. Ma ich pewno całe sterty, bo robi je, odkąd pamiętam, a nigdy się z nimi nie rozstaje. Zapewne któreś z nas otrzyma je w prezencie ślubnym. Ponura to perspektywa.

- To może lepiej nie starać się o jej względy? - powiedział

udając zaniepokojenie. - Co mi pani radzi? Może powinienem urządzić orgię, zdeprawować Aubreya albo... nazwać panią w jej obecności radością mojego życia?

- O nie, to dałoby zbyt mocny efekt. Lepiej niech jej pan da do zrozumienia, że minął się pan z prawdą mówiąc jej, że celem przyjazdu do Yorkshire było ułożenie się z pokrzywdzonymi dzierżawcami. Niewątpliwie dowiedziała się o tym od pana, bo kto inny mógł wbić jej w głowę takie niedorzeczności? Tylko proszę jej nie mówić, że przyjechał pan w związku z tym, co zdarzyło się na torze wyścigowym w Londynie. Niania wszystko, co wiąże się z wyścigami, uważa za diabelskie.

- O czym pani mówi? - zaprotestował. - Jeszcze mi się nie zdarzyło zgrać tam do nitki.

- Nie, nie, wcale tak nie sądziłam, ale wiem, że to się zdarza. Conway wspomniał mi kiedyś o czymś takim jak „czarny poniedziałek”.

- Ach, tak. To dzień regulowania rachunków. Nie. Nie powiem jej o tym. Co prawda ciągle, z lepszym lub gorszym skutkiem, ścigają mnie wierzyciele, ale nie przyjechałem tutaj w celu podreperowania finansów. Po prostu uciekłem przed swoimi ciotkami.

- Dlaczego? Co one panu zrobiły? Pan chyba żartuje!

- Ależ nie. Chcą, żebym się ustatkował. To trzy ciotki, jedna straszniejsza od drugiej. Wszystkie są niezamężne i mieszkają razem. Jedna niska i tęga, druga chuda, a trzecia, najstarsza, jest wdową i najbardziej przerażającą kobietą, jaką w życiu spotkałem. Mieszka z siostrami w domu przypominającym muzeum przy Grosvenor Square, rzadko wychodzi, ale za to często przyjmuje gości w salonach przypominających królewskie apartamenty. Jest brzydka, dziwacznie się ubiera, nie jest ani mądra, ani uprzejma, ale w jakiś niezrozumiały dla mnie sposób, może siłą charakteru, który zapewne ma, przekonała ludzi z wyższych sfer, że jest drugą lady Cork i zaproszenie do jej salonu jest zaszczytem.

- Nie wydaje mi się sympatyczna.

- Jest bardzo niesympatyczna. Prawdziwy potwór.

- Dlaczego tak jej zależy, żeby się pan ustatkował?

- Z dwóch powodów. Po pierwsze, pomimo moich licznych

grzechów, jestem jednak głową rodziny, co dla niej ma poważne znaczenie. Drugi powód jest bardziej skomplikowany. Ciotka wezwała do swego domu na Grosvenor Square kuzyna Alfreda, który jest moim spadkobiercą, i dokonała strasznego odkrycia. Okazało się, że młodzieniec ten jest po prostu fireykiem, dziwacznie wystrojonym dandysem, nadętym elegancikiem. Nie zdając sobie sprawy, że wiekowa ciocia żywi głęboką niechęć do strojnisiów, ten dumny pętał zjawił się na Grosvenor Square ubrany co najmniej szokująco: spodnie w kolorze bladożółtym, płaszcz od Stulza, buty od Hoby'ego, kapelusz od Baxtera, do tego orientalny szal na szyi. Jeśli dodać do tego chusteczkę z Barcelony, butonierkę wielką jak ogórek, silny zapach brylantyny, maniery nauczyciela tańca i wymowę, nad którą musiał pracować przez lata, zgodzi się pani ze mną, że nie mógł przypaść ciotce do gustu.

- Jaka szkoda, że go nigdy nie widziałam - roześmiała się Venetia. - A czy pan zna go osobiście, czy tylko z opowiadań?

- Nie widziałem go, ale wiem o tym z relacji cioci. Biedny chłopak. Tak się starał, żeby dobrze się zaprezentować, i wszystko na nic. Miał nastąpić rozejm... och, chyba jeszcze nie wspomniałem pani, że moja matka była skłócona z ciotkami. Jak mi się zdaje, obraziła je przy okazji pogrzebu wuja. Nie było mnie wtedy w kraju, więc nie wiem, jakie popełniła wykroczenie, ale założę się, że nie dość wylewnie okazywała swoje współczucie. Tak czy inaczej, Alfred posłuszny wezwaniu cioci Augusty zjawił się u niej, mając nadzieję, że jego dobre maniery w połączeniu z wyszukany strojem skłonią nie tylko ją, ale i dwie pozostałe ciotki, Jane i Elizę, do uczynienia go ich spadkobiercą, czym zainteresowany był może bardziej niż dziedziczeniem po mnie. Niestety! Ciotki postawione wobec wyboru pomiędzy modnisiem a hulaką wybrały hulakę, a raczej wybiorą, jeśli się poprawię.

- To znaczy, że będzie się pan poprawnie zachowywał?

- Gorzej! Muszę się ożenić z kobietą o żółtych zębach, zadartym nosie i niezgrabnej figurze.

Venetia roześmiała się.

- Zapewne bardzo im na tym zależy, bo uważają, że jest to dla pana najlepsze wyjście z sytuacji, no a poza tym liczą zapewne na pana potomstwo. Wtedy szanse kuzyna zmalałyby

do zera. Nie rozumiem tylko, dlaczego ona musi mieć zadarty nos i żółte zęby.

- Ja też, ale niestety jest to faktem. Chyba teraz nie dziwi się pani, że uciekłem.

- Nie, ale poważnie zastanawiam się, dlaczego ciotki wybrały dla pana taką kobietę. Muszą być wyjątkowo nierozsądne, jeśli przypuszczają, że zwróci pan uwagę na kogoś takiego. Przecież wiedzą, że od lat interesuje się pan wyłącznie pięknosciami. Oczekiwanie, że ktoś, tak w mgnieniu oka, może zmienić swoje upodobania, nie wydaje mi się rozsądne.

- To prawda - zgodził się - tym bardziej że oko panny Amelii Ubley przypomina oko ryby.

- Nie widzę powodu, żeby pan musiał się z nią żenić. Bardzo mi jej żal, ale wydaje mi się, że szczęśliwsza byłaby jako stara panna niż jako pańska żona. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby pan w ostatniej chwili przed ślubem uciekł z inną kobietą, a dla niej byłaby to tragedia. Jak ciotki mogły wybrać dla pana kogoś tak nieodpowiedniego! Niewątpliwie nie grzeszą nadmiarem rozumu.

- Uważają zapewne, że jestem w wieku, w którym mężczyzna ma już za sobą romantyczne uniesienia - powiedział poważnie, ale widać było, że z trudem hamuje wesołość. - Ciocia Eliza zapewniała mnie, że już najwyższy czas, żebym się ustatkował, i roztaczała przede mną uroki regularnego, spokojnego żywota.

- I dlatego uciekł pan do Yorkshire? Proszę mi jeszcze powiedzieć, jakimi cnotami charakteryzuje się panna Ubley?

- Właśnie cnotą!

- To trochę za mało, zwłaszcza jeśli mówiąc to chciał pan dać do zrozumienia, że ona jest pruderyjna.

- O tak. To widać i słyszać w tym, co mówi. Moje ciotki jednakże uważają, że jest ona osobą wyjątkowo godną szacunku, a poza tym rozsądną, o poprawnych manierach i można mieć pewność, że zawsze zachowa się właściwie. Jest zamożniejsza, niż mógłbym oczekiwać, i powinienem pamiętać, że gdyby nie to, że przekroczyła już trzydzistkę, to ani ona, ani jej rodzice nawet przez chwilę nie traktowałiby poważnie mojej kandydatury.

- Ależ to nonsens! - zawołała Yenetia.

- Nie, w tym jest wiele prawdy - powiedział Damerel uśmiechając się kwaśno. - Przypuszczam, że zajmuję wysoką pozycję na liście kawalerów nie nadających się na męża, co ma tę zaletę, że nie potrzebuję uważać, by nie wpaść w sidła jakiejś damy poszukującej zięcia. Matki ostrzegają swoje córki, żeby w razie spotkania ze mną zachowywały stosowny dystans.

- A więc zapraszano pana na przyjęcia? - zapytała. - Jestem ignorantką, jeśli chodzi o zasady obowiązujące w wyższych sferach, ale kiedy usłyszałam, że jest pan wykluczony z wytwornego towarzystwa, pomyślałam, że nie bierze pan udziału w żadnych przyjęciach.

- Nie jest tak źle - zapewnił ją. - Na pewno nie jestem zapraszany do tych domów, w których są córki w wieku odpowiednim do zamażpójścia, nie mogę też marzyć o przekroczeniu progu dworu, chyba że się ustatkuję, ożenię z panną Ubley i zostanę zaprotegowany przez ciotkę Augustę, ale tylko wyjątkowy purytanin *może* odżegnywać się od znajomości ze mną. A jeśli staram się przebywać jak najdalej od panny Ubley, to tylko z obawy, że mógłbym znaleźć się w takim towarzystwie, z którego akurat chciałbym być wykluczony.

- Z tego, co opowiadała mi lady Denny, bale w Almack są wyjątkowo nieciekawe - zauważyła Venetia. - Kiedy byłam młodą panienką, moim marzeniem było znaleźć się tam, ale teraz myślę, że wydałoby mi się to nudne.

Damerel zaprotestował. Skarcił ją za to, że mówi o swoim dzieciństwie jak o odległych czasach, i powiedział:

- Kiedy wróci z Francji pani brat, odwiedzi pani swoją ciotkę i zazna wówczas tych wszystkich przyjemności. Ubawi się pani aż do przesytu, złamie wiele serc i okaże się, że dni są zbyt krótkie, by wykorzystać wszystkie radości, jakie można tam znaleźć.

- Och, kiedy nadejdzie taki dzień, ja prawdopodobnie będę już starszą panią - odparła.

8

Edward Yardley, przeświadczony o swoich wyjątkowych zaleczeniach, mógł z lekceważeniem myśleć o Damerelu, ale młody pan Denny nie tak pewny siebie, jak chciał się wydawać, dostrzegł w nim zarówno wzór godny naśladowania, jak i człowieka mogącego mu zagrozić. Podobnie jak Edward wybrał się do Priory, by dowiedzieć się o zdrowie Aubreya, ale w przeciwieństwie do swego rywala od samego początku zapalał gorącą nienawiścią do gospodarza.

Imber zaprowadził go do biblioteki, gdzie Damerel grał z Aubreyem w szachy, a Venetia, siedząc na stołeczku ustawionym obok sofy, obserwowała ich zmagania. Uroczą tą sceną od razu mu się nie spodobała, a kiedy Damerel wstał i Oswald zobaczył, jaki jest wysoki, z jaką swobodą i gracją porusza się i jakim kpiącym rozbawieniem błyszczą mu oczy, wiedział już na pewno, że siostry wprowadziły go w błąd, mówiąc, że jest nudny i stary. Oswald od pierwszego wejrzenia zrozumiał, że ma do czynienia z niebezpiecznym rywalem.

Wizyta była krótka, ale trwała dostatecznie długo, by mógł zorientować się, jaki stopień zażyłości wiąże Lanyonów z gospodarzem. Nie tylko czuli się tutaj jak u siebie w domu, ale zachowywali się tak, jak gdyby go znali przez całe życie. Aubrey nawet zwracał się do niego po imieniu, a Venetia chociaż nie posunęła się aż tak daleko, też zwracała się do niego bez zbytnej formalności. Natomiast jeśli chodzi o Damerela, to niania mogła jego zachowanie uznać za dobroduszne, ale Oswald, któremu zazdrość wyostrzyła zdolność obserwacji, nie dał się zwieść. Nie mógł nie zauważyć, że kiedy Damerel patrzy na Venetię, wyraz

jego oczu nie przypomina spojrzenia zacnego wujaszka, a w głosie, kiedy zwraca się do niej, łatwo wyczuć można nutę czułości. Oswald przyglądał mu się uważnie, a równocześnie próbował bezskutecznie znaleźć jakiś sposób, by porozmawiać z Venetią na osobności. Nie przyszło mu nic do głowy, zmuszony więc był zastosować bezpośrednią taktykę. Żegnając się powiedział ochrypłym głosem:

- Czy mogę porozmawiać z tobą przez chwilę?

- Tak, oczywiście, możesz - odparła uprzejmie Venetia. - Masz do mnie jakąś ważną sprawę?

- Nie bądź taki tajemniczy - wtrącił Aubrey, wywołując tym niechętnie spojrzenie Oswalda.

- Zapewne ma pan jakąś wiadomość od lady Denny, którą wolałby pan przekazać osobiście panie Lanyon, prawda? - pośpieszył mu z pomocą Damerel, uśmiechając się przy tym kpiąco.

Mężczyzna bardziej dojrzały mógłby na tę impertynencję odpowiedzieć potracając stojącego w drzwiach intruza i prowokując w ten sposób pojedynek. Ale czy takie zachowanie w obecności kobiety byłoby stosowne? Zanim Oswald zdołał rozstrzygnąć ten problem, znalazł się razem z Venetią w holu, a Damerel zamknął za nimi drzwi.

- Jeśli dobrze siebie znam, to któregoś dnia dojdzie między nami do rozrachunku - mruknął oburzony młodzieniec.

Venetia przywykła do jego dramatycznych wybuchów, ale tym razem była zaskoczona.

- Między nami? - zapytała. - Cóż takiego, Oswaldzie, mogłam zrobić, że jesteś tak wzburzony?

- Ty nigdy! - stwierdził. - Nie powinienem może o tym mówić, ale bywają takie momenty, kiedy mężczyzna nie może tłumić swoich uczuć. - Spojrzał na nią płomiennie. - Pozwól mi tylko wyjawić je przed tobą.

- To o tym chciałeś rozmawiać ze mną na osobności? O tych swoich śmiesznych umizgach? Chciałabym, żebyś wreszcie zrozumiał, że jeśli mówię „nie”, to znaczy po prostu „nie”. Co ci w ogóle przychodzi do głowy? Jestem od ciebie o sześć lat starsza, a poza wszystkim ty, tak naprawdę, wcale nie chciałyś się ze mną ożenić.

- Nie chciałybym? - oburzył się.

- Oczywiście, że nie. Pomyśl tylko, przecież zanudziłyś się w roli dostojnego małżonka. Tyle jest jeszcze przed tobą wspaniałych przygód...

Oswald nigdy nie patrzył na ten problem w ten sposób i musiał skrycie przyznać, że jest w tym, co usłyszał, jakaś racja, jednakże zbyt mocno tkwił w przeświadczeniu o głębi swojej cielejącej miłości i nie był w stanie potwierdzić trafności tej uwagi.

- Największą dla mnie radością byłoby zdobycie twojej przychylności.

Wargi Venetii drgnęły, ale powstrzymała się od śmiechu. Byłoby okrucieństwem naśmiewanie się z chłopca przeżywającego tortury pierwszej miłości.

- Jestem wzruszona, Oswaldzie, mimo że nie mogę odwzajemnić twoich uczuć. Proszę cię, nie rozmawiajmy już na ten temat. Powiedz mi, jak się czuje lady Denny i co słychać u twoich sióstr?

Oswald zignorował pytanie i odezwał się poważnym tonem:

- Nie będę więcej o tym mówił, proszę cię tylko, byś uwierzyła, że moje uczucia są niezienne. Przyjechałem tutaj, aby ci powiedzieć, że zawsze możesz na mnie liczyć. Ja nie boję się tego zarozumiałego typu, tak jak Yardley. Nie boję się postępować wbrew etykietce, nie przejmuję się tym, co mogę za to usłyszeć, w końcu widziałem więcej świata niż...

- Oswaldzie, o czym ty mówisz? - przerwała mu Venetia. - Jeśli to Edward tak cię zdenerwował...

- Ten ciamajda! - wybuchnął Oswald. - Niech on się lepiej zajmie swoimi uprawami i byłbym. Tylko do tego się nadaje.

-A tak! Musisz przyznać, że na gospodarowaniu zna się znakomicie - powiedziała Venetia. - W promieniu wielu mil nie znajdziesz tak dobrego gospodarza. Nawet Powick słucha jego rad.

- Nie przyszedłem tutaj, żeby rozmawiać o Yardleyu - powiedział Oswald. - Wspomniałem tylko o nim, ale nie ma to nic do rzeczy... Venetio, gdyby ten człowiek śmiał cię obrazić, natychmiast mnie o tym poinformuj.

- Edward miałby... Dobry Boże! Ty mówisz o Damerelu? Szalony chłopak! Wracaj do domu i zajmij się zasiewami, byłbym

i czym tylko chcesz, byle nie mną! Lord Damerel jest moim dobrym przyjacielem i oburza mnie, że mówisz o nim w ten sposób.

— Jesteś zbyt niewinna, zbyt niebiańsko czysta, żeby zrozumieć zamiary mężczyzny tego pokroju! - zawołał marszcząc brwi. - On może oszukać Yardleya, ale ja na pierwszy rzut oka rozpoznałem, z kim mam do czynienia. To mężczyzna ze świata. Z oburzeniem myślę, że on dotykał twojej ręki. Kiedy zobaczyłem, jak patrzy na ciebie, to... na Boga, niewiele brakowało, bym go spoliczkował!

Venetia roześmiała się.

- Szkoda, że tego nie zobaczyłam! Nie, nie, przesadziłeś chyba. Doprawdy, to już staje się nie do zniesienia. Lord Damerel jest dżentelmenem, a gdyby nawet było inaczej, to nie jestem dzieckiem, które nie potrafi troszczyć się o siebie. Wszystko, co od ciebie słyszę, to są jakieś napuszone brednie. Twój ojciec powiedziałby zapewne, że odgrywasz mało zabawną farsę i miałby rację. Jeśli już chcesz dawać takie przedstawienia, to proszę bardzo, ale nie rób tego moim kosztem. Do widzenia... Pozdrów ode mnie lady Denny i powiedz jej, że Aubrey czuje się coraz lepiej i niewykluczone, że wkrótce już doktor Bentworth pozwoli mu wrócić do domu.

Zanim Oswald zdążył odpowiedzieć, Venetia skinęła głową i weszła do biblioteki.

Oswald wracał do Ebbersley dręczony mieszanymi uczuciami. Jego poczucie dumy zostało tak dotkliwie zranione słowami, które na pożegnanie usłyszał od Venetii, że przez co najmniej milę jego umysł zaprzętały plany zerwania z nią, nawet wyrzeczenia się wszelkich kontaktów towarzyskich z płcią piękną, a jeśli nie, to kultywowanie ich w szczególnie cyniczny sposób, dając młodym damom wyraźnie do zrozumienia, co kryje się za jego niewzruszoną postawą i sardonicznym uśmiechem.

Plan ten, chociaż sam w sobie pociągający, nie był jednakże łatwy do zrealizowania ze względu na obyczaje panujące w domu i skłonność lady Denny do leczenia cierpień duszy stosownymi pigułkami. Nie byłoby też łatwo uchościć w okolicy za tajemniczą postacią. Wszyscy znali się tu dobrze i nawet w Yorku nikt nie wzięby go za tajemniczego nieznajomego. Co więcej, razem z matką i starszą siostrą zmuszony był brać udział w balach

i przyjęciach. Gdyby odmówił, mogłoby dojść do awantury, a w rezultacie do interwencji ojca. Przyjęcie postawy romantycznego samotnika również nie byłoby możliwe. Na sali balowej nie mógł uniknąć spotkania dziewcząt, które znał od dziecka, i gdyby nie poprosił żadnej z nich do tańca, matka nie tylko skarciłaby go za niestosowne zachowanie, ale prawdopodobnie próbowałaby usprawiedliwić je bólem zęba albo atakiem woreczka żółciowego. W lepiej urządzonej sali ojciec młodego dżentelmena, który ukończył szkołę, zapewniłby mu dochody wystarczające, by mógł zamieszkać w Londynie i obracać się w eleganckim towarzystwie. Tutaj jednak świat był źle urządzonej, a sir John okazał się na tyle niedoświadczonym ojcem, by uznać i głośno o tym mówić, że skoro zapewnił synowi atrakcyjną podróż na Jamajkę, gdzie mieszkał jego brat, to teraz ma pełne prawo wymagać, by potomek osiadł w domu i zajął się prowadzeniem gospodarstwa, które przecież w przyszłości odziedziczy.

Na szczęście zanim Oswald zdążył na dobre ugrzęznąć w ponurych rozważaniach, przypomniał sobie, że w dawnych dobrych czasach rycerze i trubadurzy, zdradzani przez niewierne kochanki, zdolni byli do prawdziwie bohaterskich czynów. Im bardziej lekceważąco, żeby nie powiedzieć obraźliwie, potraktowany został adorator, tym mocniejsze było jego przywiązanie i tym większy ostateczny triumf, kiedy dokonane czyny stawały się dla niewiernej dowodem prawdziwej wartości porzuconego kochanka.

Wizja takiej właśnie drogi zdobycia podziwu Wenecji wystarczyła Oswaldowi, żeby zrezygnować z planów pozostania mizogynistą i sprawiła, że wrócił do Ebbersley w radosnym nastroju, w którym trwał, dopóki nie dotarło do jego świadomości, że blask przyszłej sławy przyćmiewa obecnie cień lorda Damerela. Do tego jeszcze sir John zażądał, by siadając do obiadu z matką i siostrami zamienił fular od Belchera na bardziej stosowny. Te dwie sprawy naturalnie wtrąciły go ponownie w ponury nastrój i nawet indyk z truflami podany na obiad nie był w stanie poprawić mu samopoczucia. Dobry apetyt jednakże zwyciężył, a ponownemu popadnięciu w ciężką melancholię przeszkodził sir John, proponując mu po obiedzie partię bilardu. Oswald nie gustował zbytnio w tak niewyszukanych rozrywkach, ale perspektywa pokonania ojca

sprawiła, że zapomniał o kłopotach, ożywił się i stał się rozmowny, zwłaszcza kiedy późnym wieczorem opisywał matce i siostrze swoje wspaniałe zwycięstwo. Doszło do tego, że kładąc się do łóżka skłonny był przyznać, że niepotrzebnie niepokoi się obecnością lorda Damerela. Przecież gdy tylko Aubrey wróci do Undershaw, lord niewątpliwie opuści Priory i przez dwanaście miesięcy nikt go tu nie zobaczy.

W dwa dni później nadeszła oczekiwana wiadomość, że Aubrey jest już w domu. Venetia w liście powiadomiła o tym fakcie lady Denny. Równocześnie, zupełnie jakby Opatrzność nagle zdecydowała się szczodłą ręką obdarować młodego pana Denny'ego, dotarła informacja, że Edward Yardley przez parę dni musi pozostać w łóżku, gdyż zachorował na wietrzną ospę. Widząc się uwolnionym od rywala, Oswald natychmiast wyruszył do Undershaw, by wykorzystać tak niezwykłą okazję. Niestety, zastał Venetię spacerującą po parku z Damerelem.

Był to ciężki cios, a do tego doszło jeszcze odkrycie, że Damerel nie zamierza natychmiast wyjechać z Priory. Oficjalnym powodem była konieczność doprowadzenia do porządku zaniedbanego przez długie lata majątku, ale prawdziwy powód wydawał się całkiem oczywisty: Venetia miała stać się jego łupem, a on polował na nią bezlitośnie, by, zdaniem Oswalda, zaspokoić swoje chwilowe żądze. Przecież wszyscy mówili o setkach jego niewinnych ofiar i Oswald nie miał powodu, by w to nie wierzyć czy też przypuszczać, że względ na opinię powstrzyma tego człowieka. Mężczyzna, który rozpoczął swoje podboje od uwiedzenia zamężnej damy, potem zadawał się z licznymi nierządnicami i nawet przed rokiem zamienił Priory w dom publiczny, zdolny był do każdej niegodziwości. Nawet jeśli o jego skandalicznej przeszłości nie dotarłyby do Yorku żadne informacje, to, zdaniem Oswalda, każdy, no może poza takim gburem jak Edward Yardley, kto raz na niego spojrzął, potrafiłby się zorientować, że ma do czynienia z korsarzem, który nie zawahałby się usidlić Venetii i wywieźć jej do obcych krajów, jak to zrobił z pierwszą kochanką, a potem porzucić ją, kiedy jej słodycz spowszedniałaby mu. Niewątpliwie już udało mu się ją oczarować. Nawet ci, którzy z taką pewnością mówią o zdrowym rozsądku Venetii, zmieniliby zdanie, gdyby zobaczyli wyraz jej

oczu, kiedy patrzy na niego. Te oczy zawsze pełne radości, nigdy nie promieniały taką czułością jak teraz. W pewnym momencie Oswald ze zgrozą stwierdził, że Venetia nagle zamieniła się w całkiem inną osobę, co przywiodło mu na myśl historię, usłyszaną zapewne od Aubreya, o posagu ożywionym przez jakiegoś boga czy kogoś w tym rodzaju. Nie znaczy to, że Venetia kiedykolwiek przypominała posąg, chociaż pomimo swej żywotności zawsze była chłodna i opanowana; uczuciowa, ale nigdy nie zaślepiona, nawet w stosunku do brata, którego kochała. Innym gotowa była ofiarować tylko przyjaźń. Tego rodzaju powściągliwe usposobienie odpowiadało Edwardowi Yardleyowi, gdyż uważał je za dowód skromności i dobrego wychowania. Z innego powodu podobało się też Oswaldowi. Dla niego najładniejsza w okolicy panna zamieniła się dzięki temu w księżniczkę z krainy baśni, której rękę zdobyć może tylko najodważniejszy, najszlachetniejszy i najprzystojniejszy z konkurentów. W chwilach marzeń Oswald wyobrażał sobie właśnie siebie w takiej roli: albo wzbudzał w niej uczucie swym urokiem i rozumem, albo ratował ją, nie licząc się z ryzykiem, na które nie odważył się stojący obok Edward, z płonącego domu, z rąk brutalnych napastników lub przed stratowaniem przez spłoszone rumaki. W tych marzeniach Venetia zawsze musiała zakochać się w nim namiętnie, zawstydzony i pokonany Edward odchodził ze spuszczoną głową, a wszyscy, którzy dotąd traktowali go jak dziecko, patrzyli na niego z podziwem, wyrażali się o nim z szacunkiem i czuli się zaszczytzeni, jeśli raczył przyjąć ich zaproszenie. Były to piękne marzenia, ale tylko marzenia. Oswald nie liczył na to, że kiedyś staną się rzeczywistością. Istotnie, prawdopodobieństwo, by Venetia znalazła się w płonącym domu, było niewielkie, a jeszcze mniejsze, by on zjawił się tam w stosownym momencie. Nie zanosilo się też na to, by w spokojnej okolicy pojawili się nagle brutalni rozbójnicy, a jeśli chodzi o rumaki, to Venetia znakomicie radziła sobie z końmi.

W tym, co się działo, Oswald dostrzegł jednakże pewien związek ze swymi marzeniami. Damerel, chociaż nie całkiem odpowiadał postaciom zrodzonym w wyobraźni, mógł być uznany za brutalnego napastnika. Niestety, Venetia, zamiast szukać ratunku, zdawała się z zadowoleniem przyjmować zaloty, zwiedziona maską, jaką

przybrał napastnik. Podobnie jak ten posąg została przywrócona do życia, ale nie przez bogów czy bohaterskiego młodego adoratora, ale przez swego uwodziciela.

Obserwując, jak na siebie patrzą, i słuchając ich lekkiej, pełnej humoru wymiany zdań wyczuwał, jak są sobie bliscy. Oswald ogarnęła taka nienawiść do Damerela, że nie mógł zmusić się do wzięcia udziału w rozmowie. Na wszelkie pytania odpowiadał tonem, który nawet w jego uszach brzmiał gburowato, zresztą po krótkiej chwili postanowił oddalić się. Nienawiść ta, znacznie bardziej intensywna niż niechęć, jaką odczuwał do Edwarda Yardleya albo zazdrość wywołana przez każdego innego rywala miała jeszcze inne źródło. Oswald dostrzegał w Damerelu romantyczną postać, taką, jaką sam chciałby się stać. Był on zuchwałym, wyjętym spod prawa obywatel, o przeszłości naznaczonej licznymi zbrodniami, w głębi duszy kryjącym ciemne tajemnice. Gdyby nie istnienie Venetii, Oswald z pewnością próbowałby naśladować jego styl, jego niekonwencjonalny sposób bycia i zrobiłby wszystko, żeby zachowywać się z taką samą swobodą i pewnością siebie. Wszystkie te cechy były dla niego godne podziwu, ale dostrzeżone u rywala wzbudzały głęboki sprzeciw. Zdał sobie sprawę, że znalazłby się na straconej pozycji, próbując odgrywać rolę korsarza w obecności prawdziwego Byronowskiego Korsarza.

Gdyby sir John wiedział, jakie uczucia rodzą się w duszy syna, żałowałby zapewne, że nie wysłał go do Oksfordu lub Cambridge, ale tak zdołał już przywyknąć do zmiennych nastrojów Oswalda wynikających z jego cięłej miłości do Venetii, że przestał zwracać na nie uwagę. Miał jedynie nadzieję, że ta faza uczuć będzie równie krótkotrwała, jak gwałtowna, i tylko pragnął, by syn nie robił z siebie głupca. Lady Denny wykazywałaby z pewnością więcej współczucia, gdyby miała czas obserwować syna. Tak się jednak złożyło, że Edward Yardley, któremu zdaniem lady Denny nie wystarczyło, że sam jest chory, zaraził ospą wietrzną Annę, najmłodszą latorośl rodziny, gdy spotkał ją w czasie spaceru, zanim rozchorował się na dobre. Lubił dzieci i był na tyle uprzejmy, że pozwolił jej dosiąść swojego konia. To właśnie wtedy musiało dojść do zarażenia. Annę, nie tracąc czasu, przekazała zarazki swojej siostrze Luizie i jednej z pokojówek. Od tej pory lady

Denny żyła w oczekiwaniu na pierwsze oznaki choroby u Elizabeth, nie miała więc czasu zajmować się przeżyciami jedynego syna.

Nie mając bliskich przyjaciół w sąsiedztwie, a pozbawiony chwilowo towarzystwa siostr Oswald pograżał się w ponurych rozmyślaniach o fatalnych rezultatach przedłużającej się obecności Damerela w Priory. Doszedł wkrótce do wniosku, że przed jego pojawieniem się był na najlepszej drodze do zdobycia Venetii. Przywoływał w pamięci każdy objaw jej uprzejmości i nadając im wielkie znaczenie, a pomniejszając drobne porażki, nabierał coraz mocniejszego przekonania, że to lord osłabił jego pozycję, i teraz, w każdej wolnej chwili, zastanawiał się, jak odzyskać ukochaną.

Nie znalazł jeszcze satysfakcjonującego rozwiązania tego problemu, kiedy stał się nieoczekiwanie świadkiem zdarzenia, które dodatkowo zepsuło mu samopoczucie. Przyjechawszy do Undershaw pod jakimś błahym pretekstem, zaraz na wstępie, zsiadając z konia na dziedzińcu, zobaczył, jak stajenny Aubreya prowadzi do stajni pięknego siwka Damerela. Fingle z chłodnym uśmiechem powiedział mu, że jego lordowska mość przyjechał nie wcześniej niż pięć minut temu i przywiózł książki dla panicza Aubreya. Oswald nic nie powiedział, ale przybrał tak groźną minę, że uśmiech stajennego wyrażał już teraz czyste rozbawienie.

Ribble otwierając Oswaldowi drzwi poinformował go, że Venetia jest chyba w ogrodzie, a na pytanie o Damerela potrząsnął tylko głową i powiedział, że nie widział dzisiaj jego lordowskiej mości.

- Czyżby? - zdziwił się Oswald. - Przecież jego koń jest w stajni.

Ribble nie wydawał się tym zaskoczony, a raczej nieco zakłopotany, i po chwili wahania wyjaśnił, że jego lordowska mość bardzo często wchodzi do domu przez ogród, wejściem, które sir Francis kazał zrobić w przedpokoju przy swojej bibliotece.

- Jego lordowska mość często przywozi Aubreyowi książki - dodał widząc zaskoczenie Oswalda. - Zwykle potem rozmawiają przez dłuższy czas, jak mi się zdaje, o tym, co w tych książkach wyczytali.

Oswald nie zwrócił uwagi na ton zaniepokojenia w głosie lokaja, którego uważał za starego durnego zrzędę. Odwrócił się na pięcie i powiedział, że skoro panna Lanyon jest w ogrodzie, to spróbuje

ją tam odszukać, gdyż właśnie do niej, a nie do panicza Aubreya wybrał się z wizytą. Zbiegł ze schodów płonąć gniewem. Nawet Edward Yardley, od lat odwiedzający Undershaw nie cieszył się takimi przywilejami jak ten obcy awanturnik, któremu pozwolono chodzić tam, gdzie zechce, bez zachowania stosownych form.

W ogrodzie nie było Venetii, postanowił więc korzystając z przykładu Damerela wejść do domu tylnym wejściem, do którego, jak sobie przypomniał, droga prowadziła przez sad. Nagle, zanim tam się znalazł, usłyszał głos Venetii poprzedzony wybuchem wesołego śmiechu. Głos dobiegał od strony starej stodoły od wielu lat wykorzystywanej jako skład narzędzi ogrodniczych, a zarazem jako warsztat Aubreya, który lubił niekiedy zabawiać się pracami stolarskimi. Oswald nie miał wątpliwości, kto odpowiedział na słowa Venetii, i wprawiło go to w taką furję, że nie zastanawiając się nad niestosownością swego zachowania podbiegł bliżej i zatrzymał się obok podwójnych, szerokich drzwi stodoły, skąd mógł, nie widziany, dokładnie słyszeć dobiegające z wnętrza głosy. Ostrożnie zerknął do środka, ale nie zobaczył Venetii, tylko Damerela stojącego tyłem do wejścia z głową odchyloną tak, jakby Venetia znajdowała się gdzieś powyżej niego.

Zdumiało to Oswalda, który nigdy nie był w stodole, ale istotnie Venetia stała na szerokiej antresoli, gdzie wspierała się, korzystając z drabiny, po to, by zaopiekować się gromadką małych głodnych kotków, pozbawionych od wielu godzin opieki matki, którą prawdopodobnie spotkało coś złego. Damerel najwidoczniej usłyszał nawoływania Venetii i natychmiast pośpieszył jej z pomocą.

- Ta drabina stoi bardzo niepewnie i boję się zejść po niej razem z kotkami - wyjaśniła.

- W koszyku ma pani kotki? - zapytał Damerel. - Jak, u licha, one tam weszły?

- Och, one tutaj się urodziły. Nasza kuchenna kotka zawsze w tej stodole ma małe. Boję się tylko, że tym razem coś jej się stało i te biedne maleństwa bliskie są śmierci z głodu. Nie mogę się z tym pogodzić, chociaż nie wiem, czy i tak nie trzeba będzie ich utopić.

- Niewiele to lepsze niż śmierć głodowa .- powiedział. - Ale taki jest los sierot.

Venetia przyklęła na krawędzi antresoli i podała mu koszyk. Damerel odstawił go na podłogę, a potem znów spojrział w górę uśmiechając się szatańsko.

- Może potrzymać pani drabinę, moja radości?
- Dziękuję, nie jest to konieczne - odparła zdecydowanie

Venetia.

- Mówiła pani przecież, że stoi niepewnie.
- Tak, ale skoro weszłam po niej, to i zejść.
- A może ja tam wejść, bo boli mnie już kark od zadzierania głowy.

Spojrziała na niego śmiejącymi się oczami, ale odpowiedziała poważnie:

- Nie, nie wejdzie pan! A równocześnie wie pan dobrze, że nie mogę zejść, dopóki pan tam stoi i patrzy na mnie.
- Skoro pani nie może...

Damerel podniósł drabinę i położył ją na podłodze, co wywołało głośny protest Venetii.

- Ależ pan jest okropny! - zawołała. - Proszę przystawić drabinę i odejść!
- O, nie! — odpowiedział uśmiechając się.
- To nie jest rycerskie postępowanie!
- Wręcz przeciwnie. Przecież ta drabina jest niebezpieczna.

Venetia próbowała przybrać surowy wyraz twarzy, ale bez rezultatu.

- Drogi przyjacielu, nie dość, że zachowuje się pan nie jak dżentelmen, to jeszcze próbuje mnie pan oszukać. Proszę przystawić tę rzekomo niebezpieczną drabinę i nie przyglądać mi się dłużej.

- Kiedy jestem zdumiony, jak zachwycająco wygląda pani twarz oglądana pod takim kątem.

Venetia cały czas klęczała na krawędzi antresoli i patrzyła wprost na niego.

- Ależ to nie ma sensu, co pan mówi. A teraz proszę przestać zachowywać się jak niesforny uczeń i przystawić drabinę.
- Nie, nie zrobię tego.
- Zamierza mnie pan tu więzić? Ostrzegam, że jak tylko się pan odwróci, zeskoczę na dół.

- Proszę nie czekać, tylko od razu skoczyć - powiedział.
- Złapię panią.

- Dziękuję. Nie mam ochoty, żeby pan mnie łąpał.

- Pewno ze strachu, że mogę panią upuścić. Czyżby panna Lanyon z Undershaw była tchórzem?

- Też! Coś takiego! - oburzyła się Venetia. Potem obwinęła spódnicę ciasno wokół kolan, opuściła nogi poza krawędź antresoli i zsunęła się wprost w ramiona Damerela.

Złapał ją i przytrzymał w mocnym uścisku, ale dalsze jego zamiary legły w gruzach, gdyż w tym momencie pojawił się Oswald.

Zamierzał nakazać Damerelowi uwolnienie Venetii, a w razie potrzeby gotów był wyrwać ją z jego ramion, ale lord nie dając po sobie poznać, jak bardzo jest zaskoczony i zirytowany jego niespodziewanym przybyciem, postawił ją na ziemi. Oswald w tym momencie nie był w stanie nic powiedzieć. Stał tylko i groźnie patrzył na swego rywala.

Venetia, nie mniej niż Damerel zdumiona pojawieniem się Oswalda, również nie zdradziła swego rozczarowania.

- Och, to ty, Oswaldzie - powiedziała. - Jaka szkoda, że nie zjawiłeś się chwilę wcześniej. Mógłbyś odegrać rolę błędnego rycerza ratującego damę z opresji. Nie uwierzysz, ale lord Damerel podstępem usunął drabinę - roześmiała się i spojrzała na Damerela.

- Wie pan co? Bardzo przypomina mi pan mego brata Conwaya.

- Nic gorszego nie mogłem usłyszeć - mruknął Damerel, potem spojrzał na czerwoną jeszcze z gniewu twarz Oswalda z pewnym rozbawieniem, ale i ze złością. - Pójdę odwiedzić Aubreya - powiedział chłodno.

Stojący ciągle w drzwiach Oswald zawahał się, ale po krótkiej chwili niezdecydowania odsunął się i pozwolił mu przejść.

- Muszę zanieść te nieszczęsne kotki do domu - powiedziała Venetia podnosząc koszyk. - Na szczęście już widzą, więc może potrafią pić mleko z miseczki.

- Zaczekaj! - powstrzymał ją Oswald.

- Dlaczego? - spojrzała na niego pytająco.

- Muszę z tobą porozmawiać. Ten facet...

- Jeśli, jak przypuszczam, masz na myśli Damerela, to nie życzę

sobie, żebyś mówił o nim „ten facet”. Nie przystoi wyrażać się w ten sposób o mężczyźnie znacznie starszym od ciebie, zwłaszcza jeśli nie masz do tego powodu.

- Nie mam powodu? - zawołał. - Przecież zastałem go, jak w niecnym celach zmuszał cię...

- Bzdura!

- Jak możesz coś takiego mówić? - Twarz Oswalda spąsowiła.
- Widziałem i słyszałem...

- Nic nie widziałeś ani nie słyszałeś. Do niczego mnie nie zmuszał. Ty też mnie nie zmusisz - powiedziała spokojnie.

- Nic nie rozumiesz! Ty...

- Wszystko dobrze rozumiem.

Oswald patrzył na nią coraz bardziej zakłopotany.

- Ty nic nie wiesz o tego rodzaju mężczyznach. Dałaś się zwieść jego galanterią i wydaje ci się, że nic ci nie grozi, ale gdybyś wiedziała, jaką on ma fatalną reputację...

- Wiem, i to chyba lepiej niż ty.

- Ten człowiek jest rozpustnikiem! Żadna kobieta nie powinna się przy nim czuć bezpiecznie.

Venetia parsknęła śmiechem.

- Oswaldzie, proszę cię, przestań pleść bzdury. Nawet nie wiesz, jakie głupstwa opowiadasz.

- Ależ to prawda! - zawołał z przejęciem.

- Tak, może lord Damerel jest rozpustnikiem, ale zapewnił cię, że nie masz powodu niepokoić się o mnie. Wiem, że robisz to szczerze, ale będę ci bardzo zobowiązana, jeśli przestaniesz opowiadać takie brednie.

Przez chwilę patrzył na nią płomiennym wzrokiem, a potem wyrzucił z siebie:

- Zostałaś chyba zaczarowana!

- Czyżby? - Iskierki rozbawienia rozbłysły w oczach Venetii.

- No dobrze, ale nie przejmuj się tym. Poza wszystkim to jest wyłącznie moja sprawa. A teraz muszę zanieść te kotki do kuchni i zorientować się, co można dla nich zrobić.

Oswald zagroził jej drogę.

- Musisz mnie wysłuchać - zażądał. - Chcesz się mnie pozbyć, ale to ci się nie uda.

Popatrzyła na niego przez chwilę, a potem usiadła na ławie i splotła dłonie na kolanach.

- Bardzo proszę - powiedziała z rezygnacją. - A więc mów, czego sobie życzysz. Nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić.

Nie zabrzmiało to zbyt zachęcająco, ale Oswaldowi tyle słów cisnęło się na usta, tyle razy powtarzał je sobie w myślach, że nie zniechęcił się wcale. Lekko zacinając się zaczął przemawiać, początkowo jak doświadczony, bywały w świecie mężczyzna karcący niewinną, lekkomyślną panienkę, ale wkrótce przeszedł do surowego potępienia Damerela, a wreszcie do gorących miłosnych wyznań. Trwało to dość długo, ale Venetia nie próbowała mu przerwać ani nie śmiała się, chociaż młody wielbiciel przemawiał z coraz większym patosem. Wszystko wskazywało na to, że w swoim mniemaniu zakochany jest znacznie mocniej, niż można było sądzić. Pewne jego wypowiedzi świadczyły o tym, że przekonany jest o wzajemności Venetii i tylko urok rzucony przez Damerela przeszkadzał dalszemu pomyślnemu dla nich obojga rozwojowi sytuacji. Chociaż Venetia wiedziała, że nigdy nie zrobiła nic, co mogłoby go ośmielić, wyrzucała sobie, że nie potrafiła zapobiec temu, by ten wrażliwy i pobudliwy chłopiec z romantycznymi skłonnościami jej siostrzaną do niego sympatię wziął za coś głębszego. Pozwalała mu mówić mając nadzieję, że gdy te zagmatwane gorące uczucia kłębiące się w nim znajdą ujście w słowach, Oswald poczuje się nieco lepiej, a nawet odrobinę się zawstydzi. Kiedy jednakże zaczął nalegać, by wyszła za niego za mąż, a nawet zaznajomił ją z planami podróży poślubnej do dalekich zakątków świata, mającej trwać całe trzy lata, doszła do wniosku, że nadszedł czas, by mu przerwać i spokojnie doprowadzić do tego, by odkochał się równie szybko, jak się zakochał. Skorzystała z chwili przerwy, kiedy z przejęciem wpatrywał się w jej twarz, by stwierdzić, jaki efekt wywarły na niej jego słowa, podniosła się, wzięła w rękę koszyk z kociętami i spokojnie powiedziała:

- No dobrze, Oswaldzie, jeśli skończyłeś już z tymi nonsensami, to posłuchaj teraz, co ja mam do powiedzenia. Zachowałeś się impertynencko, ale nie zamierzam robić ci wyrzutów, bo widzę, że ubzdurałeś sobie, że byłam niemal zaręczona z tobą i dopiero

przyjazd lorda Damerela wszystko popsuł. Nie rozumiem tylko, jak mogłeś przypuszczać, że mogłabym zainteresować się młodzieńcem niewiele starszym od Aubreya. Dobrze byłoby, żebyś wyleczył się z takiego chorobliwego fantazjowania i nauczył myśleć nieco rozsądniej. Wydaje mi się, że twory swojej wyobraźni uważasz za realne fakty i w rezultacie zaczynasz wygłaszać absurdalne opinie. Spróbuj na przykład zastanowić się, co by się stało, gdybym była równie nierozsądna jak ty i zgodziła się wyjść za ciebie. Czy naprawdę sądzisz, że sir John i lady Denny nie mieliby nic do powiedzenia w sprawie twojego małżeństwa?

- Choćby nie wiem co mieli do powiedzenia, nie zmieniłbym zdania - stwierdził stanowczo.

- Naprawdę? Myślisz, że wyjedziesz za granicę i weźmiemy ślub, mimo że nie masz stosownego wieku? Ładny kawał zrobiłabym twoim rodzicom. A co potem? Udalibyśmy się w tę cudowną podróż? Nie byłaby ona aż tak cudowna, jak ci się wydaje. W końcu brakuje nam skrzydeł, żeby polecieć tak daleko, a chyba nie jesteś na tyle naiwny, by sądzić, że sir John czułby się zobowiązany zapewnić ci tak okazałą sumę, żebyś mógł czuć się niezależny. - Przerwała i nie mogła ukryć uśmiechu na widok nagłej zmiany wyrazu twarzy Oswalda. Nachmurzony, ze spuszczoną głową, wyglądał teraz jak surowo skarcony uczeń. Venetia odniosła wrażenie, że pozbył się swoich uczuć co najmniej w połowie. Powoli ruszyła w stronę wyjścia, ale mówiła dalej:

- No i widzisz, jakie to wszystko niemądre, prawda? Nie mówmy już o tym więcej. Kiedy osiągniesz mój wiek, na pewno zakochasz się w jakiejś panience, która teraz jest jeszcze uczennicą, i wtedy wspominając mnie, w co zresztą wątpię, będziesz się sam dziwił, jak mogłeś robić z siebie takiego durnia. A teraz bądź tak dobry, wracaj do domu i przestań kręcić się koło mnie.

W tym momencie Oswald prawdopodobnie nienawidził jej bardziej, niż przedtem uwielbiał, ale w ogromnym wzburzeniu nie był w stanie zdefiniować ściślej swych uczuć. W tej mieszaninie bólu i furii, w którą wtrąciły go słowa Venetii, jedno tylko wiedział wyraźnie: potraktowany został jak uczeń.

- Uważasz, że jestem za młody do miłości, prawda? Mylisz się - powiedział głosem drżącym z emocji.

Mówiąc te słowa zatrzymał ją i nim zorientowała się w jego intencjach, gestem niezbyt wprawnym chwycił ją w ramiona.

Venetia bardziej niż sobą przejęta kociećtami, które o mało nie wypadły z koszyka, zawołała ostrym tonem:

- Uważaj! Ach, ty dumny chłopaku, uspokój się i natychmiast pozwól mi odejść.

Jednakże Oswald, który nigdy jeszcze nie trzymał dziewczyny w ramionach, doznał nowych ekscytujących wrażeń. Zamiast uwolnić, ścisnął ją jeszcze mocniej i pocałował najpierw w ucho, potem w czoło, a wreszcie w policzek w kolejnej próbie dosięgnięcia jej ust. W przerwach zduszonym głosem pytał:

- Ja? Ja jestem dzieckiem? Zaraz ci pokażę!

- Oswaldzie, przestań! Jak śmiesz!... Och, dzięki Bogu!

Oswald miał tylko parę sekund, żeby zastanowić się nad znaczeniem tego ostatniego okrzyku i zrozumieć, dlaczego Venetia nagle przestała się bronić. Silna dłoń jak imadło zacisnęła się na jego chustce związanej na szyi, tak że prawie stracił oddech, druga dłoń złapała go za bryczesy, oderwany został raptownie od Venetii, a potem jednym gwałtownym pchnięciem wyrzucony na dziedziniec przez otwarte drzwi stodoły.

9

Po zdecydowanym i nieco brutalnym potraktowaniu Oswalda Damerel spojrzał pytająco na Venetię.

- Co pani zrobiła, że ten chłopiec został doprowadzony do stanu takiego wzburzenia? - zapytał.

- Próbowałam wyleczyć go z idiotycznej, raczej przesadnej sympatii do mnie - odparła ciągle jeszcze zdenerwowana Venetia.

- A więc o to chodziło - powiedział Damerel wyraźnie roz-
bawiony. Spojrzał w stronę Oswalda, który podnosił się z ziemi,
i dodał: - Najlepiej byłoby, gdyby się pani teraz dyskretnie
oddaliła, bo o ile się orientuję, ten niezrównoważony wielbiciel
będzie zaraz próbował rozprawić się ze mną.

- Och, nie, na pewno nie! - zawołała śmiertelnie przerażona
Venetia. - Niech pan to mnie zostawi! Proszę natychmiast odejść!

Ominęła go i poszła w kierunku drzwi, akurat w momencie gdy
Oswald, oprzytomniawszy nieco, ruszył z zaciśniętymi pięściami
w stronę Damerela. Napotkawszy ją na swojej drodze, musiał
zatrzymać się, a zanim zdołał odepchnąć ją na bok, co zapewne
zamierzał zrobić, kierowany ślepym gniewem, usłyszał od niej
słowa, które podziały na niego jak zimny prysznic.

- Znow chcesz urządzać jakieś prostackie widowisko? Ostrze-
gam cię, Oswaldzie, że jeśli jeszcze raz zachowasz się nie-
stosownie, sir John dowie się o tym, co się tu stało. Postąpiłeś
jak człowiek źle wychowany. Chciałabym oszczędzić twojemu
ojcu takiej przykrości, a twojej mamie zdenerwowania, więc
jeśli chcesz, żebym nic im nie powiedziała, to nie zmuszaj
mnie do tego.

Oswald zaczerwienił się i i wydukał:

- Przykro mi... to nie było... Ja nie chciałem...
- Dobrze, już dobrze. Nie musisz więcej mówić - przerwała mu.
- Nie powiem o tym nikomu i, możesz być pewny, lord Damerel również. A teraz wracaj do domu.

Zdecydował się odejść i chociaż cisnęły mu się na usta ostre słowa, ukłonił się tylko sztywno i powiedział:

- Proszę przyjąć wyrazy mojego ubolewania. Obiecuję, że nigdy nie sprawię pani kłopotów. - Potem z nienawiścią spojrzął na Damerela, dotknięty jego spokojem, i wyrzucił z siebie gwałtownie: - Jeśli chodzi o pana... to ja... - przerwał, a po chwili dodał tonem lodowato oficjalnym: - Wasza lordowska mość usłyszysz jeszcze o mnie.

Potem ukłonił się i odszedł.

- „Biada ci, nieszczęsny Yoricku” - zauważył Damerel. - Niewesołe przede mną perspektywy.

- Tak, i ja tak sądzę - zgodziła się Venetia i zmarszczyła czoło.

- Wyrzucam sobie teraz, że nie potraktowałam go ostrzej, gdy tylko zaczął mnie emablować. Gdyby mi przyszło do głowy, że jest to coś więcej niż tylko cieleca miłość, która szybko minie, to oczywiście postąpiłabym inaczej.

- Jeśli się nie mylę, to ja ponoszę winę za jego dzisiejszy wybuch, a nie pani. Ten durny chłopak ma ochotę zamordować mnie od momentu, gdy pierwszy raz mnie zobaczył.

- Tak, to prawda - spojrzała na niego z wyrzutem. - Och, mój drogi, on chyba nie popełni jakiegoś głupstwa.

Damerel uśmiechnął się.

- Nie ma obawy. Przecież Oswald nie siebie chce uśmiercić. Proszę się nie przejmować. Jestem gotów założyć się o każdą sumę, że zanim dojedzie do Ebbersley, złość mu w znacznym stopniu minie. Zapewne rozkoszować się będzie wizją mojego ciała leżącego bez życia na ziemi w odległości dwudziestu jardów od niego. Albo swojego. Na Boga, oczywiście że swojego! W ten sposób będą panią dręczyć przez całe życie wyrzuty sumienia, a ja, znenawidzony przez wszystkich, zmuszony zostanę do ucieczki z kraju. Moi sekundanci również odwrócą się ode mnie, bo nawet gdybym nie wypalił przed podaniem sygnału lub nie popełnił innego, równie nikczemnego wykroczenia, to i tak z takiego czy

innego powodu zasługiwałbym na pogardę, podczas gdy on zyskałby współczucie i podziw ze względu na szlachetne postępowanie, niewzruszony spokój i odwagę.

Venetia nie mogła powstrzymać się od śmiechu, ale nie pozbyła się niepokoju.

- Wiem, co miał na myśli, kiedy powiedział, że pan jeszcze o nim usłyszysz, ale czy on naprawdę może popełnić takie głupstwo? Przypuszczam, że przemyśli wszystko i uspokoi się. Jeśli zechce pojedynkować się z panem, to czy musi pan przyjąć takie wyzwanie?

- Przyjąć wyzwanie od chłopca, który nie stracił jeszcze mlecznych zębów? Co też pani opowiada! Nie mogę tego zrobić!

- Dzięki Bogu! - odetchnęła z ulgą. - A swoją drogą to Oswald zasłużył na porządną nauczkę. Niewiele brakowało, a upuściłabym przez niego te nieszczęsne kocięta. Miauczą biedactwa tak rozpaczliwie, że nie mogę już tego dłużej znieść.

- Zgadzam się, że Oswaldowi jest potrzebna surowa lekcja. To jasne, że najpierw powinien być coś zrobić z tymi stworzonkami - powiedział Damerel, wyjmując z jej rąk koszyk i odstawiając na podłogę. - Przecież kiedy była pani zajęta ich bezpieczeństwem, nie mógł oczekiwać niczego innego jak surowej odprawy. Powinien najpierw odstawić koszyk, a dopiero potem wziąć panią w ramiona, o tak, delikatnie, a nie jak gdyby był niedźwiedziem trzymającym zdobycz w śmiertelnym uścisku. Nie podoba mi się również to całowanie całej twarzy. Jeśli mężczyzna nie może skłonić dziewczyny do pocałunku podstępem lub gorącym spojrzeniem, to powinien ująć ją dłonią pod brodę ... o właśnie tak, moja radości...

Nie opierała się i uniosła twarz bez jego pomocy. Zarumieniła się nieco, ale cały czas patrzyła mu ufnie w oczy.

On również uśmiechał się, ale w pewnym momencie zauważyła, że uśmiech zamarł na jego twarzy, zastąpił go wyraz zadumy. Ciągłe obejmował ją ramieniem, ale wydało jej się, że nagle znieruchomiał. Słyszała jego przyspieszony oddech, a w następnym momencie głos Aubreya wołającego jego imię. Uwolniła ją z uścisku i odwróciła się, by odpowiedzieć Aubreyowi. Patrzyła na niego niepewnie, gdyż miała wrażenie, że to nie nawoływanie brata powstrzymało go od pocałunku, ale jakaś nagła myśl, która zagościła w jego mózgu.

Aubrey utykając zbliżał się ku nim.

- Co ty tu, u licha, robisz? - zapytał. - Ribble mówił, że pytałeś o mnie.

- To prawda, ale skierował mnie do biblioteki, gdzie cię nie zastałem. Chciałem ci tylko przekazać Reida „Intellectual Powers”, więc zostawiłem książkę na biurku.

- Och, znakomicie. Ribble, gdyby tylko potrafił myśleć, wiedziałby, że jestem w zbrojowni. A propos: znalazłem ten fragment. To był Wergiliusz, ale w georgice, a nie w czwartej idylli. Chodź do domu, to ci pokażę.

- Wierzę ci na słowo. Nie mogę jednak zostać dłużej. Mam niejasne przeczucia, że jeśli będę zwlekał z odjazdem, każą mi utopić kilka małych kociąt, a wolę ten obowiązek zostawić tobie.

- Ach, to dlatego tutaj jesteś - zwrócił się Aubrey do siostry.

- Tak, pamiętam, że przy śniadaniu mówiłaś coś na ten temat.

- Zerknął przelotnie na osierocone kocięta i dodał: - Niech się tym zajmie Fingle. On je utopi za ciebie.

- Wstydzilibyś się! Czyżbyś był zupełnie bez serca? - powiedział Damerel żartobliwym tonem. Potem wyciągnął rękę do Venetii.

- Muszę już iść. On ma rację. Tych kociaków nie uda się pani uratować.

Przytrzymał dłużej jej dłoń, a potem, jakby ulegając wewnętrznemu przymusowi, podniósł ją do ust i ucałował. Ich wzrok spotkał się przelotnie, ale ona odczytała w jego oczach odpowiedź na pytanie, jakie zrodziło się w jej sercu. Cień wątpliwości, który przed chwilą przyćmił jej szczęście, zniknął nagle.

Jednakże Fingle, obserwując ukradkiem Damerela w czasie siodłania dlań konia, zauważył, że jest on w wyjątkowo ponurym nastroju. Na ogół jego lordowska mość nie skąpił miłych słów ludziom usługującym mu, tym razem jednak ograniczył się do zdawkowego „dziękuję”. Nie zapomniał oczywiście o zwyczajowym napiwku, ale wręczył go bez uśmiechu. Najwyraźniej myślał o czymś innym, i to chyba niezbyt przyjemnym, jak wywnioskował Fingle z wyrazu jego twarzy. Damerel nie śpieszył się w drodze powrotnej do Priory. Przez większą część drogi pozwolił siwkowi iść stępą. Wyraz zadumy nie zniknął z jego twarzy, a raczej pogłębiał się. W pewnym momencie Crusader przestraszył się

bażanta, który nagle poderwał się do lotu niemal spod jego kopyt. Koń zatrzymał się, podniósł głowę i parsknął głośno. Wyrwało to Damerela z zamyślenia. Ściągnął cugle, pochylił się i poklepał wierzchowca po karku.

- Och, ty stary głupcze - powiedział. - Zupełnie jak twój pan, tyle że on jest jeszcze głupszy. „Czy ona uczyniłaby ze mnie świętego, czy ja z niej grzesznicę...” Kto to, u diabła, napisał? Ty nie wiesz, a ja zapomniałem, ale tak czy inaczej to nie ma znaczenia. Na to pierwsze jest już zbyt późno, stary przyjacielu, zbyt późno! A jeśli chodzi o to drugie... może i miałem taki zamiar, ale szybko odkryłem, że nawet gdybym mógł, nie zrobiłbym tego... Ruszaj! Ruszaj!

Crusader ruszył kłusem i w ten sposób dojechali do miejsca, gdzie za zakrętem ukazała się główna brama na drodze prowadzącej do Priory. I tutaj właśnie Damerel zobaczył znajomą postać samotnego jeźdźca.

- Ten cholerny chłopak - mruknął pod nosem.

Młody pan Denny obejrzał się przez ramię, po czym zajął pozycję na środku drogi z wyraźnym zamiarem zatrzymania każdego, kto chciałby go ominąć. Groźnie zacisnął usta, ale nie mógł skutecznie ukryć zakłopotania widocznego na jego twarzy.

Zapalczywość, nad którą nie potrafił zapanować, sprawiła, że znalazł się w kłopotliwej sytuacji i nie wiedział, jak teraz wycofać się z honorem. Istotnie, po opuszczeniu Undershaw w stanie najwyższego wzburzenia, przez pewien czas jego myśl biegła takim torem, jak przewidywał Damerel, ale nawet największa furia nie może trwać zbyt długo. Dzięki temu, że Damerel nie śpieszył się w drodze powrotnej do Priory, Oswald miał dość czasu, by jego złość zmieniła się w urazę i przez dobre pół godziny, zanim na drodze pokazał się siwek lorda, próbował zebrać myśli i wyprowadzić je ze świata fantazji. Od momentu kiedy dotarło do niego, że upokorzenie, jakiego doznał, było rezultatem jego własnego zachowania, zaczął inaczej patrzeć na całą sprawę. Nagle uświadomił sobie, że Damerel odegrał dokładnie tę rolę, w której widział siebie: a więc łotr uwolnił damę od bohatera! To spostrzeżenie było tak przerażające, że przez pewien czas nie widział dla siebie innego wyjścia, jak tylko natychmiast uciec z Yorkshire

i spędzić życie w odosobnieniu, najlepiej w jakimś odległym zakątku świata. Następnym, bardziej racjonalnym planem było zaniechanie myśli o wyzwaniu Damerela na pojedynek. Ruszył już nawet w stronę domu, gdy inna fatalna myśl przyszła mu do głowy: rzucił pod adresem Damerela wielce znaczące słowa i teraz, jeśli się wycofa, Damerel pomyśli, że zrobił to ze strachu. Zawrócił więc w stronę Priory, gdyż nie mógł dopuścić do tego, by ten nikczemnik mówił o nim, że ma mniej odwagi niż zając. Tak, musi dojść do pojedynku, ale Oswald nie potrafił już teraz wzbudzić w sobie poprzedniej zawziętości. Przyszło mu do głowy niejasne podejrzenie, że ktoś lepiej niż on znający kodeks honorowy mógłby uznać jego postępowanie za niewłaściwe, toteż kiedy ujrzał na wprost siebie Damerela, chętnie oddałby wszystko, co posiada, byle tylko znaleźć się jak najdalej stąd.

Damerel ściągnął wodze siwka i spojrzał na swego młodocianego rywala z sardonicznym uśmiechem.

- Do kompletu brakuje panu tylko maski i dwóch pistoletów - zauważył.

- Czekałem tu na pana, milordzie - oznajmił Oswald przez zaciśnięte zęby.

- Domyślam się.

- Sądzę, że wasza lodowska mość wie dlaczego. Powiedziałem, że usłyszysz pan jeszcze o mnie.

- To prawda, ale miał pan dostatecznie dużo czasu, żeby sobie wszystko przemyśleć. Niech pan spróbuje wykazać nieco rozsądku i wraca do domu.

- Czy sądzi pan, że się boję? - zapytał zapalczywie Oswald.

- O, nie, milordzie.

- Nie widzę powodu, żeby pan miał się bać - powiedział Damerel. - Musi pan przecież wiedzieć, że nie mogę przyjąć pańskiego wyzwania.

- O niczym takim nie wiem! - wybuchnął Oswald. - Jeśli chce pan przez to powiedzieć, że nie jestem godzien pańskiej szpady, to pozwolę sobie poinformować pana, sir, że jestem równie dobrze urodzony jak pan.

- A ile ma pan lat?

Oswald spojrzał na Damerela. W oczach, które mierzyły go

obojętnie od stóp do głów, dostrzegł lekceważenie, co sprawiło, że ogarnęło go prymitywne pragnienie, by uderzyć pomiędzy nie pięścią.

- Mój wiek nie ma znaczenia - warknął.

- Przeciwnie, ma, i to zasadnicze.

- Nie zważam na to i pan również nie powinien brać mojego wieku pod uwagę. Bywałem tu i ówdzie, i znam miejsca, gdzie...

- przerwał uświadomiwszy sobie, że rozmawia z człowiekiem, który widział znacznie więcej niż on.

- Jeśli odwiedził pan miejsca, gdzie mężczyzna w moim wieku może przyjąć wyzwanie od chłopca, który mógłby być jego synem, to znaczy, że obracał się pan w nieco podejrzanym towarzystwie.

- Tak czy inaczej, uważają mnie za nie najgorszego strzelca - powiedział Oswald.

- Przeraża mnie pan. A z jakiego powodu chce mnie pan wyzwąć na pojedynek?

Przez chwilę ich oczy spotkały się, ale Oswald nie wytrzymał wzroku Damerela.

- Nie nalegam na odpowiedź. - Crusader powoli ruszył do przodu.

- Proszę zaczekać! - zawołał Oswald. - Nie wolno panu tak mnie lekceważyć! Ja wiem, że nie powinienem był... Wcale nie chciałem... Nie wiem, jak do tego doszło... ale pan też nie musiał...

- zamilkł szukając odpowiednich słów.

- Proszę mówić dalej - zachęcił go Damerel. - Nie miałem powodu, żeby pośpieszyć na pomoc pannie Lanyon, gdy znalazła się w sytuacji, która jej wyraźnie nie odpowiadała? To pan chciał powiedzieć?

- Do diabła, nie! - Oswald nadal szukał stosownych słów, by dać wyraz swoim zagmatwanym myślom, wreszcie z rezygnacją stwierdził: - Nic pan nie rozumie!

- Z tego, że tak długo panuję nad swoimi nerwami, może pan wywnioskować, że wiele rozumiem. Jednakże cierpliwość nie należy do moich nielicznych cnót, więc myślę, że im wcześniej się rozstaniemy, tym lepiej. Bardzo mi przykro, ale nic nie mogę zrobić, żeby pomóc panu wybrać z tych kłopotów, a to, że nie potrafi pan otworzyć ust, żeby natychmiast nie wpadać w fanfaronadę, kompletnie niweczy moje współczucie.

- Niepotrzebne mi pańskie współczucie! - wybuchnął znów Oswald. - Jedno pan może zrobić, milordzie: może pan przestać wkradać się do domu Venetii. - W tym momencie dostrzegł groźny błysk w oczach Damerela, ale nie przerwał. - Za... zachowywać się tam jak u siebie, ss... schlebiać jej stosując niecne światowe metody, zza... zalecać się do niej, bo ona jest zbyt niewinna, żeby zdawać sobie sprawę, że to wszystko jest dla pana zabawą i że pan ją zwodzi. No i mó... mówić do mnie, jak gdybym był smarkaczem. Mogłem stracić dla niej głowę, ale przynajmniej jestem szczery w stosunkach z nią. Niech pan nie sądzi, że nie zdaję sobie sprawy z nietaktu, jaki popełniam mówiąc panu takie rzeczy, ale nie lękam się konsekwencji i jeśli chce pan smagnąć mnie pejczem, to może pan to zrobić... i nawet gdyby pan powiedział o wszystkim mojemu ojcu, to i tak nadal będę w stosunku do pana niegrzeczny.

Damerel patrzył na niego groźnie, ale ta nagła zmiana tonu złagodziła jego gniew. Roześmiał się.

- Nie zamierzałem się uciekać do tak nadzwyczajnych środków - powiedział. - Gdybym chociaż miał ten pejcz pod ręką... Zresztą zadowolony jestem, że zdołał pan wygłosić parę zdań bez tych górnolotnych frazesów. Powiem tylko tyle, że jeśli nie chcesz przez następne parę dni jeść obiadu na stojąco, to nie powtarzaj tego rodzaju scen - dodał Damerel zmieniając brzmienie głosu i sposób zwracania się do młodzieńca.

Oswald poczerwieniał z gniewu i zawołał:

- Niech pan tylko zsiądzie z konia, to spróbujemy...

- Mój szalony młodzieńcze, „więcej tu dziecięcej waleczności niż męskiego rozsądku”. Wiem, że jesteś odważny, ale nie wątpię, że rozprawienie się z tobą nie zajęłoby mi więcej niż dwie minuty. Domyślasz się chyba, że nie jestem w takich sprawach nowicjuszem... Nie, nie przerywaj mi. Teraz moja kolej.... Nie będę mówił długo, lecz z pewnością całkiem jasno. Byłem dla ciebie wyrozumiały, bo nie zapomniałem do końca swoich młodzieńczych miłosnych porywów ani jakiego durnia robiłem z siebie w twoim wieku... no i dlatego, że doskonale rozumiem twoją chęć zamordowania mnie. Kiedy jednak okazałeś się na tyle zuchwały, żeby żądać ode mnie, bym przestał odwiedzać pannę Lanyon, to uważam, że posunąłeś się zbyt daleko. Tylko jej brat miałby prawo

kwestionować czystość moich zamiarów. Jemu mógłbym odpowiedzieć, ale dla ciebie odpowiedź ma czubek mojego buta.

- Brat jest za granicą - odparł Oswald. - Gdyby był tutaj, to co innego!

- Co, u diabła... Ach, mówisz o starszym bracie, prawda? Nie jego miałem na myśli.

- Aubreya? - zapytał z niedowierzaniem Oswald. — Tę pokreconą małą małpkę? Co on tam wie! Zajmuje się tylko swoimi starymi książkami. Nawet gdyby się tym zainteresował, to i tak nie miałby pojęcia, jaką grę pan prowadzi.

Damerel ściągnął wodze i powiedział oschle:

- Nie lekceważ go. Ty zresztą też nie masz pojęcia.

- Przynajmniej wiem, że pan nie myśli o małżeństwie - stwierdził Oswald.

- Tak sądzisz? - Damerel spojrział na niego z błyskiem rozbawienia w oczach.

- Tak, na Boga! Tak sądzę! - zawołał Oswald patrząc na Damerela. - Małżeństwo? Pan i Venetia? Ona nie będzie chciała! Nie może!

Damerel roześmiał się, skierował konia w stronę bramy i pogalopował w kierunku dworu długą, porośniętą trawą aleją.

Oswald nie byłby bardziej wstrząśnięty, gdyby Damerel ujawnił jakieś szczególnie nieczne zamiary. Dręczony wątpliwościami nie widział innego wyjścia, jak tylko ruszyć do domu, do Ebbersley. Droga była długa i monotonna. Oswald przeżywając ciągle doznane upokorzenia, popadał w coraz gorszy nastrój, nawet świadomość, że jego ostatnie słowa zrobiły na Damerelu wrażenie, niewiele podnosiła go na duchu.

Marston, zabierając zrzucone przez Damerela bryczesy i płaszcz, patrzył na niego w zamyśleniu, ale nie powiedział nic ani wtedy, ani później, kiedy znalazł się w towarzystwie Imbera, który ze zboląłą miną przelewał brandy z butelki do karafki.

- Dla poprawienia humoru - powiedział Imber. - Tak właśnie myślałem, że długo bez tego nie wytrzyma i złamie obietnicę. Powinien wiedzieć, że nie wszystko, co było dobre dla jego ojca, dobre jest i dla niego. Powiedziałem mu już o tym.

- Ja mu to zaniosę.

Imber skrzywił się, ale nie zaprotestował. Był starszym mężczyzną i chodzenie sprawiało mu trudności. Chętnie korzystał z pomocy Marstona, ale nie lubił, gdy podejmował się on zadań, które wykraczały poza zakres jego kompetencji. Niektóre z tych czynności były całkiem służebne, jak dorzucanie bierwion do ognia, a nawet rąbanie drzew. Kiedy nie było w pobliżu Nidda, Marston rozsiadł konia lorda i czyścił go. Nie do pomyslenia, żeby lokaj starego lorda tak się poniżał. Ale cóż, jaki pan, taki sługa. Stary lord był wyniosły, wiedział, co mu się należy, i zawsze zachowywał odpowiedni dystans. Nikt też nie odważyłby się zachowywać w stosunku do niego swobodnie, a on nigdy nie zwracał się do służby w tak poufaly sposób jak robi to obecny lord. Poprzedni lord na pewno nie postąpiłby tak niewłaściwie, by bez wcześniejszego zawiadomienia przyjechać do Priory w towarzystwie wyłącznie lokaja i stajennego. A wszystko to było skutkiem tego, że obecny pan przemieszkował przez lata za granicą pomiędzy ludźmi niewiele lepszymi od dzikusów. Stosunki pomiędzy nim a Marstonem daleko odbiegały od tego, czego można było oczekiwać po dżentelmenie z jego sfery. „Marston i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi” - powiedział. „Zbyt wiele razem przeżyliśmy, żeby bawić się w konwenanse”. Nie ulegało wątpliwości, że Marston uważał się za kogoś lepszego i nigdy nie wdawał się w rozmowy ze służbą, zwłaszcza na temat swojego pana. Zawsze był uprzejmy, ale żeby uniknąć odpowiedzi na pewne pytania, po prostu udawał, że ich nie słyszy. Skoro ten lokaj - nielokaj jest tak przywiązany do jego lordowskiej mości, to dlaczego milczy jak kłoda i nie chce o nim rozmawiać, zastanawiał się Imber patrząc, jak Marston bierze tacę i rusza w stronę korytarza prowadzącego do głównego holu.

Damerel przebywając w Priory nie przestrzegał miejskich godzin posiłków, zgadzał się, by Imberowie podawali kolację o szóstej, w dodatku od pojawienia się Aubreya zrezygnował z samotnego przesiadywania w jadalni ze szklaneczką porto, ale zabierał ją do pokoju Aubreya, a potem, kiedy chłopca układano do snu, udawał się do biblioteki. Tego dnia jednak nie wstał od stołu, tylko rozsiadł się wygodnie na swoim masywnym rzeźbionym krześle, jak gdyby zamierzał spędzić tu całą noc.

Marston stojąc w drzwiach, zanim podszedł do oświetlonego

świecami stołu, obrzucił go niespokojnym spojrzeniem. Damerel siedział zamyślony, błyszczącymi oczami wpatrywał się w przestrzeń. Zachowywał się tak, jak gdyby nie zauważył wejścia lokaja, ale jemu wystarczyło jedno spojrzenie, by zorientować się, że Imber chyba przesadnie się niepokoi. Lord sprawiał wrażenie raczej zadumanego, nie zaś wstawionego. Zresztą Marston wiedział, że jego pan upija się bardzo rzadko.

Postawił karafkę na stole, a potem podszedł do kominka i dorzucił do ognia parę bierwion. Ciągłe utrzymywała się ładna pogoda, ale po zmierzchu przejmujący ziąb sprawiał, że nie było nic przyjemniejszego niż zaciągnąć kotary i zasiąść przy kominku, na którym żywo płonął ogień.

Marston odgarnął popiół i podniósł się z kolan. Jedna ze świec zaczęła migotać, więc podszedł do stołu i obciął knot. Damerel ocknął się.

- Och, to ty, Marston - powiedział. - Co się stało z Imberem? Spadł może ze schodów do piwnicy?

- Nie, milordzie. - Marston odprężył się i nawet uśmiechnął nieznacznie.

- Czy doniósł ci, że jestem kompletnie pijany? - zapytał Damerel, wyjmując korek z karafki i nalewając sobie brandy do szklaneczki. - Obnosił się z tak zboląłą miną, że gotów był wprawić mnie w czarną rozpacz.

- On już jest stary, milordzie - powiedział Marston przycinając knot następnej świecy. - Gdyby zamierzał pan zostać tutaj dłużej, trzeba by zatrudnić jakichś służących.

Chociaż Marston nudził go swoim beznamiętnym głosem, Damerel spoznał na niego sponad szklaneczki trzymanej oburącz.

- Ośmielę się zauważyć, że zapewne nie wrócimy tu po Drugiej Jesiennej Gonitwie - ciągnął Marston, nadal zajęty rozjaśnianiem świec - więc myślę, sir, że należałoby poinformować lorda Hanbury'ego, kiedy zamierza pan udać się do Lodge, no i czy przyjadą z panem jacyś znajomi.

- Nie myślałem jeszcze o tym.

- To zrozumiałe, milordzie. Jest tak ciepło, że trudno wyobrazić sobie, że wkrótce będzie już listopad - zgodził się Marston.

- A Jesienna Gonitwa, jak sądzę...

- Nie wybieram się do Newmarket. - Damerel wypił łyk brandy, po chwili roześmiał się i powiedział: - Próbujesz mnie zachęcić, prawda? Uważasz, że powinienem tam pojechać?

- Tak mi się wydawało, sir, w sytuacji kiedy biegnie tam pana koń.

- O tak, pobiegną nawet dwa i z każdym z nich wiąże duże nadzieje. - Damerel znów wypił łyk brandy i uśmiechnął się raczej ironicznie. - Jakie masz jeszcze dla mnie plany? - zapytał. - Newmarket... Leicestershire... potem co? - Marston patrzył na niego, ale nie odpowiadał. - Może wybierzemy się na Brook Street albo zorganizujemy wyprawę w takie miejsca, których jeszcze nie znamy? Zapewniam cię jednak, że szybko nam się to znudzi.

- O ile znam waszą lordowską mość, to na pewno nie - odparł Marston siląc się na uśmiech. - Odbyłem już dzięki panu wiele podróży i jak dotąd nigdy nie miałem czasu, żeby się nudzić. Albo groziło nam, że utoniemy w morzu, albo cudem ratowaliśmy się z rąk jakichś pogan o morderczych zamiarach, to znów niewiele brakowało, bym znalazł się, zaszyty w worek, na dnie Bosforu.

- To prawda, że chyba nigdy nie byliśmy tak blisko śmierci jak wtedy - roześmiał się Damerel. - Niejeden raz znalazłeś się przeze mnie w niezłych tarapatkach... ale starzejemy się, Marston.

- Tak, milordzie... chociaż nie czuję się na tyle staro, żeby nie spróbować nowych przygód.

- Myślisz, że ja też mógłbym? Tobie na pewno się zdaje, że właśnie coś takiego przeżywam. Może i masz rację. Sam nie wiem. - Sięgnął po karafkę i napełnił sobie szklaneczkę, rozlewając przy tym trochę trunku na stół. - O, Boże! Musisz to wytrzeć, bo Imber pomyśli, że jestem kompletnie pijany, a to tylko przez nieuwagę!

Damerel ciężko opadł na oparcie krzesła i znów na parę minut zapadło milczenie. Usprawiedliwienie dla swojej dalszej obecności Marston znalazł w układaniu stojących na kredensie talerzy, ale obserwował przy tym spod oka Damerela, lekko zaniepokojony wyrazem jego twarzy. Najwyraźniej lord obecny romans traktował poważnie, a nie było to w jego stylu. Nigdy nie angażował się zbyt

mocno w miłosne przygody, od początku przewidując ich zakończenie. Zawsze swoje kochanki traktował z kurtuazją, ale nigdy nie cierpiał z powodu rozstania. Tym razem wyraz gorzkiej melancholii na jego twarzy wydał się Marstonowi niepokojący.

Damerel uniósł wreszcie szklanę i wypił powoli parę łyków.

- Król Babilonu czy Etiopii? - zapytał. - No, który, Marston, który?

- Trudno mi powiedzieć, sir, bo nie znam króla Babilonu.

- Nie znasz? Stał na rozstaju dróg, ale nie mam pojęcia, którą z nich wybrał, ani co mu się przydarzyło. Bez pani Priddy nie rozstrzygniemy tego. To nie znaczy, że ona pozwoli mi z nadzieją spojrzeć w przyszłość albo da mi do zrozumienia, że utracone lata mogą mi być przywrócone. Raczej usłyszałbym od niej zwięzłą a przygnębiającą przypowieść o piekle albo przypomniałaby mi, że jakie człowiek ziarno zasieje, taki zbierze plon. Czy wyobrażasz sobie, jaki plon zebrałbym z tego, co zasiałem, Marston? - Wypił resztkę brandy, odstawił szklaneczkę na stół i odepchnął ją od siebie. - Do diabła z tym. Zaczynam być pijany. Ja mogę ci dać lepsze wskazówki niż pani Priddy, a na razie nie pytaj mnie, kiedy zamierzam wyjechać z Yorkshire, bo nie potrafię ci na to pytanie odpowiedzieć. Może zaczekam na powrót Conwaya Lanyona do domu, ale kto wie? Może odkocham się równie szybko, jak się zakochałem? To nie powinno cię dziwić, prawda?

- Nie wiem, sir - powiedział Marston.

- Lepiej się módl, żeby tak się stało. Samo doprowadzenie domu do porządku wpędzi mnie w długi. A propos, czy jestem ci coś winien, Marston?

- O, sumy nie warte uwagi, milordzie... Dopóki Amarantus nie wygra w Nottingham...

Damerel wybuchnął śmiechem i wstał z krzesła.

- Wiesz chyba, że postępujesz głupio zostając ze mną. Dlaczego to robisz? Przyzwyczajenie?

- Niezupełnie - odparł Marston uśmiechając się. - Służenie panu, milordzie, ma swoje wady, ale również zalety.

- Bardzo byłbym ciekaw jakie? - powiedział Damerel. - Chyba że za zaletę uważasz nieregularne wypłacanie wynagrodzenia i to,

GEORGETTE HEYER

że raz za razem, nie z własnej winy, zostajesz wplątany w poważne tarapaty.

- Nie. - Marston zatrzymał się przy drzwiach. - Wcześniej czy później zapłatę jednak otrzymuję, a jeśli wpędzi mnie pan w kłopoty, to potem nie zapomina mnie pan z nich ratować, niekiedy nawet poważnie przy tym ryzykując... W bibliotece pali się ogień na kominku, milordzie, a Nidd już przed godziną przywiózł z Yorku najświeższe londyńskie gazety.

10

Wiadomość o tym, że Oswald wdał się w spór z lordem Damerelem, a Venetia Lanyon zakochała się po uszy w tym rozpustniku, dotarła do lady Denny z trzeciej ręki, a właściwie z ust jej najstarszej córki. Clara była niezwykle wrażliwą dziewczyną, chociaż nie bardziej skłoną do przesadzania niż jej ojciec, ale nawet jej spokojna relacja z tego, co Oswald wyznał Emily, a Emily powtórzyła siostrze, w najwyższym stopniu zaniepokoiła ich matkę.

W interesie Oswalda leżało utrzymanie w całkowitej tajemnicy zdarzeń, które zdruzgotały jego wiarę w szlachetność kobiet i za jednym zamachem zmieniły go z płomiennego kochanka w zgorzrzałego mizogynistę. Gdyby więc jego rodzice albo nawet dwie starsze siostry mieli tyle wrażliwości, by zauważyć, że chłopiec, który przed południem wyjechał z domu jako beztroski młodzieniec, wrócił w porze obiadowej jako zgorzkniały cynik, mógłby odmówić odpowiedzi na ich natarczywe pytania, a zamiast tego zwiódłby ich jakąś przygotowaną wcześniej zmyśloną historyjką. Niestety, wrażliwość całej czwórki okazała się tak mizerna, że nikt nie zauważył niczego niezwykłego w nieprzytomnym wyrazie jego twarzy i monosylabicznych odpowiedziach. Rozmowa przy obiedzie, prowadzona w zwykłym, uprzejmym tonie, dotyczyła jakichś codziennych drobiazgów, co sprawiło, że zaczął się zastanawiać, jak do tego doszło, że urodził się w tak beznadziejnie banalnej rodzinie. Odmowa zjedzenia drugiego dania wywołała co prawda komentarz matki, ale kiedy utrata apetytu wytłumaczona została tym, że zjadł zbyt wiele słodczy, mógł tylko żałować, że cokolwiek zauważono.

Dopiero następnego dnia pewna przypadkowa uwaga Emily wystawiła na próbę postanowienie zachowania tajemnicy. Siostrzyczka, z właściwym dla jej wieku brakiem taktu, zapytała, dlaczego jeszcze nie wyjechał, by odwiedzić Wenetię. Oswald roześmiał się gorzko i powiedział, że nigdy więcej nie przekroczy progu dworu w Undershaw, Gdy tylko ostrzegł ją, że nie odpowie na żadne więcej pytanie, Emily zaczęła błagać, by wyjawiał, co się stało.

Nie zamierzał oczywiście powiedzieć jej niczego, ale z całej rodziny do niej właśnie był najbardziej przywiązany, więc już po chwili wyznał współczującej siostrze sporą część swoich kłopotów, posługując się przenośniami, które co prawda nie opisywały dokładnie zdarzeń ubiegłego dnia, ale silnie poruszyły jej romantyczne serduszko. Piła z jego ust każde słowo, luki w relacji wypełniała posługując się wyobraźnią równie bogatą, jak wyobraźnia brata, a potem w najściślejszej tajemnicy wyznała wszystko Clarze.

- Nie wątpię, mamó, że jest to czystym wymysłem, ale uważałam, że moim obowiązkiem jest powtórzyć ci wszystko, czego się dowiedziałam.

- Słusznie, córeczko! - zawołała lady Denny, niepomiernie zdumiona. - Wyzwał lorda Damerela na pojedynek! Dobry Boże! On chyba stracił rozum! Nigdy nie słyszałam o czymś podobnym. Drzę na myśl, co wasz ojciec na to powie. Och! To nie może być prawdą. Stawiam jeden do dziesięciu, że są to twory wyobraźni Emily.

- Obawiam się, mamó, że nie masz racji - stwierdziła po namyśle Clara. - Z całą pewnością doszło do jakiejś kłótni z Damerelem, a to, czy wyzwał go na pojedynek, to już inna sprawa. Wiesz, jak Oswald i Emily lubią przesadzać. Też mogłabym przypuszczać, że to niemożliwe, ale jeśli istotnie lord Damerel prześladował biedną Wenetę swoimi zalotami, to mogło do tego dojść. Dlatego właśnie powiedziałam ci o tym. Oswald na pewno był tym niesłychanie poruszony, więc wątpię, żeby potrafił się rozsądnie zachować. Skoro już doszło do kłótni z lordem Damerelem, to...

- Nawet nie mów mi o tym - błagała lady Denny. - Och, Boże! Dlaczego ten okropny człowiek zjawił się tutaj? Tyle mamy przez

niego kłopotów! Prześladowuje Venetię... Czy to ty mówiłaś, że on codziennie odwiedza Undershaw?

- Tak, mamó... Oswald powiedział o tym Emily, ale nie przywiązywałabym do tego większej wagi, bo równocześnie stwierdził, że Venetia jest nim oczarowana i sama zachęca go do niestosownych zachowań, a to już brzmi jak czysty nonsens, nieprawdaż?

Lady Denny nie poczuła się uspokojona. Zbladła i zerwała się z krzesła.

- Koniecznie muszę się dowiedzieć, co się tam naprawdę stało! - zawołała. - Że też Edward Yardley akurat zachorował na ospę. Większego pożytku i tak by z niego nie było, ale mógłby chociaż powstrzymać Damerela od częstych wizyt u Venetii, zamiast wysyłać matkę po pana Huntspilla, ile razy tylko wyda mu się, że ma przyspieszone tętno, i w ogóle robić wokół siebie tyle zamieszania jak gdyby chorował na prawdziwą, a nie wietrzną ospę.

- Och, mamó! - zaprotestowała Clara, zaskoczona tak surową opinią. - Przecież wiesz, że pan Huntspill powiedział nam, że ojciec Edwarda miał początki suchot, więc nic dziwnego, że pani Yardley się niepokoi. Mówił, że Edward przechodzi ospę znacznie ciężiej niż moje siostry.

- Pan Huntspill powiedział również, że ludzie tacy jak Edward, którzy cieszą się świetnym zdrowiem, są najgorszymi pacjentami, bo gdy tylko coś ich zaboli, zaraz wydaje im się, że są o krok od śmierci. Zresztą nie mów mi nic o Edwardzie. Muszę natychmiast porozmawiać z twoim ojcem, bo w końcu Oswald jest jego synem i ma on obowiązek coś z tym wszystkim zrobić.

Sir John jednakże, kiedy wysłuchał relacji żony, zdawał się nie przywiązywać do tego, co się stało, zbytnej wagi. Powiedział tylko, że już traci cierpliwość, kiedy słyszy o dziecinnych postępach Oswalda, ale wcale nie wpadł w gniew. Dopiero po rozmowie z Clarą doszedł do wniosku, że w tym, czego się dowiedział, może być więcej prawdy, niż przypuszczał, ale nawet wtedy był bardziej zirytowany niż przerażony. Po przemyśleniu sprawy powiedział, że skoro Oswald ma tyle tylko rozsądku, żeby robić z siebie idiotę zalecając się do Venetii, to jedynym wyjściem byłoby wysłać go gdzieś daleko, żeby odzyskał rozum.

- Najlepiej będzie, jeśli wyślemy go do twojego brata, George'a
- zwrócił się do lady Denny. - Tam będzie miał okazję zająć się czymś innym i zapomni o swoich szaleństwach.

- Do George'a? Ale...

- Nie mogę dopuścić do tego, żeby tutaj narobił jakiegoś zamieszania. Nie wiem, ile jest prawdy w całej tej historii, ale jeśli jest aż tak zazdrosny, jak mówi Clara, to naprawdę nie wiadomo, co może zrobić, a uwierz mi, moja droga, że nie pozwolę, by ten gołowąs drażnił Damerelę czy kogokolwiek innego.

- Tak, tak. Nie możemy dopuścić, żeby doszło do konfliktu z tym człowiekiem. To byłoby straszne!

- Możesz być spokojna, nie dojdzie do tego. Jeśli Oswald znów jutro spróbuje go sprowokować, to szczerze liczę na to, że Damerel solidnie zmyje mu głowę za takie zuchwalstwo. Ale prawdę mówiąc, nie widzę lepszego wyjścia, niż wysłać go do twojego brata.

- No tak - powiedziała niepewnie - ale czy dla nich jego obecność w Crossley nie okaże się zbyt kłopotliwa? George jest bardzo miły, Elinor również, ale prawdopodobnie będą mieli dom pełen gości, jak zwykle kiedy rozpoczyna się sezon polowań.

- Tym się nie przejmuj. Nie mówiłem ci o tym, bo nie miałem odwagi przedstawić Oswalda tak eleganckiemu towarzystwu, ale w zeszłym tygodniu dostałem list od George'a z zaproszeniem dla niego. Obawiam się tego wyjazdu, jednak wolę wysłać go do wuja, niż aby miałyby zostać tutaj. Mam tylko nadzieję, że potrafi się tam właściwie zachować.

- Jestem pewna, że potrafi - stwierdziła z przekonaniem lady Denny. - A poza wszystkim nic tak dobrze nie zrobi Oswaldowi jak spędzenie paru tygodni z kuzynami. Tylko jak go przekonać, żeby tam pojechał?

- Przekonać? - powtórzył sir John. - Przekonać go, żeby przyjął zaproszenie w takie miejsce? Do domu, o którym wie, że przebywa w nim najlepsze towarzystwo? Nie, nie, moja kochana. To nie będzie potrzebne.

Lady Denny nie poczuła się uspokojona, ale okazało się, że sir John miał rację. Gdy tylko wiadomość o zaproszeniu została przekazana Oswaldowi, jej efekt okazał się wprost niewiarygodny,

tak nagle i tak całkowicie przekształciła chłopca z ponurego męczennika w podekscytowanego młodzieńca, u którego nastrój radosnego oczekiwania, zaprawiony lekkim niepokojem, nie zostawiał miejsca dla tak nieistotnej sprawy jak wiarołomstwo Wenetii, łajdactwo Damerela i cierpienia własnego złamanego serca. Oswald, zaskoczony wspianą propozycją, niezdolny był początkowo do jakiegokolwiek rozsądnej odpowiedzi i wyjąkał tylko:

- Czy chcę je... jechać do Crossley? T... tak, naturalnie że... że tak.

Potem zasiadł do obiadu jak gdyby w transie, z którego ocknął się w nastroju tak słonecznym, że nawet ostrzeżeniem ojca, że musi się u wuja właściwie zachowywać, poczuł się jedynie lekko dotknięty.

- Ależ oczywiście! - zawołał. - To nie ulega wątpliwości. Na pewno wszystko będzie tak, jak należy.

Potem spędził radosny wieczór, omawiając z ojcem poważne problemy, jaki podarunek zawieźć gospodarzom Crossley, w jaki sposób przetransportować tam konie do polowania i czy wieczorem można nosić krótkie, zapięte pod kolanami spodnie. Sir John zapewnił go, że tak, ale nie pominął okazji i zaprotestował przeciwko obyczajowi noszenia luźno związanych kolorowych chust, zamiast porządnie ułożonych tradycyjnych fularów. Było to zresztą zbyteczne, gdyż Oswald, oszołomiony perspektywą wejścia w tak wykwintne towarzystwo, okazał się w sprawach stroju wyjątkowo uległy, a sir John wykorzystał to i wyperswadował mu zamiar nabycia butów do konnej jazdy z białymi cholewkami. Ten ostatni zakaz rozczarował nieco młodzieńca, ale i w tej sprawie ustąpił. Zachęciło to ojca do udzielenia mu paru rad dotyczących dobrych manier. Przestrzeganie ich uważał za niezbędne dla nowicjusza, który pragnie zyskać sobie przychylność ludzi zajmujących najwyższe pozycje w eleganckim towarzystwie. Na koniec sir John dodał, że jest przekonany, iż nie będzie musiał rumienić się ze wstydu za swojego syna, bo gdyby było inaczej, nawet do głowy nie przyszłoby mu wysyłać go do Crossley. Oswald cierpliwie wysłuchał wszystkich pouczeń. Sir John, który od wielu miesięcy nie miał okazji dłużej rozmawiać z synem, powiedział potem małżonce, że jeśli chłopiec w Crossley zachowa

się równie grzecznie, jak w czasie tej rozmowy, to niewątpliwie wujostwo będą z niego zadowoleni.

Lady Denny, czując się uspokojona w tej najtrudniejszej sprawie, mogła teraz całą swą uwagę zwrócić na następny ważki problem. Ponieważ sir John zdecydowanie odrzucił delikatną sugestię, by zajął się odsunięciem Damerela od Underhaw, postanowiła, nie zważając na swe chore dzieci, sama wybrać się z wizytą do Wenetii, osobiście zorientować się, ile jest prawdy w opowieściach Oswalda, i w razie potrzeby podjąć stosowne kroki, by położyć kres tej wysoce niebezpiecznej sytuacji. Nie wiedziała, jakie to będą kroki, zresztą nie zastanawiała się nad tym poważnie, gdyż im dłużej rozmyślała, tym bardziej przekonana była, że cała ta niepokojąca historia jest wytworem chorej wyobraźni Oswalda.

Kiedy jednakże następnego dnia przybyła do Undershaw, już na pierwszy rzut oka zorientowała się, że jej optymizm oparty był na kruchych podstawach. Wenetia promieniała radością, wyglądała piękniej niż zazwyczaj, jej oczy błyszczały szczęściem, a na policzkach wykwitły rumieńce.

Przywitała ją nie mniej serdecznie niż zazwyczaj, gorąco zapewniła o radości, z jaką przyjmuje tę wizytę, ale lady Denny nie dała się zwieść. Dla niej oczywiste było, że Wenetia żyje w innym świecie, świecie nie zmaconego szczęścia, i chociaż wypytywała ją o chore córki i ze współczuciem wysłuchiwała informacji o postępach w ich leczeniu, śmiała się z codziennych alarmów podnoszonych przez panią Yardley oraz zdawała się szczerze przejęta tymi i innymi drobiazgami, to widać było, że jej zainteresowanie jest najwyraźniej powierzchowne.

Prowadząc konwencjonalną pogawędkę, lady Denny próbowała znaleźć sposób, by nie ujawniając swych intencji, sprowadzić rozmowę na jedyny interesujący ją temat. Doszła wreszcie do wniosku, że najbardziej naturalna droga wiedzie przez pytania o wypadek Aubreya, ale chociaż posunęła się do tego, by stwierdzić, że zdarzenie to postawiło Wenetię w niezręcznej sytuacji, to nawet ten obiecujący gambit nie przyniósł spodziewanych rezultatów. Wenetia uśmiechnęła się tylko figlarnie i powiedziała:

- Och, madam, proszę wybaczyć, ale zupełnie jakbym słyszała Edwarda! Wcale nie czułam się niezręcznie.

- No dobrze, moja droga. Ogromnie się z tego cieszę, ale obawiam się, że nie do końca rozumiesz, jak bardzo delikatna jest twoja sytuacja - odparła lady Denny, siląc się na łagodny ton.

- Ależ nie! - zaprotestowała Venetia. - Potrafię zrozumieć, że moja sytuacja mogła wydać się niezręczna, chociaż muszę przyznać, że początkowo zbyt przejęta byłam Aubreyem, żeby o tym myśleć, natomiast później taka opinia wydałaby mi się absurdalna. W Priory czułam się jak u siebie w domu, a lord Damerel zachowywał się jak przyjaciel, którego znam od lat. Aubrey chyba nigdy nie przeżył tak szczęśliwych dziesięciu dni i nawet niania niechętnie rozstawała się z Priory.

Zaskoczona nieoczekiwaną szczerością tej odpowiedzi, lady Denny nie wiedziała, jak zareagować. Zanim zdołała zebrać myśli, Venetia zaczęła z rozbawieniem opowiadać jej o zachowaniu niani w Priory. Nadzieja na pomyślne zrealizowanie trudnej misji stawała się coraz słabsza, aż zniknęła zupełnie, kiedy Venetia opowiedziała jej, jak miły był Damerel w stosunku do Aubreya i jak Aubrey ceni sobie jego przyjaźń. Lady Denny była osobą rozsądną, zdawała więc sobie sprawę, że rozdrażniłaby tylko Venetię, gdyby próbowała zasugerować, że Damerel posługiwał się jej bratem jako narzędziem do zrealizowania innych celów. Ogarnął ją prawdziwy niepokój. Wyczuwała, że Venetia jest tak zaślepiona, że nie można już liczyć na jej zdrowy rozsądek.

W tym momencie otworzyły się drzwi, zajrzał przez nie Aubrey wołając głośno:

- Venetio, jadę z Jasperem do Yorku. Może masz coś...
- przerwał dostrzegłszy lady Denny. Utykając przeszedł przez pokój, żeby się przywitać. - Proszę wybaczyć, madam, dzień dobry.

Lady Denny zobaczyła stojącego w progu Damerela i słuchając odpowiedzi Aubreya na pytanie, czy już całkiem wydobrzało po wypadku, obserwowała równocześnie i jego, i Venetię. Byłaby zapewne mniej skonsternowana, gdyby któreś z nich wykazało chociaż ślad zakłopotania, ale nie. To, co widziała, wystarczyło, by przekonać ją, że Oswald nie przesadzał mówiąc, że Damerel codziennie bywa w Undershaw. Dowodem było choćby bezceremonialne przywitanie, Venetia nawet nie podniosła się z krzesła, by przywitać gościa, lecz tylko uśmiechnęła się do niego. Lady

Denny szybko zwróciła wzrok ku Damerelowi, by zobaczyć, jakim uśmiechem on jej odpowie. Równie dobrze mogli się pocałować, pomyślała i w tym momencie uświadomiła sobie prawdziwy rozmiar niebezpieczeństwa.

. - Nie muszę chyba przedstawiać pana lady Denny, prawda?
- zapytała Venetia.

- Nie, miałem już zaszczyt poznać panią - odparł Damerel i z wyrazem twarzy, który lady Denny uznała za bezczelny, podszedł, by uściskać jej dłoń. - Dzień dobry pani - powiedział.

Odpowiedziała uprzejmie, gdyż była kobietą dobrze wychowaną, ale dłoń aż ją swędziała, żeby wymierzyć policzek w tę chłodno uśmiechniętą twarz. Wyczuwała kpinę w jego spojrzeniu, jak gdyby świadomy jej niechęci zamierzał dać do zrozumienia, że nie powinna nawet próbować stanąć pomiędzy nim a Venetią. Grzeczna odpowiedź na pytanie o zdrowie męża kosztowała lady Denny wiele wysiłku.

- Czy chcesz, żebym przywiózł ci coś z Yorku? - zwrócił się Aubrey do siostry. - Przyszedłem tu, żeby cię o to zapytać.

- Naprawdę, mój drogi? Jestem ci ogromnie wdzięczna, a przy tym zaskoczona, że taki pomysł przyszedł ci do głowy.

- Prawdę mówiąc to nie mnie przyszedł. - Uśmiechnął się do niej zupełnie nie spieszony.

- Nie skorzystałeś z okazji - zauważył Damerel. - Mogłeś sobie przypisać tę zasługę.

- Och, ona i tak wie, że jestem pozbawiony wszelkich zalet - rzucił przez ramię Aubrey, a potem ukłonił się lady Denny. - Do widzenia, madam. Zapewne przyjechała pani, żeby zobaczyć się z Venetią, więc nie będzie mi pani miała za złe, jeśli już się pożegnam. - Ukłonił się jeszcze raz i podszedł do Damerela.

- Musisz na mnie chwilę poczekać, ale to nie potrwa dłużej niż minutę. Nie mogę jechać do Yorku w tych butach, prawda?

- W każdym razie nie ze mną - odparł Damerel, a kiedy drzwi zamknęły się za Aubreym, spojrzął na Venetię i lady Denny znów zauważyła, że wymienili uśmiechy. Były one prawie niezauważalne, bardziej nikłe niż wyraz czułości w ich oczach. Wiedziała już teraz, że sprawa przedstawia się poważniej, niż sądziła, gdyż Damerel nie bawił się w zwykły flirt. Wydawał się równie uczuciowo zaan-

gazowany, jak Venetia. Sposób, w jaki zwracał się do niej, chociaż mówił o Aubreyu, świadczył o łączącej ich zażyłości. - Nie mogę pozwolić, by całymi godzinami tkwił w książkach - powiedział. - Mała przejażdżka na pewno mu nie zaszkodzi.

- Wręcz przeciwnie. Jak to dobrze, że namówił go pan na to. Ja nie mogę w żaden sposób wyciągnąć go z biblioteki. Wczoraj poszedł spać prawie o północy, a kiedy rano zwróciłam mu uwagę, powiedział, że przez ten wypadek zmarnował wiele czasu, więc teraz musi poważnie przyłożyć się do nauki. Mnie się wydawało, że przykładać się poważniej niż do tej pory to już nie można.

- O, nie - roześmiał się Damerel. - Jego zdaniem to, czym zajmował się w czasie pobytu w Priory, to był tylko odpoczynek: Berkley, Hume, małe wypadki do Dugalda Stewarta. - Spojrzał na zegar na ścianie i dodał: - Jeśli mamy wrócić przed kolacją, to muszę sprawdzić, co on robi. Wcale bym się nie zdziwił, gdybym zastał go z jedną nogą w bucie do konnej jazdy, drugą w pantoflu i z nosem w leksykonie, bo nagle przypomniał sobie, że musi sprawdzić znaczenie jakiegoś słowa.

Damerel pożegnał się z lady Denny, a potem jeszcze zwrócił się do Venetii:

- Czy przywieźć pani coś z Yorku? - zapytał.

- Nie, dziękuję. A w każdym razie nie przywoźcie mi ryb w koszyku z sitowia. Aubrey tego nie znosi.

Roześmiał się i wyszedł.

- Cieszę się, że lord zjawił się akurat w czasie pani wizyty, madam - powiedziała Venetia.

- Dlaczego, moja droga? - zdziwiła się lady Denny.

- Och, bo zapewne dziwiłaby się pani, dlaczego uważam go za interesującego mężczyznę. Pani po pierwszym spotkaniu z nim nie odniosła najlepszych wrażeń, prawda?

- Doskonale rozumiem, Venetio, dlaczego on ci się podoba - odparła po chwili wahania lady Denny. - Dziwiłabym się nawet, gdyby było inaczej, bo wiem, że mężczyźni jego... jego pokroju potrafią być czarujący w stosunku do kobiet.

- Tak - zgodziła się Venetia. - Zapewne mają w tym dużą wprawę, ale nie sądzę, żeby to wszystko wynikało z ich doświadczenia. Nigdy nie miałam do czynienia z tego typu ludźmi

ani nie myślałam o nich wiele, ale wydaje mi się, że żaden mężczyzna nie osiągnie sukcesu, jeśli nie będzie szczerze uczuciowo zaangażowany.

- To prawda - powiedziała lady Denny trochę niepewnie.
- I właśnie dlatego są tak niebezpieczni. Jestem przekonana, że masz zbyt wiele zdrowego rozsądku, by się angażować uczuciowo, ale wolałabym, żebyś była nieco ostrożniejsza. Nie wątpię, że towarzystwo lorda Damerela bardzo ci odpowiada i czujesz się w stosunku do niego mocno zobowiązana, ale jako osoba darząca cię sympatią, a przy tym znająca życie muszę ci wyznać, że niezupełnie podoba mi się to, iż on czuje się w Undershaw jak u siebie w domu. Tylko, proszę cię, nie zrozum mnie źle. Sama wiesz, że nie jest przyjęte, by niezamężna dama w twoim wieku przyjmowała wizyty dżentelmena.

Venetia zachichotała cichutko.

- Szkoda, że nie powiedziała pani tego Edwardowi. On widocznie nie ma o tym pojęcia! Czasem nawet zostaje u nas na obiedzie. Ociaga się z odjazdem tak długo, że ze zwykłej uprzejmości zmuszona jestem go zaprosić.

- No dobrze, moja droga... dobrze. To jest całkiem inna sprawa - powiedziała lady Denny usiłując znaleźć sposób na wybrnięcie z kłopotu. - Wasza przyjaźń trwa już tak długo... No, a poza tym twój ojciec go lubił.

- Nie, nie. Nie powinna pani być tak wielkoduszna w stosunku do niego - zaprotestowała Venetia. - Przecież wie pani dobrze, że mój ojciec nikogo nie lubił. Prawdopodobnie zamierza pani teraz powiedzieć, że on uważał Edwarda za odpowiedniego dla mnie kandydata na męża, więc...

- Och, Venetio!

- Proszę wybaczyć! - Venetia roześmiała się. - Nie chciałabym spierać się z panią, ale naprawdę nie ma tu żadnego powodu do niepokoju, gdyż lord Damerel jest podobnego zdania jak pani. Zauważyła pani zapewne, że nie zaprosiłam go na kolację, chociaż powiedział, że odprowadzi Aubreya właśnie o tej porze: Wiem, że byłoby to bezcelowe, nigdy nie został w Undershaw tak długo. Powiedział mi kiedyś, że dopóki składa tylko poranne wizyty, sąsiedzi oceniać je mogą wyłącznie jako przejaw sympatii z jego

strony, gdyby jednak zaczął bywać na kolacjach, mogliby uznać, że przychylnie traktuję jego niestosowne zaloty. Czy poczuła się pani spokojniejsza, madam?

Efekt, jaki wywołały słowa Venetii, był akurat odwrotny. Do Ebbersley lady Denny wróciła poważnie zatroskana i natychmiast udała się do sir Johna, by złożyć mu sprawozdanie z ekspedycji. Gdyby bardziej zainteresowała się pełnym winy i lęku wyrazem twarzy syna, którego zastała w gabinecie ojca, wzrósłby pewnie jej niepokój. Na szczęście nie spojrzała na niego, tylko poprosiła małżonka, by udał się z nią do jej garderoby. Tymczasem Oswald po długim, szarpiącym nerwy oczekiwaniu, w czasie którego wyobrażał sobie, że ojciec wysłuchuje szokującej relacji na temat jego zachowania w Undershaw, doznał kolosalnej ulgi. Kiedy ojciec wrócił do gabinetu, Oswald zorientował się, że Venetia nie zdradziła go, i poczuł dla niej taką wdzięczność, że zdecydował się przeprosić ją listownie jeszcze przed wyjazdem do Crossley.

Sir John z grobową miną wysłuchał relacji małżonki, ale konsekwentnie odmówił podjęcia się pośrednictwa w rozwiązaniu problemu. Lady Denny uznała taką postawę za małoduszną i powiedziała oskarżycielskim tonem:

- Ciekawe, czy również uchylałbyś się od rozmowy z lordem Damerem, gdyby dotyczyło to twojej córki?

- Na pewno nie, ale Venetia nie jest moją córką - odparł. - No i, moja droga, nie ma osiemnastu lat. Jest dwudziestopięcioletnią samodzielną kobietą. Jeśli istotnie zakochała się w Damerelu, to współczuję jej, gdyż prawdopodobnie dozna ciężkiego zawodu. Jeśli mimo wszystko obawiasz się, że ona może zachować się niestosownie, to byłbym skłonny przypuszczać, że lęk przyćmił twój rozsądek. Uważam Venetię za osobę odpowiedzialną i kierującą się trwałymi zasadami, dlatego nie sądzę, by Damerel, niezależnie od tego, jakie zasady wyznaje, miał tak mało rozumu, by wdawać się w coś więcej niż przelotny flirt. - Widząc, że lady Denny potrząsa głową, dodał nieco opryskliwie: - Wybacz, moja droga, ale trochę lepiej niż ty orientuję się, jak mężczyźni pokroju Damerela zachowują się w stosunku do takich pańien jak Venetia. On niewątpliwie jest libertynem, nie mogę temu zaprzeczyć, ale ty jesteś do niego zbyt przeczona. Jakiegokolwiek popełniał szaleń-

stwa, jest jednak człowiekiem dobrze urodzonym, znającym świat i możesz być pewna, że nie posunie się dalej niż do miłego flirtu z bardzo piękną kobietą. To smutne, że prawdopodobnie w tydzień po wyjeździe z Priory zapomni już o niej, a Venetia będzie bardzo cierpieć, ale jeśli masz rację twierdząc, że jest w nim zakochana, to nie pomogą tu żadne mediacje z mojej strony i, muszę dodać, żadne twoje ostrzeżenia, że Damerel ją tylko zwodzi.

- Och, mój drogi, nie musisz mi tego mówić! - zawołała. - Nie jestem aż tak naiwna, by nie zauważyć, że moje słowa zupełnie do niej nie trafiały. Mylisz się jednak co do jego uczuć! Po mojej wizycie nie mam już wątpliwości. Kiedy zobaczyłam, jak on na nią patrzy, to ogarnęły mnie najczarniejsze przeczucia. Jednego możesz być pewien. On nie flirtuje! Jest tak samo w niej zakochany, jak ona w nim! Ach, mężu, jeśli nic nie zrobimy, żeby ją uratować, to ona wyjdzie za niego!

- Dobry Boże! Czy ty chcesz powiedzieć... Nie! Ja w to nie wierzę. Jestem przekonany, że lord Damerel nie zamierza poślubić ani Venetii, ani żadnej innej kobiety. Ma trzydzieści osiem lat i ustalone upodobania. O tym wszyscy wiedzą. Jeśli miałyby zamiar ożenić się i spłodzić spadkobiercę, to nie prowadziłyby przez tyle lat tak rujnującego trybu życia. Sądzę, że i teraz natychmiast sprzedałby swoją posiadłość, gdyby to było możliwe, i roztrwoniłby pieniądze, tak jak roztrwonił do tej pory całkiem niezłą fortunę. Widać z tego, jak mało troszczy się o spadkobierców. A skandale, które znaczyły jego postępowanie? Widocznie wcale nie zależało mu na opinii towarzystwa.

- Wszystko, co powiedziałaś, jest niewątpliwie prawdą, ale to nie ma nic wspólnego z naszą sprawą - odparła lady Denny. - Tego, jakie początkowo były jego zamiary, możesz nie brać pod uwagę, gdyż on też o nich zapomniał. Wiem, jak zachowuje się mężczyzna, kiedy próbuje flirtować, i uwierz mi, że dzisiaj zobaczyłam coś innego. Lord Damerel jest w niej zakochany. Może zaproponuje jej wolny związek, ale Venetia nie jest aż tak zaślepiona, by przystać na równie szokującą propozycję. Wtedy lord poprosi ją o rękę, a ona przyjmie te oświadczyzny. - Zamilkła i delektowała się niewątpliwym zwycięstwem, dostrzegając zmianę w wyrazie twarzy sir Johna. Wiedziała, że i on zaniepokoił się,

a więc lęk, który ją ogarnął nie był wytworem jej chorej wyobraźni.
- No i co, porozmawiasz z Dameralem? - zapytała w końcu.

Sir John pozostał niewzruszony.

- Na pewno nie! Co ja mu mogę powiedzieć? Znam go przecież zbyt powierzchownie. Venetia nie jest moją krewną ani też nie odpowiadam za jej postępowanie. Interwencję taką można by uznać za wysoce impertynencką. Jeśli nie zdołasz jej przekonać, że takie małżeństwo byłoby katastrofą, to nie możemy nic zrobić w tej sprawie.

Zabrzmiało to dla lady Denny jak zamknięcie rozmowy, zrezygnowała więc z dalszych prób przekonania męża. Powiedziała tylko, że coś jednak należy zrobić, gdyż stwierdzenie, że Venetią sama potrafi kierować swoim losem, bo skończyła dwadzieścia pięć lat, jest nonsensowne. Nie można zaufać pannie, która znajomych kawalerów może policzyć na palcach jednej ręki. Zawsze grozi jej, że zakocha się w pierwszym mężczyźnie o nienagannych manierach, który stanie na jej drodze.

- Pomyśl tylko, drogi mężu, co powiedzą ludzie. Przecież ona nie jest taka, jak jej matka, chociaż przypomina ją wyglądem. Nie mogę pozwolić, by zmarnowała sobie życie. Szkoda, że Aubrey nie potrafi zainteresować się czymś innym niż książkami. Obawiam się, że on zupełnie nie dostrzega tego, co dzieje się obok niego, i nie uwierzy mi, jeśli mu o tym powiem.

W tej sprawie lady Denny myliła się. Aubrey nie tylko widział, ale i żywo interesował się tym, co się dzieje, o czym poinformował siostrę w parę dni później. Do rozmowy doszło w czasie drogi powrotnej do domu z Thirsk, gdzie Venetia, eskortowana przez Aubreya, wybrała się po drobne zakupy. Kiedy padło, jak to się często zdarzało, imię Damerela, Aubrey zaskoczył ją pytaniem:

- Czy zamierzasz wyjść za niego, moja droga?

Zaskoczenie było ogromne, gdyż Venetia podzielała przekonanie lady Denny, że Aubreya nie interesuje nic poza własnymi sprawami i nie powinno przyjść mu do głowy, że Damerel może przyjeżdżać do Undershaw w jakichś innych zamiarach niż w celu odwiedzania właśnie jego.

Wahała się przez chwilę. Aubrey spojrzął na nią i dodał:

- Może nie powinienem cię o to pytać? Jeśli nie chcesz odpowiadać, to nie musisz.

- Widzisz... Nie mogę ci odpowiedzieć. On mi się nie oświadczył.

- To jasne. Przecież wiedziałbym, gdybyś się z nim zaręczyła. Powiedz mi więc, czy przyjmiesz jego oświadczyzny, jeśli poprosi cię o rękę?

- Aubreyu, kto ci kazał zapytać mnie o to? Nie mogła tego zrobić lady Denny, a więc kto? Może niania?

- Na Boga, nie! Nikt mi nie kazał. Dlaczego miałby to robić?

- Pomyślałam sobie, że może ktoś poprosił cię, żebyś spróbował skłonić mnie do zaniechania kontaktów z Damerem, zapraszania go do Undershaw...

- Nie przypominam sobie niczego takiego, ale widzę, że powinienem mieć się na baczności. Muszę uważać na lady Denny. Dlaczego ona nie chce, żebyś się widywała z Jasperem? Nie lubi go?

- Nie, ona po prostu go nie zna. Zna tylko jego reputację i, jak sądzę, obawia się, że mogę zostać oszukana.

- Och! - Nachylił się do przodu i ściągnął lejce, bo konie akurat zbliżyły się do bramy. - Niewiele wiem o takich sprawach, ale nie wydaje mi się to możliwe. Czy mam zapytać Jaspiera, jakie ma zamiary?

- Błagam cię, nie! - zawołała i roześmiała się.

- Dobrze, bo wcale nie mam na to ochoty. Poza tym nie widziałbym w tym sensu. Przecież Damerel nie powie mi, że chce cię uwieść, nawet jeśli ma taki zamiar. To absurd! Dlaczego, kiedy chciałem, żeby odesłał nianię z Priory, powiedział mi, że ona musi pozostać, bo tego wymaga przyzwoitość? Nie zastanawiałem się nigdy nad tym, co ludzie o nim opowiadają, ale jestem przekonany, że nie jest to prawda. Zresztą wiesz o nim więcej niż ja i skoro ty się tym nie przejmujesz, to dlaczego ja mam się kłopotać?

Minęli tymczasem bramę i teraz powozik toczył się krętą aleją prowadzącą przez park w stronę domu.

- Nie rozumiem, dlaczego wszyscy tak się interesują moimi kontaktami z Damerem - powiedziała Venetia. - Wydaje im się zapewne, że skoro mieszkałam przez całe życie w tym jednym miejscu, to muszę być naiwna i głupia. Cieszę się tylko, że ty tak nie uważasz. Trudno mi powiedzieć, co się zdarzy, ale jeśli istotnie

lord Damerel zechce się ze mną ożenić, to przynajmniej ty nie będziesz z tego niezadowolony, prawda?

- Tak, myślę, że ucieszyłbym się - odparł. - Oczywiście, w przyszłym roku wybieram się do Cambridge, ale będę miał wakacje i wolałbym je spędzać w domu Damerela niż Conwaya.

Venetia uśmiechnęła się, ale nic już nie powiedziała, bo kiedy powozik minął ostatni zakręt alei, zobaczyli, ku swemu zaskoczeniu, stojącą przed wejściem czterokonną karetę pocztową.

- O! Cóż to takiego? - zawołał Aubrey. - Dobry Boże, to musi być Conway!

- Nie, to nie on! - Venetia zauważyła w drzwiach domu postać w kapeluszu z piórami. - Tam jest jakaś kobieta. Ale kto, u licha... To może być ciocia Hendred!

Kiedy jednak Aubrey zatrzymał konie za kareta, Venetia zobaczyła zupełnie obcych ludzi. Jeszcze bardziej zaskoczyło ją, że jakaś nieznajoma kobieta najwyraźniej nadzoruje wyładunek pokazanej liczby waliz, kufrów i skrzyń. Pytającym spojrzeniem zwróciła się w stronę Ribble'a, ale on wyglądał na kompletnie oszołomionego i zanim zdążyła poprosić go o wyjaśnienia, nieznajoma kobieta, dama w średnim wieku, podeszła bliżej i zapytała:

- Panna Venetia Lanyon? Chyba się nie mylę. Och, i ten biedny kaleki chłopiec! Nazywam się Scorrier, czego pani chyba się domyśla, chociaż lokaj sprawia wrażenie, jak gdyby o niczym nie wiedział i nie oczekiwał naszego przybycia.

- Bardzo przepraszam, madam - powiedziała Venetia wyskakując z powoziku - ale musiała zająć jakąś pomyłka. Obawiam się, że nic z tego nie rozumiem.

Pani Scorrier patrzyła na nią przez chwilę niezbyt uprzejmym wzrokiem.

- Czyżby chciała mi pani dać do zrozumienia, że to, co powiedział ten człowiek, jest prawdą i nie otrzymaliście listu od... Mogłam się tego domyślić i nawet obawiałam się tego, kiedy wyszło na jaw, że nie został wysłany anons do „Gazette”.

- Anons? - powtórzyła Venetia. - „Gazette”?

Uprzejmy wyraz znów zagościł na obliczu pani Scorrier. Uśmiechnęła się nawet i powiedziała:

- On jest zawsze taki roztargniony! Obiecuję, że skarzę go za

GEORGETTE HEYER

to. Nie dziwię się, że jest pani zaskoczona. No tak, sprawiłam pani niespodziankę, ale spodziewam się, że miłą. Charlotta, moje dziecko!

W odpowiedzi na skierowane w stronę drzwi wejściowych zawołanie ukazała się drobna dziewczyna o ogromnych, zalęknionych jasnoniebieskich oczach, płowych lokach i delikatnych, zmysłowych ustach.

- Tak, mamó? - odezwała się cichym, drżącym głosem.

- Podejdz tutaj, kochanie - poprosiła ją pani Scorrier. - Drogie dziecko! Niecierpliwie oczekiwałaś spotkania z twoją nową siostrą i twoim kalekim braciszkiem, prawda? Oto są tutaj oboje. Tak, panno Lanyon! To jest lady Lanyon!

11

Venetia doznała wręcz szoku. Przez dłuższą chwilę nie była w stanie wydobyć głosu. Najpierw pomyślała, że coś tu nie jest w porządku, ale szybko doszła do wniosku, że to, co usłyszała, musi być prawdą, a kiedy dotarła do jej świadomości cała niezwykłość sytuacji, zaczęła się śmiać.

- Ach, ten Conway! Jakie to do niego podobne! - zawołała i wyciągnęła rękę do Charlotty. - Witam. Spotkało panią dosyć zaskakujące przyjęcie w pani nowym domu. Proszę nam wybaczyć, ale nie mieliśmy pojęcia, że czeka nas taka miła niespodzianka. Domyślałem się, że Conway nie przyjechał z wami. Gdzie... Och, wszystko mi pani opowie, ale najpierw muszę odszukać panią Gurnard, naszą gospodynię, i kazać jej przygotować pokoje. Teraz proszę za mną. Na pewno jesteście bardzo zmęczone podróżą.

Weszły do domu i Venetia zaprowadziła obydwie panie do salonu, gdzie na kominku płonął już ogień, i poprosiła, by usiadły. Charlotta sprawiała wrażenie tak zażenowanej, że nie miała odwagi nawet na moment podnieść wzroku. Mruknęła tylko coś o uprzejmości i jakieś przepraszające słówka, na co Venetia odpowiedziała z uśmiechem:

- Nie widzę powodu, żebyśmy musiały się wzajemnie przeproszać. Lepiej zajmijmy się prawdziwym winowajcą. Wiem, że dla Conwaya nie ma zajęcia równie przykrego jak napisanie listu. Dla niego to niemal Herkulesowa praca, ale tym razem to już chyba przesadził... Może zdejmie pani kapelusz i narzutkę. Jestem pewna, że po podróży chętnie się panie napiją czegoś. Może kazać podać herbatę? Potem zaprowadzę panie na górę.

- Dziękuję. To bardzo miłe z pani strony. Chętnie się napijemy, jeśli nie sprawi to kłopotu.

Pani Scorrier krytycznie przyglądająca się tej scenie roześmiała się i powiedziała:

- Zachowując się w ten sposób, moja kochana, sprawisz, że panna Lanyon uważać cię będzie za gaskę. Musisz pamiętać, że jesteś we własnym domu, czyż nie tak, panno Lanyon? Owszem, herbatę chętnie wypijemy, chociaż normalnie nie pozwalamy sobie na taki luksus o tej porze. Charlotta, muszę pani powiedzieć, jest w... delikatnej sytuacji i chociaż ostatnią noc spędziłyśmy w Doncaster, to sądzę, że jest bardzo wyczerpana.

- W delikatnej sytuacji? - Venetia ze zdumieniem spojrzała na Charlotte. - A więc jesteście małżeństwem już od... pewnego czasu.

- Od lipca - szepnęła Charlotta rumieniąc się. - Conway był na urlopie, rozumie pani... w Paryżu.

- Nie dziwię, że jest pani zaskoczona, panno Lanyon - powiedziała pani Scorrier, siadając na sofie koło kominka i zdejmując rękawiczki. - Mnie też wiadomość o ich płomiennym romansie zwaliła z nóg. Jest to przypadek miłości od pierwszego wejrzenia i sir Conwayowi nie pozostawało nic innego jak zabrać swój skarb ze sobą do kwatery głównej brytyjskiej armii. Jestem przekonana, że gdybym próbowała się sprzeciwić, on po prostu uciekłby z nią.

- Och, mamo! - zaprotestowała niepewnie Charlotta.

- A więc nie znaleście się wcześniej? Przypuszczałam, że... No tak, to był prawdziwy romans. Chętnie wysłucham całej tej historii, ale na razie zajmę się herbatą.

Venetia przeprosiła panie i wyszła, żeby porozumieć się z panią Gurnard. Wcześniej już, gdy weszła do domu i zobaczyła ją stojącą u podnóża schodów, od razu zorientowała się, że jest ona w nie najlepszym nastroju. Teraz spotkała ją w towarzystwie niani i Ribble'a. Wystarczyło tylko spojrzeć na nich, żeby zorientować się, że czekają wszystkich poważne kłopoty. Na razie jednak należało załatwić sprawę herbaty. Na pierwszą wzmiankę o tym pani Gumard odezwała się lodowatym tonem:

- Wydałam już stosowne polecenia, panno Venetio. Matka lady Lanyon kazała mi to zrobić. Nie znaczy to, że musiała mi o tym przypominać, gdyż właśnie sama miałam zaproponować herbatę lub kieliszek wina dla odświeżenia się po podróży.

- Panno Venetio - przerwała jej niania. - Słyszałam, jak pani

Scorrier, czy jak się tam ona nazywa, kazała pani Gurnard dopilnować, żeby pościel była dobrze przewietrzona. Gdyby miała czelność do mnie zwrócić się z czymś takim, to powiedziałabym jej, że jest to dom dżentelmena, a nie przydrożna oberża.

- Ja nie dałam się aż tak wyprowadzić z równowagi - powiedziała pani Gurnard wyniośle - ale kiedy poleciała mi natychmiast przygotować najlepszą sypialnię dla jej lordowskiej mości to...

- I jeszcze zażądała, by zanim przyjedzie londyńska służąca, jedna z pokojówek została oddana do dyspozycji jej lordowskiej mości - wtrąciła niania.

- ...poczułam się zobowiązana powiedzieć, że stosowne polecenia otrzymam od pani, panno Venetio.

- To samo ja jej powiedziałem - dodał Ribble. — Tej lady wydaje się, panno Venetio, że jeśli ona tego nie dopilnuje, to nikt nie pomyśli o tym, by jutro wysłać konie do Yorku po młodą kobietę, która, jak rozumiem, ma tam przyjechać dyliżansem. Zapewniłem ją, panienko, że poproszę panią o wydanie odpowiednich poleceń. Myślę, że to ją uspokoiło.

Z ciężkim sercem Venetia podjęła się zadania załagodzenia wzburzonych namiętności. Umiarkowany sukces odniosła tylko w jednej sprawie: fanatyczny błysk w oczach niani, kiedy dowiedziała się, że młoda pani jest przy nadziei, świadczył o tym, że w tej sytuacji szybko przekona się ona do Charlotty. Stara piastunka szybko pojęła, że chociaż młoda lady niewątpliwie nie zasługuje na pozycję, którą przyszło jej zajmować, trzeba jednak będzie tolerować ją ze względu na dziecko, które zamierzała objąć swoją wyłączną opieką. Pani Gurnard, pełna obaw, że to szczęśliwe zdarzenie umożliwi niani powrót na opuszczony tron, wyrażała się bez entuzjazmu o najbliższej przyszłości. Ribble, nie czując się upoważniony do zabierania głosu w tak delikatnych sprawach, poprosił tylko, by panna Venetia w miarę możliwości spróbowała się zorientować, czy pani Scorrier zamierza na dłużej zatrzymać się w Undershaw.

Odniośszy połowiczny sukces w uspokajaniu tych najważniejszych postaci spośród domowej służby, Venetia stanęła przed znacznie trudniejszym zadaniem nakłonienia Aubreya, by przynajmniej poprawnie zachowywał się w stosunku do bratowej i jej

matki. Po przybyciu do Undershaw Aubrey bez słowa pojechał do stajni, a Venetia nie próbowała go zatrzymać. Przypuszczała, że do domu wrócił wejściem od ogrodu, więc postanowiła poszukać go w bibliotece. Idąc długim korytarzem prowadzącym tam od głównego holu, zastanawiała się, czy przypadkiem władcza osobowość pani Scorrier nie spowoduje, że Aubrey stanie się takim samym samotnikiem, jakim niegdyś był jego ojciec. Zgodnie z oczekiwaniami zastała brata w bibliotece. Widocznie czekał na nią niecierpliwie, bo ledwo zamknęła drzwi zapytał:

- Co z nimi zrobiłaś? Czy ty wierzysz w to, co one opowiadają?

- Początkowo też miałam wątpliwości, ale, mój drogi, to musi być prawda. Ładna historia, nie sądzisz? Sama nie wiem, co zrobić w tej sytuacji, ale jakoś musi się to wszystko ułożyć.

- Nie wiesz, co zrobić? To ja ci powiem. Wynajmiemy sobie dom. Właśnie tak, jak to kiedyś planowałaś.

- Tak, oczywiście, ale nie możemy tego zrobić natychmiast. Zrozum, to jest niemożliwe! Dopóki nie wróci Conway, jestem odpowiedzialna za Undershaw.

- A w razie twojej nieobecności pan Mytchett! - powiedział bez zastanowienia. - Wiem, że was oboje Conway upoważnił do działania w jego imieniu. Pamiętam, jak Mytchett uzgadniał z tobą szczegóły pełnomocnictwa, zanim wysłał je Conwayowi do podpisu.

- To prawda, ale to podwójne pełnomocnictwo wynikało stąd, że nie byłam dostatecznie przygotowana do zajęcia się ewentualnymi prawnymi i finansowymi problemami, które mogły się pojawić, natomiast codzienne, drobne sprawy miały należeć do mnie. Poza tym nie możemy przecież opuścić Undershaw natychmiast po przyjeździe żony Conwaya. Byłoby to wysoce niestosowne i nieuprzejme.

- Równie niestosowne i nieuprzejme, jak przysłanie ich tu bez uprzedzenia.

- No tak, ale jestem pewna, że nie ma w tym jej winy. To biedne stworzenie jest tak przerażone, że nie ośmiela się mówić inaczej jak tylko szeptem. Bardzo mi jej żal i nie mam do niej żadnych pretensji. Wygląda na miłą, skromną dziewczynę i myślę, że szybko się do niej przywiążemy.

- Tak sądzisz? A za jej matką to wkrótce będziemy po prostu przepadać.

- Jeśli o mnie chodzi, to nie przypuszczam - roześmiała się.
- Niesympatyczna niewiasta... Zdołała już wzbudzić niechęć służby i do pewnego stopnia moją również. Postaram się jednak być dla niej uprzejma i ciebie też o to proszę.

Spojrzał na nią spod oka, ale nic nie powiedział. Jedyne, co udało jej się na nim wymusić, to obietnicę, że nie będzie się zachowywał w stosunku do pani Scorrier nieuprzejmie, chyba że zostanie sprowokowany. Trudno to uznać za wielki sukces, bo to, co Aubrey uzna za prowokację, niewątpliwie zależeć będzie od jego nastroju. Natomiast sukcesem mogła nazwać to, że pozwolił się zaprowadzić do salonu w celu dokonania oficjalnej prezentacji.

Obie damy zastali w salonie, delektujące się herbatą i kruchymi ciasteczkami. Pani Scorrier przywitała Venetię łaskawym uśmiechem i powiedziała:

- Jaka smaczna herbata, droga panno Lanyon! Muszę zapytać gospodynię, gdzie ją kupuje.

Potem zauważyła Aubreya, który wszedł za siostrą do pokoju, i jego również zaszczyciła uprzejmym powitaniem. Chłopiec uklonił się dość sztywno, podał jej rękę, a wreszcie zwrócił się do Charlotty:

- Witam panią. Co słyhać u mojego brata? Czy wkrótce przyjedzie tu za panią?

- Nie wiem... mam nadzieję... Wcale nie chciałam zostawiać go tam samego, ale mama...

- Mama uważała, że córce będzie znacznie lepiej z dala od zgiełku panującego w Cambray - przerwała jej pani Scorrier ze śmiechem, który już zaczynał irytować Venetię. - Pana brat z pewnością przybędzie do domu przed końcem roku, gdyż książę zamierza rozpocząć wycofywanie armii już z początkiem przyszłego miesiąca. Panno Lanyon, mówiłam już córce, jak piękny jest ten salon. Po prostu uroczy, wystarczy tylko zmienić obicia, a będzie to tak cudowne pomieszczenie, jakie rzadko można zobaczyć.

Venetia poczuła się nieco dotknięta, ale grzecznie odpowiedziała, a nawet usiadła obok pani Scorrier, by zająć ją rozmową i umożliwić Aubreyowi i Charlotcie zawarcie bliższej znajomości.

Pani Scorrier chętna była do wymiany zdań, a nawet wkrótce okazało się, że posiada zdolność uczestniczenia równocześnie w dwóch rozmowach. Odpowiadała na każde skierowane do

Charlotty pytanie, a każdą jej odpowiedź albo korygowała, albo uzupełniała. Cały czas była w znakomitym nastroju, ciągle się uśmiechała, ale już po krótkim czasie Venetia zorientowała się, że traktowana jest ze trudem skrywaną wrogością. Pani Scorrier szczerze obsypała ją komplementami, ale w każdym z nich starannie ukryta była jakaś drobna złośliwość. Venetia nigdy nie spotkała się z tego rodzaju postępowaniem, toteż była tym nieco zaskoczona. Wydawało się, że teściowa Conwaya widziała w szwagierce swojej córki przede wszystkim wroga, którego należy pokonać. Mówiąc o zmianach, jakie niewątpliwie Charlotta wprowadzi w Undershaw, i zapewniając Venetię, że doskonale rozumie, jak trudno jej będzie oddać innej osobie pełnię władzy nad gospodarstwem, dawała do zrozumienia, że zazdrosna jest o prawa córki i gotowa stoczyć bój w ich obronie.

Pod koniec blisko godzinnej rozmowy, kiedy zjawiła się pani Gurnard, by zaprowadzić dwie damy do przygotowanych dla nich sypialni, Venetia wiedziała, że skończyły się jej dobre czasy w Undershaw i w najbliższej przyszłości oczekiwać może samych niesnasek i przykrości. Poza wrogością pani Scorrier posiadała niezwykle potrzebę rządzenia i nieprzewartą chęć popisywania się swoimi umiejętnościami przed wszystkimi, poczynając od Venetii, a kończąc na pomocniku ogrodnika, niezależnie od tego, czy chodziło o prowadzenie domu czy przycinanie geranium. Nawet kucharka, której ciasteczka tak jej smakowały, że uznała je za równie dobre, jak te od Guntera, otrzymała od niej parę kulinarnych przepisów, a jak gdyby tego było mało, obiecała Venetii podać nazwisko znakomitego chirurga, który niewątpliwie będzie wiedział, co zrobić, żeby wyleczyć Aubreya. Venetia nie posądzała jej o celową złośliwość, ale wkrótce zaczęła rozumieć, dlaczego ta kobieta budzi tak powszechną niechęć.

Kiedy któregoś dnia pani Scorrier dowiedziała się, że z sypialni przygotowanej dla Charlotty korzystali niegdyś przodkowie Lanyonów, była na tyle uprzejma, że zaaprobowała to wyróżnienie, ale gdy Venetia uśmiechając się do Charlotty powiedziała: „Jeśli jeszcze czegoś będzie pani brakowało, to proszę natychmiast zwrócić się do mnie”, pani Scorrier stwierdziła nie znoszącym sprzeciwu tonem:

- Nie, nie, panno Lanyon, bardzo proszę nie przyzwyczajając mojej córeczki, by polegała na pani. Ciagle jej powtarzam, że jest ona teraz zamezną kobietą i panią swego domu, więc musi nauczyć się wydawania poleceń. Nie powinna ciągle polegać na mnie czy na pani i liczyć na to, że wszystko za nią załatwimy.

Późnym popołudniem Venetia znów zeszła na dół i zastała w salonie samotnie siedzącą Charlotte. Ubrana była w gustowną jedwabną wieczorową suknię z półtrenem, ale mimo wszystko bardziej przypominała zalęknioną uczennicę niż elegancką damę. Na widok panny Lanyon wstała odruchowo. Venetia ucieszona, że będzie miała okazję porozmawiać z nią bez udziału pani Scorrier, próbowała ją ośmielić. Sukces okazał się połowiczny, gdyż szybko zorientowała się, że Charlotta dzięki swej uległości i miłemu usposobieniu łatwo zyskiwała sympatię, ale te same cechy uniemożliwiały jej przeciwstawienie się dominacji apodyktycznej matki. Oczywiście było, że pani Scorrier nakazała jej strzec się szwagierki, a ponieważ Charlotta nie wykazywała poczucia humoru ani umiejętności jasnego wyrażania myśli, żartobliwe pytanie Venetii, czy nie jest przypadkiem uważana za ludożercę, wywołało wyłącznie zakłopotanie. Tylko w rozmowie o Conwayu zachowywała się naturalnie, nieśmiałość zastępowało uwielbienie dla bohatera. Conway był dla niej półbogiem, który jakimś cudownym zrzędzeniem losu zakochał się w niej. Każda wzmianka o nim sprawiała, że oczy jej błyszczały, a na policzkach pojawiał się rumieniec. Opowiadając o tym, co zrobił lub powiedział, wyraźnie się ożywała.

Venetia ubawiona była tym niezupełnie zgodnym z rzeczywistością portretem brata, a równocześnie doskonale wyczuwała i rozumiała, dlaczego Conway zainteresował się tą zupełnie bezbarwną dziewczyną,

- Przypuszczam, że ciężko przeżyła pani rozstanie z moim bratem -. powiedziała uprzejmie. - Naprawdę, szczerze pani współczuję.

Łzy napłynęły do oczu Charlotty.

- Och, to było straszne! - szepnęła. - Nie chciałam wyjeżdżać, ale on powiedział, że nie ma innego wyjścia, bo pułkownik Skidby

zachował się niegrzecznie w stosunku do mamy, co stawiło *Conwaya w przykrew sytuacji, gdyż mama nie była mu dłużna*, więc nie mógł zapraszać pułkownika na nasze przyjęcia, a to było wysoce niestosowne. Co więcej, ten straszny człowiek opowiadał nieprawdopodobne historie o biednej mamie i większość znajomych w nie uwierzyła, a w rezultacie zaczęli się bardzo dziwnie w stosunku do niej zachowywać. Mama czuła się zmuszona zawiadomić o wszystkim lorda Hilla, który w końcu powiedział Conwayowi, że najlepiej będzie, jeśli wyśle nas do Anglii! - Zakończyła w ten sposób nieskładną, z przejęciem wygłoszoną opowieść. Potem szybko dodała: - A poza tym ja nie czułam się dobrze.

- Nie wątpię - zauważyła Venetia z wesołym błyskiem w oku. - Myślę, że na pani miejscu w ogóle bym nie wstawała z łóżka. Nie ma nic gorszego, niż znaleźć się w centrum takich kłótni.

- Och, to było straszne! - powiedziała jeszcze raz Charlotta i potrząsnęła głową. - Byłam bliska hysterii, więc mama oczywiście nie mogła mnie zostawić, zresztą to nie wchodziło w rachubę, bo jestem pewna, że nigdy nie zniosłabym rozłąki z nią, zwłaszcza kiedy czuję się nie najlepiej. - Nerwowo gniotła w dłoni chusteczkę i zacinając się mówiła dalej: - Mama... Mama mówi czasem różne rzeczy... ale wcale tak nie myśli... Ona tyle musiała znieść, bo tata chorował, a jego rodzina zachowała się w stosunku do nas bardzo nieprzyjemnie... Wszyscy stanęli po stronie cioci Elizabeth, kiedy pokłóciła się z mamą, nie przeprosili jej potem, więc mama musiała zerwać wszelkie kontakty z nimi. Potem ojciec umarł na febrę, którą zaraził się w Indiach... On był oficerem jak Conway... i tak mama została tylko ze mną i moją siostrą.

- Ma pani tylko jedną siostrę? - zapytała Venetia, gdyż nie była w stanie znaleźć odpowiednich słów, by skomentować przeżycia pani Scorrier.

- Tak. Ma na imię Fanny. Starsza ode mnie, ale bardzo się przyjaźniłyśmy. To wszystko jest takie smutne. Dwa lata temu wyszła za mąż i ma śliczne małe dziecko, którego jeszcze nie widziałam, bo szwagier, zawsze uważany przez nas za wyjątkowo miłego człowieka, okazał się nieuprzejmy w stosunku do mamy,

kiedy zamieszkałyśmy z nim i Fanny, powiedział nawet, że nie życzy sobie, by ktoś robił zamieszanie w jego domu, tylko dlatego, że mama uznała za swój obowiązek poradzić siostrze, żeby zmieniła gospodynię, która była szokująco ekstrawagancka, a nawet mama podejrzewała, że jest nieuczciwa.

Zanim Venetia zdołała ochłonać po tym, co usłyszała, do pokoju weszła pani Scorrier. Z zamiaru ostrzeżenia Charlotty, że każda próba usunięcia gospodyni z Undershaw zakończy się porażką matki, trzeba było zrezygnować.

Pani Scorrier zdążyła już obmyślić całą listę wspaniałych planów na przyszłość. Prawdopodobnie od pokojówki, którą przydzieliła jej pani Gurnard, dowiedziała się wszystkiego o organizacji życia domowego i natychmiast dostrzegła ogromne pole do wszelkich usprawnień. To, co było odpowiednie dla niezamężnej kobiety, żyjącej w odosobnieniu z kalekim bratem, nie mogło w żaden sposób zadowolić lady Lanyon. Jej pozycja wymaga na przykład, by poza lokajem zatrudnić dwóch dodatkowych ubranych w liberie służących. Niech tylko panna Lanyon nie myśli, że w sposób znaczny wzrosną przez to koszty, gdyż można ograniczyć liczbę kobiet zatrudnionych w domu.

- Nie znaczy to, droga panno Lanyon, że mam zastrzeżenia do sposobu prowadzenia domu przez panią - zapewniła uprzejmie Venetię. - Wręcz przeciwnie, zaskoczona jestem tym, co zobaczyłam, i muszę z pełną odpowiedzialnością stwierdzić, że nie ma pani powodu, żeby się rumienić.

- Na pewno nie - zgodziła się Venetia. - Ale te komplementy należą się komuś innemu. Pani Gurnard prowadziła ten dom, jeszcze zanim się urodziłam. Przypuszczam, że jutro - teraz Venetia zwróciła się do Charlotty - będzie chciała pokazać pani cały dom. Proszę nie zwracać uwagi na to, że wyda się pani nieco szorstka w obejściu. Jestem przekonana, że szybko przy wiąże się do pani, zwłaszcza jeśli zaakceptowane zostaną jej metody działania i obyczaje. Proszę porozmawiać z nią o Conwayu. Ona jest bardzo do niego przywiązana, nawet pozwala mu się nazywać „kochaną starą Gurney”, na co ja nigdy bym się nie odważyła. Niewątpliwie będzie chciała przekazać pani klucze. Wydaje mi się, że powinna pani poprosić ją, by je zatrzymała.

- Oczywiście, nigdy nie miałam zamiaru...

- Jeśli o to chodzi, kochanie - przerwała jej pani Scorrier - to uważam, że od początku trzeba myśleć o tym, co będzie później. Zrozumiałe, że panna Lanyon czułaby się skępowana w takiej sytuacji, bo przecież zna tę panią od dawna, ale z tobą sprawy przedstawiają się zupełnie inaczej. Zawsze jest tak ze starymi domownikami. Szybko wykorzystują swoje dawne zasługi i stają się tyranami. Jeśli ja mogę ci coś doradzić, kochanie, to...

- Lepiej, żeby słuchała rad mojej siostry - powiedział Aubrey, który wszedł do pokoju w samą porę, by być świadkiem wcześniejszej wymiany zdań. - Boże! Nie wyobrażam sobie, co by się działo, gdyby Conway po powrocie do domu dowiedział się, że pani Gurnard odeszła stąd w tego rodzaju okolicznościach.

Charlotta zbladła na samą wzmiankę o tym, że Conway mógłby być niezadowolony. Pani Scorrier też zamilkła na moment, ale szybko odzyskała kontenans.

- No dobrze... Zobaczmy.

Uśmiechała się nadal, ale spojrzenie, które rzuciła Aubreyowi nie było zbyt sympatyczne. Venetia modliła się tylko, by nie doszło do dalszych prowokacji.

Modlitwa nie została wysłuchana. Na długo przed końcem obiadu dla wszystkich znających Aubreya było jasne, że zdecydował się na wojnę.

Kiedy po wejściu do jadalni Charlotta zorientowała się, że wszyscy oczekują, iż zajmie główne miejsce za stołem, cofnęła się i wyjąkała:

- Och... Proszę! To pani tutaj zawsze siadała, prawda? Jeśli można, to wolałabym nie zajmować pani miejsca!

- To ja nie chcę zajmować pani miejsca - odparła Venetia.

- A przy okazji... Czy mogłaby pani zwracać się do mnie po imieniu?

- Och, tak! Dziękuję. Bardzo mi będzie miło. Ale czy nie lepiej...

- Moja droga Charlotto, panna Lanyon pomyśli, że jesteś naiwną gąską, jeśli będziesz się tak zachowywać - odezwała się pani Scorrier. - Ona ma rację i nie powinnaś mieć żadnych skrupułów, zapewniam cię. - Potem obdarzyła Venetię szczególnie szerokim

uśmiechem i dodała: - Taki już jest los siostry. Kiedy brat się żeni, traci wówczas uprzywilejowane pierwsze miejsce, prawda?

- Niewątpliwie, madam.

- Tak źle chyba nie jest, moja droga - stwierdził Aubrey. - Ty zawsze będziesz w tym domu najważniejsza, nawet gdybyś jadała w kuchni, i dobrze o tym wiesz.

- Cóż za oddany brat - stwierdziła zgryźliwie pani Scorrier.

- Przede wszystkim nierozsądny - odparła Venetia, a potem zwróciła się do pani Scorrier: - Czy woli pani siedzieć bliżej kominka, czy też...

- Pani Scorrier powinna zająć miejsce na samym końcu stołu - powiedział poważnie Aubrey.

- Ma pan na myśli, że powinnam usiąść tutaj, naprzeciwko pierwszego miejsca za stołem, jak rozumiem.

- Ależ tak, naturalnie - odparł Aubrey, udając zaskoczenie.

- Czyżbym powiedział coś innego? Ciekawe, co mogłoby mnie do tego skłonić?

Venetia zapytała Charlotte, czy dobrze bawiła się w Paryżu. Było to pierwsze z całej serii pytań, którymi usiłowała ratować sytuację w czasie tego obiadu, o którym później mówiła z goryczą jako o pamiętnym wydarzeniu. Aubrey nie prowokowany nie atakował, ale rewanżował się ostro za każdą najmniejszą nawet uszczypliwość. Najwyraźniej mianował się orędownikiem siostry i zwycięsko wychodził z każdego starcia z przeciwnikiem. Venetia nie mogła oprzeć się myśli, że pani Scorrier jest albo bardzo głupia, albo opętana przez złego ducha, bo inaczej starałaby się nie narażać na kolejne klęski. Wydawało się, że ogarnęła ją nieprzeparata chęć dokuczenia Venetii czy przeciwstawienia się jej wyimaginowanym pretensjom, tak więc jadalnia zamieniła się w pole bitwy, na którym (o czym z rozbawieniem pomyślała Venetia) obrońcy wyraźnie górowali nad atakującymi.

Niezdolna przeciwstawić się taktyce Aubreya, pani Scorrier zdecydowała się na zadanie ciężkiego ciosu. Uśmiechając się do niego powiedziała, że nikt nie mógłby jego i Conwaya uznać za braci, tak są do siebie niepodobni. Aubrey odpowiedział natychmiast:

- Oczywiście, że nie mógłby, madam. Conway po przodkach odziedziczył wyłącznie tężyznę, ja rozum, a Yenetia urodę.

Trudno się dziwić, że po tej wypowiedzi pani Scorrier wstała Od stołu z poważnie nadszarpniętymi nerwami. Wyszła do salonu, usadowiła się w fotelu stojącym przy kominku z wyrazem twarzy przyprawiającym jej córkę o drżenie. Nie miała jednak okazji do zademonstrowania swego złego humoru, bo Venetia oznajmiła, że musi jeszcze napisać dwa pilne listy i ma nadzieję, że Charlotta nie będzie miała jej za złe, jeśli na resztę wieczoru zostawi ją w towarzystwie matki. Zaraz potem wyszła i udała się do biblioteki, gdzie czekał na nią Aubrey.

- Diablica - powiedziała wchodząc.

Uśmiechnął się do niej.

- O co się ze mną założysz, że przed upływem tygodnia opuszczę ten dom?

- O nic. Byłby to rabunek, bo wiem, że nie zrobisz tego. Weź, mój drogi, pod uwagę uczucia tej biednej Charlotty. Może nie jest zbyt rozzębiona, ale to nie jej wina, a zachowuje się sympatycznie i uprzejmie.

- „Tak słodko ckliwa i tak ckliwie nudna”, można by o niej powiedzieć.

- Cieszymy się chociaż z tej słodyczy. Gzy będziesz korzystał ze swojego biurka? Muszę napisać do cioci Hendred i do lady Denny, a w moim saloniku jest zimno.

- Nie kazały tam napalić? - zapytał z naciskiem.

- Jeśli nie chcesz doprowadzić mnie do hysterii, to przestań - poprosiła Venetia i usiadła przy ogromnym biurku. - Och, Aubrey! Cóż to za okropne pióro! Proszę cię, zaostrz je jakoś.

Wziął od niej pióro, a potem z szuflady biurka wyjął mały nożyk. Przycinając pióro powiedział nagle:

- Zamierzasz napisać do cioci i lady Denny, że Conway się ożenił?

- Oczywiście, i nawet mam nadzieję, że jeśli chodzi o lady Denny, nikt mnie nie ubiegł. Ciocia czytuje, jak sądzę, „Gazette” i zapewne wie już o wszystkim, bo ta wstrętna kobieta mówiła, że wysłała anons przed wyjazdem z Londynu. Mogła z tym zaczekać jeszcze parę dni, zwłaszcza po trzech miesiącach zwłoki.

- Conway nie był zaręczony z Clarą Denny, prawda? - zapytał Aubrey oddając pióro Venetii.

- Nie... To znaczy nie był zaręczony oficjalnie. Lady Denny uznała, że oboje są jeszcze zbyt młodzi, a sir John nie zgadzał się na zaręczyny, dopóki Conway nie osiągnie odpowiedniego wieku, nie ulega jednak wątpliwości, że oboje chętnie przystaliby na ich związek, no i że Clara uważa się za narzeczoną Conwaya.

- Jakie naiwne są dziewczyny! - zawołał. - Przecież Conway, gdyby mu na tym zależało, mógł zwolnić się z wojska po śmierci ojca. Nie sądzę, żeby ona o tym nie wiedziała.

- Ty możesz tak myśleć, ale z tego, co mi kiedyś powiedziała, wynika, że jej zdaniem Conway pozostał w armii wyłącznie z poczucia obowiązku.

- Conway? Niemożliwe, żeby Clara Denny wierzyła w takie bzdury.

- Zapewniam cię, że tak, i to nie tylko Ona, ale każdy, kto nie zna go bliżej. Zwróć uwagę, że on zawsze dbał o to, by robić wyłącznie to, co mu najbardziej odpowiadało, ale uzasadniał swoje postępowanie wyższymi, szlachetnymi racjami. Poza tym on się znakomicie prezentuje.

Aubrey zgodził się z siostrą, ale zamyślił się i po chwili zapytał:

- Czy ja też tak postępuję?

- Nie, kochanie - odpowiedziała otwierając kałamarz. - Ty również robisz to, co ci najbardziej odpowiada, ale nie szukasz do tego szlachetnych uzasadnień. Jesteś okropnie zarozumiały i wcale nie przejmujesz się tym, co ludzie o tobie myślą, Conway tak.

- Wolę uchodzić za zarozumialca niż hipokrytę - stwierdził Aubrey, bez sprzeciwu przyjmując ocenę swojego charakteru.

- Muszę przyznać, że ciekaw jestem, jakie były powody tego niespodziewanego małżeństwa. Nie wątpię, że musiały być. Dlaczego, u licha, on nie napisał do nas? Przecież wiedział, że wcześniej czy później będzie musiał nam o tym powiedzieć. To jakaś dziwna zagadka.

Venetia spojrzała na niego znad listu, który zaczęła już pisać.

- Tak, mnie to też intryguje - przyznała. - Myślałam o tym przebiegając się do obiadu i znalazłam całkiem ładne wyjaśnienie

tej zagadki. Właśnie dlatego boję się, że biedna Clara dozna szoku, gdy dowie się o wszystkim. Podejrzewam, że Conway oświadczył się jej. Naturalnie nie sądzę, by teraz był w niej tak zadurzony, jak w czasie ostatniej wizyty w domu, kiedy to uznał, że Clara powinna zostać jego żoną, ale obawiam się, że bez wiedzy rodziców dali sobie pewne obietnice. Jeśli przyjmiemy, że Conway miał jakieś honorowe zobowiązania w stosunku do Clary, to możemy zrozumieć, dlaczego do nas nie napisał.

- Nie przypuszczam, żeby tak było.

- Dobry Boże, Aubrey, przecież znasz Conwaya! Wiesz dobrze, że zawsze, gdy stanął przed jakimś trudnym zadaniem, starał się nic nie robić tak długo, jak tylko było to możliwe. Pomyśl, jak ciężko przyszłoby mu napisać, że w czasie jednego urlopu poznał, zakochał się i poślubił panienkę, której nigdy wcześniej nie widział, łamiąc przy tym obietnice dane innej dziewczynie.

- Tak, musiał zdawać sobie sprawę, że postąpił nieładnie - zauważył refleksyjnie Aubrey. - Podejrzewam, że Charlotta go po prostu złapała.

- Nie ona, ale pani Scorrier. To ta kobieta nie pozwoliła, żeby im się wymknął, i jest całkowicie odpowiedzialna za ten przyspieszony ślub. Założę się, że gdyby nie doprowadziła natychmiast do małżeństwa, Conway już po miesiącu zapomniałby o jej córeczce. A kiedy było już po wszystkim, zamierzał na pewno napisać do mnie... no może nie tego dnia, ale następnego. I tak dni mijały, jak w czasie tych wakacji kiedy to zamierzał powiedzieć ojcu, że woli iść do wojska niż do Oksfordu. W końcu ja musiałam to za niego załatwić, już po jego powrocie do Eton. Tym razem nie miał go kto zastąpić, więc odkładał napisanie listu tak długo, aż było to już całkiem niemożliwe. Potem wytłumaczył sobie, że lepiej będzie w ogóle nie pisać, tylko przywieźć Charlotte do domu. Liczył na to, że radość z jego powrotu spowoduje, że uznamy sprawę za załatwioną. Niestety, pani Scorrier udaremniła te plany, wdając się w awantury z jakimś pułkownikiem. W rezultacie Conway nie miał innego wyjścia, jak tylko wysłać obydwie panie na-

DECYZJA

tychmiast do kraju. Wyobraź sobie, co by się tam działo, gdyby spróbował wyekspediować tylko mamusię bez Charlotty.

- Wysłał je więc razem - powiedział Aubrey uśmiechając się.
- No widzisz? Myliłaś się. Znalazł kogoś, kto przekazał za niego tę wiadomość. To naprawdę nieodpowiedzialny facet.

Aubrey sięgnął po leżącą na stole otwartą książkę i natychmiast zagłębił się w lekturze. Venetia rozbawiona jego uwagą umoczyła ponownie pióro w atramencie i zajęła się pisaniem listu do ciotki Hendred.

12

Następnego ranka Venetia obudziła się z uczuciem przygnębienia, które pogłębiło się, gdy po wejściu do jadalni stwierdziła, że przy śniadaniu towarzyszyć jej będzie wyłącznie pani Scorrier. Charlotta jeszcze nie wstała, a Aubrey polecił lokajowi, by kawę i kromkę chleba z masłem przynieść mu do biblioteki. Matka lady Lanyon powitała Venetię z ostentacyjną uprzejmością, ale zaraz potem wywołała w niej falę trudnego do opanowania gniewu pytaniem, czy życzy sobie kawę ze śmietanką. Przez chwilę Venetia nie mogła zdobyć się na to, by odpowiedzieć, ale szybko opanowała uczucie, które określiła jako nieusprawiedliwioną furję, i poprosiła panią Scorrier, by nie sprawiała sobie kłopotu troszcząc się o nią. Pani Scorrier, która dostrzegła błysk irytacji w zawsze wesołych oczach Venetii, nie nalegała i wygłosiła parę pochwał na temat łóżka, na którym spała, widoku z okien sypialni i braku ulicznego hałasu. Venetia grzecznie odpowiedziała, ale kiedy pani Scorrier wyraziła sugestię, że powinno się zabronić Aubreyowi spożywania śniadania tam, gdzie chce i kiedy chce, zapytała tylko z nie skrywaną dezaprobatą:

- Tak pani sądzi, madam?

- Może wydam się pani staroświecka - odparła na to pani Scorrier - ale ogromną wagę przywiązuję do punktualności. Rozumiem jednakże, że dla pani zajmowanie się tym biednym chłopcem jest trudnym zadaniem. Nie wątpię, że kiedy sir Conway wróci do domu, będzie wiedział, jak nim pokierować.

Venetia roześmiała się.

- Droga pani Scorrier, pani się chyba wydaje, że Aubrey jest jeszcze dzieckiem. Wkrótce skończy siedemnaście lat i już od

dawna jest w pełni samodzielny. Nie sędę, żeby komukolwiek powiodła się próba zmiany tego stanu rzeczy. Zresztą, jeśli mam być szczerą, to Conway na pewno jej nie podejmie.

- Muszę pani powiedzieć, panno Lanyon, że byłabym bardzo zdziwiona, gdyby sir Conway pozwolił podawać Aubreyowi posiłki w dowolnym miejscu bez czyjegokolwiek przyzwolenia. Teraz, kiedy Undershaw ma już swoją panią, takie postępowanie jest nie do przyjęcia. Mam nadzieję, że wybaczy mi pani tak jasne postawienie sprawy.

- Oczywiście, madam, ale i ja chciałabym pani coś jasno i wyraźnie oznajmić - odparła bez wahania Venetia. - Proszę nie liczyć na to, że będzie pani mogła wpływać na postępowanie Aubreya, gdyż ani pani, ani pani córka nie mają żadnego prawa, by wtrącać się w jego sprawy. On potrafi sam się nimi zajmować, z moją, do pewnego stopnia, pomocą.

- Ach, tak! Wygląda na to, że zostałam wprowadzona w błąd. Wydawało mi się, że to Conway jest jego opiekunem.

- Wcale nie została pani ile poinformowana, tyle że Conway już dawno zdecydował się mnie powierzyć bezpośrednią opiekę nad Aubreyem. Musi też pani pamiętać, że Conway zawsze uznawał umysłową wyższość brata, chociaż głęboko boleje nad jego kalectwem. Być może mój starszy brat posiada jakieś wady, ale z pewnością ma wyjątkowo dobry charakter i ten rodzaj rycerskości, który nakazuje mu pozostać raczej pobłażliwym, może nawet przesadnie, choćby Aubrey był znacznie bardziej niezdolny, niż jest. To wszystko, co chciałam powiedzieć, imam nadzieję, że wybaczy mi pani moją bezpośredniość, podobnie jak ja wybaczam pani. Proszę darować, ale nie będę towarzyszyć pani przy śniadaniu. Mam wiele pilnych spraw do załatwienia. Poprosiłam panią Gurnard, żeby jeszcze dzisiaj wprowadziła Charlotte w sprawy domowe. Proszę powiedzieć córce, by zawiadomiła gospodynię, kiedy tylko będzie gotowa.

Wyszła, nie dając pani Scorrier czasu na odpowiedź, ale chociaż wiedziała, że Powick czeka już na nią w kancelarii, udała się tam dopiero po mniej więcej dwudziestu minutach. Musiała zostawić sobie trochę czasu, by ochłonać po odbytej przed chwilą rozmowie. Stosunkowo szybko odzyskała panowanie nad sobą, ale mimo

wszystko nie potrafiła patrzeć w przyszłość inaczej niż z głębokim niepokojem. Wyrzucała sobie, że pozwoliła pani Scorrier wciągnąć się w tego rodzaju wymianę zdań, chociaż zdawała sobie sprawę, że wcześniej czy później byłaby zmuszona do sprzeciwienia się tej kobiecie, której pasja rządu mogłaby doprowadzić do przewrócenia całego domu do góry nogami. Co do złej Woli pani Scorrier nie miała wątpliwości. Dostrzegając w jej oczach nieprzejednaną wrogość i wiedziała, że kobieta ta nie pominie żadnej okazji, by ją zranić albo przynajmniej zirytować.

Rozmowa z Powickiem przeciągnęła się do południa. Czas spędzony w towarzystwie upartego i flegmatycznego rządcy korzystniej wpłynął na odzyskanie przez Venetię wewnętrznej równowagi niż wcześniejsze rozmyślenia. Przeglądanie rachunków działało na nią podobnie jak na Aubreya studiowanie Platona.

W głównym skrzydle domu nie zastała ani Charlotty ani jej matki, ale Ribble, który zjawił się w holu akurat, gdy Venetia miała zamiar udać się do ogrodu, poinformował ją, że obydwie panie w towarzystwie pani Gurnard przeprowadzają akurat inspekcję skrzydła kuchennego. Wręczył również Venetii zapieczętowany bilecik, który posłaniec wysłany do Ebbesley przywiózł w odpowiedzi na jej list. Treść była krótka, ale wyczuwało się, że te parę zdań zostało napisanych w stanie silnego wzburzenia. Lady Denny nie chciała dłużej zatrzymywać posłańca, błagała tylko, by Venetia wybrała się do Ebbesley tak szybko, jak tylko będzie to możliwe. W postscriptum dodała, że zajęta jest pakowaniem rzeczy Oswalda, który już następnego dnia wyjeżdża do swego wuja w Rutlandshire.

Gdy po przeczytaniu liściku Venetia uniosła głowę, napotkała wzrok Ribble'a niespokojnie wpatrującego się w nią. Milczała przez chwilę, a potem powiedziała smutno:

- Ja wiem, Ribble, ja wiem. Znaleźliśmy się w tarapatkach, ale wybrniemy z nich.

- Mam nadzieję, panienko. - Stary lokaj westchnął głęboko.

- Naraziłeś się już jej, prawda? - Uśmiechnęła się do niego. - Ja też. Zapewniam cię

- Tak, panienko... To samo odważyłem się powiedzieć pani Gurnard. Och, gdyby ona usłyszała to, co ja słyszałem, wie-

działaby, co nas czeka. Jeśli wolno mi zauważyć, zachowanie spokoju wiele mnie wówczas kosztowało. Och, panno Venetio, co to się stało z sir Conwayem? Undershaw już nigdy nie będzie takie samo!

- Będzie, Ribble, będzie - powiedziała. - Zaczekaj tylko, aż on wróci. Tobie mogę otwarcie powiedzieć, że znaleźliśmy się w trudnej sytuacji, a pani Scorrier jest niesympatyczną osobą, ale wierzę... och, jestem pewna, że wkrótce będziesz tak przywiązany do lady Lanyon jak... do mnie.

- O nie, panienko. To niemożliwe. Wszystko będzie inaczej w Undershaw, milady na pewno zechce wprowadzić zmiany. To zrozumiałe. Nie jestem już taki młody jak dawniej i jeśli milady uzna, że...

- Na pewno nie - przerwała mu. - Wiem, co chcesz powiedzieć, ale to nie ma sensu. Jak możesz przypuszczać, że mój brat chciałby mieć kiedykolwiek innego lokaja na miejsce naszego drogiego, poczciwego Ribble'a?

- Dziękuję paniencie. Jest pani bardzo dobra - powiedział lekko drżącym głosem. - Ale mamy nadzieję, pani Gurnard i ja, że jeśli myśli pani o założeniu własnego domu razem z paniczem Aubreyem, co zawsze sobie planowaliście, to może zechce nas pani ze sobą...

Venetię wzruszyło to, co usłyszała, ale odpowiedziała żartobliwym tonem:

- O nie, nie. Jak oni by sobie tu bez was poradzi? Nie śmiałabym wykradać was mojemu bratu. Nawet myśleć mi o tym nie wolno. Wam zresztą też smutno byłoby z dala od Undershaw. Dobrze o tym wiecie.

- Tak, panienko. Ja nigdy nie myślałem o tym, żeby opuścić Undershaw, pani Gurnard również, ale nie wiemy, czy będziemy mogli zostać teraz, kiedy pani Scorrier... Jeśli panienka pozwoli, to szczerze powiem, że każdy widzi, na co się zanoszi, i nie chcielibyśmy, żeby nas wyrzucono, a może do tego dojść, zanim jeszcze zjawi się sir Conway. Jestem zbyt stary, żeby przyzwyczajać się do nowych obyczajów, i kiedy dojdzie do tego, że nie wolno mi będzie przyjmować poleceń od panicza Aubreya bez zezwolenia lady Lanyon, to, panienko... może tak się zdarzyć, że nie utrzymam

języka za zębami... a pani Scorrier tylko na to czeka, żeby mnie wyrzucić.

- Nie, na to się nie zdobędzie - powiedziała zdecydowanie Venetia. - Nie sądzę zresztą, żeby lady Lanyon życzyła sobie takich posunięć, a gdyby nawet, to ode mnie dowie się, że nie ma prawa nikogo zwalniać. Do powrotu Conwaya ja zarządzam domem, a kiedy on przyjedzie, to... obawiam się, że nim minie tydzień, pani Scorrier będzie pakować rzeczy. Bądź tylko cierpliwy, Ribble.

Stary lokaj uspokoił się nieco, a kiedy Venetia, wbrew zasadom, popełniła niedyskrecję mówiąc, że Conway już raz panią Scorrier odesłał z Cambrey do Londynu, całkiem odzyskał dobre samopoczucie i odszedł chichocząc cicho do siebie. Venetia nie wątpiła, że przekaże tę wiadomość pani Gurnard i prawdopodobnie niani, ale wydało jej się nieprawdopodobne, by wtajemniczona została młodsza służba, a więc nie dokuczały jej wyrzuty sumienia.

Poszła do ogrodu i zajęła się porządkowaniem rabat z jakimiś późno kwitnącymi kwiatami. Zobaczyła nagle bratową, która wyszła z domu i stojąc przed schodami rozglądała się niepewnie, jak gdyby obawiała się ataku wilkołaka. Venetia pomachała do niej ręką i Charlotta ruszyła w jej kierunku. Otulona szalem wyglądała blade i mizernie.

- Dzień dobry, panno Lanyon, to znaczy Venetio... - Uśmiechnęła się nerwowo. - Pomyślałam sobie, że mogłabym pospacerować po ogrodzie albo... albo posiedzieć chwilę na słońcu. Rozboliła mnie głowa, tak gorąco było w kuchni... Ja nie umiem gotować, nie znam żadnych przepisów, więc wymknęłam się. Mama... mama została i uczy kucharkę wykonania cięłego ragout według francuskiego przepisu.

- Słusznie zrobiłaś uciekając - powiedziała ze śmiechem Venetia. - Wyobrażam sobie tę scenę i tylko mam nadzieję, że kucharka nie ma tasaka pod ręką.

- Mama jest o niej jak najlepszego zdania - powiedziała szybko Charlotta. - Pochwaliła ją za ciasteczka i... i...

- Ależ, moja droga, ja tylko żartowałam! Wyglądasz na wyczerpaną. Pewno oprowadzili cię już po całym domu.

- Och, nie! - odparła Charlotta i usiadła na ławeczce. - Ten dom jest taki... taki duży, rozległy, a ja nie mam pojęcia o prowa-

dzeniu gospodarstwa. Wiem, że pani Gunard lekceważy mnie, chociaż starałam się być uprzejma. Och, panno... Och, Venetio, ja wiem, że to niemądre bać się własnej gospodyni, ale ja nie wiem, co jej mam powiedzieć, nie potrafię też zadawać pytań jak mama! Muszę nauczyć się tego od niej.

- Tak sądzisz? Poradzę ci, co powinnaś zrobić - powiedziała Venetia tonem pełnym serdeczności. - Coś, co sprawi przyjemność pani Gurnard. Któregoś dnia, w wolnej chwili, idź do jej pokoju i powtórz dokładnie to, co przed chwilą usłyszałam. Ona oczywiście wie, że ty nigdy nie prowadziłaś domu, ale ucieszy się słysząc to od ciebie, zwłaszcza jeśli poprosisz ją, żeby cię tego nauczyła. Zobaczysz, że wkrótce będziesz z nią w doskonałych stosunkach.

- Tak myślisz? - zapytała z niedowierzaniem Charlotta. - Ja naprawdę chciałabym się czegoś nauczyć, ale mama nie chce, żebyśmy zwracała się z tym do pani Gurnard.

- Twoja matka może i nie chce - zgodziła się Venetia - ale Conway na pewno będzie sobie tego życzył.

Charlotta zamyśliła się, wreszcie westchnęła i powiedziała:

- Och, gdyby on był tutaj! - Odwróciła twarz i po chwili dodała drżącym głosem: - Nigdy nie sądziłam, rozumiesz, że będę musiała przyjechać tu bez niego! To nie znaczy... Mnie się, oczywiście, podoba w Undershaw... i ty jesteś tak bardzo... - Przerwała i łzy popłynęły jej z oczu.

- Doskonale cię rozumiem - powiedziała Venetia biorąc ją za rękę. - Conway postąpił nieładnie wysyłając cię samą do Undershaw, ale naprawdę, Charlotte, bardzo się cieszymy, że jesteś z nami i postaramy się, żebyś czuła się tu szczęśliwa. Zresztą Conway wkrótce będzie już z tobą, prawda?

- O, tak! Ty jesteś taka dla mnie dobra! Ja wcale nie narzekam - powiedziała Charlotta, wycierając ukradkiem oczy. - Bardzo cię przepraszam. Od rana czułam się nie najlepiej, a potem musiałam iść z mamą i panią Gurnard... Ale to wszystko drobiazgi. Niania powiedziała... Och, Venetio, niania jest bardzo miła, prawda?

- Ach, więc już ją poznałaś? Bardzo się cieszę i dobrze, że ją polubiłaś.

- Tak, dzięki niej czuję się spokojniejsza. No i wczoraj włożyła gorącą cegłę do mojego łóżka, pomogła mi się rozebrać, dała mi

do wypicia mleko z winem, a potem jeszcze opowiedziała o Conwayu, jaki był w dzieciństwie. No i rano przyniosła mi śniadanie.

Venetię ucieszyła ta zmiana tematu rozmowy i starała się prowadzić ją nadal w tym kierunku. Pomogło jej nagłe zjawienie się niani, która przyniosła swej podopiecznej kubek gorącego mleka. Dla Venetii natychmiast stało się jasne, że niania postanowiła przejąć pełną opiekę nad Charlottą. Gdy tylko znalazła się w zasięgu głosu, natychmiast zaczęła robić młodej lady wymówki, że nie zjadła drugiego śniadania. Na nieśmiałe tłumaczenie Charlotty odpowiedziała groźnie:

- Nie ma znaczenia, czy jesteś głodna, czy nie, milady. Musisz jeść za dwoje i słuchać tego, co mówię! A teraz wypij to mleko.

- Wcisnęła jej kubek w rękę, spojrzała na nią uważnie i zapytała:

- Kto ci dokuczył, milady? Wiem, że nie panna Venetia.

- Och, nie, nie! To drobiazg.

- Tęskni za Conwayem - wyjaśniła Venetia.

- Tak, to wiem, ale łzami wcale go do domu wcześniej nie sprowadzi - zauważyła niania. - Teraz, moja droga, wypij mleko, to zaraz poczujesz się lepiej. Potem, milady, zamiast tu siedzieć, powinnaś pospacerować po parku z panną Venetią. Mama nie musi wiedzieć, gdzie jesteś, bo na dzisiaj wystarczy ci domowych obowiązków. Tylko, panno Venetio, proszę nie iść zbyt daleko.

- No to co, przejdiesz się ze mną, Charlotte? - zapytała Venetia wstając z ławki. - Będzie mi bardzo miło.

- O tak, chętnie... tylko, czy tam nie jest zbyt mokro? Mama powiedziała...

- A co ja mówiłam, milady? - przerwała jej niania. - Nie można się rozpieszczać. Zawsze przestrzegałam tej zasady i powiem o tym twojej mamie.

- Och, nianiu, proszę cię...! - zawołała przerażona Charlotta.

- Nie przejmuj się, milady - uspokoiła ją niania. - Teraz już proszę iść na spacer i nie zamartwiać się.

- Wezmę ze sobą psy, muszą sobie trochę pobiegać - powiedziała Venetia, nieświadoma wrażenia, jakie te słowa wywarły na młodej damie.

- Nie zrobi pani tego, panienko. Panicz Aubrey zabrał je ze sobą - oznajmiła niania, a Charlotta odetchnęła z ulgą. - Tak, niech się

panienka nie dziwi. Pojechał, zupełnie nie zwracając uwagi na to, co mówię. Powiedział tylko, że musi sprawdzić, czy noga go jeszcze boli, bo inaczej nigdy się tego nie dowie. Nie wiem, czy nie będziemy musieli z powrotem położyć go do łóżka, bo takie wybryki do niczego dobrego nie prowadzą. Nieraz powtarzałam: „Ten, kto nosi w sercu przekorę, nagrody się nie doczeka”.

- Kiedy niania zaczyna cytować Biblię, to znaczy, że jest bardzo poruszona - powiedziała Venetia i razem z Charlottą ruszyły przez trawnik w stronę parku. - Aubrey przed kilkoma tygodniami miał wypadek i ciągle jeszcze obawiamy się, że jego noga nie jest na tyle sprawna, by mógł jeździć konno. Przypuszczam zresztą, że nawet jeśli będzie mu coś dolegać, to nie przyzna się do tego. Bardzo nie lubi, kiedy ktoś mu współczuje, nie lubi również, gdy wspomina się o jego kalectwie.

Venetia zaprowadziła Charlotte do parku i przez cały czas zabawiała ją lekką rozmową, licząc na to, że dziewczyna nieco się odpręży. Zapytała ją w którymś momencie, czy lubi czytać książki. Z odpowiedzi wynikało, że nie jest to zajęcie, które ceniłaby sobie zbyt wysoko. Venetia opowiedziała jej więc parę zabawnych zdarzeń ze swego dzieciństwa. Nie mogła potem oprzeć się myśli, że Charlottą po tej rozmowie nie będzie miała zbyt wielu powodów, by uważać ją za osobę mądrą.

Spacer spodobał się bratowej, natomiast Venetia szybko poczuła się serdecznie znudzona. Charlottą poruszała się powoli, a do rozmowy wносиła wyłącznie banalne uwagi na temat uroków otaczającej je przyrody, opisała swój ślubny strój i dorzuciła parę nieinteresujących opowieści o koleżankach szkolnych. Właśnie miały wracać, gdy uwagę Venetii zwrócił tętent koni. Obejrzała się i zobaczyła w głębi alei Aubreya i Damerela. Pomachała im ręką i powiedziała do Charlotty:

- Może pójdziemy im na spotkanie? Mężczyzna, który towarzyszy Aubreyowi, to lord Damerel, nasz najbliższy sąsiad. Przypuszczam, że Aubrey zaprosił go, żeby mógł ci złożyć uszanowanie.

Charlotta wyraziła zgodę głosem pełnym przerażenia, co Venetia wzięła za przejaw nieśmiałości i zignorowała. Charlottą jednakże myślała nie o obcym mężczyźnie, którego miała poznać, ale o psach, które kręciły się koło koni, i miała nadzieję, że są one

dobrze ułożone. Konie zatrzymały się, Damerel przerzucił wodze przez łeb Crusadera, podał je Aubreyowi i zeskoczył na ziemię. Tymczasem trzy z gromady straszliwych psów ku przerażeniu Charlotty ruszyły w ich stronę. Krzyknęła instynktownie, ale szybko uspokoiła się, bo spaniele nie zwróciły na nią uwagi, tylko skakały wokół Venetii, witając ją tak radośnie, jak gdyby nie widziały jej od dawna. Potem Aubrey gwizdnął na nie i Charlotta z zadowoleniem zobaczyła, że pobiegły za nim w stronę stajni.

Damerel idąc swobodnym krokiem w stronę domu, zanim przywitał się uprzejmie z Charlottą, napotkał na moment wzrok Venetii. Ta krótka wymiana spojrzeń powiedziała mu więcej o stanie jej nerwów, niż słowa, które zaraz potem usłyszał.

- Dzień dobry. Mój okropny braciszek ubiegł mnie, jak sądzę, i przekazał panu najważniejsze, ekscytujące wiadomości. Mnie pozostało tylko przedstawić pana mojej bratowej, a chociaż jest to niezwykle miłe zadanie, to jednak żałuję, że nie mogłam pana zaskoczyć... Charlotto, to jest lord Damerel, nasz dobry przyjaciel i sąsiad.

Venetia z satysfakcją zauważyła, że Charlotta podając rękę Damerelowi i zamieniając z nim parę zdawkowych słów, okazała się mniej skrepowana, niż można było oczekiwać. W rozmowie ze szwagrem i szwagierką sprawiała wrażenie osoby tak nerwowej i mało mównej, że Venetia obawiała się, czy zachowanie bratowej nie zostanie zbyt surowo ocenione przez sąsiadów. Nie wiedziała zbyt wiele o świecie, ale była na tyle doświadczona, by oczekiwać, że okoliczności małżeństwa Conwaya, jego tajemniczość, mogą stanowić doskonałą pożywkę dla plotek i domysłów, toteż uważała za niesłychanie ważne, by Charlotta nie dawała swym postępowaniem powodów do podejrzeń, że kryje się tu jakaś tajemnica. Jak na razie nie dostrzegła żadnych uchybień w jej manierach; mogła być nieśmiała, mogło brakować jej wypowiedziom błyskotliwości, ale Venetia miała nadzieję, że nawet tak surowy krytyk jak lady Denny przyzna, że Charlotta jest bardzo dobrze wychowana.

Ruszyli we troje w stronę domu. Nie minęło wiele czasu, a Charlotta zaczęła wesoło szczebiotać o Paryżu i Cambrey, o niedzielnych wyjazdach do Lonchamps, o przyjęciach w kwaterze

głównej lorda Hilla, o jego uprzejmości i o tym, co był łaskaw powiedzieć jej o Conwayu. Venetię początkowo zaskoczyła ta jej nagła odmiana, ale szybko zorientowała się, że nie wynika ona z kokieterii Charlotty, tylko z umiejętności prowadzenia lekkiej konwersacji przez Damerela. Mogła go tylko podziwiać i bawić się tym, chociaż z pewną dozą zazdrości. Bardzo starała się ośmielić Charlotte, ale raczej z miernym skutkiem, tymczasem on dopiął tego po pięciu minutach znajomości, i to bez wyraźnego wysiłku. Sprawiał nawet, że roześmiała się, kiedy rozmowa zeszała na przyjemności, jakie daje robienie zakupów w Paryżu.

- A najbardziej eleganckie kapelusze projektuje madame Phanie!
- powiedział.

Wywołało to u Charlotty radosny chichot.

- Tak! Skąd pan wie? - zapytała patrząc niewinnie na niego.

Venetia zauważyła w tym momencie, że kąciki ust Damerela drgnęły.

- Musiałem o tym słyszeć od jakiejś znajomej damy - powiedział poważnie.

- O tak, kapelusze od tej modystki są eleganckie, ale szokująco drogie - potwierdziła Charlotta.

- Istotnie, jeśli to, co słyszałem, jest prawdą.

'- Z całą pewnością. Mąż zamówił mi u niej kapelusz, a kiedy dowiedziałam się, ile kosztuje, to natychmiast chciałam z niego zrezygnować. Conway nie zgodził się na to i w tym kapeluszu wystąpiłam na śniadaniu wydanym na cześć księcia Wellingtona po jego przyjeździe do kwatery głównej.

Rozmowa prowadzona w takim właśnie lekkim tonie trwała do momentu, kiedy przy furtce łączącej park z ogrodem spotkali Aubreya. Cała swoboda Charlotty zniknęła bez śladu. Obecność chłopca wprawiała ją w prawdziwy niepokój: wydawała się skrępowana jego kalectwem. Ilekroć widziała go w ruchu, odwracała wzrok, robiła to zresztą tak niezręcznie, że Aubrey nie mógł tego nie zauważyć. Tym razem Aubrey utykał bardziej niż zazwyczaj, co oznaczało, że jego próbna jazda była nieco przedwczesna.

- Puxton właśnie wrócił z Yorku z pani pokojówką, madam
- oznajmił, skinieniem głowy witając się z Charlotta. - Nie, właściwie należałoby powiedzieć damą do towarzystwa. Powinnaś

była, Venetio, wysłać po nią karete. Ona nie jest przyzwyczajona do podróżowania w powoziku w towarzystwie zwykłego stangreta.

Charlotta poczuła się zakłopotana, nieskładnie zapewniła Venetię, że mama zaangażowała pannę Trossell w Londynie, ale to nie znaczy, że ma ona prawo do takich wymagań, potem przeprosiła towarzystwo i szybko poszła do domu.

- Znowu coś zabawnego! - zawołała Venetia. - Widocznie pani Scorrier nie wyobraża sobie, by Charlotta mogła w Undershaw obejść się bez damy do towarzystwa. A jeśli chodzi o pana, to chciałam tylko zauważyć, że zachował się pan nieostrożnie opowiadając o modystce, u której ceny, jak pan słyszał, są wyjątkowo wygórowane...

- A może to pani zachowuje się niestosownie, madam, zdradzając, że domyśla się pani, w jakich okolicznościach mogłem poznać madame Phanie! - przerwał jej w pół zdania.

Venetia roześmiała się.

- No tak, oczywiście - powiedziała. - Powinnam była udawać naiwną... i tak bym zapewne zrobiła, gdybym usłyszała tę kwestię od kogoś innego. A swoją drogą, wyjątkowo dobrze radził pan sobie w rozmowie z moją bratową. Była taka swobodna.

- Och, to drobiazg - mruknął prowokująco.

- Co o niej myślisz, Jasperze? - wtrącił Aubrey.

- Niepotrzebnie spłoszyłeś ją swoją złośliwą uwagą. A tak naprawdę to jest śmiertelnie nudna, ale prostoduszna i niezłośliwa. Ona nie zakłóci twojego spokoju.

- Z pewnością nie - potwierdziła Venetia, a po chwili zastanowienia dodała: - Ciekawe, czy Conway był zmuszony do tego małżeństwa. Tak sobie pomyślałam, kiedy dowiedziałam się, że Charlotta jest brzemienna.

- Ja też - zauważył Aubrey - ale niania powiedziała, że rozwiązanie ma nastąpić w maju, więc to by się nie zgadzało. Żadnej tajemnicy.

- Zabrzmiało to, jak gdybyś był rozczarowany - powiedział mocno rozbawiony Damerel. - Czy dostąpię zaszczytu spotkania z mamą, czy uważacie, że byłoby to nierozsądne?

- Jeśli pani Scorrier zna plotki na pański temat, to postąpilibyśmy nierozważnie przedstawiając pana - odparła Venetia. - Chodźmy

lepiej do biblioteki... chociaż ona prawdopodobnie nic o panu nie wie, bo raczej nie sprawia wrażenia plotkarki i jeśli nawet jest nieco prymitywna, to nie zachowuje się...

- Ona jest wyjątkowo trywialna - zauważył Aubrey.

- Och, możliwe, że ma pospolity umysł - zgodziła się Venetia.

- Miałam na myśli to, że nie należy do osób źle wychowanych, w stylu biednej pani Huntspill czy też tych dziwacznych niewiast, jakie miałam okazję poznać w Harrogate, gdzie bawiłam z wizytą razem z ciocią Hendred. Cały czas mówiły o księżniczkach jak o swoich najbliższych przyjaciółkach, co, jak mnie zapewniła ciocia, było absolutnie wykluczone. Pani Scorrier nie uderza w takie tony i chociaż nie jest całkiem szczerą, raczej arogancką, w jej manierach nie ma niczego, co budziłoby niesmak. Mimo to nie przypuszczam, by należała do eleganckiego towarzystwa.

- Jeśli pani Scorrier jest kobietą, o której, jak mi się wydaje, słyszałem, to pochodzi ona z pewnej niezbyt zamożnej szlacheckiej rodziny - powiedział Damerel. - Z tego, co usłyszałem od Aubreya, wynika, że ojcem Charlotty jest Ned Scorrier, więc nie musi się pani rumienić z powodu tego małżeństwa. Scorrierowie to godni szacunku ludzie, nie z najwyższych sfer, ale dobra, przyzwoita rodzina ze Staffordshire. Ned Scorrier był jednym z młodszych synów, uczył się w Eton parę lat przede mną. Słyszałem, że wstąpił do wojska i gdy miał dwadzieścia lat, niezbyt dobrze się ożenił. Nie wiem, co działo się z nim później.

- Zmarł na febrę w Indiach - powiedziała Venetia. - To musi być ta właśnie rodzina, bo pani Scorrier przy jakiejś okazji wspomniała o krewnych męża mieszkających w Staffordshire.

- Venetia zmarszczyła brwi. - Z tego, co wiem od Charlotty, jest z nimi skłócona. W ich sytuacji takie postępowanie wydaje się szczególnie niemądre. Nie mają zbyt dobrej pozycji w świecie, powodzi im się nie najlepiej, można by więc przypuszczać, że powinny jak ognia unikać sporów z rodziną męża.

- Żyje pani w odosobnieniu i dlatego nie miała pani okazji poznać tej kategorii kobiet, które nie mogą powstrzymać się od kłótni z każdym, kto stanie im na drodze - powiedział Damerel.

- Taka osoba zawsze czuje się lekceważona, a przy tym tak się zazwyczaj składa, że wybiera sobie przyjaciół spośród ludzi, którzy

wcześniej czy później zaczynają jej nienawidzić. Wydaje się jej, że wcale nie dąży do kłótni, że jest najsympatyczniejszą i najcierpliwszą istotą. To za jej otwartość i szczerłość inni odpłacają nienawiścią i w końcu dochodzi do tego, że nie mogąc znieść obelg zmuszona jest do zerwania wszelkich kontaktów. Czyż nie trafiłem w sedno?

- Wyjątkowo dobrze - potwierdził Aubrey uśmiechając się ironicznie.

- Dochodzi do tego równie irracjonalna zawiść - wtrąciła Venetia. - Odnoszę wrażenie, że pani Scorrier od pierwszego wejrzenia czegoś mi zazdrości, i nie mogę zrozumieć czego, bo przecież nie dałam jej żadnego powodu.

- Ależ dała pani powód - powiedział Damerel. - Gdyby była pani czarnowłosą pięknoską, sprawa wyglądałaby inaczej. Mogłaby pani służyć za tło dla mdłej blondynki. Niestety, moja droga, jest pani jasnowłosa i może pani przyćmić urodą tamtą kobietę. Proszę mi wierzyć, blask złota najlepiej prezentuje się na czarnym tle, o czym pani Scorrier doskonale wie.

- Na Jowisza, trafnie to ująłeś - zawołał Aubrey i spojrzał uważnie na siostrę. - Myślę, że ona istotnie jest wyjątkowo ładną dziewczyną, w każdym razie ludziom zapewne tak się wydaje.

- Skoro nawet ty musiałeś przyznać, że jest nie najgorsza, to nie może być żadnych wątpliwości.

- Dziękuję! Jestem wam ogromnie zobowiązana - powiedziała śmiejąc się Venetia. - Poza tym *dobrze* chyba wiecie, że lubię żarty. A teraz oddajcie sprawiedliwość Charlottcie i przyznajcie, że jest bardzo ładną dziewczyną.

- Na pewno. W stylu porcelanowej laleczki bez wyrazu.

- Ja tam nie dostrzegani w niej nic poza pospolitością - mruknął Aubrey. - A Conway, o ile go znam, musiał być chyba pijany, kiedy się jej oświadczył.

- Dobrze wiem, dlaczego to zrobił: jest ładna i miła, a przede wszystkim bezgranicznie go podziwia, powiedziałabym nawet, wielbi. Stworzą znakomitą parę - stwierdziła Yenetia. - Nigdy mu się nie sprzeciwi i zawsze będzie go uważać za równie mądrego, jak przystojnego.

- W takim razie Conway stanie się wkrótce człowiekiem

całkowicie nie do zniesienia - powiedział Aubrey podnosząc się z krzesła. - Muszę pójść i zająć się Bess. Wbiła sobie kolec w łapę.

Kiedy drzwi zamknęły się za nim, odezwał się Damerel.

- Nie interesuje mnie Charlotta ani tym bardziej jej matka, ale niepokoi mnie brat pani, Conway. Co, u diabła, znaczy to wszystko? Jak on mógł zrobić pani taki niemądry kawał? Cóż to za człowiek?

- Hmm... Jest wysoki i bardzo przystojny - powiedziała po chwili namysłu. - Sprawia wrażenie mężczyzny o silnej woli, ale w istocie jest niefrasobliwy i tylko czasem zawzięty. Jest uprzejmy i muszę przyznać, że jego dużą zaletę stanowi to, że nie obraża się, jeśli ktoś zwróci mu uwagę. Faktycznie, ilekroć Aubrey powiedział mu coś złośliwego, zawsze sprawiał wrażenie, jak gdyby był dumny, że jego braciszek, chociaż kaleki, to jednak ma piekielnie bystry umysł.

- Widzę, że odmalowuje pani portret godnego szacunku człowieka - powiedział Damerel.

- Bo też taki jest pod wieloma względami - odparła Venetia. - Może tylko trochę samolubny i leniwy. Przy całej jego uprzejmości trudno byłoby oczekiwać, że kiedykolwiek zdecyduje się narazić dla kogoś innego. Zawsze znajdzie jakieś uzasadnienie dla swojej bezczynności. Nie lubi, gdy się go niepokoi, rozumie pan. A jeśli chodzi o inne sprawy... Och, jest doskonałym jeźdźcem, nieźle gra na skrzypcach, dobrze strzela... Lubi niewyszukane żarty, z anegdoty opowiadanej po raz dziesiąty śmieje się równie serdecznie, jak za pierwszym razem.

- Widzę, że w waszej rodzinie nie tylko Aubrey ma cięty język - zauważył z uznaniem Damerel. - Proszę mi tylko wyjaśnić, dlaczego ten miłujący spokój mężczyzna wziął sobie na kark taką jeźdź w postaci teściowej.

- Och, spodobała mu się Charlotta, więc doszedł do wniosku, że inne sprawy same się załatwią. Kiedy obecność pani Scorrier w Cambrey okazała się dla niego kłopotliwa, po prostu odesłał ją, i to nawet bez większych kłopotów. Najpierw wmówił w Charlotte, że źle się czuje, a potem przekonał panią Scorrier i siebie, że jego obowiązkiem jest wysłać je do domu, do Anglii. Założę się, że byłby bardzo zadowolony, gdybym przed jego przyjazdem uwolniła Undershaw od teściowej, ale wątpię, czy udałoby mi się to, nawet

gdybym chciała. Conway musi sam to załatwić i nawet nie przypuszcza, co go tu czeka. - Venetia roześmiała się. - Tam, w Cambrey, nie mógł się z nią oczywiście kłócić. Narobiłaby mu wielu kłopotów i wstydu. Ale nawet nie wie, jakie zamieszanie ta kobieta wywołuje tutaj. Jestem przekonana, że Conway zmusi Charlotte, żeby ją odprawiła, a sam w tym czasie wybierze się na polowanie.

Damerel roześmiał się, ale potem powiedział poważnie:

- A na razie jest pani narażona na przykrości.
- Tak - zgodziła się. - Ale mam nadzieję, że nie potrwa to długo. Jeśli potrafię panią Scorrier przekonać, że nie zamierzam uzurpować sobie praw należnych jej córce, stosunki pomiędzy nami mogą się ułożyć całkiem znośnie.

13

Optymizm Venetii wkrótce okazał się bezpodstawny. W dziesięć minut po odjeździe Damerela odszukała ją wzburzona w najwyższym stopniu pani Scorrief, by zapytać, czy to prawda, że lord Damerel nie tylko został zaproszony do Undershaw, ale i przedstawiony Charlotcie. Powiedziała, że własnym uszom nie wierzyła, kiedy od córki dowiedziała się o tym wstrząsającym incydencie, i chociaż już wcześniej odkryła, że panna Lanyon zwykła zachowywać się w sposób, który rozmija się z jej, być może staroświeckimi, wyobrażeniami o poprawności, nie przypuszczała jednak, że w takim stopniu brakuje jej przyzwoitości i delikatności, by pozwolić mężczyźnie o takiej reputacji jak lord Damerel postawić nogę na progu Undershaw, a co więcej przedstawić go niewinnej, świeżo poślubionej małżonce brata.

Jeśli nawet Venetia odczuwała jakieś wyrzuty sumienia w związku z tym, że znajomość Charlotty z Damerelem mogła być źle widziana w plotkarskim sąsiedztwie, to rozproszył je nagły wybuch gniewu.

- Na Boga, madam! - zawołała. - Czy uważa pani, że Charlotta mogła ulec jego urokowi? Wydawało mi się, że jest zakochana w moim bracie... ale cóż, pani znają lepiej.

- Panno... Lanyon! - wyrzuciła z siebie pani Scorrier.

- Słucham? - zapytała chłodno Venetia.

Pani Scorrier ze świstem nabrała powietrza w płuca.

- Pomijam już pani impertynencję, ona nie zasługuje na moją uwagę, ale chciałabym, żeby pani zrozumiała, iż dla skromnej kobiety w szczególnym położeniu, obcej w tej części kraju i pozbawionej opieki męża, spotkanie we własnym domu człowieka

o fatalnej reputacji jest wysoce niestosowne. Nie wspomnę już, jak bardzo jest niewłaściwe, jeśli niezamężna kobieta deklaruje przyjaźń z kimś takim.

- Jeśli chodzi o mnie, to nie obawiam się, by ta znajomość w jakikolwiek sposób szkodziła mojej reputacji. Natomiast w przypadku Charlotty ma pani rację. W jej sytuacji ostrożności nigdy zbyt wiele. Przyznaję, że postąpiłam wyjątkowo bezmyślnie, proszę więc o wybaczenie. I pomyśleć, na jaki skandal musi się zanosić... Och, proszę się nie obawiać, madam. Powiem lordowi Damerelowi, że nie wolno mu nikomu wspomnieć, że choćby rzucił okiem na Charlotte!

Pani Scorrier zaczerwieniła się i głosem drżącym z furii zawołała:

- Coś takiego! A więc jest pani, panno Lanyon, przekonana o swojej dobrej reputacji? Myli się pani, i to bardzo, jeśli wolno mi powiedzieć...

Przerwała, a Venetia z lekko uniesionymi brwiami i ironicznym uśmiechem czekała na ciąg dalszy. Pani Scorrier wyraźnie walczyła ze sobą, ale po dłuższej chwili odwróciła się gwałtownie i wyszła z pokoju.

Venetia zorientowała się, że cała drży. Musiała usiąść i dopiero po paru minutach odzyskała spokój, a po dłuższym zastanowieniu doszła do wniosku, że pretensje pani Scorrier, chociaż wyrażone dość obcesowo, może nie były całkowicie bezzasadne. Wyrzucała sobie, że straciła cierpliwość, i po ciężkiej wewnętrznej walce postanowiła przeprosić urażoną damę. Przeprosiny skwitowane zostały chłodnym skinieniem głowy.

- Zamiast się obrażać - usprawiedliwiała się Venetia - powinienam wyjaśnić pani, że lord Damerel jest dobrym przyjacielem Aubreya, więc trudno było mi znieść oskarżenie rzucone pod jego adresem.

- O tym nie chciałabym więcej rozmawiać, panno Lanyon. Mam jednak nadzieję, że zadba pani o to, by lord Damerel nie pokazywał się więcej w Undershaw.

- Nie, tego nie zrobię - odparła grzecznie Venetia. - Nie musi się pani jednak niepokoić. Lord Damerel odwiedzać będzie Aubreya, a nie Charlotte.

Pani Scorrier nie raczyła odpowiedzieć, ale z jej spojrzenia

Venetia łątuo mogła wywnioskować, że wojna pomiędzy nimi trwa nadal.

Wszystko to okazało się wstępem do koszmaru, który czekał Venetę w nadchodzącym tygodniu. Pani Scorrier przestała silić się na uprzejmość, odzywała się do niej rzadko, ale nie pominęła żadnej okazji, by jej dokuczyć. Jeśli nie mogła doszukać się uchybień w domowych obyczajach, to rozmawiała z Charlottą, oczywiście w obecności Venetii, o niezbędnych zmianach, które muszą zostać wprowadzone w finansach i zarządzaniu majątkiem Undershaw. Charlottą czuła się wyraźnie zażenowana nową taktyką matki, ale brakowało jej siły charakteru, by się sprzeciwić. Czasem tylko próbowała nieśmiało protestować, ale zazwyczaj na pytania matki odpowiadała monosylabami i wyglądała na nieszczęśliwą. Od czasu do czasu sytuację zaostrzał Aubrey swymi ciętymi uwagami. Venetia błagała go, by trzymał się z dala od salonu.

Na domiar złego cała domowa służba stanęła po stronie Venetii i najczęstszym zdaniem, jakie słyszała pani Scorrier w odpowiedzi na najprostsze polecenie, było: „Porozumiem się w tej sprawie z panną Venetią”. Kiedy niebacznie poleciła stajennemu, żeby podjechał pod wejście powozem i zabrał jej lordowską mość na przejażdżkę, odpowiedź, jakiej udzielił jej stary służący, była jeszcze bardziej zdecydowana: „Polecenia przyjmuję od panicza Aubreya, madam”. Zanim pani Scorrier odszukała Venetę, żeby się jej poskarżyć, spotkała Aubreya, który poinformował ją oschle, że Fingle należy do jego osobistej służby i że w przyszłości tego rodzaju polecenia powinny być wydawane woźnicy Williamowi, którego zadaniem jest wożenie dam z towarzystwa, i to nie powozem, bo nim może jeździć on, Aubrey, no i Venetia, ale powozikiem.

Zwolennicy panny Lanyon głusi byli na wszelkie jej prośby i absolutnie nie zmieniali sposobu postępowania. W rezultacie Venetia większość czasu spędzała na potwierdzaniu poleceń pani Scorrier i na łagodzeniu sporów.

Dla pani Scorrier najbardziej irytujące było jednakże to, że niania, która zupełnie nie zwracała na nią uwagi, zyskiwała coraz większy i niepożądany wpływ na Charlotte. Sytuację pogarszała jeszcze panna Trossell, której tak nie spodobały się krajobrazy

Yorkshire i brak lepszego towarzystwa w Undershaw, że nim minęły dwadzieścia cztery godziny od jej przyjazdu, stwierdziła, że nie zniesie niedogodności wiejskiego życia i że została zwabiona tutaj fałszywymi obietnicami. Wystarczyło to, by doprowadzić panią Scorrier do furii, i po krótkiej, ale burzliwej rozmowie panna Trossell została odwieziona do Yorku, pożegnana słowami niani, że nikt tu jej braku nie odczuje.

I tak też było, jako że dla Charlotty trudno byłoby wyobrazić sobie coś lepszego niż opieka niani, która terroryzowała ją, ale i czule dbała o jej dobre samopoczucie. Wiedziała, co robić, gdy dokuczały jej mdłości, i całe godziny spędzała z nią opowiadając o Conwayu i planując przyszłość jego syna. Charlotta najlepiej czuła się odpoczywając w swoim pokoju w towarzystwie niani siedzącej z robótką koło kominka. Nianie irytowały u młodej lady wszelkie objawy depresji czy zdenerwowania.

- Dość już tych nonsensów, milady! Zaufaj Opatrzności, rób, co ci każe, i bądź spokojna.

Wreszcie niania odszukała gdzieś strój, w którym podawano Conwaya do chrztu, oraz sporo różnych czepeków i pieluszek pozostałych po niemowlęcych latach Aubreya. Zaplanowała też niezbędne zmiany w pokoju dziecinnym. Przekonała Charlotte, żeby nie zawracała sobie głowy sprowadzaniem z Londynu specjalnej położnej, co zapowiedziała pani Scorrier, gdyż ona zna godną zaufania kobietę mieszkającą w Yorku, a jeśli chodzi o lekarza, to nie chce nawet słyszeć o jakimś doktorze Knightonie, kimkolwiek on jest, bo doktor Cornworthy, również z Yorku, pomógł przyjść na świat tylu dzieciom, że nie może się z nim równać żaden londyński praktyk. Zresztą w każdej sytuacji milady może polegać na niani, która wie, co dla niej jest najlepsze, i zamiast rozmyślać, powinna zająć się robieniem czepka dla przyszłego potomka.

Traktowana z taką surowością Charlotta odżywała po nerwowych rozmowach z matką, która dokładała wszelkich starań, by potwierdzić jej przewagę nad Venetią. Charlotta żyła w ciągłym niespokojnym oczekiwaniu awantury i któregoś wieczoru, będąc świadkiem ostrzejszej niż zwykle kłótni, bliska była ataku hysterii. Niania

uspokoiła ją, ale postanowiła poważnie porozmawiać z panią Scorrier. Trudno się dziwić, że po wygłoszeniu dłuższej kwestii, która przekonać miała matkę Charlotty, że nic tak źle nie wpływa na jej córkę, jak ciągłe kłótnie i niesnaski, doczekała się wyjątkowo ostrej reakcji. Pani Scorrier, i bez tego zazdrosna o wpływ niani na Charlotte, powiedziała jej, z uśmiechem bardziej groźnym niż uprzejmym, że będzie jej wyjątkowo przykro, jeśli zmuszona zostanie poprosić córkę, by odesłała ją z Undershaw. Zapewniła ją, że wolałaby nie podejmować takich kroków, bo przecież wie, że nie powinno się zwalniać starych, wiernych sług, jeśli nawet zachowują się nader niestosownie. Groźba miała na celu zastraszenie niani, ale w rezultacie dała jej okazję do posłużenia się argumentem, który wywarł na pani Scorrier wrażenie, a równocześnie pogłębił jej niechęć do Venetii.

- Tak, tak, zgadzam się z panią, madam - powiedziała niania.
 - No i jaki byłby sens nakłaniać milady do zrobienia czegoś, czego zrobić nie ma prawa, nawet gdyby chciała? - Uważnie, a nawet ze złośliwą satysfakcją obserwowała zmianę wyrazu twarzy pani Scorrier. - To panna Venetia jest panią Undershaw, madam - wyjaśniła. - Wie o tym nawet pomocnica w pralni. Są na to prawne dokumenty z pieczęciami podpisane przez pana Conwaya.

Conway zapomniał poinformować teściową, że udzielił Venetii szerokich pełnomocnictw, a jej nie przyszło do głowy, że mógł coś podobnego zrobić. Wiadomość o tym fakcie wprawiła ją w furję równie gwałtowną, jak bezsilną. Jedyne, co w rewanżu mogła uczynić, to w czasie obiadu zaproponować Charlottcie, by zajęła do swej wyłącznej dyspozycji bibliotekę, jako że jest to najlepszy pokój w całym domu, słoneczny, z wyjściem do ogrodu i znakomicie nadawałby się dla damy o słabym zdrowiu. Ten podstępny plan dokuczenia Aubreyowi, a pośrednio również Venetii storpedowała sama Charlotta, która bała się Aubreya chyba jeszcze bardziej niż matki i wcale nie chciała mu się narażać ograniczając jego prawa. Powiedziała, że wolałaby otrzymać do swojej dyspozycji jeden z małych saloników. Pani Scorrier nie miała w tej sytuacji nic do dodania, natomiast Aubrey serdecznie zaprosił ją, żeby przyszła i sama osobiście stwierdziła, jakim wygodnym pomieszczeniem jest biblioteka.

Listy od Conwaya nie przyniosły żadnej zmiany w sytuacji, poza tym, że ucieszyły Charlotte, która otrzymała całe dwa arkusze drobno zapisane niezgrabnymi kulfonami i w zachwycie obnosiła się z nimi po całym domu przez parę dni. W listach nie znalazło się odwołanie haniebnego pełnomocnictwa, wręcz przeciwnie, Conway zaklinał Charlotte, by unikała zbędnych wysiłków i nie kłopotowała swej ślicznej główki żadnymi problemami, ale zostawiała wszystko Venetii. Nie mogło sprawić to przyjemności pani Scorrier, a nawet pogłębiło jej rozdrażnienie i umocniło w postanowieniu, by trzymać swą córkę z dala od szwagierki, którą brat obdarza tak wielkim zaufaniem.

Venetia również otrzymała od Conwaya list, który, jak powiedziała Damerelowi, doprowadziłby ją do furii, gdyby nie był tak nieodparcie śmieszny. Wyczerpany ciężką pracą nad skomponowaniem miłego listu do małżonki Conway, pisząc do siostry, ograniczył się do jednego arkusika. Zwięzłość listu tłumaczył Ogromem zadań, jakie spoczywają na nim w związku ze zbliżającym się terminem ewakuacji armii okupacyjnej. Ani nie próbował wyjaśnić przyczyn swego nagłego ożenku, ani nie przeprosił za przysłanie do Undershaw bez uprzedzenia całkiem obcych dla Venetii ludzi. Wyraził przekonanie, że Charlotta spodoba się siostrze, i prosił, żeby się nią szczerze zaopiekowała. Czytając list można było dojść do wniosku, że Conway postąpił tak niekonwencjonalnie tylko dlatego, by sprawić siostrze miłą niespodziankę.

Venetia otrzymała jeszcze jeden list, tym razem bez pośrednictwa poczty. Przywiózł go z Netherfold jeden ze stajennych Edwarda Yardleya. Pomimo znacznie większej objętości dostarczył jej jeszcze mniej radości niż list od Conwaya, gdyż nawet nie znalazła w nim nic, co mogłoby zadowolić jej poczucie humoru. Edward, chociaż zaskoczony nagłym małżeństwem Conwaya, wyrażał przekonanie, że Venetia musi być uszczęśliwiona towarzystwem bratowej, i nie ukrywał ulgi, jakiej doznał, gdy dowiedział się, że w osobie pani Scorrier wreszcie znajdzie stosowną przyzwoitkę. Potem na dwóch stronach moralizował na temat wcześniejszej sytuacji Venetii, a następne dwie zapełnił dobrymi radami, jako że znakomicie, jak mu się zdawało, rozumiał trudności, które początkowo mogą ją czekać w nowej sytuacji. Wreszcie szczegółowo opisał stan swojego

zdrowia. Zakończył wyrazami ubolewania, że nie może osobiście pogratulować lady Lanyon ani wesprzeć Venetii potrzebnymi jej zapewne radami, ale nadal obowiązuje go kwarantanna, a ponadto z przykrością informuje, że w ostatnich dniach dokucza mu kaszel, który, chociaż lekki, zaniepokoił jego matkę. Błagał Venetię, by się jednakże tym nie martwiła, bo na pewno będzie dbał o zdrowie i unikał niepotrzebnego ryzyka. Venetia nie wątpiła, że nadzieja na rychły powrót Conwaya bardziej przyspieszy zakończenie kuracji niż najlepsze leki doktora Huntspilla.

Wreszcie Venetia wybrała się do Ebbersley, by spędzić cały dzień z lady Denny, ale chociaż ucieczka od kłótni i animozji w Undershaw zrobiła jej dobrze, to trudno powiedzieć, by ta wizyta okazała się nieprzerwanym pasmem przyjemności. Jedno spojrzenie na twarz Clary wystarczyło, by utwierdzić ją we wcześniejszych podejrzeniach, że tę nieszczęsną dziewczynę łączyło z Conwayem coś więcej, niż przypuszczali rodzice. Na szczere pytanie dotyczące tej sprawy lady Denny z pewnym ociąganiem się odpowiedziała:

- Tak, moja droga, obawiam się, że masz rację. Nie sędzę jednak, żeby Conway czuł się w jakiś sposób związany z Clarą. Nie muszę ci mówić, co czułam, gdy zorientowałam się, jak niewłaściwie postępuje moja córka, a sir John chyba nigdy w życiu nie był tak skonfundowany. Sama rozumiesz, że wymiana obietnic z mężczyzną, bez zgody i wiedzy rodziców, jest postępkiem, którego nigdy nie spodziewałabym się po mojej córce, tym bardziej że sir John wyraźnie zabronił jej podejmowania tego rodzaju zobowiązań, nie dlatego, że nie odpowiadałby mu ich przyszły związek, ale dlatego, że uważał ich za zbyt młodych, by mogli się zaręczyć. Ach, gdyby biedna Clara już wtedy uznała racje ojca, to wiele cierpień zostałoby jej oszczędzonych. Ona bardzo ubolewa nad swoim błędem, więc nawet jej nie karcimy.

- Conway zasłużył sobie na porządne lanie - stwierdziła Venetia.

- O nie, moja droga, wina leży po stronie Clary, chociaż nie przeczę, że i on nie zachował się tak jak powinien. Tyle że młody mężczyzna, jak się zapewne domyślasz, nie traktuje tego rodzaju romansów zbyt poważnie. Jednego możesz być pewna: nigdy nie próbował prowadzić z Clarą potajemnej korespondencji.

- Och, co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości - zawo-

łała Venetia. - I pomyśleć, że wreszcie przydało się na coś to, że jest prawie analfabeta! Myślę, że powinnam pogratulować Clarze szczęśliwego zrządzenia losu. Ona zapewne sama nie wie, czego uniknęła.

- Między nami mówiąc, jest to taki przypadek, kiedy im mniej słów, tym szybsza złego naprawa. Moim zdaniem najlepiej zrobi jej zmiana otoczenia, więc chcemy wysłać ją do babci. Och, moja droga, gdybyś wiedziała, ile dzieci przysparzają kłopotów! - westchnęła lady Denny. - Najpierw Oswald, teraz Clara, a za chwilę nie wątpię, że zaczną się kłopoty z Emily.

- Jeśli pani, droga madam, wyobraża sobie, że w zachowaniu Oswalda w stosunku do mnie było coś więcej niż chłopięce uniesienia, to zapewniam panią, że to nieprawda - powiedziała Venetia ze zwykłą szczerością. - Istotnie zachował się niemądrze, ale potem napisał bardzo ładny list, w którym mnie przeprosił, więc nie mam do niego najmniejszych pretensji.

- Wzrusza mnie *twoja dobroć, kochanie* - odpowiedziała lady Denny, dziwnie jakoś mrugając oczami. - Sądzę jednak, że zachował się w stosunku do ciebie niestosownie. Nie wspomnę już, jak rozdrażnił lorda Damerela. Sama myśl o tym mnie przeraża.

- Ależ nie, jestem pewna, że do niczego takiego nie doszło - zapewniła ją Venetia.

- To samo lord Damerel powiedział mojemu mężowi. Sir John spotkał go następnego dnia i zapytał wprost, czy Oswald go obraził. Lord bez wahania odpowiedział, że absolutnie nie, co mojemu małżonkowi wydało się przekonujące.

Venetia powstrzymała się od uśmiechu, zapewniła tylko swą starszą przyjaciółkę, że Oswald raczej rozbawił, niż zirytował Damerela. Lady Denny zauważyła, że nie jest to zbyt miłe, kiedy dowiaduje się, że jej jedyny syn wystawia się na pośmiewisko, ale niewątpliwie doznała pewnej ulgi. O tym, że mija jej przygnębienie, mogło świadczyć to, że zażądała od Venetii dokładnej relacji z ostatnich dni w Undershaw. Venetia położyła nacisk na komiczną stronę tego, co się działo, ale lady Denny nie dała się temu zwieść i wyraziła wyjątkowo surową opinię o zachowaniu pani Scorrier. Na koniec poprosiła Venetię, by w razie zaostrenia się konfliktu

z tą odrażającą kreaturą, spakowała swoje rzeczy i bez wahania przyjechała do Ebbersley.

- Oczywiście, złożę lady Lanyon wizytę - powiedziała - a na razie proszę cię, moja droga, przekaż jej moje gratulacje i wyjaśnij, że muszę w tym momencie odmówić sobie przyjemności osobistego z nią spotkania ze względu na panującą w domu wietrzną ospę. A propos, czy uwierzysz, że właśnie dzisiaj zachorowała kucharka?

Po tej ponurej wiadomości panie pożegnały się, ale ledwie zamknęły się drzwi za Venetią, gdy lady Denny uświadomiła sobie, że aktualne kłopoty odsunęły na drugi plan inny ważny problem: niefortunną znajomość Venetii z Damerelem. Teraz dopiero zorientowała się, że jej śliczna twarzyczka nie promienieje już taką radością, i chociaż nie wypadało cieszyć się z tego, to jednak odczuła odrobinę zadowolenia, że najwidoczniej to zauroczenie okazało się równie krótkotrwałe, jak gwałtowne. Chociaż za wszelką cenę pragnęła ulżyć Venetii w jej kłopotach, to jednak byłaby przerażona, gdyby dowiedziała się, że tylko obecność niebezpiecznego uwodziciela pozwala jej z uśmiechem znosić tę trudną próbę.

Istotnie, obecność lorda Damerela sprawiała, że największe przykrości wydawały się Venetii błahe. Gdy opowiadała mu o ostatnim ataku pani Scorrier, uświadomiła sobie, że było to po prostu śmieszne. Uważała za całkiem naturalne, że jest z nim tak szczerą, jak z Aubreyem, a nawet w obecnej sytuacji większe miała zaufanie do niego, gdyż brat wydawał jej się zbyt impulsywny. Nie musiała prosić Damerela, by tego, co mówi, nie powtarzał nikomu, nawet Aubreyowi, tak pewna była jego dyskrecji.

Tego dnia odwiedził ją późnym popołudniem. Zastał ją siedzącą samotnie w bibliotece przy biurku Aubreya. Nie pisała, tylko wpatrywała się w swoje oparte na blacie biurka splecione dłonie. Nie zareagowała na odgłos otwieranych drzwi, dopiero po chwili, jak gdyby czując na sobie czyjś wzrok, uniosła głowę i na widok stojącego na progu Damerela rozchmurzyła się, a uśmiech rozjaśnił jej oczy. Nie spodziewała się jego wizyty, gdyż zazwyczaj przyjeżdżał przed południem. Zerwała się z krzesła, podeszła do niego i podała mu obydwie ręce.

— Ach, drogi przyjacielu! Jak się cieszę, że pana widzę. Opanowały mnie ponure myśli i tylko pana obecność może pomóc

mi je rozproszyć. Co pana do nas sprowadza? Nie oczekiwałam tej wizyty, bo jeśli dobrze pamiętam, miał pan być zajęty jakimiś ważnymi sprawami.

- To pani mnie tu sprowadza! Ale najpierw muszę się dowiedzieć, co pani dolega, moja radości?

Westchnęła, potrząsnęła głową i powiedziała uśmiechając się smutno:

- To tylko takie drobne rozdrażnienie. Proszę się nie przejmować. Już mija.

- A jednak się przejmuję. - Uwolnił dłoń i palcem dotknął jej czoła. - Te zmarszczki muszą zniknąć. Nie powinna się pani smuć, Venetio. W każdym razie nie w mojej obecności.

- Ja wiem. Rozproszy pan te smutki, prawda?

- Chciałbym to zrobić. Co sprowadziło na panią takie czarne myśli?

- Nic, czym warto by pana kłopotać, zresztą są to sprawy tak pospolite, że aż śmiertelnie nudne. Wdałam się w bój z moją starą gospodynią i zmuszona byłam umknąć w popłochu. A poszło o to, że znów ktoś poskarżył się na praczkę, która to okropna dziewczyna jest siostrzenicą pani Gurnard.

- Homeryczny bój, doprawdy. Ale to nie z tego powodu siedziała tu pani ze zmarszczonym czołem.

- Ma pan rację. Rozmyślałam nad trudnym problemem: co powinnam teraz zrobić. Nie wydaje mi się, rozumie pan, żebyśmy mogli pozostać tutaj... to znaczy Aubrey i ja aż do grudnia... Conway chyba wróci w tym terminie, chociaż nie jest to całkiem pewne.

- Nie sądzę, żeby wasz wyjazd był w tej chwili możliwy. Proszę mi jednak powiedzieć, do jakich wniosków doszła pani w swych rozważaniach. - Podprowadził ją do sofy i usiedli obok siebie.

- Niestety, do żadnych. Ledwie coś wymyślę, a już wątpliwości podnoszą swoje wstrętne łby i znów jestem w punkcie wyjścia. Może pan mi coś doradzi? Zawsze dawał mi pan dobre rady, drogi przyjacielu.

- Jeśli tak, to bliski jestem podważenia twierdzenia doktora Johnsona, że przykład jest bardziej skuteczny niż nauki - powiedział. - No dobrze, ale jaki ma pani problem? Postaram się zrobić wszystko, co w mojej mocy.

- Problemem jest, dokąd mam pójść, jeśli zdecyduję się na taki krok... Muszę oczywiście wziąć pod uwagę, że Aubrey pójdzie ze mną, ale przecież nie mogę pozbawić go opieki pana Appersetta. Zawsze uważałam, że kiedy Conway się ożeni, ja założę własny dom. Gdyby postąpił w powszechnie przyjęty sposób, miałabym dość czasu, żeby wszystko przygotować, zanim sprowadzi do Undershaw swoją żonę. Moi przyjaciele znali te plany, więc nie byłoby to dla nich zaskoczeniem. Sprawy jednakże przyjęły nieco inny obrót... przynajmniej tak mi się wydaje. Co pan o tym sądzi?

- Zgadza się. Zdarzenia potoczyły się inaczej. Musi pani tylko pamiętać, że gdyby opuściła pani Undershaw przed powrotem brata, to wszyscy mogliby wówczas przypuszczać, że została pani wyrzucona z własnego domu, gdyż, jak powszechnie wiadomo, to pani powierzono prowadzenie majątku. Byłoby to zresztą bliskie prawdy.

- No właśnie. I dlatego nie mogę wynająć sobie domu w okolicy.

- Słusznie... Oczywiście, jeśli winna jest pani bratu przynajmniej zachowanie pozorów, do czego on chyba nie przywiązuje większej wagi.

- Drogi przyjacielu, nic takiego nie przyszło mi nawet do głowy, więc proszę się nie krzywić pogardliwie.

- To nie było pod pani adresem.

- Chodzi o Conwaya? Proszę bardzo! W moim przekonaniu nie jestem mu nic winna.

- Wręcz przeciwnie.

- On zresztą też nic mi nie zawdzięcza. Wzięłam na siebie ciężar odpowiedzialności za Undershaw, bo mi to odpowiadało. Gdybym nie zajmowała się Aubreyem, to zapewne nie zrobiłabym tego, zresztą prawdopodobnie wyjechałabym stąd zaraz po uzyskaniu pełnoletności.

- Dlaczego wobec tego chce pani teraz bronić dobrego imienia Lanyonów? - zapytał.

- Och, proszę nie żartować. Musi pan przecież wiedzieć, że nie troszczę się zbyt o dobre imię... o czym zresztą świadczy przyjemność, z jaką korzystam z pańskiego towarzystwa. Mam skrupuły wyłącznie w związku z Charlottą. Aubrey nazywa ją „słodko-mdłą” i tak jest, ale to biedne stworzenie nie zasługuje na

to, by postawić ją w sytuacji jeszcze gorszej niż ta, w której się znajduje. Conway zrobił wszystko, by ludzie uprzedzili się do niej, i dla mnie nie do zniesienia byłoby przyłożenie ręki do tego dzieła. Nie zrobiła mi nic złego, wręcz przeciwnie, próbuje mnie bronić. Dochodzi do tego, że niekiedy przejmuję rolę pani Scorrier i wmawiam w Charlotte, że teraz to ona jest panią na Undershaw. Opuszczając dom muszę więc mieć wyjątkowo mocne uzasadnienie, no i nie mogę zamieszkać w pobliżu. Myślałam zawsze o tym, żeby wyjechać do Londynu, ale to przyszłość, dopiero kiedy Aubrey będzie studiował w Cambridge, czyli za rok. Pozostaje pytanie, co mam zrobić w ciągu tego roku. W Londynie są zapewne znakomici nauczyciele, ale wątpię, czy Aubrey...

- Proszę przez chwilę nie myśleć o Aubreyu - przerwał jej.

- Zanim wyrażę swoją opinię na temat planów osiedlenia się w Londynie, Yorku czy Timbaktu, chciałbym się od pani czegoś dowiedzieć.

- Dobrze, ale ja nie prosiłam pana o opinię na ten właśnie temat.

- Mimo to poznaj ją pani. Proszę mi powiedzieć, co zdarzyło się po tym, jak ostatni raz panią widziałem, i co tak panią wzburzyło, że pojawiły się plany pilnego opuszczenia Undershaw? - Spojrzał na nią z żartobliwym uśmiechem i dodał: - Tylko nie chcę słyszeć o jakichś sporach pomiędzy gospodynią a praczką i proszę pamiętać, że nie dam się oszukać. Co ta diablica pani zrobiła?

- Właściwie nic poza tym, co panu powiedziałam - Venetia potrząsnęła głową. - Nie zamierzałam pana oszukać... może tylko zbyt wielką wagę przywiązuję do słów, które prawdopodobnie zostały rzucone wyłącznie po to, żeby mnie wyprowadzić z równowagi.

- Co to za słowa?

- Dotyczyły Aubreya - powiedziała Venetia po chwili wahania.

- Pani Scorrier nie lubi go nie mniej niż mnie, ale muszę przyznać, że on daje jej do tego powody. Zachowuje się jak szczególnie dokuczliwa osa, od której nie można się opędzić. Ona prowokuje te ataki swoją zawziętą niechęcią do nas, ale to go nie usprawiedliwia. Nie powinien pozwalać sobie na takie niestosowne wybryki.

- Co za chłopak! - mruknął Damerel. - Miałem nadzieję, że zniechęciłem go do tego typu rozrywek.

- Mówił mu pan, żeby się tak nie zachowywał? - Yenetia spojrzała na niego zaskoczona.

- Nie wprost. Dałem mu tylko do zrozumienia, że to, co on uważa za znakomitą zabawę, naraża panią na złośliwość tej kobiety.

- A jednak to trochę pomogło i jestem panu za to wdzięczna. Od dwóch dni Aubrey niezwykle rzadko odzywa się w jej obecności. Niestety, jak mi się zdaje, fakt, że Aubrey zamyka się w swoim pokoju i towarzyszy nam tylko przy obiedzie, chociaż i wtedy tak głośno brzmią mu w uszach greckie chóry, że trzeba kilka razy zwracać się do niego, by zareagował, ta kobieta uznała za celowe prowokująco nieuprzejme zachowanie. Charlotta też go nie lubi, głównie dlatego, że zwykle nie rozumie, co on mówi, i w rezultacie boi się go. Co gorsza, krępuje ją jego kalectwo i zawsze odwraca głowę, kiedy on wstaje z krzesła albo idzie przez pokój.

- Zauważyłem to już tego dnia, kiedy spotkałem ją w parku, ale miałem nadzieję, że szybko wyzbędzie się tego nawyku.

- Myślę, że nawet próbuje. Niestety, ten nawyk Charlotty pani Scorrier wykorzystała jako pretekst do wygłoszenia uwagi, która bardzo mnie zaniepokoiła. Otóż powiedziała mi, że Charlotta panicznie boi się kalectwa i że dobrze byłoby, aby Aubrey teraz, kiedy ona jest w poważnym stanie, wyniósł się z domu i pojechał odwiedzić jakichś przyjaciół... Może nie wyraziła tego tak jasno, ale w każdym razie ja w ten sposób to odebrałam.

Uśmiech zniknął z twarzy Damerela, odezwał się poważnym tonem:

- Jeśli zdolna była powiedzieć coś takiego pani, to nie dałbym złamanego pensa, że przy jakiejś okazji nie powie tego wprost Aubreyowi. Wystarczy, że się zdenerwuje.

- Tego się właśnie obawiam... Ale czy można sobie wyobrazić, żeby ktoś był aż tak okrutny?

- Na Boga, tak! Ta wiedźma być może na chłodno czegoś takiego by nie zrobiła, ale powtarzam: pani nie zna tego typu ludzi. Kobiety o takim charakterze zdolne są do wszystkiego. Wystarczy, że tracą panowanie nad sobą, a potrafią rzucić słowa, jakie same uznałyby w ustach kogoś innego za niedopuszczalne. - Przerwał i przez chwilę przyglądał się Venetii wzrokiem, który nagle stał się twardy i zatroskany. - Co ona jeszcze powiedziała? Musi mi pani wszystko powtórzyć.

- Och, proszę nie wymagać, żebym powtarzała całą listę drobnych złościwości.

- Czyli ten atak na Aubreya to wszystko?

- I to wystarczy. Gdyby pan wiedział, jakie tortury ten chłopak przeżywał, nigdy zresztą nie skarżąc się. Zawsze nienawidził siebie za swoje kalectwo, unikał obcych, lękał się współczucia albo tego rodzaju wstrętu, jaki chce ukryć Charlotta.

- Wiem o tym - przerwał jej gwałtownie. - Myślę, że jest mało prawdopodobne, by ta kobieta upadła tak nisko, żeby dopuścić do czegoś tak okrutnego, ale trzeba być ostrożnym, bo on jest nadzwyczaj wrażliwy. A gdybym go tak zabrał z Undershaw? Już mu mówiłem, że może w każdej chwili, kiedy tylko zechce, przeprowadzić się do Priory. Po tej propozycji na pewno poczuł się pewniej, chociaż odpowiedział mi niezbyt uprzejmie. Zapytał, czy jestem przy zdrowych zmysłach proponując mu ucieczkę i pozostawienie pani samej, narażonej na ciągłe ataki pani Scorrier. Należałoby tylko przekonać go, że jego nieobecność ułatwi pani znoszenie wszelkich wstrząsów. Jeśli tylko pani zechce, to mogę z nim porozmawiać. Najtrudniej będzie mi ukryć przed nim prawdziwy powód tej akcji, ale myślę, że sobie poradzę.

Z udawanym rozbawieniem, by zamaskować swoje prawdziwe uczucia, wyciągnęła do niego ręce i powiedziała:

- Jakim pan jest dobrym przyjacielem, niegodziwy baronie! Nie wiem, jak poradzilibyśmy sobie w tej sytuacji bez pana. Świadomość, że w razie potrzeby mogę odesłać Aubreya do Priory, ratuje mnie przed załamaniem. Jeśli dojdzie do najgorszego, to nie zawaham się, ale na razie nie jest jeszcze tak źle i może nie będzie gorzej, jeśli tylko Aubrey postara się nie słuchać wypowiedzi wygłaszanych tylko po to, żeby nam dokuczyć. Bez potrzeby nie nadużyję pańskiej uprzejmości.

Zamknął jej dłonie w swoich i trzymał je tak mocno, że aż wydało jej się to niepokojące. Spojrzała na niego pytająco i dostrzegła dziwny wyraz jego oczu i gorzki uśmiech, który zagościł na ustach. Najwyraźniej zauważył jej zaniepokojenie, gdyż szybko opanował się, uwolnił jej ręce i powiedział:

- Nikomu nie pozwalam nadużywać mojej uprzejmości, a Aubreya z największą przyjemnością będę gościł w Priory. Lubię tego

chłopca i na pewno nie stanie się dla mnie ciężarem, jeśli to miała pani na myśli. Nikt zresztą nie może uważać Aubreya za kłopotliwego gościa. Proszę przysłać go do mnie, kiedy tylko uzna to pani za stosowne, i może pozostać w Priory tak długo, jak tylko zechce.

- Wygląda to tak, jak gdybym to ja wyświadczała panu przysługę - roześmiała się Venetia. - Dziękuję, nie sędzę, by miało to trwać długo. Sir John słyszał, wspomniała o tym lady Denny, że pan Appersett zamierza wrócić w połowie przyszłego miesiąca. Przypuszczam, że kuzynowi, który go zastępuje, nie uśmiecha się spędzenie zimy w Yorkshire. Pan Appersett powiedział mi jeszcze przed rokiem, że gdybym chciała na pewien czas wyjechać, to Aubrey może zamieszkać u niego.

- Wobec tego, skoro problem Aubreya został rozwiązany, możemy zająć się panią, piękna Venetio! Czy mówiła pani poważnie o wynajęciu dla siebie samodzielnego domu?

- Tak, oczywiście.

- Wobec tego widzę, że nadszedł czas, by ktoś zajął się panią - powiedział poważnie. - Proszę porzucić wreszcie dziecięce sny i zejść na ziemię, moja droga. To, co pani planuje, jest niemożliwe.

- Ależ jak najbardziej możliwe! Chyba pan wie, że posiadam pewną kwotę, która zdaniem pana Mytchetta, naszego prawnika i jednego z moich pełnomocników, zapewnia mi pełną niezależność.

- Jednakże nadal uważam, że to niemożliwe.

- Na Boga, lordzie Damerelu, chyba nie chce mi pan wygłosić wykładu o tym, co wypada, a czego nie wypada robić! Ostrzegam, że nie przyjdzie panu łatwo przekonać mnie, że kobieta w moim wieku powinna mieszkać z żonatym bratem, nie zaś we własnym domu! Gdybym była dziewczątkiem...

- Nie tylko jest pani dziewczątkiem, ale do tego zielonym dziewczątkiem.

- Że zielonym, to się zgadzam, ale na dziewczątko nie! Mam dwadzieścia pięć lat, mój przyjacielu. Rozumiem, że byłoby to niestosowne, gdybym mieszkała samotnie, i chociaż uważam to za bezsensowne, to zapewniam pana, że nie zamierzam naruszać obowiązujących zasad. Dopóki Aubrey będzie studiował, zaangażuję

przyzwoitkę. Po ukończeniu przez niego studiów nie wykluczam, że zostanie w Cambridge, i wtedy mogłabym prowadzić mu dom, gdyż wątpię, czy się ożeni.

- Boże, daj mi jeszcze trochę cierpliwości! - zawołał Damerel, podniósł się i wykonał nerwową rundę wokół pokoju. - Venetio! Proszę nie opowiadać takich głupstw! Zaangażuję przyzwoitkę! Będę prowadzić dom Aubreyowi! Proszę tylko wcześniej zaopatrzyć się w zapas czepków odpowiednich dla starej panny. Błagam panią, piękna, ale szalona dziewczyno, proszę mnie posłuchać. Zmarnowała pani sześć, siedem lat życia i nie wolno pani zmarnować ani jednego więcej! Co pani zyska zakładając własny dom? Kto ma być tą przyzwoitką?

- No... nie wiem jeszcze. Wyobrażam sobie, że musi być możliwe znalezienie kogoś, tak jak guwernantki, jakiejś zubożałej damy, może wdowy...

- Więc proszę sobie nic takiego nie wyobrażać. Może pani zaangażować dwadzieścia wdów, ale żadna nie okaże się odpowiednia. Wyobrażam sobie to pani mieszkanie! Gdzie ono będzie? Myślę, że w Kensington, dzielnica elegancka i spokojna. Albo na zapleczu Upper Grosvenor Place, akurat modna okolica. Zanudzi się tam pani na śmierć, zapewniam panią, moja droga.

- Wobec tego będę podróżować - spojrzała na niego lekko rozbawiona. - Zawsze o tym marzyłam.

- W towarzystwie tej zubożałej wdowy, która nigdy nie wyjechała poza Yorkshire, a o świecie wie mniej niż uczeń szkoły publicznej? Ogarnia mnie przerażenie, jeśli wyobrażę sobie, jakie czekałyby panią turystyczne atrakcje w takich okolicznościach. Proszę mi uwierzyć, to jest niemożliwe. Wiem, o czym mówię. Żeby wieść takie życie, o jakim pani marzy, trzeba być bajecznie bogatym, a na dodatek ekscentrycznym. Bogactwo usprawiedliwia wszelkie dziwactwa i otwiera wszystkie drzwi. Można wtedy wynająć dom w najlepszej dzielnicy, urządzać go z orientalnym przepychem, zwrócić na siebie uwagę towarzystwa ulegając kosztownym zachciankom, śmiało wysyłać zaproszenia, wiedząc, że niekiedy spotkają się z lekceważeniem, ale...

- Wystarczy! Dość już tych absurdów - przerwała mu śmiejąc się. - To nie jest życie, o którym marzę! Jak mógł pan przypuszczać, że...

- Wcale nie przypuszczałem. Chce mi pani zapewne powiedzieć, że po prostu pragnie pani sama kierować swoim życiem. Zapewniam panią, że nie mając znajomych, zaprzyjaźnionego środowiska, będzie pani znudzona i samotna, jak gdyby zamieszkała pani na bezludnej wyspie, a nie w Londynie.

- O Boże! Wobec tego co mam zrobić?

- Proszę pojechać do ciotki Hendred - odpowiedział.

- Zamierzałam to zrobić... ale nie na długo. To by mi nie odpowiadało, a jej chyba też. Takie rozwiązanie nie przypadłoby również do gustu Aubreyowi.

- Aubrey, Aubrey! Proszę chociaż raz pomyśleć o sobie!

- Ależ właśnie to robię! Widzi pan, ja nigdy nie wyobrażałam sobie życia w Undershaw z inną kobietą jako panią domu, ale teraz doszłam do wniosku, że i gdzie indziej w takich warunkach czułabym się źle. Gdybym zamieszkała z ciotką i wujem, musiałabym stosować się do ich poleceń, uznawać ich autorytet, byłoby to dla mnie nie do zniesienia. Wydawałoby mi się, że wróciłam do pokoju dzieciennego. Drogi przyjacielu, ja zbyt długo byłam panią samej siebie.

Przyglądał jej się przez chwilę z cierpkim uśmiechem.

- Nie trwałoby to przecież długo - powiedział.

- Dla mnie zbyt długo - stwierdziła stanowczo. - Co najmniej pięć lat, dopóki Aubrey nie będzie gotów do założenia własnego domu, zresztą, kto wie, czy nie zmieni planów... Poza tym...

- O naiwna! Najbardziej naiwna z naiwnych! Niech pani jedzie do ciotki i pozwoli wprowadzić się w towarzystwo, co ona doskonale potrafi. Zanim Aubrey zacznie studia, zawiadomienie o pani zaręczynach ukaże się w „Gazette”.

Przez chwilę nic nie mówiła, tylko patrzyła na niego. Zbladła nieco, iskielki uśmiechu zgasły w jej oczach. Nie potrafiła z wyrazu twarzy odczytać jego myśli i była tym zaskoczona, ale nie zaniepokojona.

- Nie - powiedziała w końcu. - Myli się pan. Czyżby sądził pan, że celem mojego wyjazdu do Londynu będzie poszukiwanie męża?

- Nie celem, ale niewątpliwie przeznaczeniem.

- Ach! Pan uważa, że moja ciotka weźmie sobie za cel

znalezienie mi męża? - Spojrzała na Damerela, który wzruszył tylko ramionami. - Dobrze, że mnie pan ostrzegł - mówiła dalej. - Czy niezamężna kobieta może zamieszkać w hotelu? Oczywiście w towarzystwie służącej.

- Venetio!

- Mój drogi przyjacielu, jest pan dzisiaj zbyt uparty. - Uśmiechnęła się i uniosła brwi. - Dlaczego tak mi się pan sprzeciwia, jak gdyby chciał mnie pan doprowadzić do łez? Dlaczego nie podoba się panu, że chcę prowadzić życie, do jakiego przywykłam? A może nawet bardziej interesujące życie? Tutaj miałam książki, ogród, a po śmierci ojca zarządzanie majątkiem. W Londynie czekają na mnie muzea, galerie, teatry, opera... tyle rozrywek, które panu wydają się czymś zwykłym. I będę miała Aubreya w czasie wakacji... a jeśli ciocia nie będzie, na co liczę, specjalnie ograniczać moich znajomości, to niewykluczone, że uda mi się z kimś zaprzyjaźnić.

- Nie, mój Boże, nie! - zawołał i szybkim krokiem podszedł do niej. - Wszystko jest lepsze niż to. - Złapał ją za ramiona tak mocno, że krzyknęła, ale on nie zwrócił na to uwagi, tylko powiedział ostrym tonem: - Proszę spojrzeć na mnie!

Posłuchała bez wahania i spokojnie zniosła jego przenikliwy wzrok, który zdawał się ostry jak lancet chirurga. Mruknęła tylko nieco żartobliwie:

- To trochę boli...

Uścisk zelżał, opuścił ręce, aż dotknął jej dłoni. Ujął je teraz obydwie i, złęczone, mocno trzymał w swoich dłoniach.

- Co pani robiła w wieku dziewięciu lat, moja droga?

Pytanie to było tak nieoczekiwane, że tylko zamrugała powiekami.

- Proszę powiedzieć.

- Nie wiem! Uczyłam się, wykonywałam jakieś robótki, jak przypuszczam... tylko co to ma do rzeczy?

- Czy pani wie, co ja wtedy robiłem?

- Nie, nie mam pojęcia. Nawet nie potrafię powiedzieć, ile pan miał wtedy lat... w każdym razie tak bez liczenia, czego nie lubię. No dobrze. Jeśli teraz ma pan trzydzieści osiem, a ja dwadzieścia pięć...

- Oszczędzę pani kłopotu: miałem dwadzieścia dwa lata i uwodziłem zamężną kobietę z towarzystwa.

- Tak było - zgodziła się uprzejmie.

Parsknął śmiechem, ale mówił dalej:

- Była to pierwsza z moich miłosnych przygód i prawdopodobnie najbardziej niegodna. Patrząc wstecz na swoje życie nie widzę niczego, co napawałoby mnie dumą, ale jedno mogę powiedzieć: nigdy nie uwodziłem kobiet młodych i niewinnych. Nigdy nie zniszczyłem reputacji żadnej kobiety poza Sophią... Proszę mi tylko nie pocztywać tego za cnotę. Uwodzenie dziewczyn to niebezpieczna gra i nigdy mnie nie pociągała. Potem spotkałem panią i jeśli mam być szczerzy, to pozostałem w Yorkshire wyłącznie po to, żeby panią zdobyć... na moich warunkach.

- To samo powiedział mi pan na pożegnanie przy naszym pierwszym spotkaniu - stwierdziła Venetia w najmniejszym nawet stopniu nie poruszona. - Potraktowałam to jak impertynencję. Dopiero potem, po wypadku Aubreya staliśmy się dobrymi przyjaciółmi... i wszystko się zmieniło.

- O nie, nie wszystko! Nazywa mnie pani przyjacielem, ale ja nigdy tak pani nie nazwę. Pani jest i zawsze będzie dla mnie piękną, godną pożądaną istotą. Zmieniły się tylko moje zamiary. Postanowiłem pani nie skrzywdzić, ale nie mogę też rozstać się z panią.

- A dlaczego miałyby pan to robić? To byłoby całkiem bezsensowne.

- Pani nic nie rozumie, moja droga. Gdyby bogowie mogli „unicestwić czas i przestrzeń”...

- Pope - powiedziała spokojnie. - „I uszczęśliwić oboje kochanków”. Ulubiony poeta Aubreya, ale ja za nim nie przepadam. Nie rozumiem, dlaczego tych dwoje kochanków nie może osiągnąć szczęścia bez wprowadzenia takiego zamieszania w czasie i przestrzeni.

Uwolnił jej dłonie, ale tylko po to, by wziąć ją w ramiona.

- Kiedy pani uśmiecha się do mnie, życie wydaje mi się jednym wielkim świętem! O Boże, kocham panią do granic szaleństwa, Venetio, ale nie jestem szalony, nie jestem na tyle szalony, by nie rozumieć, jak zgubna może być ta miłość dla pani... dla nas obojga.

GEORGETTE HEYER

Pani sobie nie wyobraża, jakie korzyści wyciągnąłbym z pani niewinności.

Przerwał nagle i odwrócił głowę. Ktoś otworzył drzwi prowadzące z korytarza do małego przedpokoju. Potem usłyszeli odgłos charakterystycznych kroków.

- To Aubrey - odezwał się Damerel. — Może to i dobrze. Mamy sobie jeszcze wiele do powiedzenia... ale nie dzisiaj. Lepiej jutro, na spokojnie.

Zabrakło czasu, by powiedzieć coś więcej. Odsunął ją od siebie i odwrócił się w stronę drzwi, w których po chwili pojawił się Aubrey z piękną suką pointerką przy nodze..

14

Damerel odsunął się od Venetii i stanął w połowie drogi pomiędzy nią a drzwiami, ale wkrótce okazało się, że te środki ostrożności wcale nie były potrzebne. Aubrey wyglądał na nie-słuchanie wzburzonego, policzki mu pałały, a chłodne zazwyczaj oczy rzucały iskry. Jego i tak słaba zdolność postrzegania otoczenia, teraz, kiedy targał nim gniew, była tak ograniczona, że zapewne nic by nie zauważył, gdyby nawet zastał siostrę w ramionach Damerela.

- Na pewno nie wiesz jeszcze, Venetio - powiedział podnieconym głosem, zamykając drzwi - że caryca wydała nowy ukaz! Psy... moje psy... mają być w przyszłości wiązane na łańcuchach! Wszystkie, poza tą oto Bess, która jest podobno zbyt dzika, by w ogóle trzymać ją przy domu. No proszę, Jasper, czy ty widzisz, jaką potworną wiedźmą jest ta baba?

Damerel delikatnie drapał za uchem śliczną pointerkę, która z wdzięcznością merdała ogonem i wpatrywała się w niego wzrokiem wyrażającym bezgraniczne zadowolenie.

- Co Bess zrobiła?

- Zagroziła przyszłemu spadkobiercy - powiedział Aubrey. - Szukając mnie weszła do domu, a kiedy Charlotta zobaczyła ją, leżącą u podnóża schodów, przeraziła się tak, że zaczęła krzyczeć. Bess, co zrozumiałe, uniosła głowę i spojrzała na nią.

- O Boże! - jęknęła Venetia. - Wiesz, że Charlotta boi się psów, ale jeśli nic więcej się nie wydarzyło...

- Nic więcej? To był tylko początek dzikiego ataku na Bess. Zrozum, że jej spojrzenie wprawiło Charlotte w jeszcze większe przerażenie. Nie wiedziała, co robić, ale na wszelki wypadek

postanowiła uciec. Zaintrygowana tym Bess podniosła się i ruszyła za nią. Charlotta, ciągle krzycząc, schowała się za fotelem. Bess oczywiście za nią. Na to wpadła pani Scorrier przekonana, że jakiś bandyta napadł na jej dziecię, i zaczęła odpędzać Bess tym, co akurat miała pod ręką, czyli... jak wy to nazywacie... tamborkiem. Bess zaczęła szczekać, Charlotta dostała wtedy ataku hysterii.

- Aubrey, jak mogłeś do tego dopuścić! - zawołała Venetia przerażona, ale i rozbawiona. - Zachowałeś się okropnie.

- Mylisz się. Mnie przy tym nie było. To, co ci opowiadam, usłyszałem od tych dwóch nieszczęsnych dam. - Uśmiechnął się sardonicznie do siostry. - Ja jestem twoim dobrym braciszkiem, moja droga. Kiedy pojawiłem się na scenie, Charlotta siedziała w fotelu, pani Scorrier podsuwała jej pod nos sole trzeźwiące. Bess czekała na nie, a równocześnie merdała ogonem, chcąc dać do zrozumienia, że chociaż nie da się wypędzić z własnego domu, to jest zbyt dobrze wychowana, by kogoś ugryźć. Zawołałem na nią, a potem powiedziałem tej małej tchórzliwej ciamajdzie, że nie ma się czego bać, ale zamiast podziękowań posypały się pod moim adresem obelgi ze strony carycy. Stwierdziła, że przyprowadziłem do domu psa specjalnie po to, żeby przestraszyć Charlotte, krytyce zostały poddane moje maniery, charakter i skłonności. Charlotta pokrzykiwała tylko: „Och, proszę cię, mamó! Och, nie, mamó!” Zniosłem to wszystko całkiem dobrze. Dopiero kiedy caryca zaczęła się rozwodzić o „delikatnej sytuacji” Charlotty, nie wytrzymałem. Może nawet nie starałem się specjalnie powstrzymywać. Pani Scorrier stwierdziła, że zapewne nie rozumiem, o czym ona mówi, na co odpowiedziałem, że doskonale wszystko rozumiem, bo Bess jest również w podobnym stanie. Przez krótki moment myślałem, że pani Scorrier dostanie ataku apopleksji.

- Prawdziwy z ciebie diabeł - stwierdziła Venetia starając się nie roześmiać.

- Tak i, co gorsze, taki, któremu wydaje się, że ze względu na swoje kalectwo może sobie na wszystko pozwolić - powiedział Aubrey. - Och, nie patrz tak na mnie. Czy sądzisz, że nie wiem, jakim wstrętem napawa ją moje kalectwo? Prawdę mówiąc, nie mam im tego za złe... ale niania tak. Jak się domyślasz, zdążyła już zejść na dół, żeby sprawdzić, co się dzieje. Wiele

straciłaś, moja droga! Powiedziała carycy, że powinna się wstydić, a potem nakrzyczała na Charlotte za to, że robi bez powodu zamieszanie, wreszcie kazała mi odejść, zanim zapomnę, że należę do osób lepiej wychowanych niż takie, które wywołują wulgarnie awantury w domu dżentelmena.

- Ostrzej nie można było jej potraktować - zauważył Damerel,
- Wasza niania poradziłaby sobie z pięćdziesięcioma takimi paniami Scorrier.

- Kiedy wychodziłem, bój nie był jeszcze rozstrzygnięty, ale nie wątpię, że niania jest w nim górą - zgodził się Aubrey. - Najzabawniejsze w tym wszystkim jest to, że niania, która zawsze robiła awantury Conwayowi, gdy pozwalał wchodzić psom do domu, tym razem wpadła w furję, kiedy caryca oznajmiła, że nie pozwoli mi trzymać Bess inaczej niż w budzie, bo to pies bardzo niebezpieczny. Była na tyle bezczelna, że kazała mi uwiązać ją na łańcuchu natychmiast, i jeszcze coś tam pokrzykiwała za mną, kiedy odwróciłem się i z psem przy nodze ruszyłem korytarzem w stronę swojego pokoju. Ostatnie słowa, jakie do mnie dotarły, to było pytanie niani żądającej od carycy wyjaśnień, jakim prawem próbuje wydawać polecenia urodzonemu w tym domu Lanyonowi.

- O Boże! - westchnęła Venetia. - Muszę tam pójść i przerwać jakoś tę wymianę zdań. Jeszcze chwila, a niania zacznie cytować Księgę Przypowieści. Wczoraj już uraczyła mnie stosownymi fragmentami, a wszystkie dotyczyły kłótliwych niewiast.

- Nie śpiesz się - przerwał jej Aubrey. - Niech niania powie tej jędzy wszystko, co uważa za stosowne. A jeśli potrafi uwolnić nas od niej, tym lepiej.

- Och, gdyby tylko to się udało... ale pani Scorrier nie może pozwolić sobie na porażkę w walce z nianią. Pomyśl tylko, jakie czekać nas będą kłopoty, jeśli niania poczuje się obrażona.

- Czy wobec tego zamierzasz powiedzieć tej kobiecie, że psy będą trzymane na łańcuchach? - zapytał Aubrey, ciągle jeszcze zaczerwieniony ze złości. - Ostrzegam cię, Venetio, że jeśli to zrobisz, to wpuszczę do jej sypialni Flurry'ego i dam mu do zabawy jej najlepszy kapelus.

- Kochanie, nie wystawiaj mnie na próbę - powiedziała uśmiechając się figlarnie. - Oczywiście, nie mam zamiaru przystać na

podobny pomysł. Najwyżej obiecuję jej, że psy będziesz wprowadzać tylko do swojego pokoju. To, że Charlotta boi się psów, jest oczywiście bezsensowne, ale... Och, Aubreyu, musimy pamiętać, że to teraz jej dom, a nie nasz.

- Pamiętać? A czy one pozwolą nam o tym zapomnieć?
- wybuchnął Aubrey.

Venetia nie odpowiedziała, tylko ruszyła w stronę drzwi. Damerel otworzył je dla niej i kiedy zatrzymała się na moment, patrząc na niego pytająco, powiedział:

- To będzie rozstrzygająca rozmowa, jak sądzę. Zobaczymy się jutro, ale myślę, że nie przed południem. Mój pełnomocnik jest w Priory i będę zajęty prawie przez cały dzień. Sprawy są ważne, więc nie mogę machnąć na wszystko ręką. Trudno, muszę to znieść. Proszę tylko nie dać się tym kobietom zamęczyć na śmierć.

Potrząsnęła głową, ale jego uśmiech rozchmurzył nieco jej twarz. Ruszyła korytarzem prowadzącym w stronę holu.

Damerel zamknął drzwi i przez chwilę w milczeniu przyglądał się Aubreyowi, który podszedł tymczasem do kominka i nerwowo poprawiał płonące w nim bierwiona. Nie obejrzał się, ale wyczuwając na sobie wzrok Damerela powiedział ponuro:

- To nie była moja wina.

- Nie musisz się przede mną tłumaczyć. Nigdy nie twierdziłem, że zawiniłeś. Zresztą przestań się przejmować awanturą, która przypomina burzę w szklance wody - skarcił go Damerel. Aubrey odwrócił się w jego stronę. Usta miał zaciśnięte, czoło zmarszczone.

- Ponurak - dodał Damerel z przyjacielsko kpiącym uśmiechem. Aubrey roześmiał się.

- Dużo bym dał, żeby być przy tym, kiedy ona powie Conwayowi, że nie chce widzieć jego psów w domu! Jeśli chodzi o Charlotte, to będzie musiała się do nich przyzwyczaić, bo raczej nie uda jej się zobaczyć małżonka bez co najmniej trzech psów przy nodze. Go więcej, psy Conwaya należą do najgorzej ułożonych w okolicy. Pozwala im wskakiwać na krzesła w czasie posiłków i karmi je kawałkami mięsa. Ja moje psy trzymam krótko. A zresztą, niech go diabli wezmą, tego krzepkiego półgłówka.

- Przyjedź do Priory i tam na niego poczekamy - powiedział

Damerel. - Cisną mi się na język jeszcze gorsze epitety pod jego adresem.

Aubrey uśmiechnął się, ale potrząsnął głową.

- Nie, nie jestem aż tak płochliwy. Dużo bym dał, żeby wrócić do Priory, ale już ci mówiłem, że nie dam się stąd wyrzucić.

- Nigdy nie próbuję spierać się z upartymi mułami, więc wycofuję się - powiedział Damerel i podniósł z krzesła swój toczek i szpicrutę. - *Hasta mariana*, zagniewany młodzieńcze.

Aubrey spojrział na niego, wahał się przez moment, a potem zapytał:

- Obraziłeś się na mnie? Nie chciałem...

- Wcale się nie obraziłem, ty wariacie - odparł Damerel i roześmiał się. - Zostań, narażaj się, jeśli uważasz, że musisz... Ja prawdopodobnie na twoim miejscu zrobiłbym to samo.

Wyszedł, a Aubrey po paru minutach zasiadł za biurkiem i całe swoje rozżalenie postanowił uzewnętrznić w jadowitym, napisanym łaciną epigramacie. Po kilku nieudanych próbach udało mu się wreszcie ułożyć cztery wiersze zawierające parę zgrabnych i niezupełnie przyzwoitych zwrotów, co ucieszyło go tak bardzo, że do obiadu zasiadł w nastroju całkiem ugodowym. Pani Scorrier poinformowała go, że dopóki nie wyrazi skruchy za swoje zachowanie, nie będzie go po prostu zauważała. Obdarzył ją za to miłym uśmiechem i z niezwykłym apetytem zajął się spożywaniem posiłku.

Rozmowa przy obiedzie nie była zbyt ożywiona. Złość u pani Scorrier zastąpiło nadąsanie, a u Charlotty po histerycznym ataku pojawiło się ośpienie, w rezultacie którego na wszystkie pytania odpowiadała cichym głosem, urywanymi zdaniem, co zniechęcało do dalszych wysiłków, by wyrwać ją z chorobliwego przygnębienia. Zaraz po obiedzie wróciła do siebie, tłumacząc się silnym bólem głowy, a ponieważ Aubrey zaproponował Venetii partię bilardu, pani Scorrier pozostała sama ze swymi dąsami. Czy to na skutek takiego potraktowania jej, czy też w rezultacie oczywistego wniosku, że odcięcie się od Lanyonów uderza przede wszystkim w Charlotte, następnego ranka zademonstrowała tak miłe uśmiechy i zalała ich takim potokiem uprzejmych słów, że można ją było podejrzewać o kompletną utratę pamięci. Venetia nie dała się oszukać, bo

spojrzenie pani Scorrier zadawało kłam jej uśmiechom, ale na uprzejmości odpowiadała grzecznie, zbyt zajęta własnymi sprawami, by nie zauważyła tego pani Scorrier, co nie tylko spotęgowało jej skrywaną niechęć, ale i przyprawiło o niepokój. Dotarło wreszcie do niej, że w swym dążeniu do zapewnienia Charlottcie najwyższej pozycji w Undershaw posunęła się zbyt daleko. Oczywiście, chciała uwolnić Undershaw od Venetii i Aubreya, ale nie w okolicznościach, które stawiałyby ją i Charlotte w złym świetle. Poprzedniego dnia boleśnie odczuła, że córka, do której była przecież na swój sposób serdecznie przywiązana, szukała pomocy nie u matki, ale u tej obmierzłej starej kobiety, która zagroziła, że wyleje jej na głowę kubeł zimnej wody, jeśli natychmiast nie przestanie histerycznie łąć. Wcześniej nie pomyślała, że po usunięciu Lanyonów Charlotta, zamiast okazać wdzięczność, a potem przekonać Conwaya, że byli w stosunku do niej nieuprzejmi, może stanąć po ich stronie, a nawet powiedzieć Conwayowi, że to nie ona doprowadziła do ich usunięcia.

Kiedy zorientowała się, że Venetia nie reaguje nawet na komplementy, z uśmiechem jeszcze bardziej serdecznym zaczęła tłumaczyć, jak to ślepy instynkt macierzyński zmusił ją do rzucenia się na ratunek ukochanego dziecka. Ten monolog również nie przyniósł spodziewanych rezultatów. Venetia patrzyła na nią przez chwilę obojętnie, a potem powiedziała:

- Biedna Charlotta! Mam nadzieję, że zdoła jakoś opanować swój lęk przed psami. Psy Conwaya są takie niesforne i źle ułożone, że jeśli ich nie polubi, to jej życie może okazać się pasmem nieustającej udręki.

Po wygłoszeniu tej uwagi Venetia wyszła. W holu poprosiła lokaja o przekazanie stajennemu polecenia, żeby przyprowadził jej klacz. Pani Scorrier domyśliła się, że zapewne Venetia zamierza odwiedzić dzierżawcę, którego syn uległ jakiemuś wypadkowi, o czym dowiedziała się z podsłuchanej rozmowy Aubreya z siostrą. Bardzo ją to zirykowało. Pomyślała, że byłaby to znakomita okazja, aby Charlotta mogła odegrać rolę dobrodziejki. Sama oczywiście towarzyszyłaby córce w powozie, pocieszałaby nieszczęsnego chorego, dawała dobre rady i w ogóle pouczałaby poddanych Conwaya, jak najlepiej radzić sobie z kłopotami.

Pani Scorrier nie wiedziała, że ani dobroczynność, ani rady nie są w tym przypadku potrzebne. Wypadkowi uległ najmłodszy syn powszechnie szanowanego dzierżawcy, pełen wigoru dziesięcioletni chłopiec, który przez nieuważę, a raczej nieroztropność złamał rękę. Nie był to więc przypadek wymagający jakiejś szczególnej pomocy, toteż wizyta Venetii wynikała jedynie z sympatii do gospodarza i być może wcale nie doszłoby do niej, gdyby nie to, że traktowała ją w pewnym sensie jako ucieczkę od domowych kłopotów: narzekań służby i złośliwości pani Scorrier.

Dopiero wieczorem Venetia zaczęła się spokojnie zastanawiać nad zdarzeniami minionego dnia. Nagłe wtargnięcie Aubreya do biblioteki w trakcie jej rozmowy z Damerem, w tamtym momencie nie wzburzyło jej zbyt. Zmuszona była natychmiast włączyć się w domowy konflikt i dopiero znacznie później miała okazję przemyśleć to, co zaszło między nią a Damerem i zastanowić się nad tym, co usłyszała od niego. Tego, że ją kocha, była tak pewna jak jutrzejszego wschodu słońca, jednakże kiedy leżąc w łóżku coraz wnikliwiej zastanawiała się nad jego słowami, głębokie zadowolenie, którego nie były w stanie zakłócić ani domowe swary, ani dąsy pani Scorrier, zaczęło powoli ustępować niejasnym złym przeczuciom, na razie jeszcze niewyraźnym, ale powoli przeradzającym się w niepokój. Wszystko, co powiedział, a raczej czego nie powiedział, można było, co prawda, wytłumaczyć skrupułami człowieka honoru, zbyt błahymi, żeby przywiązywać do nich wagę, ale jednak rodził się w jej świadomości niejasny lęk, że powściągliwość Damerela należy, być może, tłumaczyć inaczej. Lęk zniknął szybko na wspomnienie jego czułości, która, jak podpowiadał jej instynkt, nie wynikała z ulotnego pożądanego. Pocieszała się, że może te obawy były bezpodstawne i swoje źródło miały wyłącznie w irracjonalnych przeczuciach zrodzonych przez znużony umysł.

Z nadejściem świtu wszystkie te lęki zniknęły. Noc była wietrzna. Rankiem, kiedy Venetia wyjrzała przez okno i zobaczyła pędzone wiatrem pożółkłe liście, pomyślała, że to zapewne wycie wichury i szum deszczu wprawiły ją w tak ponury nastrój. Przecież Damerel przyjedzie dzisiaj do Undershaw, a nocne niepokoje to nic innego, jak tylko wytwory wyobraźni pobudzonej działaniem przyrody.

Potem przypomniała sobie, że wspomniał o jakichś ważnych sprawach do załatwienia, które zajmą mu całe przedpołudnie i że przyjechał do Priory jego pełnomocnik. Pomyślała, że jest to zapewne jakiś londyński prawnik i z pewnością zrobi wszystko, by załatwić sprawę jak najszybciej i tak prędko, jak tylko okaże się to możliwe, wrócić do domu. Damerel też nie będzie go zatrzymywał dłużej, niż jest to naprawdę niezbędne. Doszła w rezultacie do wniosku, że jeśli istotnie Damerel tak ją kocha, jak jej się wydaje, to żadne sprawy, nawet najważniejsze, nie mogą go zatrzymać z dala od niej przez tak wiele godzin. Po chwili jednak ten spokój, którym otoczyła się jak ciepłym płaszczem, został zakłócony: pojawiły się niepokoje, jakich nigdy dotąd nie doznała. Nie mogła zmusić się do myślenia o czymkolwiek innym, jak tylko o swoich problemach, a wyczuwała przy tym, że nie jest już w stanie dłużej opanować swej niecierpliwości i tolerować działań pani Scorrier, a nawet pani Gurnard, naruszających jej spokój.

Farma, którą chciała tego dnia odwiedzić, leżała w odległej części posiadłości. Klacz była wypoczęta i chociaż pogoda wyraźnie się popsuła, a silne porywy wiatru przypominały, że piękna jesień zbliża się ku końcowi, przejażdżka poprawiła wyraźnie samopoczucie Venetii. Do Undershaw wróciła parę minut przed dwunastą. Wiedziała, że tego dnia Aubrey nie będzie miał okazji przeszkodzić w jej *tete a tete* z Dameralem, gdyż wybrał się na polowanie do odległych lasów, zabierając dwa spaniele, gajowego, ulubione strzelby i ogromny kosz wypełniony przysmakami przygotowanymi przez panią Gurnard i kucharkę, starające się już od lat, by szczupły młodzieniec nieco przytył. Żadnych resztek jedzenia nie mógł przywieźć z powrotem do domu. Nawet jeśli któraś z nich podejrzewała, że pieczeń, galantyna, gołąb w galarecie czy ciasto z rodzynkami bardziej przypadną do smaku gajowemu i spanielom, a Aubrey zje tylko kawałek sera i jabłko, to tego rodzaju myśli zachowywały wyłącznie dla siebie.

Gdy tylko Venetia zsunęła się z siodła i przyglądała fałdy swej długiej spódnicy, zjawił się Fingle, żeby rozsiadłać klacz. Natychmiast zauważyła, że ma jej coś ważnego do powiedzenia. Istotnie, dowiedziała się od niego, że zaraz po jej wyjeździe pod dom podjechał powóz zaprzężony w czwórkę koni i wysiadł z niego nie kto inny, tylko pan Philip Hendred.

Venetię zaskoczyła ta wiadomość. Nie została uprzedzona o tej wizycie, a nawet nie otrzymała jeszcze odpowiedzi na list zawiadamiający ciocię o małżeństwie Conwaya.

- Mój wuj? - zawołała z niedowierzaniem.

Fingle ucieszył się, że jego informacja sprawiła na Venetii takie wrażenie, potwierdził ją i dodał, że sam był tym ogromnie zdumiony.

- Całą podróż odbył własnym powozem, panienko - powiedział, uważając, że ten fakt podnosi jeszcze znaczenie tej nieoczekiwanej wizyty - i ze swoimi forysiami, jak sędzę, bo im nie zapłacił, tylko odesłał ich prosto do oberży Pod Czerwonym Lwem.

- Wysłał ich do oberży? - przerwała mu wzburzona. - Wielkie nieba! Jak Ribble mógł na coś takiego pozwolić?

Fingle przypomiał na to Venetii, że pan Hendred w czasie swojego tygodniowego pobytu w Undershaw, po śmierci sir Lanyona, też, pomimo protestów, odesłał forysiów do gospody.

- Tyle że wtedy miał ze sobą lokaja, panienko, a teraz nie - dokończył.

Informacja ta nie wywarła na Venetii spodziewanego wrażenia. Powiedziała tylko, że musi zaraz pójść i przywitać gościa i odeszła, zanim Fingle zdążył jej opisać w najdrobniejszych szczegółach wszystkie wady i zalety koni pocztowych zaprzężonych do powozu pana Hendreda.

Venetia postanowiła nie przebierać się, tylko w stroju do jazdy konnej udała się niezwłocznie do salonu, gdzie, jak poinformował ją Ribble, powinna zastać pana Hendreda w towarzystwie lady Lanyon i pani Scorrier. Ciągłe trzymając w ręku szpicrutę, z policzkami zaróżowionymi od wiatru, zatrzymała się na progu. Kiedy pan Hendred podniósł się z fotela i ruszył w jej stronę, odrzuciła szpicrutę i z wyciągniętymi ramionami podbiegła do niego.

- Ach, cóż za miła niespodzianka! - zawołała. - Jestem taka szczęśliwa, że widzę wuja... ale to nie powstrzyma mnie od zwrócenia wujowi uwagi, że my tu, w Yorkshire, czujemy się dotknięci, jeśli nasi goście odsyłają swoich służących i konie do oberży.

Zanim zdążył odpowiedzieć, odezwała się pani Scorrier.

.- Ach, czyż nie mówiłam, że panna Lanyon będzie z tego niezadowolona? Ale musi pani wiedzieć, droga panno Lanyon, że ostatnio stało się zasada, nawet w majątkach znacznie większych niż ten, że nie zatrzymuje się we dworze koni, którymi przyjechali goście, i więcej niż jednego służącego.

- Stoi to w sprzeczności z naszym północnym obyczajem gościnności - odparła Venetia. - Proszę mi jednak powiedzieć, wuju, czemu zawdzięczamy tak miłą wizytę? Mam nadzieję, że tym razem zostanie wuj dłużej, a nie odjedzie, zanim zorientujemy się, że ktoś w ogóle przyjechał.

Na poważnej dotąd twarzy gościa pojawił się uśmiech.

- Jak wiesz, moja droga Venetio, nie dysponuję swoim czasem tak, jakbym sobie tego życzył. Ty jesteś celem mojej wizyty i wkrótce ci to wyjaśnię.

Venetia była nieco zaskoczona, a ponieważ wuj Hendred opiekował się jej finansami, pomyślała, że jego wizyta może mieć z tym jakiś związek.

- Jeśli wuj przyjechał po to, by mi oznajmić, że mój majątek zniknął w tej tajemniczej instytucji, którą nazywają giełdą, to proszę zaczekać, aż każę sobie przynieść sole trzeźwiące.

Uśmiechnął się znów, ale raczej kwaśno, gdyż tego rodzaju sugestią *uznał za zbyt szokującą, by mogła być zabawna*. Do rozmowy ponownie włączyła się pani Scorrier.

- To okrutne z pana strony, sir, tak długo trzymać pannę Lanyon w niepewności, tym bardziej że ma pan dla niej wyjątkowo miłą wiadomość. Proszę się nie obawiać, panno Lanyon! Daję słowo, że sprawa, z jaką przyjechał pani wuj, wywoła pani zachwyt, a nie rozczarowanie.

W tym momencie dla Venetii stały się oczywiste dwie sprawy: z niezwykle uprzejmego zachowania pani Scorrier wynikało jasno, że musi jej być znana towarzyska i finansowa pozycja pana Hendreda, stąd jej wysiłki, by pozyskać sobie jego przychyłność. Z drugiej strony z chłodnego przyjęcia tych awansów przez wuja można było wnioskować, że dama ta nie przypadła mu do gustu. Venetia pomyślała, że najlepiej zrobi, jeśli ich rozdzieli, zanim jakaś prowokująca wypowiedź ze strony pani Scorrier wywoła ostrą reakcję gościa. Zaprosiła więc wuja do saloniku pod preteks-

tern, że musi omówić z nim pewne sprawy związane z interesami. Pani Scorrier przyjęła to zaskakująco spokojnie, a po ich wyjściu swoją uprzejmość w stosunku do pana Hendreda wyjaśniła Charlotte tym, że mówią, jakoby jego roczne dochody przekraczały dwadzieścia tysięcy funtów.

Charlotte była tym zdziwiona, gdyż nic w wyglądzie gościa nie wskazywało na takie bogactwo. Co prawda nosił ubrania szyte przez Westona, najlepszego londyńskiego krawca, ale równie dobrze mógł uchodzić za skromnego, chociaż poważanego prawnika. Był mężczyzną szczupłym, szpakowatym, średniego wzrostu, o długich cienkich nogach, o wyrazistej twarzy ze śladami chronicznej niestrawności. Ubierał się zawsze schludnie i poprawnie, bez żadnych przejawów ekstrawagancji. Z biżuterii nosił tylko sygnet na palcu i skromną złotą spinkę wpiętą w fular. Nigdy nie ubierał się w modne kamizelki ani nie używał ozdobnych spinek do koszuli. Stałości swych zasad dowiódł przenosząc się od Stulza do Westona, kiedy pan Stultz okazał się na tyle nierozsądny, by przysłać mu do domu płaszcz z guzikami zaprojektowanymi według prawideł ostatniej mody, dwukrotnie większymi od tych, które pan Hendred uważał za możliwe do przyjęcia.

Niechęć do nadażania za najnowszymi tendencjami w dziedzinie mody nie przeszkodziła, by pana Hendreda uważano za ważną osobistość, i to nie tylko z powodu ogromnej fortuny. Był on spokrewniony z tyloma rodzinami, że nikt nie odważyłby się w jego obecności krytycznie wypowiadać o kimś z towarzystwa, gdyż istniało duże prawdopodobieństwo, że uwaga taka mogłaby dotyczyć jego krewnego. Do tego zasiadał w Parlamencie, był sędzią pokoju, a że wszyscy znali zarówno jego zdolności do interesów jak i poczucie obowiązku, należał do ludzi, których najchętniej wybierano na pełnomocnika czy wykonawcę testamentu.

Nie był zachłanny, ale oszczędny, chociaż lubił dobrze prezentować się przed światem. Francuskiemu kucharzowi płacił aż sześćdziesiąt funtów rocznie, zawsze podróżował ze swoimi forysiami, ale małżonka z trudem wymogła na nim, by zatrudnił dodatkowego stangreta, jej zdaniem niezbędnego. Poza rezydencją przy Cavendish Square miał dużą posiadłość w Berkshire i dwie mniejsze w dalszych częściach kraju, ale w przeciwieństwie do

piątego księcia Devonshire, który utrzymywał nie mniej niż dziesięć rezydencji z pełnym kompletem służby, pan Hendred w swoich domach zatrudniał tylko kilka niezbędnych osób.

Venetia poznała go przed laty; kiedy ciotka zaprosiła ją na tydzień do Harrogate. Pan Hendred przebywał wówczas w głośnym kąpielisku, gdzie za radą przyjaciół próbował wyleczyć się z dolegliwości żołądkowych. Niestety, i klimat, i wody okazały się nieodpowiednie dla jego organizmu, więc po dziesięciu dniach udreki zdecydował się na powrót do domu. Pomimo choroby potrafił być miłym i troskliwym gospodarzem, starał się zapewnić Venetii stosowne do jej wieku rozrywki i dał jasno do zrozumienia, nie wyrażając przy tym zbytniego krytycyzmu w stosunku do swego ekscentrycznego szwagra, że z dezaprobatą odnosi się do trybu życia, który zmuszona jest prowadzić, i cieszyłby się, gdyby mógł jej pomóc wyrwać się z odosobnienia. Było to jednak niemożliwe, a kiedy po śmierci sir Francisa Lanyona ponowił swą gościnną ofertę, Venetia uważała, że w zaistniałej sytuacji nadal nie może opuścić Undershaw. Pan Hendred musiał zgodzić się z nią i uznać jej decyzję za nieodwołalną. Tym bardziej Venetia była teraz zaskoczona, gdy dowiedziała się, że jedynym celem przyjazdu wuja do Undershaw jest niezwłoczne zabranie jej do Londynu, gdzie, jak miał nadzieję, zostanie przyjęta jako członek rodziny. Propozycja wzruszyła ją do głębi, ale pan Hendred nie dopuszczał jej do głosu, by mogła wyrazić wdzięczność. Siedział z dłońmi opartymi na kolanach i poważnym głosem mówił:

- Nie wątpię, moja droga Venetio, że zdajesz sobie sprawę z mojej do ciebie sympatii. Mam nadzieję, że nie muszę dodawać, jak oboje, twoja ciocia i ja, lubimy cię i podziwiamy. Przesadzanie nie leży w mojej naturze, ale nie zawaham się mówiąc, że twoje postępowanie i wyróżniające cię zawsze poszanowanie zdrowego rozsądku i wyższych zasad musi budzić szacunek. W istocie, moja droga - jego głos nabrał cieplejszego brzmienia - jesteś bardzo dobrą dziewczyną, nikczemnie wykorzystywaną przez tych, którzy przede wszystkim powinni dbać o twoje dobro. Zapewniam cię, że z największą radością zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby wynagrodzić ci te lata, które poświęciłaś na to, co uważałaś za swój obowiązek. - Venetia próbowała protestować, ale on zmarszczył

brwi i powiedział surowo: - Proszę cię, pozwól mi dokończyć. Chociaż z niechęcią mówię o dziwactwach twojego ojca, uważam jednak, że nie będzie z mojej strony nietaktem, jeśli powiem ci, że chociaż był on, moim zdaniem, pod wieloma względami człowiekiem godnym szacunku, to jednak jego zachowanie po tych nieszczęśliwych zdarzeniach, jakie miały miejsce w czasach twojego dzieciństwa, wydaje mi się egoistyczne i trudne do usprawiedliwienia. Więcej nic nie powiem poza tym, że muszę pochwalić, a w każdym razie uznać za właściwe podporządkowanie się córki woli ojca. Kiedy po jego nagłej śmierci uznałaś za swój obowiązek pozostać tutaj na okres, nieuniknionej wówczas, nieobecności twojego starszego brata, również musiałem przyznać ci rację i powstrzymać się od wywierania na ciebie jakiegokolwiek presji. Nie naciskałem również wtedy, gdy stało się jasne, że Conway, mając na uwadze wyłącznie własną wygodę, zamiast wrócić i uwolnić cię od odpowiedzialności, którą wzięłaś na siebie, ciągle pozostaje poza domem. Wiedziałem, że będzie to bezowocne, że zawsze znajdziesz dla niego jakieś usprawiedliwienie. Teraz jednakże, po przeczytaniu listu, jaki napisałaś do ciotki, bez skrupułów powiem ci, że dawno nie byłem tak wstrząśnięty. Całe zachowanie Conwaya, to wysłanie do Undershaw nie tylko żony, ale i jej matki, uważam za oburzające i zwalnia cię ono z dalszego opiekowania się Undershaw.

- Na pewno tak - zgodziła się Venetia, - Ja również nie miałabym skrupułów. Proszę tylko zrozumieć, że to nie z powodu Conwaya uważałam za mój obowiązek pozostać tutaj. Nie opuszczałam Undershaw ze względu Aubreya, ale proszę nie myśleć, że było to z mojej strony wielkie poświęcenie. Jesteśmy z sobą zaprzyjaźnieni i żyło nam się tutaj bardzo dobrze, zapewniam wuja.

- Obawiam się, że teraz, po pojawieniu się pani Scorrier, twoje życie w Undershaw nie jest już tak miłe.

- Z pewnością nie! Doszłam do wniosku, że im szybciej znajdę jakieś miejsce dla nas obojga, tym lepiej. Domyślałam się, że pani Scorrier postarała się zaprezentować wujowi z jak najlepszej strony, więc zapewne moja reakcja wydać się może nieco przesadna.

- Moja droga Venetio, ja doskonale znam ten typ ludzi. Pewna siebie, nie licząca się z nikim kobieta, pragnąca dyrygować i rządzić.

To ona zapewne doprowadziła do tego pośpiesznie zawartego małżeństwa. To była świetna partia dla jej córki. Jestem zde gustowany tym, że Conway wykazał taki brak rozsądku, by związać się z dziewczyną, której jedynymi zaletami jest ładna buzia i miłe usposobienie. Pochodzi z rodziny... w miarę szacownej, a jeśli chodzi o majątek, to wątpię, czy ma więcej niż tysiąc funtów, a raczej mniej. Scorrierowie nie są bogaci, a poza tym jej ojciec był najmłodszym synem.

Pan Hendred wydawał się coraz bardziej zde gustowany postępiem Conwaya i przez kilka minut tylko ta sprawa pochłaniała jego myśli. Rzucił jeszcze parę zgryźliwych uwag na temat zgubnych skutków zapalczywości i braku przezorności, aż wreszcie wrócił do sprawy będącej głównym powodem jego wizyty. Oznajmił stanowczo, że zdecydowany jest natychmiast zabrać Venetię z Undershaw.

- Nie chciałbym cię, Venetio, stawiać w kłopotliwej sytuacji, ale byłbym bardzo rad, gdybyś mogła wyjechać ze mną jutro rano - powiedział.

- Ależ ja nie mogę...! Drogi wuju, muszę mieć nieco czasu, żeby się zastanowić. Tyle jest różnych problemów do rozważenia... Aubrey... Undershaw... Och, niekiedy wydaje mi się, że powinnam tu zostać do powrotu Conwaya, bo Bóg wie, co ta kobieta gotowa zrobić, jeśli zostawię dom pod jej opieką.

- Jeśli o to chodzi, moja droga, to nie jest ona upoważniona do wprowadzania jakichkolwiek zmian. Nie wątpię, że byłaby gotowa do takich działań, i dlatego trzeba ją poinformować, że skoro lady Lanyon nie ma ani stosownych pełnomocnictw, ani doświadczenia, by zarządzać majątkiem swego męża, to wszystkimi tego rodzaju sprawami zajmować się będzie teraz pan Mytchett. Rozmawiałem już z nim. Musisz mu tylko przekazać niezbędne informacje i ewentualnie jakieś własne życzenia co do prowadzenia gospodarstwa. Pozwoliłem sobie umówić go z tobą w jego biurze na jutro. Wstąpimy tam w drodze do Londynu. Jeśli chodzi o Aubreya, to pragnąłbym ci wyjaśnić, że zaproszenie dotyczy również jego.

W geście wyrażającym bezradność przycisnęła dłoń do czoła. Nie wiedziała, co powiedzieć, no i co zrobić. Wreszcie zaczęła przekonywać wuja o konieczności zwłoki, ale na każde wysunięte przez nią zastrzeżenie znajdował odpowiedź, która je natychmiast

obalała. Na koniec przyznała się, że zamierza założyć własny, samodzielny dom. Po chwili milczenia wuj powiedział, że wolałby omówić z nią te plany, kiedy zamieszka pod ich dachem. Następnie wyraził ubolewanie, że zmusza ją do takiego pośpiechu, ale przekonany jest, że chwila namysłu wystarczy, by zgodziła się z nim, że najrozsądniej będzie, jeśli opuści Undershaw w jego towarzystwie.

- Teraz muszę cię pożegnać - powiedział podnosząc się z fotela.
- Jak wiesz, jestem kiepskim podróżnikiem i po dłuższej jeździe zaczyna mi dokuczać ból newralgiczny. Mam nadzieję, że lady Lanyon wybaczy mi, że nie zasiądę z wami do kolacji. Nie musisz mi towarzyszyć. Znam drogę i już poprosiłem twoją wspaniałą gospodynię, żeby przysłała do mego pokoju, gdy tylko zadzwonię, gorącą cegłę. Jak wiesz, gorąca cegła w nogach znakomicie pomaga nawet na bardzo poważne choroby.

Znała go na tyle dobrze, by nie nalegać. Wuj odszedł, zostawiając ją samą. Próbowwała zebrać myśli, lecz nie było to łatwe zadanie. Po dłuższej chwili wyklarowała się w jej umyśle jedna decyzja: wiedziała już, że zanim cokolwiek postanowi, musi zobaczyć się z Damerem. Przypomniała sobie, że obiecał przyjechać wczesnym popołudniem. Spojrzała na zegarek: dochodziła pierwsza. Pomyślała, że może czeka już na nią w bibliotece i natychmiast tam się udała.

Nie było go. Zawahała się przez moment, a potem wybiegła z domu przez drzwi prowadzące do ogrodu i skierowała się w stronę stajni.

15

który służył Damerelowi prawie tak samo długo jak Marston, zajął się kłaczą Venetii, udając, że nie widzi nic niestosownego w wizycie niezamężnej damy w domu kawalera. Inaczej było z Imberem. Wprowadził ją do domu niemal bez słowa, małomównością wyrażając swoje oburzenie. Zaprowadził ją do jednego z salonów, a sam poszedł zawiadomić Damerela o niespodziewanej wizycie.

Venetia stanęła przy oknie. Oczekiwanie przedłużało się. Salon wydał jej się wyjątkowo nieprzytulny. Odniosła wrażenie, jak gdyby równo ustawione meble nigdy nie były używane, zdziwił ją brak ognia na kominku. W czasie pobytu Aubreya w Priory siadywali zawsze w bibliotece. Przypuszczała, że Imber wprowadził ją tu, żeby tym lepiej zaakcentować swoją dezaprobatę, a może dlatego, że Damerel nie skończył jeszcze rozmów z pełnomocnikiem. W salonie panował półmrok, zapewne dlatego, że niebo przykrywały ciężkie chmury, a nawet zaczął padać drobny deszcz.

Przyszło jej do głowy, że może rozminęła się z Damerelem, który mógł pojechać do Undershaw główną drogą, a nie krótszą ścieżką pomiędzy polami, gdy nagle drzwi się otworzyły i stanął w nich gospodarz.

- Cóż tam znowu wyprawiała caryca, że wyгнаła panią z domu, piękna Venetio? - zapytał.

Mówił tonem swobodnym, ale z jakimś odcieniem szorstkości, jak gdyby jej wizyta wypadła nie w porę. Odwróciła się, próbując odczytać coś więcej z jego twarzy, i powiedziała z uśmiechem:

- Był pan zajęty? Wydaje mi się, że nie ucieszył pana mój widok.

- Nie ucieszyłem się. To prawda - odparł. - Nie powinna pani tutaj przyjeżdżać.

- Imber też tak uważa, ale nie dbam o to. - Powoli podeszła do stołu stojącego na środku pokoju i zdjęła rękawiczki. - Pomyślałam, że lepiej będzie, jeśli tu przyjadę zamiast czekać na pana. W Undershaw trudno byłoby mi znaleźć chwilę spokoju, a muszę z panem porozmawiać. Zdarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego i potrzebuję pańskiej rady, drogi przyjacielu. Przyjechał mój wuj.

- Pani wuj - powtórzył.

- Wuj Hendred... mąż mojej ciotki. Chce zabrać mnie do Londynu, i to zaraz.

- Rozumiem - odezwał się po chwili. - A więc koniec uroczej jesiennej idylli, nieprawdaż?

- Czy sądzi pan, że przyjechałam tutaj, żeby to właśnie panu powiedzieć?

- Może i nie - odparł patrząc na nią lekko przymrużonymi oczami - ale to prawda. Niemiła, jak sądzę, ale prawda.

Poczuła się, jak gdyby krew zastygła w jej żyłach. Lord Damerel odwrócił się gwałtownie i podszedł do okna. Venetia milczała i tylko patrzyła na niego.

- Tak, to koniec idylli - mówił dalej ochrypłym głosem.

- Mieliśmy piękną złotą jesień. Za tydzień nie będzie już ani jednego liścia na drzewach. Pani wuj dobrze wybrał termin przyjazdu, nie sądzi pani? Jestem przekonany, że wkrótce zgodzi się pani ze mną.

Milczała, bo nadal nie wiedziała, co powiedzieć. Z trudem docierało do niej to, co usłyszała, nie była w stanie zebrać myśli kłębiących się w jej mózgu. Wszystko wydawało się złym snem, w którym dobrze jej znani ludzie zachowują się w zupełnie nieoczekiwany sposób, a ona jest zbyt bezsilna, by wyrwać się z tego koszmaru. Dłonią przetarła oczy i głosem, który jej samej wydał się nierealny, jak we śnie, w którym zamiast krzyku z ust wydobywa się tylko szept, zapytała:

- Dlaczego miałabym się zgodzić?

Wzruszył ramionami.

- Uzasadnienie mojego stwierdzenia zabrzmiałoby dla pani nie przekonująco. Stanie się to zrozumiałe, kiedy pani wiedza

o świecie nie będzie ograniczona wyłącznie do tego, co przeczytała pani w książkach.

- A pan wszystko już przemyślał? - zapytała. Delikatny rumieniec pojawił się na jej poblądłych policzkach. - Chyba nie powinnam pana o nic pytać, ale bardzo chciałabym to zrozumieć, a jestem zbyt niedoświadczona... zwykle trzeba mi wszystko wyjaśniać.

- Myślę, że byłoby lepiej, gdybyśmy się w ogóle nie spotkali - powiedział ponurym głosem.

- Dla pana czy dla mnie?

- Och, dla nas obojga. Od samego początku taki koniec idylli był oczywisty. Wiedziałem o tym, chociaż pani być może nie. Wiem też, że im bardziej czarowna jest idylla, tym boleśniejsze jej zakończenie. To jest trudne do zniesienia, tylko że serca tak naprawdę złamać nie można. Naturalnie, pani nie chce tego uznać za prawdę, ale dla mnie jest to oczywiste.

- Ale można je zranić - powiedziała.

- Nawet wielokrotnie... Potem rany się goją, sam to sprawdziłem.

- Dlaczego pan mi to mówi? - zapytała ściągnawszy brwi.

- Zupełnie jak gdyby chciał mi pan sprawić ból, a to przecież niemożliwe. Czuję, że tak być nie może!

- Nie, nie chcę pani zranić. Nigdy nie chciałem. Całe zło tkwiło w tym, moja droga, że jest pani zbyt słodka, zbyt urocza i to, co powinno być lekkim, zabawnym flirtem, zmieniło się w coś znacznie poważniejszego, niż sobie życzyłem czy przewidywałem... nawet pragnąłem. Posunęliśmy się zbyt daleko, Venetio. Czy nigdy nie zdawało się pani, że to wszystko dzieje się we śnie?

- Dotychczas nie. Natomiast teraz mam takie wrażenie. To, co słyszę, nie wydaje mi się realne.

- Jest pani zbyt romantyczna! Przebywaliśmy w Arkadii, moja naiwna dziewczyno. Świat nie jest taki piękny jak to ustronne miejsce. Zupełnie jak w marzeniach, wszystkie okoliczności złożyły się tak, że miłość pomiędzy nami okazała się nieunikniona. Żyliśmy odizolowani, jak na bezludnej wyspie. Nic nie zakłócało naszej idylli, nikt nam nie przeszkadzał. Przez jeden cudowny miesiąc zapomnieliśmy... a raczej ja zapomniałem... o pewnych ważnych okolicznościach, o tym, co dzieje się wokół, że poza miłością istnieje inne, realne życie.

- Przecież to wszystko było realne, to się naprawdę zdarzyło!

- Tak, zdarzyło się. Zgódźmy się, że było to piękne interludium i nic więcej. Najwyższy czas, żeby wrócić na ziemię, najwyżej możemy tylko za sobą zatęsknić. To dlatego powiedziałem, że pani wuj przyjechał w odpowiednim momencie: „Rozłąka to taki słodki smutek*’... ale żeby się odkochać... och nie, cóż za bezbarwny i gorzki byłby koniec naszej idylli. Musimy nauczyć się patrzeć w przyszłość z uśmiechem, moja droga radości, a nie z żalem.

- Proszę mi powiedzieć tylko jedno: kiedy wspomniał pan o „ważnych okolicznościach”, czy miał pan na myśli swoje dawne życie?

- No... tak. Ale nie tylko. Nie sądzę, żebym mógł być dobrym mężem, a innego rodzaju związek pomiędzy nami nie jest możliwy. Mówiąc szczerze, to Opatrzność w osobie Aubreya wtargnęła wczoraj w odpowiednim momencie, żeby nas oboje uchronić od kłopotów.

Uniosła wzrok ku jego twarzy.

- Powiedział mi pan wczoraj, że kocha mnie „do granic szaleństwa”. Czy mam teraz rozumieć, że nie mówił pan o realnym uczuciu, takim, które mogłoby trwać dłużej niż jedną złotąjesień?

- Tak, to miałem na myśli - odparł szorstko. - Powiedziałem również, że musimy porozmawiać o tym na chłodno. Tak, moja droga, noc przyniosła otrzeźwienie. A dzień sprowadził pani wuja. Zostawmy już to wszystko i powiedzmy sobie jedynie: „skoro nie ma ratunku, pocałujmy się tylko i rozstańmy”.

Uniosła głowę w niemym przyzwoleniu. Pocałował ją krótko i gwałtownie, a potem niemal odepchnął od siebie.

- Teraz proszę iść, zanim w bardziej nieczny sposób wykorzystam pani niewinność. - Podszedł do drzwi, otworzył je i zawołał na Imbera, żeby polecił Niddowi sprowadzić klacz panny Lanyon. Kiedy odwrócił się, dostrzegła na jego twarzy kpiący uśmiech. Odruchowo spuściła wzrok, a on roześmiał się i powiedział:

- Proszę nie robić tak tragicznych min, moja droga. Zapewniam panią, że już wkrótce będzie pani dziękować Bogu za to, że wyrwał panią ze szponów szatana. W inne już pani chyba nie wpadnie. Proszę więc mnie nie znienawidzić. Należy mi się wdzięczność, że chociaż trochę otworzyłem pani piękne oczy. Tak bardzo są

piękne... i „tyle w nich słodyczy”. Zrobi pani furorę w Londynie. Młode orły powiedzą, że jest pani „diamentem pierwszej wody”... i będą mieli rację, moja droga.

Ogarnęło ją znowu uczucie, jak gdyby w sennym koszmarze przedzierała się przez labirynt. Serce podpowiadało jej, że znajduje się z niego wyjście i gdyby tylko potrafiła je odszukać, odnalazłaby również Damerela, najdroższego przyjaciela. Czas jednak płynął. Za minutę będzie już za późno, ale świadomość upływu czasu nie działała na nią jak ostroga, lecz przeciwnie paraliżowała jej umysł i język, okrywała jej rozpacz całunem bezsilności.

Damerel odezwał się nagle swoim własnym, jak jej się wydawało, głosem:

- Czy Aubrey jedzie razem z panią?

Spojrzała na niego półprzytomnym wzrokiem i jak gdyby chciała sobie przypomnieć dawno zapomniane imię powtórzyła:

- Aubrey...

- Do Londynu.

- Ach, do Londynu. - Dłonią otarła czoło. - Tak, oczywiście... Właściwie to nie wiem. On wyjechał... Wyjechał na polowanie jeszcze przed przyjazdem wuja.

- Rozumiem. A czy wuj go zaprosił?

- Tak. Ale on nie pojedzie... Myślę, że nie pojedzie.

- Wolałaby pani mieć go przy sobie?

Ściągnęła brwi, próbując zebrać myśli. Wyobrażała sobie Aubreya w domu wujostwa, udęrczonego troskliwością cioci, znudzonego jej próbami rozbawienia go, pogardzającego wszystkim tym, co dla niej jest najważniejsze.

- Tak, ale nie na Cavendish Square. To nie dla niego. Dopiero później, jak urządzę się we własnym domu, mówiłam panu, prawda? Muszę wynająć dom... ktoś mi w tym pomoże... i urządzić go dla siebie i Aubreya. Aubrey jest inny. Nie lubi tego, co lubią jego rówieśnicy, chociaż Edward twierdzi, że powinien. Aubrey jest sobą i nikt nie potrafi go zmienić. Nie ma sensu mówić „powinien”, skoro on nie chce.

- Proszę nie zabierać go ze sobą. Niech przyjedzie do mnie. Może sprowadzić tu swoje psy, konie, cokolwiek zechce. Zadbam o to, żeby było mu dobrze i żeby nie stracił kontaktu ze swym

nauczycielem. Jeśli zostanie w Priory, to zaręczam, że nie będzie się pani musiała o niego niepokoić.

- Na pewno nie - powiedziała z uśmiechem, ale potem szybko spoważniała. - Och, nie, jakżebym mogła! Ale...

- To wszystko - przerwał jej szorstko. - Nie będzie pani miała żadnych długów wdzięczności, wie pani o tym. Jego towarzystwo zawsze sprawiało mi przyjemność.

- Ale... Czy pan zostaje tutaj?

- Tak. Zostaję. Proszę iść. Nidd zapewne przyprowadził już pani konia.

Przypomniała sobie, że przecież Damerel odbył dłuższą rozmowę ze swym pełnomocnikiem, i przyszło jej do głowy, że kto wie, czy stan majątku nie okazał się gorszy, niż przypuszczał.

- Dotychczas nie miał pan takiego zamiaru - powiedziała.

- Może interesy nie idą najlepiej?

- Proszę się tym nie kłopotać - odrzekł uśmiechając się kąpiąco.

- To nie ma najmniejszego znaczenia.

Stał ciągle przy otwartych drzwiach, jak gdyby niecierpliwie oczekiwał jej odejścia. W pamięci Venetii odżyła nagle druga linijka sonetu, który przed chwilą zacytował: „O nie, to już było i niczego więcej ode mnie nie oczekuj”. Tych słów nie wygłosił. Nie było potrzeby. Złota jesień zakończyła się wichurą i zimnym deszczem. Kolorowe marzenia pękły jak bańka mydlana. Nie pozostało nic, jak tylko zachować spokój i poprawne maniere. Wzięła rękawiczki oraz szpicrutę i przez hol przeszła w stronę otwartych drzwi wejściowych. Stał obok nich Imber, a dalej zobaczyła Nidda, który trzymał wodze jej klaczy. Chciała pożegnać się z Damerem, przyjacielem i ukochanym, ale ze ściśniętego gardła nie mogła wydobyć ani słowa. Po przekroczeniu progu odwróciła się w jego stronę, ale on nie patrzył na nią, tylko na czarne chmury kłębiące się na niebie od strony zachodniej.

- Do diabła - powiedział. - Pani chyba nie zdąży dojechać do Undershaw, zanim zacznie się ulewa. Nidd, co o tym sądzisz?

- Będzie padać, milordzie. Już trochę kropi.

Damerel spojrzął na Venetię wzrokiem pełnym niepokoju i powiedział półgłosem:

- Musi pani natychmiast jechać, moja droga. Nie mogę odwieźć

pani do domu powozem. To niemożliwe. Gdyby ta kobieta widziała...

- To nie ma znaczenia. - Wyciągnęła do niego rękę. Twarz miała pobladła, ale błysk ciepłego uśmiechu rozjaśnił jej oczy.
- Do widzenia... drogi przyjacielu.

Nie odpowiedział, ucałował tylko jej dłoń i ciągle trzymając ją w swojej dłoni doprowadził Venetię do niecierpliwie potrząsającej głową kłaczy. Pomógł jej wspiąć się na siodło, tak jak robił to wielokrotnie, kiedy przyjeżdżała, by odwiedzić Aubreya, ale tym razem nie uzgadniali już planów na następny dzień. Damerel powiedział tylko:

- Proszę nie tracić czasu i jechać najkrótszą drogą. Mam nadzieję, że nie zmoknie pani. W drogę, moje dziecko.

Cofnął się o krok, a kłacz bez popędzania ruszyła natychmiast, by jak najszybciej znaleźć się w swojej stajni. Damerel uniósł rękę w pożegnalnym geście, ale Venetia nie obejrzała się, więc opuścił ją powoli, a potem odwrócił się energicznie. Jego wzrok spoczął na lokaju.

- Panna Lanyon wyjeżdża do Londynu - powiedział surowym tonem. - Prawdopodobnie od jutra zamieszka u nas na parę tygodni panicz Aubrey. Proszę powiedzieć żonie, żeby przygotowała dla niego pokój.

Damerel poszedł do biblioteki i energicznie zamknął za sobą drzwi. Imber zerknął na Nidda, licząc na to, że wymieni z nim uwagi na temat tego, co widzieli, ale stajenny bez słowa ruszył w stronę stajni. Pozostała mu tylko pani Imber, ale była w złym nastroju i powiedziała tylko, żeby jej zszedł z drogi i nie zawracał głowy. Imber żałował, że nie może znaleźć się teraz w Undershaw, by zobaczyć, jak zostanie tam przyjęty powrót panny Lanyon.

Tylko trzy osoby zobaczyły Venetię zaraz po powrocie, ale ani młody stajenny, ani pokojówka, która czekała na nią, nie zauważyli nic poza jej zmoczoną deszczem twarzą, ociekającym wodą kostiumem do konnej jazdy i kompletnie zniszczonym toczkiem, z którego zwisało złamane piórko. Weszła do domu tylnym wejściem i udała się wprost do swojego pokoju. Zastała tam nianię i pokojówkę, a przede wszystkim straszliwy nieład. Na środku pokoju stały kufry, ubrania gotowe do pakowania leżały na

łóżku, pokrowce, w których latem przechowywano jej futra, piętrzyły się na podłodze, a obok nich jabłka, których zapach odstraszać miał mole.

Gdy tylko Venetia stanęła na progu i nieprzytomnym wzrokiem ogarnęła pokój, niania natychmiast zaczęła zrzędzić. Potem, całkiem nieoczekiwanie, nakrzyczała na pokojówkę Jenny. Powiedziała jej, że zamiast stać tutaj jak ciamajda mogłaby przynieść dzbanek gorącej wody, bo przecież widzi, że panna Venetia przemokła do suchej nitki i na pewno przeżyłaby się śmiertelnie. Posadziła Venetię koło kominka i krzyczała na nią jak przed laty, kiedy ta była jeszcze małą dziewczynką, którą spotkała jakaś przykra przygoda. Mała dziewczynka wiedziała, że nic strasznego nie może się zdarzyć, kiedy niania jest blisko. Teraz Venetia zdawała sobie sprawę, że niania nie potrafi jej pomóc, ale mimo to poczuła pewną ulgę. Niania zdjęła z niej kompletnie przemoczony kostium i owinęła ją ciepłym szlafrokiem, potem usadziła znów przy ogniu, a sama krzątała się wokół niej. Najpierw przygotowała jakiś rozgrzewający napój, potem rozcierała jej zmarznięte stopy i cały czas mówiła i mówiła, nie oczekując odpowiedzi na swoje pytania, tylko obserwując ją kątem oka. Kazała Venetii siedzieć spokojnie, aż przyjdzie pora, żeby przebrać się w wieczorową suknię, bo tyle jest jeszcze do zrobienia, a pan Hendred chciałby wyjechać wcześniej rano. Zapewniła ją wreszcie, że nie musi martwić się o Undershaw, zresztą tyle będzie w Londynie atrakcji: i ciocia taka miła, i tylu nowych ludzi, i Bóg tylko wie, ile tam w sklepach różnych rzeczy! Na początku to wszystko wydaje się dziwne i człowiek tęskni za domem, za znajomymi, ale to przygnębienie szybko mija i wszystko, co nowe wydaje się lepsze.

Venetia próbowała się uśmiechnąć, ale chyba nie bardzo się to udało, bo niania nachyliła się nad nią i głaszcząc jej potargane włosy zawołała:

- Moja dziecino, moja gołąbeczko! Nie płacz, moja śliczna, nie płacz!

Niania również płakała, ale już po chwili wyszła licząc na to, że Venetia prześpi się chociaż przez chwilę, gdyż była z pewnością bardzo zmęczona.

Kiedy niania wróciła, żeby pomóc jej przebrać się do kolacji,

jako że Jenny została na ten wieczór odsunięta od swych codziennych obowiązków, pomyślała, że chyba istotnie Venetia zdrzemnęła się, bo rumieńce wróciły na jej policzki i zachowywała się już tak jak zawsze, nawet była w stanie podjąć decyzję, co zabiera ze sobą do Londynu, a co należy skropić olejkiem lawendowym, z powrotem zapakować i przechować w Undershaw do jej powrotu. Sporządziła też listę osób, z którymi musi jeszcze porozmawiać przed wyjazdem, i listę spraw do załatwienia. Niania była zadowolona. Całe szczęście, że czymś się zajęła. Im mniej rozmyślania, tym szybsza poprawa.

Zapinała właśnie ostatnie guziczki sukni Venetii, kiedy rozległo się pukanie do drzwi, a potem głos Aubreya. Venetia kazała mu wejść mimo protestów niani, która ostrym tonem rzuciła przez ramię:

- Proszę teraz nie denerwować panny Venetii. Jest zmęczona i ma dostatecznie dużo spraw na głowie.

- Chcę z tobą porozmawiać, zanim zejdziesz na dół - powiedział Aubrey nie zwracając uwagi na protesty niani.

Jedno spojrzenie na Aubreya wystarczyło, by nabrała pewności, że rozmowa będzie trudna., Venetia mocno zaniepokojona powiedziała jednak w miarę pogodnie:

- Proszę cię bardzo, mój drogi! Jak ci się udało polowanie? Czy złapał cię deszcz? Mnie też. Dziękuję, nianiu. Nikt nie potrafi tak dobrze mnie uczesać jak ty. Och, braciszku! Taki mam zamęt w głowie. Jestem zupełnie oszołomiona, nie mogę uwierzyć, że to wszystko jest prawdą i że naprawdę wyjeżdżam do Londynu.

Usiadła przy toalecie tak, że nie mogła go widzieć i zaczęła wyjmować ze szkatułki jakieś drobiazgi, którymi chciała przybrać swoją suknię. Gdy tylko niania zamknęła za sobą drzwi, Aubrey zapytał:

- A więc zamierzasz tam jechać?

- Tak! Jak możesz w ogóle pytać? Nic mi nie może bardziej odpowiadać. I tobie również.

- Mnie nie odpowiada pobyt u cici Hendred, jeśli to masz na myśli.

- Niezupełnie to, chociaż... Czy widziałeś się już z wujem?

- O, tak. Rozmawiałem z nim. Powiedziałem, że nie pojedę do Londynu, chyba że ty będziesz sobie tego życzyła.

- Aubrey, mam nadzieję, że zachowałeś się poprawnie?

- Tak, tak - odparł zniecierpliwionym tonem. - Mówiłem wyłącznie to, co należy. Powiedziałem, że Appersett wyjechał, więc mam zaległości, które muszę nadrabiać. Zrozumiał, a w każdym razie nie oburzył się. Wydaje mi się, że ciocia byłaby zadowolona, gdybym nie przyjechał. Ale to jest bez znaczenia. Potem wuj wspomniał, że poinformowałaś go o swych planach prowadzenia samodzielnego domu. Życzył sobie, żebym mu obiecał, że nie będę cię zachęcał do tego, bo i tak to się nie uda.

- Mój drogi, mam nadzieję, że nie złożyłeś żadnych obietnic. Byłoby to bezsensowne. To właśnie ze względu na moje plany cieszę się z tego wyjazdu. Biorę tu pod uwagę dwie sprawy: nie jestem w stanie znieść obecności pani Scorrier w Undershaw, a poza tym jak mogę znaleźć odpowiedni dla nas dom, jeśli nie wyjadę do miasta? Oczywiście nie będę cię odrywać od pana Appersetta, ale potem, gdy zaczniesz studia w Cambridge, będziesz miał wakacje i...

- Och, w Londynie też można przecież znaleźć nauczyciela albo mogę sam się uczyć - przerwał jej. - Jednego tylko nie rozumiem, Venetio... Czy Jasper wie o wszystkim?

- Tak, pojechałam do Priory, żeby go o tym poinformować... Pomyślałam, że może nie zechcesz jechać do Londynu, i chciałam się upewnić...

- Co on na to? - zapytał Aubrey.

- Chyba nie musisz pytać. Natychmiast powiedział, że ucieszy się, jeśli zamieszkaż u niego na tak długo, jak tylko zechcesz. Mam ci przekazać, że możesz zabrać ze sobą konie i psy... Przyszło mi na myśl, że w takim przypadku i Fingle tam się przeniesie, tylko będziesz musiał dać mu do zrozumienia, że to Nidd jest głównym stajennym w Priory. Wiesz dobrze, jaki on jest.

- Och, na litość boską - przerwał jej jeszcze raz. - Sam się tym wszystkim zajmę. Czy Jasper też uważa, że powinnaś wyjechać? Ja sądziłem... Venetio, czy ty zamierzasz wyjść za niego?

- Wielkie nieba, nie! Och, pewno masz na myśli tę niemądrą rozmowę, którą kiedyś odbyliśmy. Zapomnij o tym. Ja chyba nigdy nie wyjdę za męż. W którymś momencie zastanawiałam się, czy nie poślubić Edwarda, potem czy Damerel nie byłby bardziej

odpowiedni, a teraz... teraz nie mogę myśleć o niczym innym, jak tylko o wyjeździe do Londynu. Widzisz więc, że mój przypadek jest beznadziejny.

- Wydawało mi się, że go kochasz... że oboje jesteście zakochani.
- To był tylko flirt, głuptasie!

Patrzył na nią przez chwilę, a potem powiedział:

- Nie wierzę ci. Nie jestem zbyt spostrzegawczy, ale potrafię poznać, kiedy kłamiesz.

- Ależ, Aubrey, naprawdę...

- Och, daj spokój! Jeśli nie chcesz mi nic powiedzieć, to nie mów, ale nie rób ze mnie idioty! Nie mam zamiaru wtrącać się do twoich spraw, nie znoszę tego.

- Nie złość się na mnie, Aubrey. Proszę cię... - powiedziała cicho.

Podszedł do drzwi, ale już z ręką na klamce przystanął na moment i obejrzał się.

- Nie dokuczam ci. Nie chcę tego robić. Przypuszczam, że wiesz, czego pragniesz, miałem tylko nadzieję, że uzgodniliście to między sobą. Bardzo lubię Jaspiera... Ach, zresztą... - Otworzył drzwi i wyszedł.

Pomyślała, że zapewne szybko przestanie go to obchodzić.

16

W trzy dni później, po niespokojnej nocy, Venetię obudził donośny głos, monotonicznie nawołujący mieszkańców okolic Cavendish Square do kupowania doskonałego piasku do czyszczenia naczyń kuchennych. Pani Hendred wybrała dla swojej bratanicy najlepszą sypialnię, której okna wychodziły na pełen zieleni skwer, i zapewniła ją, że jest w niej znacznie ciszej niż w pokojach od strony ulicy. Na pewno było tu spokojniej niż w zajezdzie w Newark, gdzie spędziła poprzednią noc, ale dla osoby przywykłej do wiejskiej ciszy miejsce to bardziej przypominało piekło niż zaciszną rezydencję. Odnosiła wrażenie, że w Londynie ludzie w ogóle nie kładą się spać. Nawet jeśli korzystając z chwilowej ciszy udało jej się zdrzemnąć, to zaraz wyrwał ją ze snu głos ulicznego strażnika ogłaszającego kolejne godziny i informującego o pogodzie. Podejrzewała, że londyńczycy mają mniej wrażliwy słuch, i liczyła na to, że i ona wkrótce przywyknie do nieustannego jazgotu. Jako dobrze wychowana osoba zapewniła ciocię, że wspaniale spędziła noc i że czuje się znakomicie wypoczęta po męczącej podróży.

Przeczył temu wygląd jej oczu. W ciągu ostatnich trzech nocy spała bardzo niewiele, a że nie była przyzwyczajona do dłuższych podróży, po przebyciu blisko dwustu mil czuła się kompletnie rozbita i wyczerpana. Nawet kiedy położyła się do łóżka, ciągle miała wrażenie, że nadal przemierza w kołyszącym się powozie nie kończące się, wyboiste pocztowe drogi.

Wyjazd, na który tak długo czekała, zapisał się w jej pamięci jak koszmar. Od samego początku towarzyszył mu pośpiech i zamieszanie: ostatnie rozmowy z Powickiem, pośpieszne pakowanie

rzeczy, przekazywanie kluczy, rachunków, zaleceń, pisanie listów, między innymi do lady Denny. Najgorsze ze wszystkiego okazały się pożegnania. Niania, pani Gurnard i Ribble płakali, musiała więc ich pocieszać. Gdy wreszcie, w obecności wuja stojącego z zegarkiem w ręku, nadszedł moment rozłąki z Aubreyem, Venetia była tak wzruszona, że nie odważyła się nic powiedzieć, tylko uściskała go gorąco. Nie widziała nawet jego twarzy, gdyż łzy wypełniły jej oczy.

Na refleksję nad swymi osobistymi sprawami nie miała czasu aż do momentu, kiedy opuścili York. Spędzili tam godzinę u pana Mytchetta. Venetia udzieliła odpowiedzi na parę pytań, podpisała parę dokumentów i wreszcie znów mogli wsiąść do powozu. Pan Hendred, obawiając się nawrotu swej neuralgii, okręcił głowę szalem, wcisnął się w róg powozu i zasnął, a jego bratanica mogła się wreszcie oddać rozmyślaniom. Myśli Venetii nie były radosne, ale za to tak absorbujące, że zamiast podziwiać krajobraz i mijane miejscowości, siedziała ze wzrokiem utkwionym w plecach forysia i tylko przelotnym zainteresowaniem obdarzała ważniejsze miasteczka, przez które przejeżdżali. Pierwszy etap podróży był z konieczności krótki, do pokonania pozostało jeszcze sto dwadzieścia mil. Venetia przychyliła się do propozycji wuja, by podróż odbyć tylko z jednym noclegiem w zajęździe, ale kiedy powóz zatrzymał się wreszcie na Cavendish Square, była tak zmęczona, że na serdeczne powitanie cioci odpowiedziała tylko zdawkowo, a w czasie eleganckiej kolacji, przygotowanej specjalnie dla pokrzepienia zmęczonych podróżnych, przełknęła zaledwie parę kęsów. Troskliwość pani Hendred, która serdecznie zajęła się nie widzianą od siedmiu lat bratanicą, była wprost niesłychana. Całowała i ścisnęła Venetię, nieustannie się nią zajmowała, sama zaprowadziła ją do sypialni i nie wyszła, dopóki własnymi rękami nie otuliła jej w łóżku i ucałowała na dobranoc szepcząc jej do ucha obietnice niezliczonych przyjemności i radości.

Pani Hendred była ładną kobietą o wyjątkowo dobrym charakterze, ale również wyjątkowym braku zdrowego rozsądku. Najważniejszą troską jej życia stało się nadażanie za aktualną modą i wprowadzanie w elegancki świat jednej po drugiej swoich pięciu córek, by dobrze wydać je za mąż. Właśnie tego roku udało jej się

znaleźć odpowiedniego małżonka dla Luisy. Miała też nadzieję, że najbliższej wiosny doprowadzi do równie dobrego mariażu drugiej córki Teresy, ładnej i poważnej dziewczyny, ale pod warunkiem, że dentysta zdoła wyleczyć jej trzy przednie zęby i nie trzeba będzie zastąpić ich sztucznymi, wkręcanyymi w pieńki pozostałe po prawdziwych. Drugim warunkiem pomyślnego zrealizowania tego planu było pozbycie się konkurentki, a więc szybkie znalezienie męża dla pięknej kuzynki. Pani Hendred trzeźwo oceniała sytuację: Venetia wprawdzie liczyła sobie dwadzieścia pięć lat, ale zachwycała urodą tak, że ludzie na ulicy odwracali głowy, by jej się lepiej przyjrzeć, i miała przy tym więcej uroku niż wszystkie córki Hendredów razem wzięte. Istniała co prawda pewna trudność związana z jej małżeństwem, ale z właściwym sobie optymizmem lady Hendred nie traciła nadziei, że uroda, wdzięk i nie najgorszy posąg umożliwią znalezienie dla niej odpowiedniego męża. Z żalem myślała o tym, że Venetia nie przyjęła oświadczyn Edwarda Yardleya, wyjątkowo odpowiedniego dla niej kandydata na męża. Pan Yardley był zacnym człowiekiem i cieszył się zaufaniem jej ojca. Sir Francis przed laty na wysuniętą przez siostrę propozycję zajęcia się Venetią odpisał, że jej małżeństwo jest w zasadzie ustalone. Postanowiła teraz przypomnieć o tym Venetii i doznała ogromnego wstrząsu, kiedy dowiedziała się, że panna Lanyon daleka jest od myśli o małżeństwie, a do Londynu przyjechała z mocnym postanowieniem wynajęcia domu w jakiejś spokojnej dzielnicy i urządzenia się w nim razem z Aubreyem. Pani Hendred nie byłaby bardziej zaskoczona, gdyby Venetia oznajmiła jej, że zamierza wstąpić do klasztoru. Błagała ją gorąco, by zarzuciła ten projekt.

- Co powie na to twój wuj? On się na to nigdy nie zgodzi!
- zawołała.

Venetia, której reakcja cici wydała się co najmniej komiczna, nie mogła powstrzymać się od śmiechu, ale powiedziała spokojnie:

- Za nic na świecie nie chciałabym drogiej cici irytować, ale jak ciocia wie, jestem osobą dorosłą i obawiam się, że nawet protesty wuja nie zdołają mnie od tego odwieść.

Wszystko, co pani Hendred uzyskała, to niejasna obietnica Venetii, że o domu i przyzwoitkach przestanie myśleć do czasu, aż

przywyknie do miejskiego trybu życia i obyczajów. Venetia musiała przyznać, że byłoby nietaktem opuścić gościnny dom wujostwa zaraz po przybyciu. Postąpiłaby też nietaktownie zdradzając przed ciocią, jak bardzo irytujące są dla niej nieustanne próby uprzyjemnienia jej pobytu w mieście. Pani Hendred, której życie wiejskie wydawało się koszmarem, zdecydowana była zrekompensować Venetii lata spędzone w Yorkshire i ze szczerym zapałem starała się zapewnić jej mnogość rozrywek. Venetia nie mogła uczynić najmniejszej nawet wzmianki o tym, że najbardziej marzy o chwili samotności i spokoju; nie pozwoliłaby jej na to wdzięczność i dobre manieri. Wiedziała, że musi się uśmiechać i sprawiać wrażenie szczęśliwej.

Wkrótce Venetia odkryła, że swoboda i wesołość pani Hendred nie należą do najważniejszych cech jej charakteru. Wiedząc, że jest ona matką liczego potomstwa, przypuszczała, że zajęta będzie nieustannie matczynymi obowiązkami, toteż ze zdziwieniem przyjęła fakt, że tak uczuciowa kobieta powierza dzieci wyłącznie opiece niań i guwernantek. Potem kiedy ją lepiej poznała, zrozumiała, że chociaż pani Hendred ma dobre serce, to jednak jest na swój sposób równie egoistyczna jak egoistyczny był jej brat. Obdarzając serdecznością liczną rodzinę i przyjaciół, najgłębsze uczucia zarezerwowała dla siebie. Szczebiotanie dzieci męczyło ją, więc pół godziny dziennie spędzone z nimi uważała za absolutnie wystarczające. Nawet Theresa, dorastająca panienka, pojawiała się w salonie ze swoją młodszą siostrą dopiero po obiedzie, i to wtedy, gdy domownicy byli sami. Pani Hendred uważała, że nic tak nie zakłóca domowego porządku, jak obecność dzieci wśród gości. Jeśli chodzi o jej trzech synów, to najstarszy studiował w Oksfordzie, następny był w Eton, a najmłodszy nie opuścił jeszcze pokoju dzieciennego.

Pan Hendred, pomimo słabego zdrowia, rzadko pojawiał się w domu przy Cavendish Square na dłużej niż kilka dni. Większość czasu spędzał w podróży po kraju w prywatnych i publicznych interesach. Venetia nie zauważyła, by w większym stopniu zajmował się wychowywaniem potomstwa albo prowadzeniem domu, ale przez wszystkich darzony był szacunkiem. Jego nieliczne polecenia wykonywano natychmiast, a opinie przyjmowano bez sprzeciwów.

Po przywiezieniu Venetii do domu powiedział jej, że może dysponować dowolną sumą pieniędzy, jakiej tylko będzie sobie życzyć, i oddał ją pod opiekę żony. Zainteresowanie jej osobą wyrażał pytając co pewien czas, czy bawi się dobrze.

Venetia w pewnym sensie istotnie bawiła się dobrze. Byłoby dziwne, gdyby pierwsza wizyta w Londynie, gdzie wszystko było dla niej nowe i wspaniałe, nie wzbudziła jej zainteresowania. Ciocia ubolewała co prawda, że nie może zabrać jej do opery i dobrego teatru i powtarzała ciągle: „Ach, gdybyś była tutaj w sezonie...”, ale wychowaną na prowincji Venetię i tak zdumiewała mnogość atrakcji, jakich dostarczał każdy dzień dodatkowo urozmaicony licznymi wizytami. Opinię pani Hendred o wiejskim życiu podzielało wiele osób z wyższych sfer, toteż na początku października Londyn ożywił się, a do rezydencji przy Cavendish Square codziennie przysyłano liczne karty o złotych obwódkach z zaproszeniami na wizyty i przyjęcia. Nawet marne przedstawienia stanowiły atrakcję dla kogoś, kto nigdy wcześniej nie był w teatrze, przeżyciem okazały się przejażdżki po Hyde Parku w towarzystwie pani Hendred, która nie mogła się powstrzymać od pokazywania Venetii co znaczących postaci, a spacer po Bond Street, najbardziej eleganckiej ulicy w mieście, gdzie zobaczyć można było i najwspanialsze sklepy, i najmodniej ubranych przechodniów, budził zarówno zainteresowanie, jak i rozbawienie. Venetia nie lekceważyła nakazów mody, a przy tym natura obdarzyła ją dobrym gustem: stroje, które przywiozła ze sobą z Yorkshire, wbrew oczekiwaniom, wzbudziły nawet w paru przypadkach podziw pani Hendred. Teraz z zadowoleniem przyjęła jej propozycję uzupełnienia garderoby o parę nowych najmodniejszych szczegółów. Poza tym Venetię bawiło towarzystwo cioci. Przywykła od dzieciństwa do obcowania z egoistami, toteż nie raziły jej nieustające wysiłki cioci, by nic nie zakłócało jej spokoju, a nawet postępowanie to wydawało jej się niekiedy komiczne. Pod pozornym zadowoleniem Venetii krył się jednak głęboki smutek, nie ustępujący nawet na chwilę, czasami przeradzający się w głuchy ból. Nie potrafiła wygnać z pamięci obrazu Damerela. Patrząc na katedrę Świętego Pawła bezwiednie dzieliła się z nim w myślach swoimi uwagami, w wyobraźni widziała, jak śmieje się, kiedy opowiada mu o dziw-

nych zwyczajach pani Hendred, która przy każdym posiłku każe podawać sobie talerz z sucharkami twierdząc, że zachowuje ścisłą dietę, ale równocześnie nie odmawia sobie takich dań, jak paszтет z truflami czy homary. Czasami myśl o tym, że nie będzie dzielić z nim tego rodzaju drobnych radości, że może nie zobaczy go już nigdy, wtrącała ją w tak czarną rozpacz, że zaczynała rozumieć, dlaczego tacy ludzie jak nieszczęsny sir Samuel Romilly popełniają samobójstwo. Zazdrościła im odwagi potrzebnej do tego, by wyrwać się z beznadziejnej sytuacji. Żyła w ciągłym oczekiwaniu listów od Aubreya, ale i one nie przynosiły jej większej ulgi, gdyż zawierały głównie wiadomości z Undershaw. O Damerelu wspominał tylko mimochodem, informując ją o jakimś wspólnym polowaniu czy też o tym, że trzy razy kolejno wygrał z nim w szachy.

Venetia nie należała do osób demonstracyjnie okazujących uczucia: nie zalewała się łzami, nie popadała w nieoczekiwane zamyślenie. Zdradzał ją tylko niekiedy głęboki smutek w oczach, co zresztą wywoływało zaniepokojenie ciotki.

Jednak ogólnie biorąc stosunki pomiędzy Venetią a panią Hendred ułożyły się dobrze. Ciocia cieszyła się z obecności bratanicy. Znalazła w niej wrażliwą partnerkę do rozmów, jej manieri były nienaganne, ubierała się z godnym podziwu smakiem i, co dziwne, wcale nie krępowało jej towarzystwo nieznanym, potrafiła równie łatwo rozmawiać z ludźmi mądrymi, jak i całkiem prostymi.

Jedną tylko wadę widziała pani Hendred w jej zachowaniu: zbyt, nieuleczalną niezależność. Nikt nie był w stanie przekonać Venetii, że układając sobie życie kierować się powinna radami starszych, a nawet, że samotne spacerowanie po Londynie są dla niej niewskazane. W prawie każdej sprawie Venetia gotowa była ulec, nawet przyznać rację, tylko nie wtedy, kiedy pociągało to za sobą ograniczenie jej wolności. Sama chodziła po zakupy, sama spacerowała w pobliskim parku i kiedy zorientowała się, że ciocia niechętnie zwiedza zabytkowe obiekty, a w muzeach podobają jej się tylko obrazy malowane przez modnych artystów, nabrała zwyczaju znikania na całe popołudnia. Gdy tylko ciocia zapadała w drzemkę, udawała się dorożką w takie miejsca, jak opactwo Westminster, Tower, a nawet British Museum.

- I właśnie to może popsuć wszystkie nasze plany - powiedziała

dramatycznym głosem pani Hendred. - Takie zachowanie wystarczy, żeby zaczęto cię uważać za sawantkę, a trudno sobie coś gorszego wyobrazić.

Rozmowa toczyła się w czasie drugiego śniadania i Venetia, która z zaniepokojeniem spostrzegła zupełnie niezwykle grymasy na twarzy cioci po każdym łyku wina, zapytała:

- Czy coś jest nie w porządku z tym winem, które ciocia pije?

Mówiąc to zauważyła, że wyrażająca kamienny spokój twarz stojącego obok lokaja drgnęła lekko; Na wyjaśnienie nie trzeba było długo czekać.

- To nie jest wino, moja droga. To ocet - powiedziała z ciężkim westchnieniem pani Hendred.

- Ocet? - powtórzyła Venetia z niedowierzaniem.

- Tak - potwierdziła ciocia, patrząc ze smutkiem na kieliszek. - Krawcowa musiała poszerzyć moją jasnozieloną satynową suknię... tę z francuskim stanikiem, podwójnie marszczonym trenem i koronkowym kołnierzykiem... o całe dwa cale! Muszę schudnąć, a na to nie ma nic lepszego niż ocet. Sucharki i ocet. Byron stosował taką dietę, wiesz, bo miał tendencję do tycia, i w ten sposób zachował zgrabną sylwetkę.

- Ależ ciociu, przecież on nie mógłby żyć na takiej diecie! Umarłby szybko.

- Tak mogłoby się wydawać - zgodziła się pani Hendred - ale ja wiem o tym od Rogersa. Sam mi mówił, że kiedy pierwszy raz jadł z nim obiad, to lord Byron nawet nie tknął żadnej z potraw, tylko jadł sucharki... a może były to ziemniaki? Nie jestem pewna, ale wiem, że stosował też ocet.

- Nie do picia! - zaprotestowała Venetia.

- Przecież nie mógł jeść octu, a więc musiał go pić - dowodziła rezolutnie pani Hendred.

- Może tylko przyprawiał nim to, co jadł? Rozchorowałby się ciężko, gdyby pił ocet szklankami.

- A więc uważasz, że ja też tak powinnam postąpić? - zapytała pani Hendred z powątpiewaniem, zerkając przy tym łakomie na placek migdałowy leżący na talerzyku przed nią.

- Nawet i z przyprawiania można zrezygnować - odpowiedziała śmiejąc się Venetia. - Niech ciocia pozwoli Wortingowi zabrać tę truciznę.

- Muszę przyznać, że ten ocet całkiem zepsuł mi smak placka. Może wystarczy, że będę jadła sucharki? Worting, zabierz placek i ocet. Możesz już odejść: Wystarczą mi kruche ciasteczka... Kochanie, poczęstuj się, są wyjątkowo dobre, a ty prawie nic nie zjadłaś.

Venetia wzięła ciasteczko, żeby sprawić cioci przyjemność, i spokojnie słuchała jej wymówek oraz argumentów dowodzących, jak bardzo samotne wyprawy do miasta niestosowne są dla młodych dam z towarzystwa. Nie mogła jej powiedzieć, że zwiedzanie traktuje jako sposób na zajęcie czymś umysłu, tak jak nie mogła przyznać się, że w czasie tych wędrowek nigdy nie jest sama. Zawsze idzie koło niej niewidzialny duch, bezgłośny, ale na tyle realny, że niekiedy wydaje się jej, że wystarczy tylko wyciągnąć rękę, by go dotknąć.

- ... a szczególnie ważne, moja kochana, jest to, byś się zachowywała wyjątkowo poprawnie - dowodziła pani Hendred.

- Dlaczego? - zapytała Venetia.

- Każda niezamężna dama powinna tak się zachowywać, a w twojej sytuacji ostrożności nigdy za wiele. Moja droga, gdybyś tak znała życie jak ja, czego oczywiście nie można od ciebie oczekiwać, to wiedziałabyś, jak złośliwi potrafią być ludzie, zwłaszcza kiedy dziewczyna jest piękna, a nawet, powiedziałabym uderzająco piękna.

- Och, nie sądzę, żebym dawała powody do złośliwych uwag dlatego tylko, że sama spaceruję po mieście - odparła Venetia.

- Zresztą nie przejmuję się tym zbytnio.

- Venetio! Nie mów takich rzeczy! Tylko pomyśl, jakie byłoby to straszne, gdyby mówiono o tobie, że jesteś lekkomyślna! Musisz ciągle pamiętać, że ludzie tylko czekają, żeby ci coś wytknąć i rzucić się na ciebie. I trudno się dziwić! Spotkałoby to, oczywiście, każdą dziewczynę w twojej sytuacji.

- A cóż takiego niezwykłego jest w mojej sytuacji, że ludzie byliby gotowi rzucić się na mnie? - zapytała Venetia.

- Och, moja droga, nie chciałabym, żebyś... Całkiem zbiłaś mnie z tropu... Mieszkałaś tylko z Aubreyem, to znaczy bez damy do towarzystwa i... wielkie nieba! Venetio, nawet ty musisz zdawać sobie sprawę, że nie wszystko jest w porządku.

;

- Nie sędzę, ciociu, ale przestańmy się na ten temat spierać. Rozumiem, że pewne osoby są tego samego zdania co ciocia, ale skąd tutaj, w Londynie, cokolwiek wiedzą o mojej sytuacji? Jestem głęboko przekonana, że ty, ciociu, o tym nie opowiadasz.

- Nie, nie! Oczywiście. Nigdy! Ale... o takich rzeczach ludzie się dowiadują. Naprawdę, nie wiem jak, ale tak się dzieje.

Venetii wydawało się całkiem niemożliwe, by o tym, co dzieje się w Undershaw, mogli dowiedzieć się mieszkańcy Londynu, tym bardziej więc nie wywarły na niej wrażenia ponure ostrzeżenia cioci. Na szczęście skierowanie jej myśli na inne tory nie przedstawiało większych trudności. Venetia skorzystała z pierwszej okazji, by zmienić temat rozmowy, mówiąc, że słyszała dzisiejszego ranka w bibliotece, jak ktoś, powołując się na osoby dobrze poinformowane, powiedział, że lekarze z najwyższym niepokojem wypowiadają się o stanie zdrowia królowej. Obawiają się, że nie przeżyje najbliższego tygodnia. Zmorą pani Hendred była myśl, że Jej Wysokość, o której wiedziano powszechnie, że jest poważnie chora, przeżyje zimę i pokrzyżuje plany związane z Theresą, umierając w środku następnego sezonu. Informacja, którą przyniosła Venetia, miała poważne znaczenie. Zaczęły się rozważania, jak długo dwór, a więc i eleganckie towarzystwo, trwać będzie w żałobie. Pani Hendred w tej sytuacji zupełnie zapomniała wymóc na bratanicy obietnicę poprawy.

Królowa zmarła w Kew, przed świtem, siedemnastego listopada. Wiadomość tę przywiózł pan Hendred i wpłynęła ona korzystnie na humor żony, będącej akurat w fatalnym nastroju, bo krawcowa, zamiast dostarczyć jej nową suknię, przysłała list, w którym gorąco przeproszała za niedotrzymanie terminu.

Jedynym zastrzeżeniem do otrzymanej wiadomości było to, że królowa powinna umrzeć o jeden dzień później, osiemnastego listopada, gdyż tego właśnie dnia miał się odbyć bal na cześć Venetii. Wszystkie przygotowania, takie jak ustalenie z francuskim kucharzem karty dań, omówienie z Wortingiem listy napojów, wybranie odpowiednich strojów i wysłanie zaproszeń, poszły na marne. Znalazł się jednak dobry sposób, by nie zmarnowały się wykonane już kremy, galaretki i faszzerowane ptactwo. Pani Hendred wpadła na pomysł, by dla grupki osób spośród gości zaproszonych

na bal urządzić kolację, całkiem kameralną oczywiście, i spędzić z nimi spokojny wieczór na rozmowach bądź przy paru partiach wista. Naturalnie bez muzyki.

- Nie więcej niż pół tuzina osób, żeby nie wyglądało to na przyjęcie - powiedziała Venetii. - Coś takiego byłoby niedopuszczalne. Moja droga, dobrze, że sobie przypomniałam: czarne rękawiczki! Założę się, że nie masz takich. No i czarne wstążki. Ubrać się musisz w suknię zapiętą pod szyję, żadnych dekoltów... Nie zaproszę młodych ludzi. Tylko paru moich najbliższych przyjaciół. Co powiesz na to, że przyjdzie sir Matthew Hallow? Na pewno ucieszy go zaproszenie, a ty lubisz go, prawda, kochanie?

- O tak, bardzo - odpowiedziała bez entuzjazmu Venetia.

- To jest znakomita osobistość. Jestem przekonana, że sprawi ci przyjemność jego towarzystwo, a jemu twoje. Bardzo mu się podobasz. Podziwia cię. Od razu to zauważyłam.

- Jeśli tylko nie będzie prawił mi bez przerwy przesadnych komplementów, może mnie podziwiać, ile tylko zechce - odparła z rezygnacją Venetia.

Pani Hendred westchnęła i nic nie powiedziała. Sir Matthew Hallow, chociaż niezupełnie idealny kandydat na męża dla Venetii, miał wiele zalet, przyjęłaby więc z zadowoleniem wiadomość, że przypadli sobie do gustu. Był, niestety, wdowcem, trochę dla niej za starym, ale Venetia wyraźnie mu się podobała. Co prawda mówili, że pochował swoje serce w grobie żony, ale niewątpliwie poruszyła go uroda Venetii i odpowiadało mu jej towarzystwo.

Nie był to jedyny kandydat do ręki Venetii, toteż pani Hendred nie zaniepokoiła się zbytnio jej brakiem entuzjazmu. Na obiad postanowiła zaprosić również pana Armyna. Wiedział on wszystko o zabytkach Rzymu i mógł okazać się odpowiednim towarzystwem dla kobiety, która spędziła trzy godziny w British Museum, a z biblioteki domowej wybrała sobie książki o średniowieczu. Venetia niewątpliwie darzyła sympatią pana Armyna: powiedziała nawet, że jest on człowiekiem o dużej wiedzy. Z sympatią odnosiła się jeszcze do dwóch kawalerów: co do pierwszego zgodziła się, że ma dobre maniery, a o drugim mówiła, że zachowuje się wyjątkowo elegancko.

Pani Hendred łatwo wpadała w rozpacz i zapewne wybuchnęłaby

DECYZJA

płaczem, gdyby wiedziała, że Venetia postanowiła zrezygnować ze zwiedzania miasta i całe popołudnia spędzała na poszukiwaniu stosownego domu do wynajęcia.

Zadanie to było wyczerpujące i przygnębiające, ale po miesięcznym pobycie w domu ciotki coraz bardziej pragnęła stać się samodzielna. Doszła do wniosku, że prowadząc własny dom cały czas będzie czymś zajęta, przestanie czuć się nieszczęśliwa, a wreszcie zapomni o miłości i przyzwyczai się do samotności, tak jak Aubrey przywykł do swego kalectwa.

Któregoś popołudnia po powrocie z wyprawy do miasta lokaj poinformował ją, że pewien dżentelmen złożył jej wizytę i teraz czeka na nią w salonie w towarzystwie pani Hendred. Stała jak wryta. Serce jej zamarło.

- Przedstawił się jako pan Yardley, panienko - powiedział lokaj.

17

Edwarda do Londynu sprowadziły dwie ważne sprawy. Przede wszystkim chciał zasięgnąć porady lekarza poleconego mu przez Huntspilla. Nie znaczy to, że istniał jakiś powód do niepokoju, ciągle jednak dokuczał mu kaszel, co jego matkę doprowadzało do rozstroju nerwowego. Rozdrażniony Huntspill powiedział jej wreszcie, że jeśli podejrzewa u syna jakąś poważną chorobę, której on nie wykrył, to powinna wysłać go na konsultacje do lekarza w Yorku, a najlepiej do londyńskiego specjalisty.

- Przypuszczam, droga Venetio, że nie muszę ci tłumaczyć, dlaczego wybrałem Londyn, no i jaki jest drugi cel mojej tu wizyty - powiedział z figlarnym uśmiechem.

- Bardzo mi przykro, że jeszcze nie całkiem, wyzdrowiałeś - odparła Venetia. - Czy pani Yardley również przybyła do Londynu?

- Nie, przyjechałem bez niej. Mama miała ogromną ochotę towarzyszyć mi, ale doszła do wniosku, że podróż byłaby dla niej zbyt męcząca, pozostała więc w Netherfold.

Edward zatrzymał się u Reddishy, w hotelu poleconym mu jako elegancki, chociaż zaskoczyło go, że okazał się znacznie większy, niż oczekiwał. Obawiał się, że rachunek zaskoczy go jeszcze bardziej.

- Na pewno jednak nie doprowadzi mnie do ruiny. Zresztą trudno, jeśli człowiek urządza sobie wakacje, to ma prawo zachować się nieco ekstrawagancko - stwierdził.

Po wyjściu pani Hendred, która szybko znalazła jakiś pretekst, by zostawić ich samych, Edward powiedział Venetii, że bardzo się cieszy znajdując ją w tak komfortowych warunkach. Nigdy nie

wątpił, że jej ciotka jest osobą godną szacunku, ale uspokoił się dopiero wtedy, gdy osobiście zobaczył jej rezydencję. Teraz już wie, że Venetia obraca się w eleganckim towarzystwie i nie brakuje jej rozrywek.

- Jestem przekonany, że twoja ciotka ma liczne grono znajomych i często podejmuje gości. Spotykasz zapewne codziennie nowych ludzi - powiedział obserwując przy tym uważnie jej twarz.

Teraz już bez trudu można było zorientować się, jaki jest prawdziwy cel jego przyjazdu do Londynu. Edward nie uważał Damerela za groźnego rywala, ale nieznanymi pięknie i modni eleganci, których miał na myśli żartobliwie mówiąc o nowych znajomościach, łatwo mogli olśnić niewinną dziewczynę z prowincji.

Detektywistyczne poczynania przerwała mu Venetia pytając, czy widział się z Aubreym. Pan Yardley spochmurniał i powiedział:

- Tak, widziałem się z nim. Wiedziałem, że będziesz ciekawa wiadomości od niego, więc pojechałem do Priory, chociaż niechętnie, bo, jak wiesz, lord Damerel nie jest człowiekiem, z którym życzyłbym sobie bliższej znajomości. Wydaje mi się to trochę żenujące, Venetio. Bardzo byłem wzburzony, kiedy się o tym dowiedziałem. Zastanawiam się, dlaczego twój wuj nie zaprosił również Aubreya.

- Ależ zaprosił go! To Aubrey nie chciał ze mną jechać. Po prostu nie odpowiadało mu to. Powiedz, jak on się czuje, jak znalazłeś wszystko w Priory? Z jego listów niczego nie mogę się dowiedzieć.

- Och, czuje się doskonale. Nie muszę ci chyba mówić, że zastałem go nad książką, przy biurku zawalonym papierami. Zażartowałem, że schował się za barykadą. Zapewniam cię, jeśli ma on zdjąć chociaż jedną książkę z półki, to zdejmuje cały tuzin. Pozwoliłem sobie zauważyć, że zastanawiam się, dlaczego ktoś, kto tak bardzo ceni książki, kładzie je wszędzie, nawet na podłodze. Czy on nigdy nie odkłada na miejsce tego, co wziął do ręki?

- Nie, nigdy. Czy poinformowałeś go, że wybierasz się do Londynu?

- Oczywiście. To był przecież cel mojej wizyty. Zaproponowa-

łem, że przekażę ci list czy jakieś wiadomości, ale Aubrey był akurat w kapryśnym nastroju: wiem, on zawsze jest taki, kiedy ktoś zwróci mu uwagę. Chyba go rozdrażniłem przypominając mu, że te leżące na podłodze książki nie są jego własnością. W rezultacie nie przekazał dla ciebie żadnych wiadomości.

- Aubrey nie lubi, gdy go pouczasz, Edwardzie. Chyba zauważyłeś, że nie uznaje twojego autorytetu.

- Tu nie ma nic do rzeczy autorytet. Chłopiec w jego wieku powinien akceptować przyjacielską krytykę.

- Masz rację, ale znasz przecież Aubreya. Prawdą jest, że nigdy nie potrafiliście się porozumieć.

- Ośmielę się być innego zdania, moja droga Venetio - powiedział z uśmiechem. - Panicz Aubrey jest po prostu zazdrosny i nie potrafi radzić sobie z tym uczuciem. W odpowiednim czasie nauczysz się tego, zwłaszcza jeśli nie będzie się pobłażać jego fochom.

- Mylisz się, Edwardzie - stwierdziła patrząc poważnie na niego. - Aubrey nie jest zazdrosny. Wie, że nie ma ku temu powodów, a nawet gdyby miał, też nie zmieniłoby to sytuacji. On po prostu niezbyt interesuje się ludźmi z jego otoczenia. Wspominałam ci już o tym, ale ty jak zwykle nie wierzysz w to, co mówię. Nie chciałabym sprawić ci przykrości, gdyż zawsze byliśmy dobrymi przyjaciółmi i zobowiązana ci jestem za wiele uprzejmości, które mi wyświadczyłeś, ale proszę cię, uwierz chociaż w jedno: ja nie...

- Gdybym był młody i nierozsądny jak Aubrey, pozwoliłbym ci dokończyć zdanie, którego byś później żałowała - przerwał jej podnosząc ostrzegawczo rękę. - Co więcej, uważam, że natychmiast powinniśmy zaniechać tych nierozsądnych sporów, bo żałować możemy oboje. Powiedzieć chcę tylko, że nie doceniasz mojego rozsądku, i jeszcze to, że znam cię, moja droga, lepiej, niż ty znasz samą siebie. Uznasz zapewne, że zachowuję się impertynencko i może będzie w tym trochę racji, ale spróbuj tylko przemyśleć niektóre sprawy. Jesteś kobietą impulsywną, pełną życia, z pewnością bawi cię pierwszy kontakt z tym, co nazywane jest wielkim światem, i wydaje mi się... raczej jestem pewny... że spotykasz się z wyrazami podziwu, pochlebstwami. Byłoby całkiem naturalne, gdybyś doznawała z tego powodu czegoś w rodzaju zawrotu

głowy... Nie mam ci tego za złe i nie myśl, że kiedy będziemy małżeństwem, pozbawiona zostaniesz tego rodzaju radości. Ja, ostatecznie, nie jestem przywiązany do miejskiego życia, ale uważam, że kontakt ze światem, oczywiście od czasu do czasu, może być całkiem pożyteczny, umożliwia przyjrzenie się manierom i obyczajom ludzi, których tryb życia ogromnie różni się od naszego.

- Edwardzie, jeśli kiedykolwiek powiedziałam coś, co pozwoliło ci przypuszczać, że zostanę twoją żoną, to wybaczone i przyjmij wreszcie do wiadomości, że się mylisz! - oznajmiła stanowczym tonem.

Niestety, zauważyła, że jej słowa zupełnie nie wywarły na nim wrażenia. Nadal uśmiechał się w sposób, który wydał jej się szczególnie irytujący, a po chwili starając się zabłysnąć swym dość ciężkim dowcipem, powiedział:

- Mam wrażenie, że powoli tracę słuch! Zostawmy jednak te sprawy. Nie mówiłaś mi dotąd, Venetio, jak podoba ci się Londyn i co do tej pory widziałaś. Wyobrażam sobie twoje zdumienie rozmiarami miasta, ruchem ulicznym, parkami, pomnikami, pięknymi pałacami bogaczy i nędznymi ruderami ubogich, włączonymi w łachmany i dostojnikami w jedwabiach i purpurze.

- Nigdy dotąd nie widziałam dostojników w jedwabiach i purpurze. Może ubierają się tak tylko z okazji świąt.

Roześmiał się i stwierdził, że nie powinna tak dosłownie traktować tych słów, a potem obiecał jej pokazać pewne interesujące obiekty, których zapewne jeszcze nie widziała. On sam w Londynie był już dwukrotnie. Z pierwszej wizyty niewiele pamięta, bo go zdumiała i oszołomiła stolica, zresztą miał wtedy tyle lat, ile obecnie Aubrey. W czasie drugiej wizyty zaopatrzył się w znakomity przewodnik po mieście, w którym opisane są wszystkie godne uwagi zabytki. Dodał jeszcze, że tę wartościową książkę ma ze sobą i w podróży przeczytał ją w całości dla odświeżenia pamięci.

Venetia mogła go tylko podziwiać. Dotąd nigdy nie potrafiła znaleźć klucza do jego umysłu, nie potrafiła zrozumieć, co sprawia, że czuje on taką spokojną pewność siebie. Nie łudziła się, że jest w niej szalenie zakochany, mogła tylko przypuszczać, że zbyt przyzwyczał się do myśli, że właśnie ona będzie jego żoną, by z niej łatwo zrezygnować. A może wysokie mniemanie o sobie

sprawiło, że nie wyobrażał sobie, by jego oferta mogła zostać odrzucona? Nie poczuł się dotknięty jej szczerą wypowiedzią, zdawał się traktować ją jak niezbyt stosowny żart i postanowił przyjąć postawę uprzejmie tolerancyjną, zachowując się tak jak kochający ojciec w stosunku do rozpieszczonego dziecka. Nie mógł powstrzymać się od lekkiego skarcenia jej za to, że nie zawiadomiła go o swoim wyjeździe z Undershaw. Dowiedział się o tym od swej matki, którą poinformowała o wszystkim lady Denny. Poczuł się dotknięty. Wybaczył jej jednak, gdyż nikt tak dobrze jak on nie wiedział, jak bardzo musiała być wytracona z równowagi. Wspomnienie o tym wywołało parę krytycznych uwag na temat małżeństwa Conwaya. Tym razem wypowiedział się o jej bracie bardziej otwarcie niż zazwyczaj. Stwierdził, że miał o nim lepsze mniemanie. Mówiąc o jego zaskakującym mariażu sprawiał wrażenie człowieka o dużej wrażliwości, czym ujął sobie Venetię. Poinformował ją, że razem z matką złożyli krótką wizytę lady Lanyon. Trwała ona nie dłużej niż dwadzieścia minut, ale to wystarczyło, by wyrobić sobie zdanie na temat charakteru pani Scorrier. Oboje doszli do wniosku, że jest osobą trudną do zniesienia. Nie mieli natomiast zastrzeżeń do Charlotty, chociaż przykro im było, że ktoś taki jak ona zastąpił Venetię w roli pani na Undershaw. Mimo to współczuli Charlocie; ona też znalazła się w niezbyt miłej sytuacji. Kiedy pani Scorrier zaczęła opowiadać o Aubreyu i jego wyprowadzce do Priory, oczywiście winę przypisując jego zawistnemu usposobieniu, bo ona ze swej strony robiła wszystko, by go zatrzymać, młoda lady Lanyon wyglądała tak, jak gdyby za chwilę miała się rozpłakać. Ze swej strony Edward nie widział w niej nic godnego podziwu i stwierdził nawet, że Conway lepiej by zrobił, gdyby dochował wierności Clarze Denny.

- Biedna Clara! Oby jak najszybciej odzyskała rozsądek, by docenić fakt, że uniknęła znacznie gorszego losu - zauważyła Venetia.

- Przypuszczam, że już teraz uświadomiła sobie swój błąd, ale jest chyba jeszcze zbyt wcześnie, by potrafiła właściwie ocenić charakter Conwaya - stwierdził Edward. - Szczerze jej współczuję. Świadomość własnej pomyłki na pewno jest

bardzo przykra dla niej, ale zachowuje się godnie i odważnie. Rozmawiałem z nią i odniosłem wrażenie, że udało mi się skierować jej myśli na bardziej pogodne tory. W Ebbersley nie wspomina się o tej sprawie, co pozbawia ją możliwości wysłuchania opinii choćby tak rozsądnego człowieka jak sir John.

- Cieszę się, że byłeś dla niej miły - powiedziała Venetia.
- Teraz opowiedz mi, co dzieje się w Undershaw! Jak sobie tam radzą? Nie chodzi mi o Charlotte i panią Scorrier, ale o naszych ludzi.

- Myślę, że nie najgorzej, trudno jednak oczekiwać, żeby byli dobrze nastawieni do lady Lanyon, skoro jej przybycie oznaczało twoje odejście. Z tego co przed tygodniem usłyszałem od Powicka, wszyscy bardzo boją się nad tym, co się stało. Nie powiedziałem naturalnie nic, co mogłoby go zachęcić do tego rodzaju uwag, ale potem w drodze powrotnej do domu pomyślałem sobie, że w pewnym sensie i ja jestem winien, że doszło do tej niemiłej sytuacji.

- Ty? - zdumiała się Venetia. - Mój drogi Edwardzie, o czym ty mówisz? Jediną osobą, która tu coś zawiniła, jest Conway. Ty nie miałeś z tym nic wspólnego!

- Nie mam oczywiście nic wspólnego z małżeństwem Conwaya ani nie mógłbym mu zapobiec. Nie to miałem na myśli. Jego postępek jednakże uświadomił mi, że gdyby nie skrupuły, które powstrzymywały mnie od nalegania, żebyś mnie poślubiła zaraz po śmierci sir Lanyona, byłabyś już panią w Netherfold i nie znalazłabyś się w obecnej niefortunnej sytuacji. Jakkolwiek patrzeć, stan obecny jest pozażołowania godny. Nie wspomnę już o plotkach, jakie musi wywoływać. Aubrey powinien był pojechać z tobą do Londynu. Trudno uznać za właściwe to, że wolał zamieszkać w odległości paru mil od Undershaw. Jeśli przy tym często widuje się z Powickiem i gospodynią, to nic dziwnego, że twoi ludzie nie chcą okazywać posłuszeństwa żonie Conwaya. Nie podoba mi się to, tym bardziej że, jak podejrzewam, zwracają się do niego z każdym drobnym nawet problemem.

- Jakież on może dawać im rady? - zdziwiła się Venetia.
- Chociaż z nim nigdy nic nie wiadomo. Może nawet całkiem nieźle doradzić, ale trzeba by trafić na jego dobry humor.

- Aubrey nie powinien udzielać żadnych rad. No i nawet jeśli jest blisko zaprzyjaźniony z lordem Dameralem, nie wypadało mu zamieszkać pod jego dachem. Nie neguję dobrego charakteru jego lordowskiej mości, ale jego wpływ na Aubreya uważam za szczególnie niepożądany. Jest on człowiekiem o niskim morale i trudno go uważać za odpowiednie towarzystwo dla chłopca w wieku Aubreya.

Venetia powstrzymała się od wyrażenia swego oburzenia. Zdołała tylko spokojnie powiedzieć:

- Jesteś w błędzie wyobrażając sobie, że Aubreyowi może zaszkodzić towarzystwo lorda Damerela. Nie jest on wcale taki zepsuty, jak ci się wydaje, a zresztą Aubrey nie ulega tak łatwo obcym wpływom.

Jego uśmiech wyrażał poczucie wyższości.

- Obawiam się, Venetio - powiedział - że będziesz musiała przyznać, iż w takich sprawach jestem lepiej zorientowany niż ty. Dajmy jednak spokój tej rozmowie. Staram się nie angażować w dyskusje z tobą na tematy, które chociaż nie wykraczają poza twoją kobiecą zdolność pojmowania, to jednak nie powinny cię zajmować.

- Wobec tego postąpiłeś nieroztropnie. Sam zacząłeś o tych sprawach mówić.

Nic na to nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się ironicznie i natychmiast zmienił temat rozmowy. Venetia z zadowoleniem przyjęła powrót cioci. Wykorzystała to, by pożegnać się z Edwardem pod pretekstem, że musi przed kolacją dokończyć pisanie pilnego listu.

Nie dowiedziała się, jak długo Edward zamierza pozostać w Londynie. Z jego niejasnych wypowiedzi wywnioskowała, że czas trwania tej wizyty nie jest określony. Jak cierpliwie znieść jego towarzystwo i jak przekonać go, że przedłużanie pobytu jest bezcelowe, to były problemy, w których rozwiązaniu zapewne nie mogła liczyć na życzliwą pomoc pani Hendred.

Szybko zorientowała się, że Edward wywarł na cioci jak najlepsze wrażenie. Utwierdziła się w przekonaniu, że jest on znakomitym materiałem na męża: uprzejmy, odpowiedzialny, zamożny i dobrze urodzony. Udało mu się przekonać ją, że zwłoka w poślubieniu

Venetii nie wynika wcale z braku zapału, ale z poszanowania wzniosłych zasad. Pani Hendred, osoba wielce szlachetna, doskonale rozumiała jego cierpliwość i ceniła go za to. W jej oczach Edward stał się nagle postacią wyjątkowo zacną, ujmującą, pozbawioną egoizmu, postanowiła więc doprowadzić sprawę do końca. Zaaprobowała natychmiast plany zapewnienia jej bratanicy stosownych rozrywek w Londynie i zaczęła zapraszać go do swej rezydencji tak często, że aż Venetia musiała zaprotestować. Przy okazji rozmowy z ciocią na ten temat wspomniała, że nie porzuciła zamiaru urzędzenia dla siebie samodzielnego mieszkania i że nawet obejrzała dom w dzielnicy Hans Town, który jej zdaniem nadawałby się dla niej i Aubreya.

Zdawała sobie sprawę, że ujawniając te plany wywoła gorące protesty, toteż nie zamierzała nic o tym mówić, dopóki nie podpisze umowy najmu i nie znajdzie damy do towarzystwa. Kiedy jednak dowiedziała się, że ciocia przyjęła w jej i swoim imieniu zaproszenie Edwarda na wspólny obiad w hotelu Clarendon, a potem do teatru, wszystko na jego koszt, zaproszenie, które wcześniej Venetia odrzuciła, postanowiła nie ukrywać dłużej swoich zamiarów.

Pani Hendred przyjęła tę wiadomość z przerażeniem i niedowierzaniem. Po pierwszej reakcji trudno było się zorientować, co bardziej nią wstrząsnęło: fakt, że bratanica chce wybrać dla siebie los starej panny, czy godną ubolewania lokalizację przyszłego azylu. Kilka razy z niesmakiem powtórzyła nazwę Hans Town, a potem zapewniła Venetię, że jej wuj nigdy nie zgodzi się na tak niestosowne plany. Widząc, że te zapewnienia nie sprawiają większego wrażenia na Venetii, zmieniła nagle ton i zawołała z przejęciem:

- Och, moje drogie dziecko, nie możesz, naprawdę nie możesz tego zrobić. Będziesz żałować tego kroku przez całe życie! Ty nie rozumiesz... jesteś jeszcze młoda, ale tylko pomyśl, co będzie, kiedy się zestarzejesz... samotność... upokorzenia - przerwała widząc, że Venetia skrzywiła się niechętnie, nachyliła się ku niej i nakryła swą pulchną dłońią jej dłoń. - Moja droga, wyjdź za pana Yardleya - powiedziała z naciskiem. - Jestem przekonana, że będziesz z nim szczęśliwa, on jest taki miły i dobry... To naprawdę dobra partia!

Dłoń Venetii pozostała nieruchoma.

- Proszę nic więcej nie mówić, ciociu - powiedziała zduszonym głosem. - Nie kocham Edwarda i to wystarczy.

- Ależ najdroższa, zapewniam cię, że się mylisz. Miłość nie jest tu niezbędnym warunkiem. Najszczęśliwsze małżeństwa często zawierane są bez uczuciowego zaangażowania. Naprawdę. Sama znam małżeństwa, w których narzeczeni ledwie się znali, ale ulegli woli rodziców i do dziś są zadowoleni. Zrozum, kochanie, rodzice lepiej wiedzą, co jest dobre dla ich dziecka, niż młoda dziewczyna.

- Ani nie jestem młodą dziewczyną, ciociu, ani nie mam rodziców.

- Nie, ale... Och, Venetio, ty nie zdajesz sobie sprawy, jaki błąd popełniasz - rozpaczła pani Hendred. - Lepiej, żebyś poślubiła człowieka, którego szczerze nie znosisz, niż gdybyś miała zostać starą panną. A jakże możesz znaleźć stosownego mężczyznę, jeśli zamieszkaż w Hans Town? Przecież nawet mając całkiem obojętnego ci męża, chociaż rozumiem, że może to być przykre, ciagle będziesz osobą z towarzystwa, no i na pewno wiele radości mogą ci dać dzieci, a to, jak wiesz, dla kobiety jest najważniejsze. Weź pod uwagę, że pan Yardley wcale nie jest odstręczający! Jest całkiem miłym mężczyzną, ceni cię tak, jak powinien, i jestem pewna, że zrobi wszystko, by uczynić cię szczęśliwą. Może istotnie nie jest zbyt błyskotliwy, ale czy to takie ważne u męża? Jeśli podobali ci się sir Matthew albo pan Armyn, czy nawet pan Foxcott, chociaż bardzo wątpię, czy on... Drogie dziecko, przekonana jestem, że pan Yardley jest idealnym mężczyzną dla ciebie. On cię tak dobrze rozumie i wie, jaka jest twoja sytuacja, więc nie pojawiają się żadne trudności czy niezręczności... Zamieszkaż blisko brata i przyjaciół, prowadzić będziesz życie, do jakiego przywykłaś, nie w Undershaw, oczywiście, ale na wsi! Poczujesz się tak, jak gdybyś wróciła do domu!

- Ja nie chcę wracać do domu! - Venetia powiedziała te słowa spokojnie, ale wyczuwało się, że naładowane są gniewem. - Przepraszam, ciociu, proszę mi wybaczyć. Są pewne okoliczności, o których nie chciałabym mówić. Bardzo tylko proszę, żeby ciocia zrozumiała, że zdaję sobie sprawę z ujemnych stron rozwiązania,

na które jestem zdecydowana. Nie jestem aż tak zielona... - Głos jej się załamał. Wstała szybko i ruszyła w stronę drzwi.

Zatrzymała się słysząc za sobą głośny szloch. Obejrzała się i zobaczyła, że ciocia Łka rozpaczliwie.

Pani Hendred bardzo cierpiała, jeśli ktoś obok niej czuł się nieszczęśliwy. Nawet widok pokojówki płaczącej z powodu bólu zęba wprawiał ją w przygnębienie; dla cierpienia nie było miejsca w jej komfortowej egzystencji, toteż kiedy znalazło się w zasięgu jej wzroku, przysłaniało natychmiast ciepłe promienie słoneczne, w których się kąpała, i kompletnie niweczyło jej wiarę w istnienie świata, na którym wszyscy są zadowoleni, zamożni i mili. To, co dostrzegła w wyrazie twarzy Venetii, zdruzgotało ją kompletnie, a że do bratanicy przywiązała się gorąco, złamało jej czułe serce. Łzy płynęły jej po policzkach. Przerywanym, pełnym rozpaczny głosem zawołała:

- Och, moje najdroższe dziecko, proszę cię, nie patrz tak smutno! Nie mogę znieść wyrazu cierpienia w twoich oczach. Och, Venetio! Nie wolno ci tak brać sobie tego do serca, naprawdę nie wolno. Tak bardzo mnie to martwi, bo szczerze ci współczuję, ale to nie jest dla ciebie dobre, zapewniam cię, że nie.

Venetia szła już w jej stronę, ale kiedy usłyszała ostatnie słowa, zatrzymała się.

- Co nie jest dobre? - zapytała patrząc uważnie w oczy pani Hendred, co nieszczęsną kobietę jeszcze bardziej wytrąciło z równowagi.

- Ten człowiek! Och, nie pytaj mnie. Ja nie chciałam... Ale kiedy zobaczyłam, jak bardzo jesteś nieszczęśliwa, zapragnęłam ci pomóc, tylko że... Och, moja droga Venetio! Nie myślisz chyba, że nie współczuję ci szczerze. Potrafię wczuć się w twoje położenie. Sama przeżyłam kiedyś coś podobnego i, uwierz mi, już od lat o tym nie myślę. Ty też wkrótce zapomnisz o nim i będziesz szczęśliwa!

- Nie wiem, skąd ciocia o tym wie, ale po tym, co usłyszałam, nie mogę się chyba mylić. Ciocia mówi o lordzie Damerelu, prawda?

Łzy coraz mocniej płynęły z oczu pani Hendred. Chusteczka nie na wiele się zdała.

- Och, moja droga, nie powinnam była... Twój wuj tak się zdenerwuje!

- Kto cioci powiedział, że lord Damerel i ja... że zawarliśmy znajomość?

- Proszę cię, nie pytaj mnie! - błagała pani Hendred. - Nie wolno mi... twój wuj mnie zobowiązał... och, wydaje mi się, że dostanę ataku spazmów.

- Skoro wuj zabronił cioci mówić, to oczywiście nic na to nie poradzę, ale sama się do niego zwrócę - powiedziała Venetia.

- Dobrze, że w porę dowiedziałam się o tym, to jeszcze zdążę z nim porozmawiać, zanim wyjedzie do Berkshire. Myślę, że jeszcze nie wyszedł z domu. Proszę wybaczyć, ciociu, ale muszę go zaraz odszukać.

- Nie, Venetio! - zawołała pani Hendred. - Błagam cię! To nic nie da, a on będzie bardzo niezadowolony. Venetio, wiemy o tym od lady Denny, tylko obiecaj mi, że ani słowem nie zdradzisz się z tym przed wujem!

- Jeśli ciocia będzie ze mną szczerą, to nie widzę powodu, żeby z nim rozmawiać. Proszę już nie płakać, ciociu! Lady Denny? Tak, rozumiem. Czy ona napisała do cioci?

- Tak, chociaż nie znam jej wcale, bo wyszłam za męża, zanim sir John się ożenił. List był bardzo uprzejmy, wynikało z niego, że lady Denny jest kobietą o dużej wrażliwości, jak powiedział twój wuj. Bardzo się przejęłam, tak bardzo, że przez cały dzień nic prawie nie jadłam, tylko rozmyślałam. Bo wiesz przecież, moja droga, lord Damerel... Ty oczywiście nie możesz nic wiedzieć, biedne dziecko. Wcale się nie dziwię, że mogłaś się w nim zakochać. Jest szalenie atrakcyjny... Nie znam go, oczywiście, ale ludzie widują go to na przyjęciach, to w parku, w operze i... och, moja droga, dziesiątki kobiet... ale żeby myśleć o małżeństwie z nim! Twój wuj powiedział, że jest absolutnie nieprawdopodobne, by coś takiego przyszło Damerelowi do głowy. Nie wiedziałam, co mam robić. Obawialiśmy się, że zaproszenie ciebie do Londynu nic nie da, poza tym pewną trudność sprawia to, że jesteś dorosła... Byliśmy jednak przekonani, że będąc osobą przyzwoitą nie zaakceptujesz... *carte blanche*, jak to ostatnio nazywają.

- Czy ciocia uważa, że mogłam otrzymać taką propozycję?
- zapytała Venetia z oburzeniem. Stała wciąż wyprostowana, nieruchomo pośrodku pokoju.

- Nie, kochanie, nie! Muszę jednak stwierdzić, chociaż to, co powiem, może wyda ci się straszne, że małżeństwo z nim byłoby czymś gorszym! Nie wiem dokładnie, ale w końcu...

- Proszę się nie niepokoić, ciociu. Lady Denny nie orientuje się zbyt dobrze w całej tej sprawie. Uczucie lorda Damerela nie jest aż takie głębokie, jak jej się wydaje. Między nami nie było nic więcej poza... przelotnym flirtem. Nie padły żadne propozycje...

- Och, moje biedne, nieszczęsne dziecko! - zawołała pani Hendred. - Nic dziwnego, że jesteś tak nieszczęśliwa. Nie ma nic gorszego, niż zakochać się w kimś, kto nie odwzajemnia twoich uczuć. Może jednak niepotrzebnie się przejmujesz! Nie przywiązuję zbyt wielkiej wagi do tego, co usłyszałam od twojego wuja, bo przecież mężczyźni nic nie rozumieją, niezależnie od tego, jak byliby mądrzy, ale powiedział mi, że mylił się co do lorda Damerela, więc równie łatwo może mylić się w twojej sprawie...

- Mylił się co do lorda Damerela? - przerwała jej Venetia. - Czy to znaczy, ciociu, że wuj przy okazji wizyty w Undershaw widział się z nim?

- No tak, kochanie. On... on uważał to za swój obowiązek, nie masz przecież ojca, który mógłby zająć się tobą. Długo się zresztą zastanawiał. Nie zrobił tego w pierwszym odruchu, jak można by sądzić... Wtedy przyszedł od ciebie list z wiadomością o małżeństwie Conwaya... chyba Opatrzność tak zrządziła... Ja co prawda nigdy w życiu nie byłam tak wstrząśnięta, ale twój wuj postanowił wykorzystać to zdarzenie, żeby zabrać cię z Undershaw. Wpadł na ten pomysł, bo on jest bardzo mądry, co każdy może potwierdzić.

- Dobry Boże! - Venetia przycisnęła dłoń do czoła. - Skoro się z nim widział... Tak, to musiało być przed przyjazdem wuja do Undershaw... zanim ja widziałam się... Ciociu, co zaszło pomiędzy nimi? Musi mi ciocia powiedzieć, a jeśli nie, to sama zapytam wuja, a gdyby i on odmówił, to osobiście porozmawiam o tym z lordem Dameremem.

- Venetio! Nie mów takich strasznych rzeczy! Zapewniam cię, że wuj był przyjemnie zaskoczony. Możesz być pewna, że nie pokłócili się i wizyta przebiegła bez żadnych nieprzyjemności. Nawet twój wuj powiedział, że poczuł szczerą sympatię do lorda Damerela, a coś takiego nie zdarza mu się często. Co więcej,

odniosłam wrażenie, jak gdyby żałował, że to małżeństwo jest wykluczone, a z pewnością jest wykluczone, nawet sam lord Damerel to potwierdził. Ujęła go przede wszystkim szczerść lorda, który za swój błąd uznał to, że nie wyjechał z Yorkshire. Trudno nie przyznać mu racji, chociaż wuj nie miał mu tego szczególnie za złe. Nie musiał mu również dowodzić, czego się spodziewał, jak wysoce niestosowne jest wykorzystywanie młodej kobiety, która słabo zna życie, nigdy nie wyjechała poza Yorkshire, nie znała innych mężczyzn... no może poza panem Yardleyem i nie zdaje sobie sprawy, co znaczy poślubić mężczyznę o jego reputacji. Lord Damerel sam to powiedział. I ty, drogie dziecko, musisz zrozumieć, że byłoby to katastrofą. - Przerwała dla nabrania oddechu, ale z zadowoleniem zobaczyła, że kolory wracają na policzki Venetii, a jej oczy zapłonęły żywym blaskiem. Westchnęła z ulgą i dodała: - Wiem, że nie czułabyś się tak źle, gdybyś wiedziała, że nie zostałam tak lekko potraktowana. Cieszę się, że ci to wszystko powiedziałam. Nie jesteś już taka bardzo nieszczęśliwa, kochanie, prawda?

- Nieszczęśliwa? - powtórzyła Venetia. - Och, nie, nie! Gdybym tylko wiedziała... Ale teraz wiem! Dobrze wiem!

Pani Hendred nie do końca zrozumiała, co znaczą te słowa, ale nie przejęła się tym zbyt. Najważniejsze, że wyraz głębokiego smutku, który przyprowadził ją o rozpacz, zniknął bez śladu z oczu Venetii. Otarła ostatnie łzy z policzków i z uśmiechem zwróciła się do promieniejącej teraz radością bratanicy:

- Może nie powinnam ci o tym wspominać... tak, o tym nie należy mówić, ale zdobycie sympatii, a nawet więcej niż sympatii takiego mężczyzny jak lord Damerel możesz uznać za ogromny sukces. Muszę ci szczerze wyznać, kochanie, że jeśli coś takiego spotkałoby moją córkę, to chodziłabym dumna jak paw. To nie znaczy, że łudzę się, by było to możliwe, chociaż mam nadzieję, że Marianna wyrośnie na ładną dziewczynę... no i oczywiście nigdy nie pozwoliłabym, żeby doszło do jakichkolwiek kontaktów z nim - dokończyła.

Venetia nieuważnie słuchała słów ciotki. Teraz wykorzystując chwilę jej milczenia zawołała:

- O Boże! Jaki z niego głupiec! Jak on mógł pomyśleć, że ma

to dla mnie jakieś znaczenie? Och, jaka jestem zła na niego... i wuja. Jak mogli mnie wpędzić w taką rozpacz? Zachowali się, jak gdybym miała siedemnaście lat i była naiwną głupią panienką. Droga ciociu!... Moja droga ciociu, jakże ci jestem wdzięczna.

Pani Hendred uwolniła się z objęć Venetii, odruchowo poprawiła czepek i poczuła niepokój, bo nawet przy sporej dozie optymizmu nie mogła wybuchu radości Venetii przypisać jedynie dumie z dokonanego podboju męskiego serca.

- Tak, drogie dziecko, ale nie myśl, że to coś zmienia - powiedziała. - Takie małżeństwo byłoby dla ciebie zgubą.

- Naprawdę tak ciocia sądzi? - Venetia spojrzała na nią wyraźnie rozbawiona. - Ciocia zapewne nie wie, że wyjazd Damerela na północ był ucieczką przed zakusami jego ciotek, które chciały ożenić go z bogatą, dobrze urodzoną damą, czyli łatwo mógł w oczach świata odzyskać straconą pozycję. Nie wyobrażam sobie, by ktokolwiek poważnie o tym myślał, jeśli małżeństwo z nim oznaczałoby katastrofę. Nie wierzę, żeby takie plany zostały poczynione bez wiedzy i zgody rodziców panny Ubley.

- Co takiego? — zawołała pani Hendred. - Amelia Ubley? Chyba się mylisz!

- Wcale się nie mylę. A teraz, ciociu, proszę mi wyjaśnić, jak to jest, że jej opinii takie małżeństwo nie zaszkodziłoby, a moją reputację może zrujnować?

Nic nie zostało z uczucia ulgi, którego pani Hendred doznała przed chwilą. Patrzyła na bratanicę z wyrazem głębokiego smutku, nerwowo poprawiała szal, wreszcie kilkakrotnie zaczynała jakieś zdanie i żadnego nie kończyła. Na koniec zdecydowała się niezbyt jasno wypowiedzieć:

- W twoim przypadku jest całkiem inaczej. Och, droga moja, chciałabym... Venetio, ty nie rozumiesz tych spraw. Sytuacja panny Ubley... okoliczności... wszystko jest inne!

- Pod jakim względem?

- Och, och, pod wieloma względami. Wielkie nieba! Po pierwsze, ona ma ponad trzydzieści lat, fatalną figurę, zadarty nos i chodząc pochyla się do przodu, no, a poza wszystkim od lat uważana jest za starą pannę. Nikt nie może mieć za złe Latchfordom, że z radością korzystają z każdej oferty dla niej, zwłaszcza że ciotki

Damerela zamierzają zapisać mu swój majątek, co nie jest dla mnie zaskoczeniem, teraz, kiedy wszystko sobie przemyślałam. Panna Ubley jest niewątpliwie osobą godną szacunku, chociaż nie można uważać jej za kobietę niedoświadczoną: ma, bądź co bądź, sporo lat, no i zawsze mieszkała w mieście. Na pewno nie jest naiwną panienką. W twoim przypadku, moja droga, wszyscy wiedzą, gdzie się wychowywałaś, i wiedzą, że nie możesz być osobą doświadczoną. Gdyby... gdyby lord Damerel ożenił się z tobą - dodała pani Hendred z ożywieniem wskazującym na to, że w jej umyśle zrodził się jakiś dobry pomysł - gdyby tak się stało, wszyscy uważaliby to za wprost niewybaczalne szaleństwo i szokujący postępek: Zapewniam cię, kochanie, że jest coś odrażającego w małżeństwie rozpustnika z piękną dziewczyną, znacznie od niego młodszą i doskonale niewinną, taką właśnie jak ty, cokolwiek byś na to powiedziała.

Na początku tej przydługiej perory Venetia uśmiechała się, ale kiedy pani Hendred dojrzała do triumfalnej konkluzji, błysk rozbawienia zniknął z jej oczu. Pani Hendred zauważyła z zadowoleniem, że jej słowa traktowane są poważnie i z respektem, zdecydowała się więc wykorzystać zdobytą nad nią przewagę.

- Ty, drogie dziecko, nie zdajesz sobie sprawy, jak ludzie na to patrzą... zresztą nic dziwnego, skąd masz o tym wiedzieć... ale zapewniam cię, on wie.

Venetia uważnie spojrzała na ciocię.

- Tak - powiedziała z namysłem. Przypomniała sobie tę przerwana scenę w bibliotece i jak bardzo zaniepokoiła ją powściągliwość Damerela. „Pani sobie nie wyobraża, jakie korzyści wyciągnąłbym z pani niewinności”, powiedział wówczas. - Tak - powtórzyła. - Zaczynam teraz rozumieć...

- Byłam pewna, że zrozumiesz, przecież jesteś, kochanie, taka rozsądna - powiedziała wzruszona pani Hendred. - Wiem, jak boli cię to teraz, ale uwierz mi, to nie potrwa długo. Och, moja droga, ja też myślałam, że umrę z rozpacz, kiedy mama... twoja babcia i Francis zmusili mnie do zerwania z biednym Sebastianem. Płakałam trzy dni bez przerwy, ale w końcu wyszłam za twojego wuja i powiem ci, że nic nie mogło mnie lepiej pocieszyć.

- I nigdy ciocia nie żałowała? - zapytała Yenetia.

- Nigdy! - stwierdziła z naciskiem pani Hendred. - Byłby to wyjątkowo zły mariaż. Nie miał majątku, był kompletnie bez pieniędzy. Pomyśl tylko, jakie czekałoby mnie życie! Przy okazji weź jeszcze jedno pod uwagę, kochanie. Wszyscy mówią, że lord Damerel swoim ekstrawaganckim postępowaniem roztrwonił cały majątek. Gdyby miał duże pieniądze, sytuacja byłaby nieco inna, no ale teraz, kiedy został bez fortuny, jego walory wyraźnie zmalały i on dobrze o tym wie, powiedział to wujowi. Niepotrzebnie zmarnowałabyś sobie życie, gdyby został twoim mężem. Zresztą i on, i wuj są zdania, że masz szansę na znakomite małżeństwo. I, moja droga bratanico, nikt tak by się z tego nie ucieszył jak ja.

- A nikt nie byłby mniej uradowany niż ja, droga ciociu.

- Dobrze, że tak do tego podchodzisz - powiedziała z aprobatą pani Hendred. - Nie ma nic bardziej niestosownego niż panna, która za wszelką cenę usiłuje złapać męża. Ze swej strony byłabym szczęśliwa widząc cię zamężną z godnym szacunku, zamożnym człowiekiem, na tyle ustosunkowanym, by mógł wprowadzić cię w eleganckie towarzystwo, bez którego życie traci wiele uroków.

- Nie będzie to łatwe - powiedziała Venetia i powoli podeszła do okna. - Tak, teraz rozumiem.

- Nie, nie, najdroższa dziecinko. Nie widzę tu żadnych trudności! Chciałam tylko powiedzieć, że warto...

- Poświęcić szczęście dla tego rodzaju skrupułów! - dokończyła obojętnie Venetia. - Dla mnie brzmi to jak absurd, szaleństwo... Ale on tak właśnie postąpił i jeśli uparł się, by być tak idiotycznie szlachetnym.., Tak, zanosi się na poważne trudności. Muszę to przemyśleć.

Zupełnie zapomniała o cioci i szybko wyszła z pokoju, zostawiając nieszczęsną damę z głową pełną niespokojnych myśli.

18

Kiedy pani Hendred zdecydowała się przy okazji kolejnej rozmowy z Venetią powrócić do sprawy wynajęcia domu w Hans Town, z zadowoleniem stwierdziła, że bratanica odstąpiła od swojego szalonego pomysłu. Po głębszym zastanowieniu jednak fakt ten zaniepokoił ją. Nie była na tyle naiwna, by sądzić, że to jej argumenty doprowadziły do tej nagłej zmiany planów, i im dłużej się nad tym zastanawiała, tym mniej podobała jej się gotowość poniesienia przez Venetię projektów, których tak zawzięcie dotychczas broniła. Odnosiło się wrażenie, jak gdyby zapomniała o czymś takim jak dom w Hans Town, a kiedy w rozmowie poruszony został ten temat, wydała się zaskoczona i powiedziała tylko:

- Och... ten dom! Nie, nie, ciociu, proszę się nie martwić. Muszę przyznać, że miała ciocia rację, nie powinnam tam zamieszkać.

Pani Hendred miała wszelkie powody, by poczuć się usatysfakcjonowana, *ale mimo to zaniepokoiła się* całkiem poważnie. Wszystko wskazywało na to, że Venetia nie tylko myślami jest gdzieś daleko, ale niewątpliwie snuje jakieś nowe plany. Wypytywanie nie dało żadnych rezultatów. Venetia uśmiechała się tylko, dawała wymijające odpowiedzi, potrząsała głową, co prowadziło do niemiłego wniosku, że nowe projekty mogą okazać się nie mniej szokujące niż poprzednie. Pani Hendred żałowała, że drogi mążzonek wyjechał do Berkshire, i w czasie bardziej niż zwykle bezsennej nocy zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna natychmiast wysłać do niego pilnego listu. Nad ranem pomysł ten wydał jej się zarówno absurdalny, jak i nieroztropny. Cóż w końcu na tyle

poważnego mogła obmyślić Venetia, żeby usprawiedliwiało to wezwanie jej wuja? Z takiego wezwania byłby równie niezadowolony, jak i z ujawnienia przez małżonkę faktów, których jego zdaniem Venetia znać nie powinna. Poza wszystkim pan Hendred pojechał do Berkshire, by uczestniczyć w sesji sądu objazdowego, a że swe obowiązki traktował bardzo poważnie i skrupulatnie je wypełniał, na ogół wyjazd w takim przypadku trwał tydzień. Tym razem zapowiedział małżonce, że powinna oczekiwać go po czterech, najwyżej pięciu dniach, gdyż zobowiązał się wziąć udział w konferencji partyjnej. W tak krótkim czasie, pomyślała pani Hendred, nic się przecież nie zdarzy, zresztą trudno oczekiwać jakiegoś kataklizmu. Może i Venetia gotowa jest dla miłości zrezygnować ze świata, ale jak ma powiedzieć o tym Damerelowi? A nawet gdyby jej się to udało, co nie znaczy oczywiście, że można ją posądzić, mimo całej ekscentryczności, o chęć zachowania się aż tak niestosownie, to Damerel wiedział przecież, że z młodej, pięknej kobiety o jej zaletach świat łatwo nie zrezygnuje. Dał poza tym słowo dżentelmena, że nie zaproponuje Venetii małżeństwa. Pani Hendred mogła więc być spokojna. Nocne przeczucia miały prawdopodobnie związek z pasztetem z gęsi i indyka, którego w nadmiarze próbowała w czasie kolacji. A może popełniła błąd jedząc omlet z grzybami? Jej delikatny organizm zawsze źle tolerował grzyby. Postanowiła powiadomić kulinarnego artystę rządzącego jej kuchnią, by w przyszłości wykluczył je z listy swych znakomych przepisów.

Podczas gdy myśli pani Hendred krążyły wokół gastronomii, Venetia zajęta była układaniem i korygowaniem planów, które doprowadzić miały do zrujnowania jej towarzyskiej pozycji. Równie szybko jak ciotka doszła do wniosku, że nie osiągnie celu mówiąc Damerelowi wprost, że nie interesuje jej wielki świat i jego opinia o niej. Wiedziała, że od początku uważał ją za niedoświadczoną, naiwną dziewczynę, i intuicja ostrzegała ją, że z pewnością dotąd nie zmienił zdania i nie uzna jej za wystarczająco dojrzałą po miesięcznym zaledwie pobycie w Londynie. Pomyślała nawet, co prawda z czułością, że przy całym swym doświadczeniu jest on równie nierozsądny jak Edward Yardley albo mądry wuj. Uważając, że jej znajomość świata oparta jest wyłącznie na literaturze,

przekonany był, że lepiej zna jej serce niż ona i wystarczy krótki nawet pobyt w eleganckim świecie, by nie tylko wdzięczna była losowi, że wyrwał ją, jak to określił, ze szponów szatana, ale by zaręczyła się z jakimś dobrze urodzonym, zamożnym, pełnym życia młodym dżentelmenem. Tak. Bezpośrednią rozmowę z nim musiała uznać za złe rozwiązanie. Daleko gorsze pod każdym względem i trudniejsze było jednakże uporanie się z zastrzeżeniami, które wysunęła ciocia. Musiała się zgodzić, że Damerel, jako człowiek światowy, wie, jaka byłaby opinia towarzystwa o tym małżeństwie i jakie pociągnęłyby za sobą skutki: nie tylko wie, ale ją podziela. Wspomniał przecież kiedyś, że jego podboje nigdy nie dotyczyły dziewcząt młodych i niewinnych. Nie mówił tego w kontekście małżeństwa, ale można było odgadnąć, że to miał na myśli. Wynikało z tego, że umieścił ją poza zasięgiem swych zainteresowań. Przypomniała sobie, że bliski był odstąpienia od tej surowej zasady, kiedy oznajmiła mu, że chce wynająć dom dla siebie i Aubreya. „Wszystko byłoby lepsze niż to” - powiedział wtedy. Venetia zaczęła się więc zastanawiać, czy nie wrócić do tego pomysłu i jednak wynająć dom, a potem napisać do Aubreya, że czeka na niego. Szybko odrzuciła i ten plan. Obawiała się, że Damerel potrafi go udaremnić: jego wpływ na Aubreya był zapewne teraz znacznie większy niż kiedykolwiek, a poza tym po rozmowie z panem Hendredem z pewnością zyskał w nim sojusznika w tej sprawie. Z upływem czasu Damerel będzie musiał przyjąć do wiadomości, że bardziej odpowiada jej staropanieństwo niż świetne nawet małżeństwo. Venetia jednakże ani nie miała zamiaru usuwać się w cień pod naciskiem opinii, ani też nie łudziła się, że jej uczucie do niego będzie wieczne. Co do Damerela również nie spodziewała się, że będzie żył w celibacie, opłakując niedoszłą narzeczoną. Najpewniej poszuka zapomnienia w nowych przygodach. Już jutro może dotrzeć do niej wiadomość, że podróżuje po Europie z jakąś uroczą dzielątką. Na razie związany jest z Yorkshire obecnością Aubreya w swoim domu, ale niech tylko Aubrey opuści Priory, to Damerel, pomyślała, będzie już dla niej stracony.

Takie właśnie lęki i rozważania wypełniły myśli Venetii, nie pozostawiając miejsca dla spraw mniejszej wagi. Automatycznie odpowiadała na propozycje cioci dotyczące planowanych rozrywek,

posłusznie towarzyszyła jej w wyprawach po zakupy, wybrała się na koncert, ale w jej głowie ciągle panował zamęt, chociaż usta wymawiały grzeczne, stosowne do sytuacji słówka. Pani Hendred, zachęcona tym jej zgodnym nastrojem, poruszyła znów temat proponowanej przez Edwarda kolacji i ucieszyła się nie napotyając oporu bratanicy. Podejrzewała, że Venetia niezupełnie wie, co się do niej mówi, ale zdecydowana była trzymać ją za słowo. Edward zaprosił je na kolację do hotelu Clarendon i ten hojny gest, zdaniem pani Hendred, winien wyrzeć na Venetii stosowne wrażenie. Tu właśnie można było zjeść najlepszy i najdroższy obiad w całym mieście: kucharz był Francuzem, nawet skromny posiłek kosztował nie mniej niż cztery funty. Edward zaprosił też pana Hendreda, ale musiał on z największym żalem odrzucić zaproszenie. Jego chory żołądek nie tolerował francuskiej kuchni, a poza tym nie spodobał mu się Edward. Stwierdził, że mężczyzna, który zanim osiągnął trzydziestkę, jest już nudziarzem, po czterdziestce stanie się nie do zniesienia i że Venetia może sobie znaleźć kogoś znacznie bardziej atrakcyjnego. W przyjęciu wzięły więc udział tylko trzy osoby. Edward nie miał w mieście żadnych znajomych, a pani Hendred nie zdecydowała się zaprosić na miejsce męża kogoś z kręgu swych przyjaciół. Obawiała się, że nawet wiekowy mężczyzna może zacząć zalecać się do Venetii, a nie chciała, by Edward miał rywala.

Wieczór zaczął się dobrze. Gdy tylko *maitre d'hotel* zorientował się, że dżentelmen z prowincji podejmuje znaną smakoszkę i duszę towarzystwa, panią Hendred, i czarującą młodą damę ubraną według kanonów najnowszej mody, natychmiast zmienił plany i zaprowadził gości nie do skromnego stolika w rogu sali, ale do stołu zarezerwowanego dla szczególnie dostojnych gości, po czym osobiście wręczył panu Yardleyowi ogromną kartę dań. Z pomocą pani Hendred wybrane zostały smakowite potrawy, które mogła spożyć bez wyrzutów sumienia, tym bardziej że właśnie tego dnia spotkała pana Rogersa, który skorygował posiadane przez nią informacje o diecie odchudzającej lorda Byrona. Jego lordowska mość nie pił octu, lecz wodę sodową, i to tylko wtedy, kiedy nie miał pod ręką wina. Obiad okazał się sukcesem i chociaż Venetia nie poświęcała większej uwagi rozmowie, to w każdym razie

z uroczym uśmiechem odpowiadała na każde skierowane do niej pytanie. Pan Yardley również był usatysfakcjonowany, tym bardziej że tyle miał do powiedzenia na temat zabytków Londynu, które już zwiedził, iż paniom tylko od czasu do czasu udawało się wtrącić słówko: „Doprawdy”, albo „Ach, jakie to interesujące!”

Do teatru pojechali powozem pani Hendred. Edward zamówił łożę i pani Hendred cieszyła się widząc, że Venetia z zadowoleniem przyjmuje starania Edwarda, by zapewnić jej maksimum wygód. W istocie Venetia rozważała nowy, wyjątkowo śmiały plan. W czasie całego pierwszego aktu sztuki zastanawiała się, czy potrafi zebrać tyle odwagi, by stanąć przed obliczem najstarszej ciotki Damerela, opowiedzieć jej o swym uczuciu i zaapelować o wsparcie. Plan był wprost desperacki i zanim opadła kurtyna, znalazła w nim wiele słabych stron. W porę ocknęła się, by dosłyszeć pytanie Edwarda, jak podoba jej się sztuka. Odpowiedziała uprzejmie, a potem siedziała rozglądając się po sali i nieuważnie słuchając jego wyważonych opinii.

Prawie natychmiast jej uwagę przyciągnęła łoża po przeciwnej stronie sali. Przed podniesieniem kurtyny łoża ta była pusta, teraz pojawiła się w niej dama w towarzystwie dżentelmena. Oboje prezentowali się tak elegancko, że przyciągali wzrok nie tylko Venetii, ale i wielu innych widzów. Zauważyła, że nie są to ludzie pierwszej młodości. Dżentelmen, uderzająco podobny do księcia regenta, miał takie same jak on wyraziste oczy i rumianą cerę. Ubrany był w marynarkę o wymyślnym kroju, okazałą kamizelkę i spodnie ciasno opinające jego tęgą sylwetkę. Skierował lorgnon w stronę Venetii, ale ona spojrzała na niego pobieżnie i przeniosła wzrok na towarzyszącą mu kobietę.

Mężczyzna prezentował się wspaniale, ale z nich dwojga kobieta bardziej przyciągała uwagę. Lekki poblask brązu w kolorze jej kunsztownie ułożonej fryzury zdradzał rękę znakomitego fryzjera, delikatny rumieniec na policzkach mógł mieć swoje źródło w słoiczku z drogim różem, ale jej figura, prowokacyjnie podkreślona głębokim dekoltem sukni z jedwabiu tak miękkiego i przejrzystego, że przylegał do ciała jak pajęczyna, nie zawdzięczała nic sztuce, tak samo jak jej płonące naturalnym blaskiem oczy, prosty klasyczny nos czy piękny zarys podbródka. Diamenty zdobiły jej uszy,

śnieżnobiały dekolt i ramiona. Futro z gronostajów zwisało niedbale z poręczy fotela. Siedziała pochylona lekko do przodu, a jej wzrok, podobnie jak siedzącego obok dżentelmena, skierowany był ku Wenetii. Lekki uśmiech błąkał się na jej ustach, powoli poruszała wachlarzem trzymany za wysadzaną diamentami rączkę. Kiedy napotkała wzrok Wenetii, uniosła drugą dłoń w dyskretnym geście powitania.

Pani Hendred, senna nieco po sutym obiedzie, spokojnie drzemała w czasie pierwszego aktu, a teraz słuchała opinii Edwarda, marząc o tym, by kurtyna znów podniosła się, co pozwoliłoby jej wrócić do przerwanej drzemki. Głos Edwarda brzmiał tak monotennie, że niewiele brakowało, by zasnęła już teraz. Nie pozwoliła na to Venetia, która zapytała nagle:

- Ciociu, kim jest dama w tamtej łoży?

Panią Hendred tak zaniepokoił ostry ton głosu Wenetii, że natychmiast odzyskała pełną trzeźwość umysłu. Wprostowała się i odwróciła w jej stronę.

- G którą damę pytasz, kochanie?

- Siedzącą w łoży prawie dokładnie naprzeciwko naszej. Nie mogę cioci jej pokazać, bo ona akurat patrzy w moją stronę... i to już trwa od dłuższego czasu, a ja... Ciociu, kto to jest?

- Moja droga, jestem pewna, że nie wiem, bo w żadnej łoży nie widziałam nikogo znajomego. O której to łoży mówisz... -zamilkła z tłumionym okrzykiem, a potem szepnęła: - Dobry Boże!

Venetia mocno zacisnęła dłonie na swoim złożonym wachlarzu.

- Ciocia ją zna, prawda? - zapytała.

- Nie, nie - zaprzeczyła szybko pani Hendred. - Wielkie nieba, nie! Jak mogłabym znać kobietę, która nosi taką suknię? To po prostu nieprzyzwoite!... Drogie dziecko, udawaj, że ich nie widzisz. Cóż za impertynencja patrzeć na ciebie jak... Cśś, kochanie, kurtyna idzie w górę i nie powinniśmy dłużej rozmawiać. Moja droga, nie mogę się już doczekać, taka jestem ciekawa, co zdarzy się w drugim akcie. Pierwszy był znakomity, prawda? Dawno się tak nie bawiłam. Ach, ten zabawny dżentelmen i jego lokaj! Nie możemy teraz rozmawiać, bo nie usłyszymy, co oni mówią.

- Proszę mi tylko powiedzieć, ciociu...

- Cśś - uciszyła ją pani Hendred.

Ponieważ to kategoriyczne żądanie poparło towarzystwo zajmujące sąsiednią łożę, Venetia zamilkła. Pani Hendred wachlowała się nerwowo i zamiast wybuchnąć śmiechem po jakiejś dowcipnej kwestii aktora, która rozbawiła widownię, wykorzystała okazję, by pociągnąć Edwarda za rękaw i szepnąć mu coś do ucha. Venetia również nie śmiała się, siedziała wyprostowana, twarz jej wyrażała niedowierzanie i zakłopotanie. Nie słyszała słów cioci, ale po chwili Edward nachylił się do niej i szepnął:

- Venetio, twojej cioci zrobiło się słabo. Czy nie masz nic przeciwko temu, jeśli wyjdziemy? Tutaj jest bardzo duszno. Sam to odczuwam i myślę, że pani Hendred poczuje się lepiej, jeśli tylko znajdzie się na powietrzu.

Venetia bez wahania zerwała się z fotela, zarzuciła płaszcz na ramiona, wzięła futro ciotki i wyszła z łoży za Edwardem, który wyprowadził osłabłą damę. Natychmiast zajęty się nią dwie bileterki, pod nos podsunęły jej sole trzeźwiące, energicznie wymachiwały wachlarzem i skraplały czoło wodą. Rumieńce na twarzy pani Hendred wydały się Venetii zbyt żywe jak u kobiety na granicy omdlenia, ale kiedy Edward grobowym głosem, patrząc na nią, powiedział, że jego zdaniem należy ciocię odwieźć do domu, gdy tylko poczuje się nieco lepiej, zgodziła się z nim skwapliwie i poprosiła, żeby postarał się sprowadzić dorożkę, bo powóz zamówiony był na znacznie późniejszą porę. Edward natychmiast poszedł, by wydać stosowne polecenie portierowi, a pani Hendred, wspierana przez dwie bileterki, powoli ruszyła ku schodom. Po drodze łamiącym się głosem powiedziała Venetii, że nagła niedyspozycja może mieć związek ze zgubnym działaniem na jej organizm bekasów po królewsku.

- A może to *croque enbouche aux pistaches*, tylko, proszę cię, nie wspominaj o tym panu Yardleyowi - dodała.

Venetia wszystkie te zdarzenia przyjmowała z podziwu godnym spokojem. Ani przed opuszczeniem teatru, ani potem, kiedy już siedzieli w cokolwiek podniszczonym wehikule wiozącym ich do domu, nie powtórzyła pytania, które tak bardzo wpłynęło na samopoczucie pani Hendred. Kiedy jednakże po przybyciu na Cavendish Square pani Hendred zapowiedziała, że natychmiast kładzie się do łóżka, Venetia odezwała się na w pół żartobliwie:

- Jeśli ciocia uważa, że tak będzie najlepiej, to proszę bardzo, ale ostrzegam, że mnie nie można się tak łatwo pozbyć. Odprowadzę ciocię do sypialni.

- Nie, nie, drogie dziecko! Wydaje mi się, że wkrótce dostanę ataku spazmów, więc może lepiej... Worting, dlaczego jeszcze nie posłałeś po pannę Bradpole? Widzisz przecież, że źle się czuję.

Zanim Worting zdążył przypomnieć swojej pani, że na dzisiejszy wieczór zwolniła pokojówkę, do rozmowy włączył się Edward.

- Wydaje mi się, madam - powiedział - że najlepiej będzie, jeśli poinformuje pani bratanicę o przyczynach, które zmusiły nas do opuszczenia teatru przed końcem drugiego aktu.

- Ja też jestem o tym przekonana - powiedziała Venetia.

- Proszę cię, Edwardzie, zaprowadź ciocię na górę, do salonu, a ja tymczasem przygotuję wywar z babki. Myślę, ciociu - zwróciła się do pani Hendred - że będzie to w tej chwili najlepsze lekarstwo.

Nie zważając na protesty pani Hendred pobiegła szybko na górę.

Kiedy po dłuższej chwili weszła do salonu, zastała tam ciotkę siedzącą w fotelu z wyrazem twarzy osoby ciężko skrzywdzonej przez los. Edward z wyjątkowo poważną miną stał obok niej, a Worting, który zdążył tymczasem zapalić świece i poprawić ogień na kominku, z ociąganiem szykował się do odejścia.

Pani Hendred z niesmakiem patrzyła na przygotowaną przez siostrzenicę miksturę, ale wzięła od niej szklanekę i podziękowała. Venetia zerknęła przez ramię, żeby sprawdzić, czy Worting już wyszedł, i zapytała wprost:

- Ciociu, kim jest ta dama?

Pani Hendred drgnęła, natomiast Edward, który najwyraźniej postanowił osobiście pokierować zdarzeniami, odpowiedział poważnie:

- Jest to lady Steeple, droga Venetio. Jak mnie poinformowała pani Hendred, towarzyszył jej mąż, sir Lambert Steeple. Przypuszczam jednakże, że to nazwisko nic ci nie mówi.

- To chyba nie wszystko, Edwardzie! - przerwała mu Venetia.

- Nazwisko istotnie nic mi nie mówi, ale bardzo bym cię prosiła, żebyś pozwolił cioci odpowiedzieć na moje pytanie. Ciociu, kiedy napotkałam wzrok tej kobiety, doznałam dziwnego uczucia... Ja wiem, że jest to niemożliwe i że podobieństwo o niczym nie

świadczy. Tylko że ona tak wpatrywała się we mnie, a potem jej mąż... Wreszcie uniosła rękę, nie, nie pomachała nią, ale jak gdyby przekazała mi jakiś znak! To nieprawdopodobne, oczywiście, ale przez głowę przemknęła mi całkiem niedorzeczna myśl. Ja... ja pomyślałam, że jest to moja matka.

- Och, moje dziecko! - jęknęła pani Hendred i wypita łyk ziółek.

- Twoja bystrość umysłu, Venetio, ułatwia mi spełnienie przykrego obowiązku, bo za taki go w tych okolicznościach uważam, i ujawnienia ci, że dama owa jest istotnie twoją matką - powiedział Edward.

- Przecież moja matka umarła! - zawołała Venetia. - Nie żyje od lat!

- Och, gdyby to było prawdą! - Pani Hendred odstawiała opróżnioną szklankę, a potem dodała z goryczą w głosie: - Już wtedy to mówiłam i będę powtarzać. Wiedziałam, że ona nigdy nie przestanie nas prześladować. No i właśnie teraz, kiedy przekonani byliśmy, że na stałe osiedliła się w Paryżu... Wcale bym się nie zdziwiła, gdybym się dowiedziała, że wróciła tu specjalnie po to, żeby zrujnować ci życie, moje biedne dziecko, gdyż poza tym, że jest wyrodną matką, zawsze z jej obecnością wiązały się kłopoty.

- Ale jak to możliwe? - dopytywała się Venetia, zdumiona w najwyższym stopniu. - Matka... lady Steeple? A wiec...

- Nie dziwię się, że trudno ci to zrozumieć — powiedział Edward. - Wkrótce jednak wszystko stanie się dla ciebie jasne. Usiądź, Venetio, w fotelu, a ja przyniosę ci szklankę wody. Doznałaś szoku, w czym nie widzę nic dziwnego, a chociaż prawdę i tak w końcu musiałybyś poznać, zawsze gorąco pragnąłem, by doszło do tego dopiero wtedy, gdy będziesz prowadzić ustabilizowane życie.

- W istocie jest to dla mnie ogromny wstrząs, ale nie potrzebna mi szklanka wody. Dziękuję. Chciałabym tylko dowiedzieć się całej prawdy, więc, Edwardzie, nie ograniczaj się wyłącznie do tego, co uznasz za stosowne. Rozumiem, że moi rodzice rozwiedli się... Dobry Boże! Czy to było tak samo, jak... Czy moja matka uciekła z tym mężczyzną?

- Nie ma powodu, Venetio, by informować cię o czymś więcej niż tylko o nagich faktach - stwierdził stanowczo Edward. - Jestem

zresztą przekonany, że gdy tylko ochłoniesz, sama zrezygnujesz z zagłębiania się w szczegóły. Sprawa jest dość delikatna, ja też zresztą nie potrafię ci wszystkiego wyjaśnić. Musisz pamiętać, że w chwili gdy miały miejsce te pożałowania godne zdarzenia, byłem jeszcze w szkole.

- Och, na litość boską, Edwardzie, czy ty nigdy nie nie możesz odpowiedzieć wprost na moje pytanie? - zirytowała się Venetia.

- Ciociu, czy ona uciekła?

Pani Hendred, kiedy już najważniejsze zostało powiedziane, zaczęła powoli przychodzić do siebie. Siedziała teraz wyprostowana, ciągle jeszcze w swym eleganckim kapeluszu na głowie, i odpowiedziała w miarę spokojnie:

- Nie, moja kochana! Nie. Ścisłe mówiąc nie uciekła. Z pewnych względów może nawet szkoda... nie, żebym uważała... Tylko że to nie był pierwszy raz, co pogarszało sprawę. Ludzie mówili już od lat, chociaż jestem pewna, że ona zachowywała się wyjątkowo dyskretnie... Sama niczego się nie domyślałam... to znaczy, dopóki nie zaczął się ten romans z... To nie ma nic do rzeczy, żył jeszcze wtedy generał, biedny człowiek... Robił wszystko, by przekonać Francisa, żeby jej wybaczył, bo on świata poza nią nie widział. Coś takiego rzadko się zdarza, ale jej nie obchodził ani on, ani nikt inny. Tak bez serca...

- Chwileczkę, ciociu, chwileczkę. Jaki generał?

- Wielkie nieba! Venetio! Jej ojciec i oczywiście twój dziadek, chociaż naturalnie nie możesz go pamiętać. Generał Chiltie, taki miły, sympatyczny człowiek. Wszyscy go lubili. Ja zresztą też. Ona była jego jedynym dzieckiem i gotów był zrobić dla niej wszystko. Jego żona wcześniej umarła i to uważam za przyczynę tego wszystkiego. Dziewczynka została tak rozpieszczona, że łatwo było przewidzieć, jak to się skończy. Wiem, że nasza mama, twoja, kochanie, babcia, błagała i zaklinała Francisa, żeby się jej nie oświadczał, ale wszystko na nic. On po prostu stracił głowę, chociaż wiesz, że na ogół był bardzo rozsądny. Nigdy nie interesował się kobietami... Nasza mama musiała przedstawić go dwudziestu, żeby zauważył choćby jedną. Można powiedzieć, chociaż chyba nie powinnam o tym mówić, że był oziębły! Wystarczyło jednak, by raz rzucił okiem na Aurelię, a zakochał się

w niej do nieprzytomności i od tego momentu nie słuchał już nikogo. - Pani Hendred westchnęła ciężko i potrząsnęła głową. — Nigdy jej nie lubiłam, nigdy. Muszę przyznać, że była piękna, nawet mówili, że jest zachwycająca, ale było w niej Coś, co mi się nie podobało. I nie tylko mnie. Zapewniam cię. Wielu moich przyjaciół uważało to całe zamieszanie wokół niej i zachwyty za całkiem nieuzasadnione, ale oczywiście żaden z dżentelmenów nie miał jej nic do zarzucenia. Uganiali się za nią bezustannie, ale bez efektów, wyobraź sobie. W tej sytuacji, muszę przyznać, że dla twojego ojca zdobycie jej było ogromnym sukcesem, chociaż, Bóg mi świadkiem, że lepiej by zrobił żeniąc się z Georgiana Denny, siostrą sir Johna, która potem wyszła za najstarszego syna Appledorów, zresztą wynikły z tego same kłopoty, bo on nie miał pojęcia o gospodarowaniu, za to namiętnie lubił hazard. Ale wracając do twojej matki... Jak ona się ubierała! Ta biżuteria... Wyłudziła ją od Francisa! ... Moja droga, a te diamenty, które miała dzisiaj na sobie! Nigdy nie widziałam czegoś równie wulgarnego... A suknia? Nie włożyła pod nią nic, poza niewidoczną prawie halką! Ciekawe, co ona robi, żeby zachować taką figurę! Wyglądała po prostu jak... - przerwało jej znaczące chrząknięcie Edwarda, więc szybko dokończyła: - Nie wiem, prawdę mówiąc, jak, ale na pewno niestosownie.

- Wyglądała jak rajski ptak - podpowiedziała Venetia. - Tak mi się wydaje, ale...

- Venetio - odezwał się Edward tonem surowej przygany — uważaj, żebyś żartując w ten sposób nie powiedziała czegoś niestosownego.

- A jak, ciociu, doszło do tego, że ojciec rozwiódł się z nią? — zapytała Venetia, ignorując uwagę Edwarda.

- Nic mnie nie skłoni do rozmowy o tym - stwierdziła pani Hendred. - Och, gdyby Francis nie uległ teściowi i nie pogodził się z nią po romansie, jaki miała z Yattendenem! Cóż, kiedy Aurelia potrafiła każdego mężczyznę owinać sobie wokół palca. Byłoby znacznie lepiej, gdyby pozostał nieugięty, ale ona przymilała się, przypochlebiała, potem urodził się Aubrey... A w jaki gniew wpadła, kiedy okazało się, że jest w odmiennym stanie! Wreszcie zjawił się Lambert Steeple i zaczął ją uwodzić. Wszyscy wiedzieli,

jak to się skończy. Jego ojciec akurat umarł i zostawił mu ogromną fortunę. Do tego był niezwykle przystojny i szokująco rozrzutny. Poza wszystkim wzorował się na księciu regencie... Ach, moja droga bratanico, błagam cię, nie pytaj mnie, jak doszło do rozwodu. Gdy tylko o tym pomyślę, robi mi się słabo... Moje sole trzęsące!... Och, mam je tutaj!

- Rozumiem teraz, dlaczego ojciec zamknął się w Undershaw i nie pozwolił nikomu wymieniać nawet jej imienia - powiedziała Venetia, wyraźnie zdumiona usłyszaną opowieścią. - Bardziej niemądrze nie mógł chyba postąpić... Ale to takie do niego podobne! Takie podobne!

- Venetio, uspokój się! - zagrzmiał surowo Edward. - Pamiętaj, o kim mówisz.

- Nie uspokoję się! - oburzyła się Venetia. - Dobrze wiesz, że nigdy go nie lubiłam, a jeśli myślisz, że jest to odpowiedni moment, by udawać, że go kochałam, to chyba kpisz sobie ze mnie. Czy znałeś kogoś równie samolubnego jak on? Pomyśl, jakimi musiał darzyć mnie uczuciami, skoro zamiast zadbać o to, żebym wychowywała się wśród ludzi, tak jak inne dziewczęta, pogrzebał mnie żywcem w swoim dworze? Czy znając mnie miał prawo przypuszczać, że w swoich skłonnościach okażę się równie podobna do matki, jak podobna jestem z wyglądu?

- O to właśnie chodzi, kochanie - powiedziała pani Hendred, zatykając korkiem flakonik z solami. - To dlatego zawsze powtarzam ci, że musisz szczególnie dbać o to, by nikomu nie dać najmniejszego powodu do stwierdzenia, że jesteś taka sama jak ona. Trudno mi więc oskarżać twojego nieszczęsnego ojca, chociaż wuj zrobił wszystko, aby go przekonać, że popełnia błąd, no ale on nigdy nie przywiązywał wagi do plotek. Jednakże Francis zawsze był takim formalistą, nigdy nie chciał narazić się opinii. Nie zniosłby takiego upokorzenia, tym bardziej że Aurelia, zamiast ukryć się przed światem, jak można by oczekiwać, paradowała po całym mieście, chociaż oczywiście nie była nigdzie przyjmowana. Pomyśl tylko, jak Francis czułby się w takiej sytuacji. Ach, drogie dziecko, jakże przykro mi mówić w ten sposób o twojej matce, ale czuję, że powinnaś poznać całą prawdę. Sir Lambert poślubił ją dopiero wtedy, gdy była już całkiem skompromitowana, zresztą

wszyscy zastanawiali się, czy istotnie ją poślubił: publiczną tajemnicą było, że jest jego kochanką i kosztuje go fortunę. Oboje zachowywali się tak, że musieliśmy się rumienić ze wstydu. Na przykład każdego popołudnia wybierali się na przejażdżkę po parku powozem zaprzężonym w cztery siwe konie w niebiesko-srebrnej uprzęży, które podobno sir Lambert kupił od Astleya, jak gdyby Aurelia nie była jego żoną, ale kimś zupełnie innym.

- Wielkie nieba! - zawołała Venetia. - Ile w tym fantazji! Nie sądzę, oczywiście, żeby to robiła wyłącznie po to, by dokuczyć swojemu mężowi. Biedny człowiek! Że też taki mężczyzna jak on musiał znaleźć się w sytuacji rogowca.

- Tak, moja droga, chociaż, błagam cię, nie używaj tak nieestosownych określeń. Widzę, że wyobrazasz sobie, jak żenujące było to wszystko, zwłaszcza kiedy nadszedł moment, by cię zaprezentować w towarzystwie. Twój wuj nalegał na Francisa, by zgodził się na to, nikt też nie może powiedzieć, że nie robiłam wszystkiego, żeby móc wprowadzić cię w świat, ale on nie dał się przekonać... może nie całkiem bez racji... Pomyśl tylko, jakie mogły nas czekać niespodzianki. Oni mieszkali wtedy przy Brook Street... to znaczy Aurelia i Steeple... a ona jest nieobliczalna i tylko Bóg wie, co mogło jej przyjść do głowy! No właśnie, choćby dzisiaj wieczór miała czelność, by pomachać ci ręką. Jakie to szczęście, że nie było tam nikogo z moich znajomych! Och, moja droga, co też, u licha, mogło ich sprowadzić do Anglii? Cały czas się nad tym zastanawiam.

- A więc oni nie mieszkają w Londynie, ciociu?

- Nie. Już od lat, chociaż podejrzewam, że sir Lambert bywa tu dość często, gdyż ma bardzo dużą posiadłość w Staffordshire. Przypuszczam, że Aurelia liczyła na to, że znajomość z księciem regentem otworzy jej drzwi salonów, ale tak się nie stało, więc sir Lambert sprzedał swój dom w Londynie... sześć czy siedem lat temu... i jak mi się wydaje, pojechali do Lizbony czy w jakieś podobne miejsce. Potem, kiedy skończyła się wojna, zamieszkali w Paryżu. Dlaczego musieli wrócić do Londynu akurat teraz, kiedy twój wuj wyjechał, tego nie wiem. I nie wiem, co w tej sytuacji robić.

- Najlepiej nic, droga ciociu - powiedziała Yenetia. - W końcu

nawet wuj nie potrafiłby ich wyekspediować z kraju! - Podniosła się z krzesła i zaczęła spacerować po pokoju. - Taki mam zamęt w głowie! - powiedziała przyciskając dłonie do skroni. - Jak to jest możliwe, że do tej pory nie dowiedziałam się o tym? Przecież wszyscy wiedzieli... Wszyscy w domu... Panna Poddemore, niania, ludzie ze wsi.

- Twój ojciec zabronił o tym mówić, moja droga. Poza tym tam, w Undershaw, nie wiedzieli o wszystkim... Twój wuj zadbał o to, żeby plotki wyciszyć. W każdym razie panna Poddemore, taka przyzwoita kobieta, nigdy nie odważyłaby się otworzyć ust w takiej sprawie.

- To prawda, ale niania... pokojówki... No tak, bały się ojca, więc żadna nie odważyła się... ale później, kiedy podrosłam...

- Musisz pamiętać, że jedynymi twoimi znajomymi w tamtym czasie byli państwo Denny, moja matka i ja - powiedział Edward. - Poza tym mijały lata. Nie twierdzę, że o skandalu zapomniano, ale nie był już na tyle świeży, by plotkować o nim w Yorkshire. Nie widzę w tym nic dziwnego, że nic do ciebie nie dotarło.

- Nic, zupełnie nic. Dobry Boże, dlaczego ojciec nie mógł mi powiedzieć?... Czy Conway wie?

- Tak, ale Conway jest mężczyzną, drogie dziecko. Musiał oczywiście wiedzieć, kiedy został wysłany do Eton, ale ojciec zabronił mu mówić o tym.

- Tajemnica... Doskonała tajemnica... - szepnęła Venetia, a potem spojrzała na Edwarda. - A więc to dlatego pani Yardley tak mnie nie lubi - stwierdziła.

- Zapewniam cię, droga Venetio, że jesteś w błędzie - powiedział Edward podnosząc rękę. - Wielokrotnie słyszałem od matki, że bardzo cię lubi. To, że od jakiegoś czasu nie życzy sobie naszego związku, wydaje się, zgodzisz się chyba ze mną, całkiem zrozumiałe, gdyż jest to osoba surowych zasad i wszystko, co ma posmak skandalu, budzi w niej niechęć, jak zresztą u każdego przyzwoitego człowieka.

- Takiego jak ty - zauważyła Venetia.

- Nie przeczę, że mnie się to też nie podoba. Ale zawsze walczyłem z sobą, by nie przywiązywać do tego większej wagi. Nie zawsze mi się to udawało. Ciągle jednak powtarzam sobie, że

nie ma w twoim charakterze czy skłonnościach nic, co mogłoby cię uczynić niegodną zajęcia miejsca po mojej matce w Netherfold. Zauważyłem, co prawda, u ciebie zbyt wiele swobody w zachowaniu, na co zresztą nieraz zwracałem ci uwagę, ale co do twojej cnoty nie mam wątpliwości.

- Edwardzie, twoja pochwała sprawia, że przestaję czuć się kobietą - powiedziała Venetia, usiadła w fotelu i dłonią zakryła oczy.

- Widzę, że jesteś wytracona z równowagi - stwierdził Edward;
- Nic dziwnego, nie mogło być inaczej, gdy dowiedziałaś się o tak bolesnych sprawach, ale nie powinnaś aż tak bardzo upadać na duchu.

- Zrobię wszystko, by nie popaść w czarną rozpacz, Edwardzie - powiedziała Venetia nieco drżącym głosem. - A teraz najlepiej byłoby, gdybyś sobie poszedł. Dalsza rozmowa na ten temat może doprowadzić mnie do ataku hysterii.

- Tak, to zrozumiałe, że chcesz teraz w samotności przemyśleć to, co przed chwilą usłyszałaś - zgodził się. - Cieszę się, że zostawiam cię w dobrych rękach - dodał i grzecznie uklonił się pani Hendred. - Jedno jeszcze chciałem przed odejściem powiedzieć: niewykluczone, że lady Steeple zechce się z tobą zobaczyć. Nie wolno ci, oczywiście, zgodzić się na to, a jeśli przysłałaby list, to nie odpowiadaj bez porozumienia ze mną. Nie będzie to łatwe, ale przemyślę wszystko starannie i nie wątpię, że potrafię poradzić ci, co powinnaś w liście do niej napisać. Proszę nie wzywać lokaja, żeby mnie wyprowadził, madam. Znam drogę.

Uścisnął dłoń gospodyni, poklepał Venetię po ramieniu i wyszedł. Pani Hendred, nieco dotknięta, powiedziała:

- Jeśli już ktoś ma ci doradzać, jak odpowiedzieć na list Aurelii, to raczej... Och, ale on chciał jak najlepiej! Biedne dziecko, jesteś zupełnie rozstrojona. Na szczęście...

- Nic mi nie jest, ciociu. - Venetia odsunęła rękę i ukazała pani Hendred roześmianą twarz. - Och, droga ciociu, proszę się rozchmurzyć. Czy ciocia nie widzi, jakie absurdalne... Nie, ciocia nie może tego widzieć, ale gdyby on został jeszcze przez chwilę, to nie potrafiłabym się opanować. „Bolesne sprawy”? Nigdy w życiu nie byłam tak uradowana.

- Venetio! - zawołała pani Hendred. - Moja najdroższa bratanico, ty chyba masz atak hysterii!

- Przysięgam, droga ciociu, że nie, chociaż, jeśli pomyślę o tych wszystkich nonsensach, jakie usłyszałam na temat mojej reputacji, to dziwię się, że nie doprowadziło mnie to do bardzo poważnego ataku... Damerel musiał znać prawdę. Musiał o tym wiedzieć! Jestem przekonana, że dobrze zna moją matkę, przecież obracali się w tym samym towarzystwie. Tak, nawet kiedyś powiedział coś, co na to wskazywało, tylko że nie potraktowałam tego poważnie. Ale... ale dlaczego, pomimo że wiedział wszystko o niej, uważał, że małżeństwo z nim skompromituje mnie? To absurd!

Pani Hendred ciągle jeszcze oszołomiona powiedziała:

- Venetio, błagam cię! To właśnie dlatego absolutnie nie powinnaś za niego wyjść! Wielkie nieba! Dziecko, pomyśl, co ludzie by powiedzieli! „Jaka matka, taka córka"! Tyle razy ci powtarzam: w twojej sytuacji musisz prowadzić się szczególnie poprawnie! Bóg jeden wie, jakie to trudne... chociaż twój wuj nie wątpi, że nie zabraknie ci bardzo korzystnych propozycji. On jest zdania, a lord Damerel zapewne również, że kiedy wszyscy uważać cię będą za pannę bez zarzutu, w niczym nie przypominającą matki, chociaż zewnątrznie do niej podobną, to żaden rozsądny mężczyzna ani przez chwilę nie będzie się wahał... Chociaż im więcej myślę o panu Foxcott, tym większe mam wątpliwości, bo on...

- Ciociu, proszę się już nad tym nie zastanawiać - powiedziała Venetia - ani nie tracić czasu na rozmyślania o wszystkich innych kandydatach na męża, których ciocia już znalazła. We mnie jest znacznie więcej z mojej matki, niż można sądzić, i jedynym stosownym dla mnie mężem będzie rozpustnik.

19

Pani Hendred przebywając w Londynie zawsze kazała podawać sobie śniadanie do sypialni, natomiast Venetia, jak wiele kobiet przywykłych do bardziej ruchliwego trybu życia, wstawała wcześniej i albo udawała się na drobne zakupy, albo na spacer do parku. Śniadanie zjadała po powrocie, w niewielkim saloniku na tyłach domu. Cieszyła się jednak takim poważaniem wśród domowej służby, że podawał jej osobiście Worting, a nie zlecał tego obowiązku któremuś z niższych rangą służących. Worting, podobnie jak panna Bradpole, na pierwszy, rzut oka poznali, że przybyła z Yorkshire bratanica pani Hendred nie jest prowincjonalną gąską, załęczoną i zaskoczoną każdym objawem uprzejmości. Oboje uznali ją za wyjątkowo sympatyczną młodą damę: ani zbyt wyniosłą, ani familiarną w sposobie bycia. Jednym spojrzeniem potrafiła przywołać do porządku impertynencką londyńską pokojówkę, jak też uciąć sobie w czasie śniadania miłą pogawędkę z Wortingiem. Rozmawiali o takich interesujących sprawach, jak koszty utrzymania domu, porównywali życie w mieście z życiem na prowincji, Worting opowiadał o zmianach w obyczajach, jakie zaszły w czasie jego wieloletniej służby. To on był najlepszym przewodnikiem Venetii po Londynie, gdyż nie uważała za ubliżające dla siebie zwracanie się do niego o radę. To on doradził jej, jakie miejsca w stolicy warte są obejrzenia i jakie napiwki należy dawać dorożkarzowi.

Następnego ranka po niefortunnej wyprawie do *teatru* Venetia nie wyszła z domu przed śniadaniem ani też nie życzyła sobie kolejnej informacji o zabytkach. Tym razem chciała wiedzieć, jakie są najbardziej eleganckie hotele w mieście. Zwróciła się więc do

osoby najlepiej poinformowanej. Worting, jak zawsze, okazał się człowiekiem doskonale w tej materii zorientowanym i z największą przyjemnością wyrecytował listę wszystkich ważniejszych hoteli, każdy opatrując mnóstwem szczegółowych informacji. Zaczął od zajazdu Osborna przy Adam Street (wygodne pokoje dla rodzin i samotnych dżentelmenów), a zakończył na takich ekskluzywnych hotelach, jak Grand w Covent Garden (jeden z najlepszych), Grillon, Royal, Clarendon, Bath, a wreszcie Pulteney, z których korzystali ludzie z najwyższych sfer. Zdaniem Wortinga najlepszy był hotel Bath na południowej stronie Piccadilly przy Arlington Street, mieszczący się w ładnym, gustownie urządzonej starym budynku, preferowany przez ludzi wytwornych i spokojnych. Gdyby jednak ktoś zechciał korzystać z elegancji połączonej z nowoczesnością, to należało mu polecić hotel Pulteney.

Jeśli Venetia miała jeszcze jakieś wątpliwości, to rozwiąła je informacja, że w czasie nieco przedwczesnych uroczystości, mających uczcić zawarcie pokoju w 1814 roku, w hotelu Pulteney zamieszkał nie kto inny, tylko car Wszechrosji, jeśli nie wspomnieć o jego dostojnej siostrze, wielkiej księżnej oldenburskiej. Teraz była już niemal pewna, że tam właśnie znajdzie sir Lamberta i lady Steeple. Poprosiła Wortinga, by przekazał pani Hendred wiadomość, że wyszła po pilne zakupy, potem włożyła niebieską aksamitną narzutkę obramowaną futrem z szynszyli, na głowę odpowiednio dobrany kolorystycznie aksamitny kapelusz z trzema strusimi piórami i wysokim, zagiętym ku górze rondem obszytym jedwabną wstążką. W ręku trzymała dużą szynszylową muflę. Wszystko to razem tworzyło tak czarujący obraz, że kiedy zjawiła się na postoju dorożek przy Oxford Street, między konkurującymi ze sobą woźnicami wybuchł ostry spór.

Po przybyciu pod hotel Pulteney, znajdujący się po północnej stronie Piccadilly w budynku, którego fronton zwrócony był w stronę Green Park, Venetia stwierdziła, że intuicja nie zawiodła jej: sir Lambert i lady Steeple zajmowali ogromny apartament na parterze, ten sam, z którego przed czterema laty korzystał Jego Cesarska Wysokość.

Venetia przesłała wizytówkę i po niespodziewanie krótkim czasie została zaproszona do przeładowanego ozdobami salonu,

gdzie sir Lambert, ubrany w szlafrok, pośpiesznie przełykał ostatnie kęsy śniadania.

Trudno wyobrazić sobie cieplejsze przywitanie, niż to, jakie sir Lambert zgotował Venetii. Można by nawet powiedzieć, że było ono nieco przesadne, gdyż po szybkim ocenieniu młodej damy okiem konesera, przyznał sobie, jako ojczymowi, prawo ucałowania jej. Venetia przyjęła te serdeczności bez sprzeciwu, przemogła chęć wyrwania się z jego ramion i uśmiechnęła się do niego z właściwą jej ujmującą słodyczą.

Sir Lambert był zachwycony. Ciągłe obejmując ją, z dłońmi lekko zaciśniętymi na jej talii powiedział:

- No, no, i kto mógł pomyśleć, że ponury, pochmurny poranek przyniesie tak piękną niespodziankę? Nagle okazało się, że słońce mimo wszystko wzeszło. I to ty nim jesteś, moja córeczko! Niechże ci się przyjrzę! - Odsunął ją od siebie na długość ramion i zlustrował od góry do dołu w taki sposób, że ogarnęło ją niemiłe uczucie, jak gdyby była zbyt lekko ubrana. - Daję słowo, nigdy nie przypuszczałem, że mam tak piękną córkę! - powiedział. - Ach, zarumieniłaś się, ale bardzo ci z tym do twarzy, moja droga. Nie musisz się jednak rumienić. Kto, jeśli nie twój ojczym może prawić ci komplementy? A więc przysłaś nas odwiedzić! Wcale nie jestem tym zaskoczony. Nie. Jeszcze wczoraj wieczór powiedziałem Aurelii, że wyglądasz na przemiłą dziewczynę, i nie pomyliłem się. Kiedy zobaczyła cię z Mary Hendred, od razu domyśliła się, kim jesteś, ale zaraz stwierdziła: „Zobaczysz, że Mary nie pozwoli jej zbliżyć się do mnie”.

- Czy... czy moja matka zechce zobaczyć się ze mną? - zapytała Venetia.

- A któżby nie chciał zobaczyć się z tobą, moja droga? Zaryzykuję nawet stwierdzenie, że piekielnie się ucieszy z twojej wizyty. Ona oczywiście nic o tym nie mówiła, ale pewien jestem, że było jej przykro, kiedy ten twój brat nie odwiedził jej. To przystojny młody człowiek, ale zbyt zadziera głowę.

- Conway? - zdziwiła się Venetia. - Gdzie go spotkaliście? W Paryżu?

- Nie, nie, w Lizbonie. Ten zarozumialec ledwie się uklonił. Wyniosły jak jego ojciec. Och, ile on zamieszania narobił tym

swoim małżeństwem! Boże drogi, jak to się stało, że dał się złapać w taką pułapkę? Tak, tak, od razu, jak się dowiedziałem, że wdowa kręci się koło niego, powiedziałem; „To jest kres jego zadzierania nosa...”. No, a co sprowadza cię do miasta, moja śliczna córeczko?

Venetia wyjaśniła krótko, że przyjechała z wizytą do ciotki, a kiedy sir Lambert dowiedział się, że jest ona pierwszy raz w Londynie, wyraził chęć pokazania jej wszystkich osobliwości miasta.

Po upływie około dwudziestu minut szykowna francuska pokojówka weszła do salonu i obwieściła, że milady gotowa jest przyjąć mademoiselle. Poprowadziła Venetię poprzez mniejszy salon i przedpokój do dużej, wytwornej sypialni. W powietrzu unosił się subtelny zapach, który sprawił, że Venetia zatrzymała się w progu.

- Och, ten zapach! - zawołała. - Pamiętam go! Tak, dobrze pamiętam!

Odpowiedział jej śmiech brzmiący jak dźwięk dzwoneczków.

- Naprawdę? Zawsze używałam tych perfum... zawsze. A ty często towarzyszyłaś mi w garderobie, kiedy ubierałam się na przyjęcia, prawda? Takim byłaś ciekawskim stworzonkiem, ale już wtedy wiedziałam, że wyrośniesz na ładną dziewczynę.

Wytracona w ten sposób z zadumy, będącej skutkiem nagłej fali wspomnień, Venetia odezwała się trochę niepewnym głosem:

- Och, bardzo przepraszam, madam. Nie przywitałam się nawet.

Lady Steeple roześmiała się ponownie, podniosła się z krzesła przy toalecie zastawionej słoikami, flakonami i puderkami i z wyciągniętymi ramionami podeszła do córki.

- Czy to nie dziwne? - powiedziała podsuwając Venetii do pocałowania lekko uróżowany i przypudrowany policzek. - Wydaje mi się wprost niewiarygodne, że mogę mieć dorosłą córkę!

Posłuszna poleceniu jakiegoś dobrego duszka Venetia odpowiedziała:

- Nikt by w to nie uwierzył, madam. Mnie też wydaje się to niemożliwe.

- Kochanie, co oni ci o mnie naopowiadali... Francis, Mary i całe to ich towarzystwo?

- Nic, madam, poza tym, że nigdy nie będę tak piękna jak pani,

a nawet o tym dowiedziałam się od niani. Do wczoraj byłam przekonana, że jestem sierotą.

- Och, nie, naprawdę? Francis ci to powiedział? Tak, jestem pewna, że on. To do niego podobne. Biedny człowiek. Tyle przykrych chwil przeżył przeze mnie. Takim byłem ciężarem dla niego! Bardzo go kochałaś?

- Nie - odparła spokojnie Venetia.

Jej lordowska mość roześmiała się raz jeszcze. Wskazała Venetii krzesło i sama znów usiadła przy toalecie, uważnie przyglądając się córce. Venetia miała teraz okazję zauważyć, że delikatna mgiełka z koronek i gazy spowijająca matkę jest w rzeczywistości szlafrocikiem. Nie był to na pewno strój, który mógł się kojarzyć z widokiem własnej matki, jako że był równie nieprzyzwoity, jak śliczny. Zastanawiała się przez chwilę, czy Damerel chciałby oglądać swoją małżonkę w takiej przejrzystej chmurce gazy. Szybko doszła do przekonania, że bardzo by mu się to podobało.

- Opowiedz mi o sobie - poprosiła lady Steeple przyglądając się odbiciu córki w lustrze. - Jesteś niezwykle do mnie podobna, chociaż nos masz nie tak prosty jak ja, no i owal twojej twarzy nie jest tak regularny. Wydaje mi się, najdroższa, że jesteś odrobinę za wysoka. Mimo to prezentujesz się wyjątkowo dobrze, Conway też jest przystojny, ale swoim sztywnym zachowaniem i głupotą zbytnio przypomina ojca, żebym mogła go polubić. Co on w tym Paryżu narobił! Mam wrażenie, że byłabyś zadowolona, gdybym pokrzyżowała plany wdowy. A mogłam to zrobić. Ona stara się uchodzić za powszechnie szanowaną osobę, więc udawała, że nic nie wie o moim istnieniu, chociaż nie ulega wątpliwości, że jest doskonale poinformowana o wszystkim. Miałam wielką ochotę złożyć jej wizytę... oczywiście po to, żeby poznać przyszłą synową. Ach, jakie byłoby to zabawne! Już nie pamiętam, dlaczego do tego nie doszło. Chyba byłam zbyt zajęta albo może Lamb... och nie, przypominam sobie! Panowały wtedy w Paryżu wielkie upały, więc przenieśliśmy się do pałacyku, do mojego Trianon! Lamb kupił go i ofiarował mi jako prezent na urodziny. Trudno wyobrazić sobie bardziej urocze miejsce! No cóż, jeśli Conwayowi odpowiadała taka cikliwa idiotka, to ma to, czego chciał. A dlaczego ty nie wyszłaś za mąż, Venetio? Ile masz lat? Może się to wydać

śmieszne, ale ja naprawdę nie wiem, kiedy urodziłam córkę. Nigdy nie pamiętam dat!

- Skończyłam już dwadzieścia pięć, madam - odparła Venetia uśmiechając się figlarnie.

- Dwadzieścia pięć! - Lady Steeple wzdrygnęła się i wyciągnęła ręce, jak gdyby starała się odepchnąć od siebie jakąś straszną zjawę. - Dwadzieścia pięć! - powtórzyła wpatrując się w swoje odbicie w lustrze. Widocznie to, co zobaczyła, podniosło ją na duchu, bo po chwili powiedziała wesoło: - Och, to niemożliwe! Byłam oczywiście prawie dzieckiem, kiedy się urodziłaś. Tylko powiedz, co się takiego z tobą działo, że tak długo pozostałaś panną?

- Nic szczególnego - powiedziała spokojnie Venetia. - Dopóki przed miesiącem nie przyjechałam do Londynu, nie widziałam miasta większego niż York i nie byłam dalej od Undershaw niż w Harrogate.

- Boże wielki! Nie mówisz chyba poważnie! - zawołała lady Steeple. - Jak żyję nie słyszałam o czymś podobnym. Opowiedz mi wszystko.

Venetia opowiedziała i chociaż matkę rozbawił opis sir Francisa jako samotnika, to jednak całą historią była prawdziwie wstrząśnięta.

- Och, moje biedne dziecko - szepnęła na koniec. - Czy nienawidzisz mnie za to?

- Nie, oczywiście że nie - zapewniła ją Venetia.

- Widzisz, moja droga, ja nigdy nie chciałam mieć dzieci - wyjaśniła lady Steeple. - Rodzenie kompletnie zniekształca figurę. Potem, w połogu, kobieta wygląda odrażająco, no i noworodki też są odrażające! Całe czerwone, pomarszczone, chociaż muszę powiedzieć, że ty i Conway jako niemowlęta wyglądaliście całkiem ładnie. Ale ten mój ostatni... zaraz, jak to Francis kazał go nazwać? Och, Aubrey, czy nie tak? Chyba po którymś ze swych durnych przodków. Tak, Aubrey. O Boże! On to wyglądał jak małpka... Przerażające! Oczywiście Francis uważał, że moim obowiązkiem jest osobiste zajmowanie się nim, zupełnie jak gdybym była jakąś wiejską babą. Nie rozumiem, skąd coś takiego przyszło mu do głowy, bo przecież wiem, że stara lady Lanyon zawsze wynajmowała mamkę. A ja po prostu nie mogłam patrzeć na to pomarszczone stworzenie. Poza tym on był tak niespokojny, że

wyprowadzało mnie to z równowagi. Zresztą nie przypuszczałam, że przeżyje, ale przeżył, prawda?

Ukryte w mufce dłonie Venetii zacisnęły się w pięści mocno aż do bólu, ale opanowała się i odpowiedziała chłodno:

- O, tak. Był niespokojny, płakał, zapewne z powodu zwichniętego stawu biodrowego. Teraz już jest lepiej, ale kiedy był młodszy, bardzo cierpiał. No i zawsze będzie utykał.

- Biedny chłopiec - powiedziała jej lordowska mość z nutą współczucia w głosie. - Czy przyjechał z tobą do Londynu?

- Nie. Nadal przebywa w Yorkshire. Londyn, jak mi się wydaje, nie ciekawi go. Jego interesują wyłącznie książki. Aubrey będzie uczonym, i to wybitnym uczonym.

- Wielkie nieba! Jakie to przerażająco nudne! - zauważyła szczerze lady Steeple. - No i pomyśleć, że żyłaś tam zamknięta z samotnym dziwakiem i kandydatem na uczonego! Aż mi się słabo robi. Biedne dziecko! Och, byłaś po prostu śpiącą królową. *Jakie to wzruszające*) Teraz powinien jednak zjawić się piękny książę i obudzić cię pocałunkiem.

- I zjawił się - powiedziała Venetia rumieniąc się lekko. - Tylko że wmówił sobie, iż nie jest księciem, tylko uzurpatorem ubranym w szaty księcia.

Lady Steeple wydawała się rozbawiona.

- Och, to psuje całą bajkę - zaprotestowała. - Poza tym dlaczego uważa się za uzurpatora? A może ma rację?

- Nie, ale wiadomo, jaki był ten książę z bajki: młody, piękny i szlachetny... i prawdopodobnie śmiertelnie nudny - dodała po chwili namysłu. - Ten mój uzurpator nie jest ani bardzo młody, ani zbyt przystojny, a już na pewno nie jest cnotliwy. Całkowite przeciwieństwo tamtego. Ale być może właśnie dlatego wcale nie jest nudny.

- Widzę z tego, że zakochałaś się w jakimś rozpustniku. Interesujące! Opowiedz mi o nim.

- Myślę, że pani go zna, madam.

- Czyżby? Któż to jest?

- To lord Damerel - odparła Venetia.

- Co takiego? - Lady Steeple podskoczyła na krześle. - To nonsens! Wymyśliłaś wszystko! - Przerwała. Milczała przez chwilę,

siedząc ze zmarszczonymi brwiami. - Tak, przypominam sobie. Oni mieli w sąsiedztwie majątek, prawda? Tylko rzadko tam bywali. A więc poznałaś go... i naturalnie zaczął cię uwodzić, a ty straciłaś dla niego głowę. To diabeł! Och, moja droga, załóżę się, że on poza twoim złamał co najmniej dwa dziesiątki serc. Obetrzyj ły i teraz ty próbuj złamać parę serc, to jest znacznie zabawniejsze. Zapewniam cię.

- Nie wydaje mi się, żeby było coś bardziej zabawnego niż małżeństwo z lordem Damerem - powiedziała Venetia.

- Małżeństwo z nim! Na Boga, nie bądź aż tak naiwna. Damerel w całej swojej skandalicznej karierze nigdy nie miał zamiaru się żenić!

- Och nie, madam. Niegdyś bardzo chciał się ożenić z Sophią Webster, ale ona zakochała się w innym. Teraz chce poślubić mnie.

- Nieszczęsna, oszukana dziewczyno! On cię zwodzi!

- Tak, istotnie, próbował mnie oszukać dowodząc, że flirtował tylko ze mną i gdyby nie to, że moja ciocia okazała się niedyskretna, nawet by mu się to udało. I właśnie... właśnie dlatego tu jestem, madam. Tylko pani może mi pomóc, jeśli oczywiście pani zechce.

- Ja mogę ci pomóc? - Lady Steeple roześmiała się, tym razem nie tak dźwięcznie jak poprzednio. - Znacznie łatwiej mogę ci zaszkodzić. Uwierz mi.

- Wiem, że jest to możliwe, madam - potwierdziła Venetia - i cieszę się, że usłyszałam to od pani, bo w tej sytuacji łatwiej mi będzie mówić. Proszę posłuchać, madam. Lord Damerel uważa, że proponując małżeństwo wyrządziłby mi ogromną krzywdę. Razem z wujem Hendredem zadecydowali, że powinnam zrobić znakomitą partię, bo gdybym poślubiła jego, najprawdopodobniej zostałabym tak jak i on wyklęta przez elegancki świat. Ale ja nie mam nic przeciwko temu i muszę przekonać go, że wolę w ten sposób zrujnować swoją pozycję towarzyską, niż dobrze wyjść za mąż za kogoś innego. Łamałam głowę, jak go o tym zapewnić, ale nie potrafiłam nic wymyślić. Bliska byłam rozpacz, gdy właśnie wczoraj wieczór ciocia powiedziała mi... Ona myślała, że będę tym przerażona, ale ja ucieszyłam się, bo nagle zrozumiałam, że istnieje osoba, która może mi pomóc w osiągnięciu celu.

- Zrujnować swoją pozycję? I to z moją pomocą? - zawołała

lady Steeple. - Och, nie! A wszystko po to, żeby wyjść za mąż za rozpustnego Damerela, który... nie wierzę! Nie, ja w to nie uwierzę!

Kiedy jednak wysłuchała Opowieści Venetii o jesiennej idylli, uwierzyła. Ze zdumieniem patrzyła na córkę, potem zaczęła beźmyślnie przestawiać słoiczki i flakoniki na toalecie.

- Ty i Damerel? - powiedziała wreszcie. - Czy sądzisz, że on dochowa ci wierności?

- Nie wiem - odparła Venetia. - Ale myślę, że będzie mnie zawsze kochał. Jesteśmy ze sobą tak zaprzyjaźnieni.

- Jesteś dziwną dziewczyną - powiedziała lady Steeple i spojrzała na Venetię. - Nawet nie wiesz, co to znaczy znaleźć się poza nawiasem towarzystwa.

- Dzięki swym rodzicom, madam, miałam okazję doświadczać tego przez całe życie - powiedziała z uśmiechem Venetia.

- Przypuszczam, że masz o to do mnie żal, ale skąd mogłam wiedzieć...

- Nie, naprawdę nie mam do pani żadnych pretensji, madam, ale ośmielę się zauważyć, że nie dała mi pani szczególnych powodów do wdzięczności - powiedziała szczerze Venetia.

Lady Steeple zachnęła się i z nutą rozdrażnienia w głosie powiedziała:

- Mówiłam ci już, że nigdy nie chciałam mieć dzieci.

- Ale nie uwierzę, że chciałaby pani, byśmy byli nieszczęśliwi.

- Oczywiście że nie, ale jeśli o to chodzi...

- Właśnie ja jestem nieszczęśliwa - powiedziała Venetia patrząc matce w oczy. - Pani może coś zrobić... doprawdy drobiazg... a ja znów będę szczęśliwa... no i ogromnie wdzięczna, z głębi serca.

- Och, co ty opowiadasz! - zawołała lady Steeple. - Zupełnie, jak gdybyś chciała mnie zirytować... Jak ty sobie to wyobrażasz? Co ja mogę dla ciebie zrobić?

Kiedy pół godziny później sir Lambert odważył się zajrzeć do pokoju, zastał swoją pasierbicę szykującą się do odejścia, a żonę w nastroju będącym stanem pośrednim pomiędzy rozbawieniem a irytacją. Nie był tym zaskoczony. Obawiał się nawet, że spotkanie z ukochaną córką może okazać się dosyć burzliwe. Na szczęście miał w zapasie wiadomość, która, jak sądził, poprawi samopoczucie drogiej Aurelii.

- Och, to ty, Lamb! - zawołała na jego widok. - Proszę cię, wejdź i powiedz mi, jak ci się podoba moja córka? Jestem pewna, że już z nią flirtowałeś, jest przecież taka śliczna! Czyż nie mam racji?

Znał dobrze ten ton: nieco wyższy niż zwykle, pełen kruchej wesołości.

- Tak, tak, masz rację - powiedział. - No i jesteście do siebie ogromnie podobne, piekielnie trudno byłoby was odróżnić, gdyby nie to, że masz nad nią pewną przewagę... Wybacz, ale muszę ci to powiedzieć - zwrócił się teraz do Venetii. - Nie jesteś dokładnie taka sama jak twoja matka. Ona ma doskonałe rysy. Tak, tak, powiedział to już Lawrence, kiedy malował jej portret. Doskonałe rysy.

Lady Steeple wstała nagle od sekretarzyka, przy którym dotąd siedziała, szybko podeszła do Venetii, wzięła ją za rękę i doprowadziła do wiszącego na ścianie lustra. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w odbite w nim twarze, a potem ku zaskoczeniu Venetii podbiegła do sir Lamberta, rzuciła mu się na szyję i zawołała:

- Lamb! Ona ma dwadzieścia pięć lat! Dwadzieścia pięć lat!

- Och, moja śliczna, cicho, cicho - powiedział głaszcząc ją czule po włosach. - Sama widzisz, że wobec tego musi minąć jeszcze sporo czasu, zanim stanie się tak piękna, jak jej matka.

Roześmiała się histerycznie i odsunęła się od niego.

- Och, jesteś chyba szalony. Zabierz ją teraz. Powinam się ubrać. Nie znoszę porannych wizyt, a ktoś może się zjawić. Wyglądam jak czarownica.

- Z tym się nie zgadzam - powiedziała Venetia, chowając do torebki zapieczętowany list. - Kiedy byłam małą dziewczynką, uważałam, że moja matka wygląda jak wróżka, i teraz widzę, że nic się nie zmieniło. Przy pani czuję się straszliwie niezgrabna. Jakże chciałabym poruszać się tak jak pani, madam, jak gdybym płynęła w powietrzu.

- Chodź, pocałuj mnie i przestań mi prawić komplementy. Idź, szukaj szczęścia i obyś je znalazła. Jeśli nie znajdziesz, to nie obwiniaj mnie za to.

- Ona wybiera się na poszukiwanie szczęścia? - zapytał sir

Lambert. - A więc już macie jakieś wspólne tajemnice. Chcę ci jeszcze powiedzieć, moja śliczna, że w salonie czeka krawcowa od Robertsa i pyta, czy możesz ją przyjąć.

- Och, mój nowy kostium do konnej jazdy! - zawołała uradowana lady Steeple. - Przyślij tu zaraz Luisę... Drogie dziecko, muszę się teraz pożegnać, naprawdę muszę. Żaden Francuz nie potrafi dobrze uszyć stroju do konnej jazdy. To dlatego przyjechaliśmy tutaj, żeby zamówić kostium u Robertsa. Nienawidzę Londynu, zwłaszcza w listopadzie.

Jeszcze raz Venetia dostała do pocałowania delikatny pachnący policzek.

- Do widzenia, madam - powiedziała. - Bardzo dziękuję. Była pani dla mnie ogromnie miła.

Dygnęła w odpowiedzi na wymuszony uśmiech lady Steeple, a potem sir Lambert wyprowadził ją z salonu.

- Cieszę się, że usłyszała od ciebie takie miłe słowa - powiedział, gdy tylko zamknął za sobą drzwi. - Aurelia ostatnio łatwo wpada w przygnębienie, rozumiesz, nie jest już taka młoda... Nie masz mi chyba za złe tego, co powiedziałem: że nie jesteś jej równa urodą.

Venetia zapewniła go, że absolutnie nie, a on wyraził chęć odprowadzenia jej do holu, gdzie zapewne ktoś na nią czeka. Kiedy dowiedział się, że przyszła sama, stwierdził, że w tej sytuacji odprowadzi ją na Cavendish Square. Zapewniła go, że często spaceruje sama, że musi jeszcze zrobić jakieś drobne zakupy na Bond Street, ale on nie dal się przekonać i nie wycofał swojej propozycji.

- Nie, nie! To niemożliwe, żeby taka piękna dziewczyna sama spacerowała! Dziwię się, że Mary Hendred na to pozwala. Wszyscy strojnisi z Bond Street wytrzeszczają zapewne na ciebie oczy. Nie, nie, musisz sprawić mi tę przyjemność i pozwolić się odprowadzić. Nie powinnaś się martwić, że twojej matce może się to nie podobać. Po prostu nic jej nie powiem.

Sir Lambert kazał lokajowi podać sobie płaszcz, kapelusz, rękawiczki i laskę, po czym ruszyli w drogę. Venetia miała nadzieję, że możliwie wielu znajomych cioci zobaczy, w jakich jest w bliskich stosunkach ze swym źle widzianym w towarzystwie ojczymem. Sir Lambert zwracał na siebie uwagę, a że tusza

uniemożliwiała mu szybkie poruszanie się, szli wolno. Nim skręcili w Bond Street, byli już przyjaciółmi. Sir Lambert zachowywał się z galanterią w stosunku do uroczej towarzyszki i zabawiał ją rozmową. Opowiedział jej parę prześmiesznych historyjek ze swej młodości, a że skwitowane zostały przez Venetię wybuchami śmiechu, poczuł się na tyle pewnie, że opowiedział jeszcze parę pikantniejszych anegdot. Towarzyszył jej w sklepie z materiałami i okazał pomoc przy wyborze muślinu na suknię, a po wyjściu ze sklepu chciał nawet nieść paczkę, ale Venetia wcisnęła ją do mufki i wytłumaczyła mu, że nigdy nie widziała nikogo z towarzystwa niosącego obwiązany sznurkiem pakunek.

Spotykali po drodze wiele eleganckich powozów i nie mniejszą liczbę dobrze ubranych przechodniów, ale dopiero przy Grosvenor Street Venetia w wyglądającej na zaskoczoną starszej damie rozpoznała znajomą pani Hendred. Ukłoniła się, a zawsze elegancki sir Lambert uchylił kapelusza i skłonił się głęboko. Kamizelka, którą miał na sobie, zatrzęszczała niebezpiecznie w szwach, a Venetia z rozbawieniem patrzyła, z jaką majestatyczną gracją tak korpulentny mężczyzna potrafi okazać uprzejmość.

Kiedy znaleźli się w okolicy sklepu jubilerskiego, sir Lambert zatrzymał się nagle.

- Wiesz co, moja droga, jeśli nie masz nic przeciwko temu, to zajrzyjmy tutaj. Biedna Aurelia jest w nie najlepszym nastroju. Pomożesz mi wybrać jakiś drobiazg dla niej, coś, co na pewno poprawi jej humor.

Venetia nie miała nic przeciwko temu, a później nawet ubawiło ją to, że dla sir Lamberta „drobiazg” znaczy nie mniej niż diamentowy wisiołek. „Aurelia uwielbia brylanty” - wyjaśnił. Venetia nie zauważyła, by jej rady były tu potrzebne, szybko jednak zorientowała się, że sir Lambert jest zadowolony, jeśli jego wybór spotyka się z jej aprobatą, zaczęła więc chwalić te wisioriki, które jemu podobały się najbardziej. Znaleźli wreszcie coś gustownego, ale sir Lambert kazał jeszcze pokazać sobie broszki. Tym razem liczył się głos Venetii. Nie znalazła uznania w jej oczach broszka bogato zdobiona diamentami i szafirami, wybrała zamiast niej prostą i śliczną z akwamarynami. Sir Lambert przekonywał ją, że akwamaryny nie należą do kamieni szlachetnych, ale ona ze

śmiechem stwierdziła, że nie ma to znaczenia: ważne, żeby broszka była ładna.

- Dobrze, dobrze - powiedział - jeśli tak uważasz, to ją kupię, bo wiem, moja droga, że masz dobry gust.

Niespodziewanie po wyjściu ze sklepu natknęli się na Edwarda Yardleya, który stał przed wystawą z rękami założonymi do tyłu i wpatrywał się w ułożone na tacy pierścionki. Odwrócił się w ich stronę akurat w momencie kiedy Venetia wsunęła rękę pod ramię sir Lamberta.

- Venetio! - zawołał tak głośno, że kilku przechodniów odwróciło się w ich stronę.

- Dzień dobry, Edwardzie - odpowiedziała z kamiennym spokojem. - Bardzo się cieszę z naszego spotkania, ale nie musisz wszystkich na ulicy informować, jak mam na imię... Sir, czy pozwoli pan przedstawić sobie pana Yardleya? To mój stary przyjaciel z Yorkshire. Edwardzie, wydaje mi się, że nie znasz mojego ojczyma... sir Lambert Steeple.

- Dzień dobry - powiedział sir Lambert, podając Edwardowi dwa palce. - Widzę, że chętnie wysłałby mnie pan do diabła, nieprawdaż? Nie mam panu tego za złe, ale nie zrezygnuję z mojego odnalezionego nagle skarbu. Nie, nie, może pan patrzeć na mnie jeszcze groźniej, ale ta rączka pozostanie tu, gdzie jest.

Edward niewątpliwie chętnie postąpiłby zgodnie z tym, co usłyszał. Sir Lambert delikatnie, czułym gestem poklepał dłoń Venetii i uśmiechnął się do niej, ale w sposób tak daleki od ojcowskiego, że Edward nie potrafił się opanować i rozdrażnionym tonem oznajmił:

- Idę właśnie w stronę Cavendish Square, sir, więc odprowadzę pannę Lanyon.

Sir Lambert był wyraźnie ubawiony. Zmierzył Edwarda od stóp do głowy, rejestrując każdy szczegół demaskujący go jako prowincjonalnego dziedzica, zamożnego, ale pozbawionego miejskiej ogłady. Domyślił się, że jest on starającym się o rękę Venetii, na co wskazywał sposób, w jaki zwracali się do siebie. Przyszło mu co prawda do głowy, że mogłaby dokonać lepszego wyboru, ale w końcu, pomyślał, ona sama wie, co dla niej jest dobre. Spojrzał na Venetię i zapytał:

- Pozwolimy mu, moja droga, iść z nami. czy pożegnamy go już tutaj? Jak sądzisz?

Tego już dla Edwarda było za wiele. Zaczerwienił się, bo nie tylko ogarnęła go wściekłość na widok Venetii ciągle trzymającej sir Lamberta pod rękę, ale szczególnie cierpiało jego poczucie godności pod jowialnym, choć nieco drwiącym spojrzeniem tego człowieka. Sir Lambert miał blisko dwa razy tyle lat co Edward, ale Edward zazdrościł mu swobody bycia, a przede wszystkim irytowało go to, że potraktowany został jak zazdrosny wyrostek. Spojrzał na niego z wściekłością i powiedział, siłąc się na wyszukaną grzeczność:

- Panna Lanyon jest panu bardzo zobowiązana, ale nie chciałyby dłużej sprawiać panu kłopotu.

- Tak, tak, właśnie widzę - zaśmiał się sir Lambert. - Widzę też, do czego to zmierza. Chciałby pan zapewne spotkać się ze mną o świecie. Świetnie! Lubię takich dzielnych młodzieńców. Boże, jaki ja byłem niegdyś zawzięty, ale to takie dawne czasy, jeszcze zanim pan się urodził, mój chłopcze. Nie może mnie pan wyzwać, wie pan o tym. No dobrze, już dobrze, nie powinienem kpić z pana. Chodźmy razem do końca tej ulicy, a potem, jeśli moja śliczna córeczka będzie sobie tego życzyć, odprowadzi ją pan do domu.

Zanim Edward zdołał cokolwiek powiedzieć, włączyła się w rozmowę Venetia.

- Oswald Denny jak żywy! - zawołała. - Mój drogi Edwardzie, nie ośmieszaj się. Błagam cię.

• - A kto to jest Oswald Denny? - zapytał sir Lambert. - Możesz udawać skromną panienkę, ale mnie nie oszukasz, koteczku. Tak, tak, widzę iskierki w twoich oczach. Założę się, że wszyscy kawalerowie w Yorkshire skłóceni są z twego powodu.

Roześmiała się i spróbowała skierować rozmowę na tematy mniej dla Edwarda kłopotliwe, a on zdecydował nie zostawiać jej samej z sir Lambertem. Ponieważ nie mógł Venetii oderwać siłą od podstarzałego eleganta, pozostawało mu tylko kroczyć obok nich i demonstracyjnie odpowiadać monosylabami na kierowane do niego od czasu do czasu pytania.

Gdy dotarli do krańca ulicy, Venetia zatrzymała się, uwolniła swą dłoń spod ramienia sir Lamberta i zwróciła się do niego z przyjacielskim uśmiechem:

- Dziękuję, sir, był pan szalenie uprzejmy, odprowadzając mnie aż tak daleko, i byłoby z mojej strony nietaktem, gdybym zmusiła pana do jeszcze dłuższego spaceru. Jestem panu ogromnie zobowiązana... poza tym po namyśle muszę przyznać panu rację. Indyjski muślin jest najbardziej odpowiedni.

Wyciągnęła do niego dłoń, on uściśnął ją ciepło i uniósł przy tym kapelusz gestem, którego pozazdrościć mógłby każdy młody elegant. Venetia zorientowała się, że wsuwa jej w dłoń mniejsze z dwóch pudełeczek wyniesionych ze sklepu jubilerskiego.

- Ależ, sir... - szepnęła.

Mocniej zacisnęła jej palce na pudełeczku.

- To drobiazg. Przedmiot o bardzo małej wartości, ale tobie najbardziej się podobał. Pozwól, że dam ci go w prezencie. Taki drobiażdżek od ojczyma.

- Och, nie! - zawołała. - Naprawdę, sir, pan nie może... Proszę!

- Nie, nie. Weź to, moja droga. Sprawisz mi w ten sposób ogromną radość. Nigdy, jak wiesz, nie miałem córki, ale gdybym miał, to chciałbym, żeby była taka jak ty, z taką śliczną buzią i twoim wdziękiem.

Venetia była wzruszona. Nie bacząc na przechodniów i stojącego obok z gniewną miną Edwarda, stanęła na palcach i jedną ręką opierając się o ramię sir Lamberta pocałowała go w policzek.

- A ja żałuję, że nie jest pan moim ojcem -- powiedziała.

- Kochałabym pana bardziej niż własnego. Przyjmę ten upominek i obiecuję, że zawsze nosząc tę broszkę myśleć będę o panu.

Sir Lambert objął ją i uściśnął.

- No dobrze, dobrze, dziewczyno - powiedział zduszonym głosem. Potem główką łaski stuknął Edwarda w ramię i dodał: - Możesz ją teraz zabrać, ale gdybym był chociaż o dziesięć lat młodszy, to, do pioruna, nie poszłoby ci ze mną tak łatwo.

Po tych słowach ukłonił się jeszcze raz, włożył kapelusz na głowę i powędrował z powrotem w stronę hotelu, bystrym okiem przyglądając się każdej mijanej godnej uwagi kobiecie.

- Nawet nie przypuszczałam, że to taki miły człowiek - powiedziała Venetia, zapominając, że nastroj Edwarda niezupełnie harmonizuje z jej nastrojem.

- Ja natomiast mogę tylko podejrzewać, że opuścił cię całkiem zdrowy rozsądek - odparł Edward.

Venetia z życzliwym rozbawieniem obserwowała sir Lamberta, ale na te słowa odwróciła się do Edwarda i powiedziała cierpko:

- Wydaje mi się, że to raczej tobie rozsądek nie dopisał. Co cię opętało? Dlaczego się w ten sposób zachowywałeś? Chyba nigdy nie musiałam się aż tak wstydzić.

- Nigdy nie musiałś się tak wstydzić? - oburzył się. - Nie rozumiem, jak możesz tu stać, Venetio, i mówić mi takie rzeczy...

- Nie zamierzam ani stać tutaj, ani nic więcej mówić - przerwała mu i zeszła z chodnika na jezdnię. Kręcący się obok ulicznik gorliwie pomógł jej przecisnąć się pomiędzy pojazdami i przechodniami. - Przystań zachowywać się jak ponurak i daj temu chłopcu pensa.

Kiedy znaleźli się po przeciwnej stronie Oxford Street, Edward zapytał szorstko:

- Jak to się stało, że spotkałem cię w towarzystwie tego starego lowelasa?

- Proszę cię, pamiętaj, że mówisz o moim ojczymie - odpowiedziała chłodno. - Odwiedziłam matkę, a on był tak uprzejmy, że postanowił odprowadzić mnie do domu.

- Odwiedziłaś swoją matkę? - powtórzył, jak gdyby nie dowierzał własnym uszom.

- Oczywiście. Czyżbyś miał coś przeciwko temu?

- Tak, i to bardzo wiele. Widzę, że powinienem ci uświadomić, kim oni są, tyle że nie chcę prowadzić tej rozmowy w publicznym miejscu. Lepiej będzie, jeśli odłożymy to na później.

Venetia nie odpowiedziała. Szła spokojnie, zupełnie nieporuszona, a on kroczył obok z ponurą miną, ściągniętymi brwiami i zaciśniętymi wargami. Milczeli, dopóki nie stanęli na schodach domu wuja. Tutaj Venetia spojrzała na niego i powiedziała:

- Możesz wejść ze mną, ale nie pokazuj służbie takiej ponurej twarzy. O twoim złym humorze wie już dostatecznie wiele osób.

Drzwi otworzył im młodszy lokaj i weszli do domu. Venetia zatrzymała się, by zapytać, czy pani Hendred jest w domu, i dowiedziała się, że po źle przespanej nocy ciocia nie opuściła jeszcze sypialni. Zaprowadziła więc Edwarda do salonu.

- Teraz możesz powiedzieć to, co zamierzałeś - zaproponowała zdejmując rękawiczki. - Tylko proszę cię, Edwardzie, spróbuj najpierw uświadomić sobie, że ja jestem panią samej siebie. Tobie, jak sądzę, wydaje się, że masz jakieś prawa do mnie, ale mylisz się i nieraz już ci o tym mówiłam.

Edward stał patrząc na nią ponuro. Odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

- Pomyliłem się co do twojego charakteru. Łudziłem się, że twoja lekkomyślność, nad którą często ubolewałem, ma swoje źródło w żywym usposobieniu, nie zaś w głębszych skłonnościach. Teraz dopiero otworzyły mi się oczy.

- Ogromnie się cieszę, bo był już ku temu najwyższy czas. Tylko nie oskarżaj mnie, że cię oszukiwałam. Ty sam siebie oszukiwałeś i nie wierzyłeś w to, co mówię. Prawda jest taka, Edwardzie, że ulepieni jesteśmy z innej gliny. Mam dla ciebie wiele szacunku...

- Szkoda, że nie mogę tego samego powiedzieć o tobie.

- Och, stajesz się niegrzeczny! Uściśnijmy sobie dłonie i zakończmy tę rozmowę. Możemy sobie najwyżej życzyć szczęścia.

Nie podszedł, by uściśnąć wyciągniętą ku niemu dłoń, tylko powiedział grobowym głosem:

- Moja matka miała rację!

Poczucie humoru Venetii wzięło górę nad irytacją. W jej oczach roz błysły iskierki.

- O, tak. Z całą pewnością miała rację - potwierdziła siląc się na powagę.

- Ostrzegала mnie przed skutkami zaślepienia. Szkoda, że jej nie posłuchałem. Oszczędzone by mi zostało upokorzenie związane z odkryciem, że kobieta, którą zamierzałem poślubić, pozbawiona jest serca i zasad, chociaż...

- ...choć wszystko dobre, co się dobrze kończy. Wiesz przecież o tym. W przyszłości postępuj tak, jak życzy sobie twoja matka, a ona już z pewnością znajdzie dla ciebie odpowiednią żonę.

- Powinienem wiedzieć, czego mogę po tobie oczekiwać, kiedy mimo moich protestów bywałaś codziennie w Priory. Wydaje mi się, że masz wyraźne skłonności do libertynizmu.

- Ależ to prawda, Edwardzie - powiedziała z uśmiechem.
 - Mam takie skłonności. A teraz najlepiej byłoby, gdybyś sobie poszedł. Wylałeś wszystkie swoje żale, więc nadeszła pora, żebym zobaczyła, co robi ciocia.

- Jutro pierwszym dyliżansem wyjadę z Londynu - obwieścił i ruszył w stronę wyjścia.

Ledwie ucichł odgłos jego kroków na schodach, gdy drzwi salonu znów się otworzyły i weszła pani Hendred, wyraźnie wzburzona.

- Kochanie, co się stało, że pan Yardley wyszedł z domu taki zagniewany? - zapytała. - Właśnie schodziłam, gdy ujrzałam, jak wychodzi z salonu z takim wyrazem twarzy, że po prostu przeraziłam się. Zapytałam, co go tak wzburzyło, ale on nie zatrzymał się nawet, powiedział tylko, że dowiem się wszystkiego od ciebie, i odszedł, zanim zdołałam złapać oddech. Och, Venetio, chyba nie powiesz, że pokłóciłaś się z nim?

- Chętnie powiedziałabym, że nic takiego się nie zdarzyło, ale byłaby to nieprawda - odparła Venetia i roześmiała się. - Ach, droga ciociu, jakiego on durnia z siebie zrobił! Obawiam się tylko, że ciocia będzie równie wstrząśnięta, jak on. Odwiedziłam swoją matkę, a potem Edward spotkał mnie na Bond Street, kiedy wracałam do domu pod rękę z sir Lambertem.

Venetia jeszcze raz musiała powtórzyć to wyznanie, zanim jego treść dotarła do pani Hendred, a potem była zmuszona podtrzymać biedną damę, póki ta nie usiadła na swoim ulubionym fotelu. Ten następny wstrząs, po tym jakiego doznała poprzedniego wieczoru, był już nie do zniesienia dla zszarpanych nerwów pani Hendred. Wybuchnęła płaczem, a potem wygłosiła przerywany szlochom monolog, który był zarazem jeremiadą i diatrybą. Venetia nie próbowała się bronić przed gradem oskarżeń, skoncentrowała się tylko na uspokajaniu cioci. Wreszcie wyczerpana pani Hendred zamilkła, z zamkniętymi oczami opadła na oparcie fotela, pojękując cicho, i tylko gestem rąk odpychała od siebie niewdzięczną bratanicę. Venetia zdecydowała się nie podejmować żadnych dalszych prób przekonania cioci o swoich racjach i wyszła, żeby wezwać pannę Bradpole. Powierzywszy panią Hendred fachowej opiekunce, jeszcze raz opuściła dom. Udała się znów na postój dorożek.

- Na Lombard Street, proszę - poleciła woźnicy. - Do głównej stacji dylizansów pocztowych.

Na Cavendish Square wróciła późnym popołudniem. Od panny Bradpole dowiedziała się, że pani Hendred kazała położyć się do łóżka, ale nie zgadza się na wezwanie doktora. Dała się jedynie namówić na lekki podwieczorek: filiżankę bulionu, kawałek kurczaka i krem ratafiowy. Po posiłku poczuła się nieco lepiej i zasnęła. Venetia pokrótce poinformowała pannę Bradpole o przyczynach załamania ciotki i udała się do swojego pokoju.

Nieco później delikatnie zapukała do drzwi sypialni pani Hendred. Ciocię zastała w łóżku, opartą o stertę poduszek. Na głowie miała zgrabny, zawiązany pod brodą nocny czepeczek, w jednej ręce trzymała chusteczkę, w drugiej flakonik z solami trzeźwiącymi. Na stoliku koło łóżka stała cała bateria leków wzmacniających i uspokajających. Słyszac głos Venetii zwróciła pełen wyrzutu wzrok w jej stronę i westchnęła ciężko. W tym momencie zauważyła, że Venetia ma na sobie strój podróżny i w jej zachowaniu zaszła nagła zmiana. Usiadła i mocnym głosem zapytała:

- Dlaczego tak się ubrałaś? Gdzie ty się wybierasz?

Venetia podeszła do łóżka, nachyliła się nad ciocią i czule pocałowała w policzek.

- Najdroższa ciociu, jadę do domu.

- Nie, nie! - zawołała pani Hendred i złapała ją za rękaw. - Na Boga! Ja chyba oszaleję! Nie chcę o tym słyszeć! Nie wiem, co mam robić, ale twój wuj na pewno znajdzie najlepsze wyjście, uwierz mi. Venetio, jeśli powiedziałam coś...

- Ależ nie - zaprotestowała Venetia, uśmiechając się do niej i głaszcząc ją uspokajająco po ramieniu. - Tyle tylko, że powinna ciocia zrezygnować z prób odbudowania mojej reputacji. Bardzo była ciocia dla mnie miła i jest mi ogromnie przykro, że tyle przysporzyłam swoją osobą kłopotów, ale, proszę mi wierzyć, tu wchodzi w grę całe moje przyszłe życie. Właśnie o nie walczę i sama nie wiem, czy nie jest już zbyt późno. Proszę mi wybaczyć, kochana ciociu, i... spróbować zrozumieć.

- Venetio, zastanów się tylko! - zawołała pani Hendred. - Dobry

Boże, nie możesz przecież narzucać się temu mężczyźnie! Co on sobie pomyśli?

- Już się zastanowiłam. Moja decyzja istotnie może wydać się szokująca. Mam tylko nadzieję, że nie zabraknie mi odwagi. Nie, raczej nie, bo przecież nie powiem mu nic takiego, czego by nie zrozumiał. Proszę się nie martwić. Nie chciałam cioci niepokoić, ale przecież nie mogłam wyjechać bez pożegnania i bez podziękowania za okazaną mi dobroć. Pannie Bradpole i Wortingowi powiedziałam, że Edward przyniósł złe wiadomości o Aubreyu i ma towarzyszyć mi w podróży do Yorku, więc nie musi się ciocia przejmować tym, co powie służba. Zapakowałam swój kufer i poprosiłam Betty, żeby wysłała go pocztą. Ze sobą zabieram tylko torbę podróżną.

- Posłuchaj, Venetio. Nie wyjeżdżaj, dopóki nie poradzimy się wuja - powiedziała pani Hendred. - Będzie w domu jutro przed śniadaniem, a może nawet dzisiaj wieczór. A teraz...

- Nie, nie! Za żadne skarby - broniła się Venetia. - Jestem mu bardzo zobowiązana, ale na samą myśl, że mógłby znaleźć jeszcze inny sposób przyjscia mi z pomocą, ogarnia mnie przerażenie!

- Zaczekaj, drogie dziecko! Mam świetny pomysł! Bezwzględnie powinnaś sprawdzić, czy twoje uczucia nie zmieniają się, kiedy lepiej poznasz świat. Nie, nie, posłuchaj... Nie powiem ani słowa przeciwko temu straszemu małżeństwu, ale sam lord Damerel wyjaśni ci, że nie należy wiązać się zbyt pochopnie. Wuj znajdzie jakiś sposób, żeby wybrnąć z tego, co zdarzyło się dzisiaj, a ja odsunę na później debiut Theresy i wiosną ciebie wprowadzę w elegancki świat.

- Och, biedna Theresa! Ona liczy dni dzielące ją od debiutu - roześmiała się Venetia.

- Może poczekać jeszcze rok - powiedziała zdecydowanie pani Hendred. - Zresztą skłonna jestem uważać, że nawet powinna. Parę dni temu zauważyłam wyprysk na jej twarzy, a przecież wiesz, moja droga, że jeśli pojawi się ich więcej, to ona sama nie zechce pokazać się ludziom. Młode dziewczęta zawsze pragną pięknie wyglądać, więc w najbliższym sezonie i tak nie będzie chciała zadebiutować. I co ty na to?

GEORGETTE HEYER

- Straszne! - szepnęła Yenetia, pocałowała ciocię w policzek, potem uwolniła z jej uchwytu rękaw i odwróciła się w stronę drzwi.
- Na długo, zanim sezon się skończy, a może nawet zacznie... Damerel znajdzie się, Bóg wie gdzie, i będzie obsypywał płatkami róż jakąś zdeprawowaną kobietę! Na jedno tylko jestem zdecydowana: jeśli on chce się oddawać tego rodzaju zabawom, to niech rzuca te różane płatki pod nogi mnie, a nie jednej z tych swoich pożałowania godnych kurtyzan! - powiedziała.

Potem obejrzała się jeszcze posłała cioci pocałunek i po chwili zniknęła za drzwiami.

20

Do Yorku Venetia przybyła następnego dnia po południu. Dylizans opóźnił się znacznie z powodu gęstej mgły w Londynie i okolicach. Wsiadając z dylizansu była w nastroju daleko lepszym niż w czasie poprzedniej podróży, ale za to czuła się znacznie bardziej wyczerpana i rozbita, więc zamiast natychmiast wynająć powóz i pojechać do Priory, wzięła w zajeździe pokój i kazała podać sobie herbatę i dużo gorącej wody. Chociaż pragnęła szybko znaleźć się u celu podróży, nie chciała jednakże zjawiać się tam rozczochrana, z nieświeżą twarzą, w pogniecionej sukni. Kiedy pokojówka zaprowadziła ją do sypialni, jedno spojrzenie w lustro wystarczyło, by przekonać ją, że żadna dama, nawet piękna, nie powinna po przebyciu dwustu mil pocztowym dylizansem, wiozącym komplet sześciu pasażerów, pokazywać się zaraz po podróży w miejscu przeznaczenia.

I tak zresztą miała szczęście, że bez dłuższego oczekiwania udało jej się dostać miejsce w dylizansie. Naturalnie nie było to wygodne miejsce w rogu, toteż szybko zorientowała się, że podróż prywatnym powozem różni się od podróży dylizansem pocztowym jak niebo od ziemi. W przeciwieństwie do dwóch pasażerów, którzy przez całą noc przeraźliwie chrapali, Venetia nie zmrzyła oka. Kiedy więc rano zarządzono krótką przerwę w podróży dla spożycia śniadania w przydrożnej oberży, była tak zmęczona, że zdołała przełknąć tylko dwa łyki gorącej kawy, którą po piętnastu minutach oczekiwania podał kelner, po czym znów została wezwana do zajęcia miejsca w powozie.

Umycie twarzy i filiżanka herbaty ożywiły ją nieco, ale pomyślała, że gdyby tak przez pół godzinki zdrzemnęła się na szerokim,

osłoniętym baldachimem łożu, to na pewno pozbyłaby się dokuczliwego bólu głowy. I to ją zgubiło, gdyż ledwo położyła się i przykryła narzutą, zasnęła mocno.

Obudziła się w ciemności. Zegar na wieży kościoła wybił akurat trzy kwadranse. Podniosła się i pociągnęła za zwisający obok łóżka sznur od dzwonka. Kiedy zjawiła się pokojówka ze świecą, z ulgą stwierdziła, że nie jest jeszcze bardzo późno: dochodziła siódma. Pokojówka, miła zresztą dziewczyna, powiedziała, że zajrzała tu o czwartej, ale nie miała sumienia jej budzić. Poinformowała teraz Venetię, że jeśli szybko się ubierze, zdaży jeszcze zjeść kolację, którą akurat zaczynają podawać w jadalni. Nie bacząc na to, że czuła się bardzo głodna, Venetia odmówiła. Poprosiła natomiast pokojówkę, żeby zamówiła dla niej powóz zaprzężony w parę koni bądź jakiś inny pojazd, który mógłby zawieźć ją do Priory. W tym czasie zamierzała przebrać się w świeżą suknię, którą już wcześniej wyjęła z torby podróźnej.

Kiedy kładła się na to zdradliwe łoże, miała zamiar po półgodzinnym odpoczynku zajść do biura pana Mytchetta, gdyż po zapłaceniu za bilet, śniadanie, którego nie zdażyła zjeść, i wręczeniu napiwków obsłudze dyliżansu, jej zasoby stopniały tak bardzo, że pieniędzy wystarczyło już tylko na opłacenie rachunku w zajeździe. Wsiadając jednak do bryczki, bo tylko taki pojazd udało się znaleźć, pomyślała, że przecież w Priory znajdzie się ktoś: Aubrey, Damerel czy nawet Imber, kto zapłaci za jej przejazd.

Jednakże Imber, otwierając drzwi przed całkiem nieoczekiwanym gościem przybyłym o wpół do dziewiątej wieczorem, wytrzeszczył bardziej niż zwykle oczy, a jej prośbę, by zapłacił chłopcu powożącemu bryczką, powtórzył tak dziwnym tonem, że Venetia zniecierpliwiła się i powiedziała:

- Och, cóż to za problem? Jego lordowska mość zaraz da pieniądze. Gdzie mogę go znaleźć? Czy jest w bibliotece?

Imber patrzył na nią przez chwilę, wreszcie przecząco pokręcił głową. Nagłe uczucie lęku ścisnęło serce Venetii.

- Nie... nie ma go? Imber, czy on wyjechał z Yorkshire? - zapytała zacinając się. - No, nie stój i nie patrz na mnie, jak gdybym była duchem. Gdzie jest jego lordowska mość?

- W jadalni, panienko - powiedział - ale... ale on... zalewa robaka, panno Venetio! Nie powinna pani być... panienko...

Venetia nie zwróciła uwagi na niezupełnie dla niej zrozumiałą uwagę i błagalny ton głosu starego lokaja, tylko ruszyła szybko przez hol w kierunku jadalni. Otworzyła energicznie drzwi, ale potem stanęła na progu, wahając się przez chwilę, gdyż nagle uświadomiła sobie, że poza pragnieniem ujżenia ukochanego odczuwa pewne zawstydenie.

Przez całą drogę przeżywała w wyobraźni to spotkanie. Próbowwała odgadnąć, jak wygląda teraz Damerel, co powie i jakimi słowami ona go powita. Nie przyszło jej do głowy, że ani się nie odezwie, ani nawet nie spojrzy na nią. Nie wyobrażała sobie, że to spotkanie może aż tak bardzo różnić się od poprzednich.

Damerel był sam. Siedział niedbale na krześle przy stole, palce ręki opartej o blat zaciśnięte miał na nóżce kieliszka. Przed nim stała opróżniona do połowy karafka, korek od niej leżał obok. Damerel zawsze ubierał się dość swobodnie, nigdy jednak nie wyglądał tak nieporządnie. Fular miał rozwiązany, kamizelkę rozpiętą, a jego czarne włosy wyglądały, jak gdyby potargał je huraganowy wicher. Siedział bez ruchu z nogami wyciągniętymi przed siebie, wzrokiem wbitym w przestrzeń. Rysy jego twarzy stały się jeszcze bardziej wyraziste, ożywiał je tylko szyderczy uśmiech. Kiedy Venetia zbliżyła się i znalazła w kręgu światła rzucanego przez świece, spojrzał wreszcie na nią. Zatrzymała się zawstydzona z niepewnym, pytającym uśmiechem na twarzy. Patrzył na nią przez chwilę, jak gdyby nie dowierzał własnym oczom, a potem, ku jej przerażeniu, złapał się za głowę i zawołał ochrypłym głosem:

- O Boże! Nie!

Ta zupełnie nieoczekiwana reakcja na jej przybycie mogła speszzyć Venetię, ale w tym momencie zorientowała się, że jego lordowskiej mości, oględnie mówiąc, nic poważnego nie dolega, więc nie przejęła się zbyt, a nawet była nieco rozbawiona.

- Och, milordzie, czy musiał się pan upić akurat w takiej chwili? - zapytała. - Jak pan mnie wita, drogi przyjacielu?

Ręce mu opadły, jeszcze raz spojrzał na nią z niedowierzaniem, potem wstał, przewracając przy tym kieliszek.

- Venetia! - szepnął. - Venetia!

Dwoma szybkimi, chociaż niepewnymi, krokami ominął róg stołu, a ona podbiegła i rzuciła mu się na szyję.

Trzymał ją długo w mocnym uścisku, całował ją gorąco i szeptał przy tym nieskładnie:

- Moja kochana... moje serce... och, moja najdroższa radości! To ty!

Zarzuciła mu rękę na szyję, drugą czułym gestem odsunęła niesforny lok z jego czoła. Jeśli dotąd dręczyły ją jakieś wątpliwości czy skrupuły, to teraz zniknęły bez śladu! Uśmiechnęła się do niego miłośnie i szepnęła pieszczotliwie:

- Ach, ty głuptasie...

Roześmiał się krótko, pocałował ją raz jeszcze, a potem przytulił tak mocno, że z trudem mogła oddychać. Po chwili ochłonał nieco, rozluźnił uścisk i powiedział:

- Chyba czuć ode mnie zapach brandy.

- To prawda - potwierdziła szczerze. - Ale proszę się tym nie przejmować, szybko się do tego przyzwyczaję.

Uwolnił ją i przycisnął dłonie do oczu.

- Do wszystkich diabłów, jestem pijany jak bela. Zupełnie nie mogę... - Ręce opadły mu nagle i zapytał niemal ze złością: - Co panią tu sprowadza? O Boże, dlaczego pani przyjechała!

- Przywiózł mnie dylizans, a po co, zaraz się pan dowie. Och, drogi przyjacielu, tyle mam panu do opowiedzenia, ale najpierw muszę zapłacić za bryczkę. Wygląda na to, że Imber nie ma pieniędzy, więc jeśli to możliwe, proszę mu dać swoją sakiewkę.

- Jaką bryczkę?

- Bryczkę, którą wynajęłam w Yorku, żeby tu dojechać. Nie mam dość pieniędzy, żeby zapłacić, w ogóle jestem zrujnowana i musi mnie pan poratować. Bardzo proszę, niech mi pan da swoją sakiewkę.

Odruchowo sięgnął do kieszeni, ale najwyraźniej była pusta. Venetia widząc, że nic tu nie wskóra, odwróciła się z zamiarem szukania pomocy u Aubreya, ale zobaczyła stojącego w progu Imbera z twarzą wyrażającą głęboką dezaprobatę, ale również zaciekawienie i zaskoczenie.

- Marston zapłacił już woźnicy, panienko - powiedział. - Ale

jeśli wolno mi zapytać, to jak długo ma on na panią czekać? Panno Venetio, pani chyba nie zamierza tutaj zostać?

- Zamierzam - odparła. - Powiedz Marstonowi, żeby odesłał bryczkę.

Ostatnie słowa dotarły do zamroczonego nieco Damerela.

- Nie! - powiedział stanowczo, a nawet nieco brutalnie.

- Słusznie, milordzie - zgodził się z ulgą Imber. - Czy kazać mu podjechać za chwilę, czy...

- Nie zwracaj uwagi na to, co mówi jego lordowska mość - przerwała mu Venetia. - Na pewno widzisz, że nie czuje się najlepiej. Odeślij bryczkę, a potem, jeśli nie chcesz, żebym zemdląła, każ podać mi kolację. Od wczoraj jadłam tylko kromkę chleba z masłem i umieram z głodu. Przepraszam panią Imber za kłopot i powiedz jej, że wystarczy mi jakiś skromny zimny posiłek.

Imber spojrział na swojego pana w nadziei, że otrzyma inne rozkazy, ale zorientował się, że Damerel zajęty jest porządkowaniem własnych myśli i wcale nie zwraca na niego uwagi, więc oddalił się, by spełnić polecenie Venetii.

- Venetio! - odezwał się Damerel głosem sztucznie dobitnym.

- Pani nie może tu pozostać. Nie zgadzam się na to. Jest to poza wszelką dyskusją. Nie jestem aż tak nietrzeźwy, żeby tego nie rozumieć.

- To nonsens, drogi przyjacielu. Rolę przyzwoitki będzie pełnił Aubrey i to wystarczy. A propos, gdzie on jest?

- Nie ma go - Damerel potrząsnął głową. - Pojechał do... zapomniałem nazwiska... jakiś pastor!

- Czyżby pan Appersett wrócił? - zapytała. - Gdybym wiedziała... Aubrey wyprowadził się, prawda? Och, nic na to nie można poradzić, a prawdę mówiąc nie ma to dla mnie większego znaczenia.

- Nie, nie wyprowadził się. Pojechał tylko na obiad na plebanię. No właśnie, Appersett... Wrócił do domu wczoraj lub przedwczoraj. Nie pamiętam, ale to nie ma nic do rzeczy. Pani nie może tu pozostać.

- Tak. Chyba wszystko rozumiem - zauważyła Venetia, ironicznie przyglądając się Damerelowi. - Jestem przekonana, że tak zachowują się wszyscy mężczyźni. Pamiętam, że jeśli kiedykolwiek Conway był wstawiony, zawsze mu coś idiotycznego przychodziło do głowy i upierał się przy tym jak osioł.

- Idiotyczne! - powtórzył, a potem roześmiał się. - Myślałem, że już nigdy nie usłyszę tego słowa z pani ust.

- Czyżbym go często używała? - zapytała, a kiedy potwierdził skinieniem głowy, dodała: - Widzę, że jest to dla pana bardzo irytujące. Muszę się lepiej pilnować.

- Nie, nie jest irytujące. Powtarzam jednak: pani nie może tu zostać.

- Ostrzegam, mój drogi, że jeśli każe mnie pan wyrzucić, to zbuduję sobie szałas przy bramie i najprawdopodobniej umrę na zapalenie płuc, bo listopad nie jest najlepszym miesiącem do biwakowania... Dobry wieczór, Marston. Zapłaciłeś za mnie wóznicy? Bardzo ci jestem zobowiązana.

- Dobry wieczór, madam - powiedział lokaj uśmiechając się znacząco. - Czy wolno mi zauważyć, że ogromnie się cieszę z pani przybycia?

- Dziękuję, To ja bardzo się cieszę, że jestem tutaj - odpowiedziała ciepło. - Ale lordowska mość zagroził, że mnie wyrzuci. Zupełnie jak gdyby moja wizyta nie była mu na rękę.

- Tak to bywa, madam. - Marston doświadczoneym okiem zmierzył Damerela. - A może zechciałaby pani udać się do pokoju panicza Aubreya, zdjąć kapelusz i pelerynę? Pali się tam na kominku i kazałem pokojówce przynieść dzbanek z gorącą wodą, gdyby chciała pani umyć ręce. Pani torba podróżna już tam jest.

Lokaj uklonił się i ruszył ku drzwiom.

- Zaczekaj - powiedział Damerel. - Posłuchaj, co ci powiem.

- Tak, milordzie, ale za moment - odparł Marston. Uchylił drzwi dla Venetii i wyszedł z nią do holu. - Dla pani przygotowujemy pokój obok sypialni panicza. Powiniennem chyba wyjaśnić, że panicz Aubrey pojechał na obiad na plebanię, ale wkrótce wróci. A... jego lordowska mość też wkrótce dojdzie do siebie, madam.

- Marston, czy on się często upija? - zapytała otwarcie Venetia.

- Och nie, madam! Czasem mu się to zdarza, ale zwykle późnym wieczorem, kiedy panicz Aubrey już śpi. - Zawahał się chwilę, a później dodał: - Ilekroć jego lordowska mość tak się zachowuje, oznacza to, że jest w kłopotach, jeśli wolno mi zauważyć, madam.

Venetia spojrzała na jego pozbawiona wyrazu twarz.

- Czy coś go gnębi, Marston?

- Tak, madam. Nigdy nie widziałem, żeby tak bardzo cierpiał.

- Trzeba chyba coś zrobić, żeby mu pomóc - powiedziała Venetia uśmiechając się leciutko.

- O tak, madam. Bardzo bym się cieszył - stwierdził Marston, potem skłonił się nieznacznie i dodał: - Kolację podamy za pół godziny. Czy odpowiada to pani?

Była tak głodna, że z trudem zmusiła się, by nie zaprotestować przeciwko takiej zwłóce. Podziękowała jednak i ruszyła schodami na górę. Gdy tylko znalazła się w pokoju Aubreya i spojrzała na swoje odbicie w lustrze, zrozumiała, że półgodzinna zwłoka jest jej bardzo potrzebna. W zajeździe, w świetle świecy, którą przyniosła jej pokojówka, ubierała się prawie po omacku, kilka razy tylko przed włożeniem kapelusza pociągnęła grzebieniem po potarganych lokach. Tutaj Marston ustawił na toaletce dwa świeczniki i w tak bezlitosnym oświetleniu Venetia ze zgrozą stwierdziła, że prezentuje się równie nieporządnie, jak niezbyt trzeźwy gospodarz. Zapomniała natychmiast o kolacji. Zrzuciła kapelusz, pelerynę położyła na łóżku i podjęła się w pośpiechu trudnego zadania przywrócenia sobie jakiego takiego wyglądu. Nim tego dokonała, minęło znacznie więcej niż pół godziny. Zrzuciła wreszcie na ramiona piękny koronkowy szal, jeszcze raz krytycznie oceniła swój wygląd w lustrze, zgasiła świece, zeszła na dół i po chwili znów znalazła się w jadalni.

Pokój wyglądał teraz całkiem inaczej. Wszystkie ślady pijaństwa zostały usunięte, stół nakryto świeżym obrusem, na kominku płonął ogień, a Damerel doprowadził do porządku swój wygląd i w cudowny sposób wytrzeźwiał. W chwili gdy wchodziła do jadalni, opróżniał właśnie jakiś wielki kufel. Venetia z niepokojem spojrzała na niego, ale wkrótce zorientowała się, że napój, cokolwiek to było, wywarł niezwykle korzystny wpływ na jego stan. Wręczając puste naczynie Marstonowi, powiedział zupełnie czystym i pewnym głosem:

- Teraz kawałek chleba z serem i wszystko wróci do normy.

- Potem odwrócił się do Venetii z uśmiechem, który ogrzał jej serce, i dodał: - Zgłodniała pani, moje biedne dziecko.

Kolacja zaraz zostanie podana. Proszę usiąść, bo chcę powiedzieć coś, co panią uspokoi. Nie odmówię pani schronienia pod moim dachem. Mam znacznie lepszy plan. Mówiąc szczerze, obmyśli go Marston, bo moja głowa nie pracuje jeszcze zbyt poprawnie. Otóż przyjechała pani tutaj, żeby omówić z Aubreyem jakieś ważne i pilne sprawy... Proszę to zapamiętać. Ja na czas pani pobytu przeniosę się do zajazdu Pod Czerwonym Lwem. W ten sposób przyzwoitości stanie się zadość. - Podsunął jej krzesło, a kiedy usiadła, zauważył: - Widzę, że zmieniła pani uczesanie. Bardzo eleganckie.

Venetia zorientowała się, że rozmowa z Damerem nie będzie łatwa, ale nie przejęła się tym zbyt. Nie zwracała uwagi na to, co mówi; zdradzały go oczy.

- Podoba się panu? - zapytała. - Cieszę się, bo miałam wrażenie, że moja fryzura bardzo ucierpiała w podróży.

Damerel podniósł monokl do oka.

- Tak, jest znakomita! A la Safona, jak sądzę.

- Koneser! - roześmiała się. - Czy pan zna nazwy wszystkich kobiecych fryzur?

- Większości z nich - odparł. Usiadł, pozwolił, by monokl opadł i zawisł na długiej tasiemce. Po chwili zapytał poważnie: - Co panią tu sprowadziło, Venetio?

- Dylizans, i to wyjątkowo niewygodny.

- Proszę nie żartować, dziewczyno.

Uśmiechnęła się do niego i powiedziała ciepło:

- Głuptas!

Nie odpowiedział jej uśmiechem. Twarz miał pobladła i ściągniętą. Po chwili odezwał się.

- Wiele bym dał, żeby pani tu nie przyjechała.

- Och, to bardzo przykre słowa. A przed chwilą odniosłam wrażenie, że ucieszył się pan na mój widok.

- Byłem pijany. Ciągle jeszcze nie przyszedłem do siebie, ale powoli odzyskuję zdrowy rozsądek.

- Och, widzę z tego, że zamierza mnie pan całować tylko wtedy, gdy jest pan pod wpływem alkoholu.

- W ogóle nie zamierzam pani całować - powiedział szorstko.

- Nie będę nalegała - odparła. - Nie ma bowiem nic gorszego,

niż zmuszać kogoś do robienia tego, na co nie ma najmniejszej ochoty. Ostatnio sarna tego doświadczyłam. Chociaż jedno wydaje mi się gorsze: ulegać ludziom życzliwym, ale niezbyt rozsądnym, usiłującym ingerować w sprawy zupełnie ich nie dotyczące.

- Venetio... - przerwał, gdyż w tym momencie wszedł Imber i postawił na stole wazę z zupą.

- Jak pięknie pachnie - powiedziała Venetia biorąc łyżkę.

- Och, Imber, świeże bułeczki? Tak, istotnie. Poczęstuję się. Wreszcie wiem, że jestem znów w domu. - Zwróciła się teraz do Damerela: - Moja ciocia, muszę panu zdradzić, ma kucharza Francuza, który przyrządza różne znakomite dania, ale mnie wciąż brakowało prostych potraw z Yorkshire.

- Czy podobał się pani Londyn? - zapytał Damerel, podczas gdy Imber napełniał szklanę Venetii lemoniadą.

- Niezbyt. Może jestem niesprawiedliwa w swoich ocenach. W innej sytuacji mógłby wydać mi się interesujący - powiedziała, a kiedy lokaj wyszedł, dokończyła: - Czułam się zbyt nieszczęśliwa, zbyt samotna, żeby dobrze się bawić. Nie miałam nikogo, z kim mogłabym żartować, rozmawiać, śmiać się.

- Czuła się pani obco, oczywiście - powiedział stłumionym głosem. - Czy ciotka i wuj byli dla pani mili?

- Bardzo. Tylko... nie, nie potrafię panu tego wyjaśnić.

- Nie musi pani wyjaśniać. Czy myśli pani, że ja nie wiem? Czy myśli pani, że nie tęskniłem każdego dnia... każdej minuty? Wyobrażałem sobie panią siedzącą właśnie tutaj z radosnym wyrazem oczu jak tamtego pierwszego wieczoru... - przerwał.

- Tak, nie musi mi pani tłumaczyć. Ja wiem! Ale proszę mi uwierzyć, proszę uwierzyć mi, moja droga radości... wszystko minęło.

- To samo powiedział mi pan żegnając się ze mną - zgodziła się. - Ciocia też tak uważa i nie wątpię, że mój wuj to samo panu oznajmił. Tyle tylko że nikt mi do tej pory nie wyjaśnił, dlaczego pan ma uważać sprawę za zakończoną. Nie chcę pana zadręczać, więc powstrzymam się od tego rodzaju pytań... Och, wraca Imber! Myślę, że lepiej będzie, jeśli powody mojego przyjazdu wyjaśnię panu później, kiedy nikt nie będzie nam przeszkadzał. Poza tym mamy jeszcze tyle spraw do omówienia... A wie pan? Spotkałam

pana kuzyna na jakimś raucie. Usłyszałam, jak wymieniono jego nazwisko, a kiedy spojrzałam na niego, niewiele brakowało, bym się roześmiała. Upozowany na dostojnego dziwaka.

- Dziwak? - uśmiechnął się. - Dobry Boże, co też pani opowiada. Alfred to niemal głowa rodziny. Nie zauważyła pani, jak dumnie kroczy? Kto jest teraz w mieście? Chyba jeszcze niewiele osób, ale mam nadzieję, że zawarła pani wiele miłych znajomości.

W czasie kolacji rozmowa toczyła się gładko. Damerel nie mówił wiele, cały czas przyglądał się jej z takim wyrazem oczu, że miała ochotę zarzucić mu ramiona na szyję. Zdawało jej się, że uśmiecha się do ich wspólnych pięknych wspomnień.

Kiedy Imber podał jabłka i orzechy, po czym opuścił ostatecznie jadalnię, Damerel odezwał się poważnym tonem:

- Proszę mi teraz powiedzieć, Venetio, co skłoniło panią do tak szalonego kroku?

- Powiem panu, ale najpierw, drogi przyjacielu, chciałabym zadać jedno pytanie. Dlaczego nie powiedział mi pan, że moja matka żyje?

- A więc dowiedziała się pani? - zapytał zgniatając w palcach skorupkę włoskiego orzecha.

- To nie jest odpowiedź - stwierdziła poważnie Venetia.

- Nie do mnie należało informowanie o tym, co przed panią zatajono - powiedział wzruszając ramionami. - Kto zdradził tę tajemnicę? Pani ciotka? Postąpiła rozsądnie. Miałem nadzieję, że to zrobi, gdyż zapewne pani sama odkryłaby w końcu ten fakt, i to może w takich okolicznościach, że byłoby to dla pani wstrząsem.

- I właśnie tak to odkryłam. Na pewno było to dla mnie szokujące..! ale domyśliłam się prawdy, zanim biedna ciocia Hendred zdecydowała się wyjaśnić mi wszystko. Zobaczyłam matkę w teatrze... przedwczoraj.

- Gość takiego! Byłem przekonany, że na stałe osiadła w Paryżu.

- I ma pan rację. - Venetia wyciągnęła rękę po orzech wyłuskany przez Damerela. - Przyjechała do Londynu, żeby uszyć sobie nowy kostium do jazdy konnej. Powiedziała mi, że żaden Francuz nie potrafi tego zrobić tak dobrze, jak angielski krawiec.

- Powiedziała? Pani z nią rozmawiała? - Na twarzy Damerela pojawił się wyraz najwyższego zdumienia.

- Rozmawiałam. Dlaczego pan się dziwi? Oczywiście. Odwiedziłam ją w hotelu Pulteney i nie potrafię wprost opisać, jak bardzo była miła... i sir Lambert również. Proszę sobie wyobrazić, że odprowadził mnie, razem przeszliśmy całą Bond Street i jak gdyby tego było mało, kupił mi tę śliczną broszkę. Czy to nie ujmujące? Powiedział, że żałuje, że nie jestem jego córką, i...

- Nie wątpię - przerwał jej Damerel ze złością.

- ... i ja też żałuję - ciągnęła nie speszona Venetia - gdyż własnego ojca nawet w połowie nie lubiłam tak jak jego.

- Czy mam rozumieć - zapytał Damerel - że pani Hendred jest na tyle nierozsądna, by pozwolić pani robić to, co najbardziej naiwny człowiek uznać musi za wystarczające do rozpętania burzy plotek? O mój Boże!

- Musi pan koniecznie poznać moją ciocię - powiedziała Venetia. - Jestem przekonana, że się polubicie, bo macie dokładnie takie same poglądy. Czy pan wie, jak bardzo mnie intrygowało, oczywiście dopóki nie dowiedziałam się wszystkiego o matce, dlaczego ciocia zawsze mi powtarza, że muszę się zachowywać szczególnie poprawnie ze względu na moją sytuację? Często dawała mi do zrozumienia, że znalezienie dla mnie męża, o czym zresztą ciągle marzy, uważa za trudne zadanie. Bardzo mnie to dziwiło, bo przecież nie jestem odrażająca, nie jestem też panną bez posagu. Zrozumiałam to wszystko dopiero, gdy poznałam prawdę o matce. Muszę przyznać, że żałuję, iż nie był pan ze mną szczery, chociaż rozumiem, że pan nie mógł... Tak, to prawda, że nie mógł pan. Był to zbyt niezręczny układ, żeby się weń wplątać.

- Co, u licha, chce pani przez to powiedzieć? - zawołał Damerel tonem, który każdą wrażliwą kobietę przyprawiłby o palpitację serca.

- Och, po prostu to, że rozumiem, jak trudne... a właściwie niemożliwe... byłoby wytłumaczenie mi, że dla lorda Damerela małżeństwo z córką lady Steeple jest absolutnie nie do pomyślenia. Teraz wydaje mi się, że raz czy dwa razy próbował pan dać mi to do zrozumienia...

- Próbowałem? Jak pani może tak mówić? - zawołał z furią.

- Jak pani może, Venetio! Jeśli sądzi pani, że rozstaliśmy się dlatego, że uważałem panią za osobę poniżej...

- Ale przecież taki musiał być powód! - sprzeciwiła się.
- Wiem, próbował pan mnie przekonać, że to pan jest nieodpowiednim kandydatem na męża, było to bardzo uprzejme z pana strony, drogi przyjacielu, ale absurdalne, w każdym razie takie wydaje mi się teraz, kiedy wiem, jak szokująco nieodpowiednią partią jestem właśnie ja.

Damerel uniósł się na krzesło. Pomyślała, że zaraz złapie ją za ramiona i energicznie nią potrząśnie. Z nadzieją czekała na to. Usiadł jednak z powrotem i chociaż patrzył na nią groźnie, zorientowała się, że złość zaczyna mu mijać.

- Co też przyszło pani do głowy, moja droga? - powiedział oschle. - Nie wiem, czy to ciotka, która zresztą wydaje mi się osobą niezbyt rozumną, przekonała panią, że rozwód rodziców zniszczył pani reputację, czy też na ten pomysł wpadła pani sama, żeby mnie pognać. Tak czy inaczej, proszę mnie posłuchać i uwierzyć, że mówię prawdę. Otóż żaden mężczyzna, którego można by nazwać prawdziwym mężczyzną, jeśli poznałby i pokochał panią, na tego rodzaju nonsensy nie zwróciłby najmniejszej uwagi. Proszę zapytać wuja, jeśli pani mi nie wierzy. On to potwierdzi. Dobry Boże, czy pani sądzi, że nikt wcześniej się nie rozwiódł? Słuchając tego, co pani mówi, można by przypuszczać, że pani matka jest kobietą lekkich obyczajów, a nie od piętnastu lat żoną lorda Steeple.

- Muszę przyznać, że to, co usłyszałam, przyniosło mi ulgę - powiedziała Venetia - i łatwiej będzie mi teraz wyjaśnić, po co tu przyjechałam. Wiedziałam, że pan potrafi mi doradzić. Oczywiście, Aubrey jest pierwszą osobą, z którą muszę się porozumieć, ale on jest zbyt młody, żeby udzielać mi rad. Widzi pan... Otrzymałam pewną propozycję i nie wiem, czy powinnam ją przyjąć. Nie jest to dokładnie to, czego pragnę, ale chyba wolę coś takiego, niż życie samotne... marnowanie życia, jak to pan, chyba słusznie, określił.

- Jeśli ta propozycja pochodzi od Yardleya, to nie mogę pani nic doradzać - powiedział szybko. - Powiniennem raczej stwierdzić, że jest to ostatni mężczyzna... Cóż, pani wie najlepiej, co jej odpowiada.

- Od Edwarda? Wielkie nieba! Nie! Jak pan mógł przypuszczać, że radziłabym się pana w takiej sprawie!

- Ja nie... to znaczy, wiem od Aubreya, że pojechał za panią do Londynu. Przyjechał tu, żeby mu o tym powiedzieć. Nie widziałem się z nim.

- Istotnie, przyjechał za mną do Londynu - potwierdziła Venetia wdychając przy tym ciężko. - Zawiódł się jednak na moim charakterze i przypuszczam, że jest już w drodze do Netherfolk. To przykre, ale zostałam porzucona. Przypuszczam, że Edward ożeni się w końcu z Clarą Denny.

- Czy i tym razem próbuje mnie pani nabrać?

- Ależ nie. Rozumie pan, dla niego rozwód moich rodziców ma duże znaczenie i chociaż po trwających wiele lat zmaganiach ze sobą uległ w końcu ślepej namiętności, wierząc, że mimo pozorów mam jednak dobry charakter...

- Venetio! Nawet Yardley nie mógł powiedzieć pani czegoś takiego - zaprotestował Damerel.

Roześmiała się.

- Ależ tak, zapewniam pana. Uważał, że nie powinnam kontaktować się z matką i zachował się wyjątkowo nieuprzejmie w stosunku do sir Lamberta.

- Coś podobnego! - Damerel skrzywił się. - On jest naprawdę nieznośnym bufonem, ale jeśli chodzi o pani problemy...

- Osoba sir Lamberta nie jest tu bez znaczenia - stwierdziła Venetia. - Wkrótce zorientuje się pan, jaki to sympatyczny człowiek. Rozumie pan, propozycja, o której wspomniałam, pochodzi od mojej matki.

- Co takiego?

- Nie dziwię się, że jest pan tym zaskoczony. Ja też byłam, ale również głęboko wzruszona. Proszę tylko pomyśleć, ona proponuje mi, żebym pojechała razem z nimi do Paryża i została u nich tak długo, jak tylko zechcę... I to wszystko z pełną aprobatą sir Lamberta! Czy nie jest to kuszące? Zawsze marzyłam o podróżach, a mama mówi, że chce wybrać się wiosną do Włoch. Italia! Nie wiem, czy potrafię się temu oprzeć!

- Venetio! Niech pani nie da się nabrać! - powiedział bezceremonialnie Damerel. - Znam pani matkę. Ona prędzej da sobie rękę uciąć, niż zgodzi się, żeby pani zamieszkała w tym samym co ona hotelu.

Venetia przygotowana była na tego rodzaju sceptycyzm z jego strony.

- Och, czyżby pan uważał, że mama nie mówiła tego poważnie?

- Myślę, że nawet nie przyszłoby jej do głowy, żeby panią zaprosić, moja droga - stwierdził Damerel.

- Ależ zrobiła to! - zapewniła go Venetia. - Może dlatego, że zapoznałam ją ze swoim planem wynajęcia domu dla siebie i Aubreya. Była tym podobnie poruszona jak pan i powiedziała, że równie dobrze mogłabym dać się żywcem pogrzebać. Stwierdziła, że w Anglii nie wypadałoby jej zamieszkać ze mną, ale za granicą ludzie nie są aż tak bardzo pruderyjni, więc... Zresztą proszę przeczytać ten list.

Damerel wydawał się wstrząśnięty. Wziął list, który Venetia wyjęła z torebki, i rozłożył go. Spojrzał na nią jeszcze raz, a potem opuścił wzrok i zagłębił się w lekturze. Przeczytał list dwukrotnie, zanim znów spojrzał na Venetię. Widać było, że nie pozbył się podejrzeń, ale z pewnością to, co przeczytał, wywarło na nim wrażenie.

- Venetio, jak, u licha, namówiła ją pani do napisania czegoś takiego? - zapytał.

- Chyba pan wie, co ją przekonało.

- Właśnie tego nie rozumiem. Aurelia Steeple zaniepokojona, gdyż pani jej powiedziała... Och, na litość boską, Venetio, proszę nie kpić ze mnie! Nie wiem, co pani zrobiła, ale jeśli nie jest to żart, to absolutnie nie wolno pani dać się w to wciągnąć.

- Jednak obawiam się, że nie posłucham pana - powiedziała przepraszącą. - Rozumiem, jak bardzo byłoby to nierozsądne wówczas, gdybym pragnęła znaleźć się w gronie, które moja ciocia określa jako szczególnie szacowne, ale skoro tak nie jest...

- Proszę przestać mówić jak naiwna panienka, którą zresztą jest pani - przerwał jej brutalnie. - Pani nic nie wie o świecie, w którym oni żyją! Ja natomiast wiem lepiej niż inni i jeśli uważam, że jest to po prostu oszustwo... - zamilkł nagle i znieruchomiał.

- Tak? - ponagliła go.

Unióśł teraz palec i Venetia usłyszała dobiegający zza okien dźwięk. Na dziedziniec wjeżdżał powóz.

- To Aubrey - powiedział Damerel i niespokojnie spojrzął na nią. - Jak pani wytłumaczy mu swoją obecność w Priory? Nie może pani uraczyć go tą samą co mnie opowieścią. - Mówiąc to wręczył jej list lady Steeple.

Venetia miała chęć krzyknąć ze złości. Żałowała, że Aubrey nie znajduje się sto mil od domu.

- Ależ, drogi przyjacielu, nie mogę podjąć decyzji nie wiedząc, jak on na to zareaguje - powiedziała spokojnie.

- Jeśli tylko o to chodzi...

- Nie chodzi mi o jego opinię, ale o to, z jakimi uczuciami przyjmie ten projekt. Opierając się na tym, co wiem, przypuszczam, że wołałby zamieszkać z Appersettem niż ze mną w Londynie. Nie sądzę, żebym była mu jeszcze potrzebna.

Damerel podniósł się z krzesła, stanął przed nią i złapał ją za rękę.

- Venetio! Oddałbym życie, by oszczędzić pani bólu... rozczarowań... tego wszystkiego, z czego nie zdaje sobie pani sprawy, o czym pani nie wie... Moje życie... Cóż to za puste, górnołotne słowa! Przecież w tej sytuacji poświęcenie naszego uczucia byłoby absolutnie bezsensowne - powiedział z goryczą w głosie.

Z holu dobiegły ich jakieś stłumione głosy. Ktoś szedł w stronę jadalni.

- Cholerny Aubrey! — mruknął Damerel, uwalniając dłonie Venetii.

Nie był to Aubrey. Stojąc w szeroko otwartych drzwiach Imber złowieszczym głosem zaanonsował:

- Pan Hendred, milordzie.

21

Do pokoju wkroczył pan Hendred. Twarz miał pobladła, był najwyraźniej zmęczony i bardzo zdenerwowany. Rzucił Venetii niechętnie spojrzenie i zwrócił się do Damerela:

- Dobry wieczór. Proszę mi wybaczyć wizytę o tak późnej porze, nie wątpię jednak, że spodziewał się pan mojego przybycia.

- W każdym razie powinienem się był spodziewać - odparł Damerel. - Widzę, że ma pan talent do zjawiania się w najbardziej odpowiednim momencie. Czy jadł pan obiad?

Pan Hendred potrząsnął głową i na moment zamknął oczy.

- Nie, sir, nie jadłem obiadu ani, chciałbym dodać...

- Więc musi pan być bardzo głodny - powiedział Damerel. - Zajmij się tym, Imber!

Patrząc na twarz pana Hendreda można było odnieść wrażenie, że dostał ostrego ataku mdłości. Zanim zdołał się opanować na tyle, by uprzejmie odrzucić propozycję gospodarza, podbiegła do niego Venetia, u której współczucie wyparło mniej szlachetne uczucia.

- Nie, nie - zawołała. - Wuj po całodniowej podróży nigdy nie może nic jeść. Och, Boże, dlaczego wuj tak nieroztropnie wyruszył w pościg za mną? To było takie niepotrzebne, takie nierozsądne. Widzę, że wuj jest kompletnie wyczerpany. Tak mi przykro, że to z mojego powodu.

- Nierozsądne? - powtórzył pan Hendred. - Wczoraj wieczór, po powrocie do Londynu, dowiedziałem się, że opuściłaś miasto pocztowym dylżanssem z zamiarem udania się do tego oto domu i w istocie znalazłem cię tutaj. O ile wiem, ten fatalny krok spowodowała kłótnia z twoją ciotką i muszę stwierdzić, Venetio,

że miałem więcej zaufania do twojego zdrowego rozsądku. Nie przypuszczałem, że tak nierozważnie zareagujesz na to, co ona w złości mogła powiedzieć.

- Ależ, najdroższy wuju, powód mojego wyjazdu był zupełnie inny! - zawołała Venetia i podsunęła mu krzesło. - Proszę usiąść, bo wiem przecież, że wuj jest śmiertelnie zmęczony, no i dokucza wujowi ten okropny nerwoból. Zapewniam, że nie doszło pomiędzy nami do żadnej kłótni. Biedna ciocia była już poprzedniego wieczoru wzburzona tym niespodziewanym spotkaniem z moją matką w teatrze, a potem jeszcze dowiedziała się, że poszło na marne wszystko, co zrobiła, żeby wprowadzić mnie w najlepsze towarzystwo, i to przeze mnie, bo pozwoliłam ojczymowi odprowadzić się z hotelu Pulteney aż do Oxford Street. Skarciła mnie za to, o co zresztą wcale nie mam do niej żalu. Tym razem musiałam przyznać jej rację. Ale żebym miała z tego powodu wyjechać i rozstać się z nią w gniewie! Ona nie mogła tego powiedzieć! Wiedziała, czym kierowałam się wyjeżdżając. Nie ukrywałam tego przed nią.

- Twoja ciocia jest kobietą o wielkiej wrażliwości i łatwo, co musiałaś zauważyć, wpada w rozdrażnienie. Kiedy czymś bardzo się przejmuje, z trudnością przychodzi jej jasne i skądne wyrażanie swoich myśli, a nawet prawidłowa ocena zdarzeń, które wyprowadziły ją z równowagi. Bywa, że trudno doszukać się sensu w tym, co mówi - powiedział pan Hendred, starając się wyrażać powściągliwie. - Jeśli zaś chodzi o przyczyny twojego wyjazdu, to nie wiem, co uznałaś za stosowne jej powiedzieć, Venetio, ale o ile zrozumiałem, nie wymyśliłaś nic lepszego, jak tylko jakąś nieskładną bajeczkę o tym, że chcesz, aby lord Damerel sypał pod twoje stopy różane płatki.

Damerel, który tymczasem usiadł przed kominkiem i ponuro wpatrywał się w ogień, obejrzał się na te słowa.

- Płatki różane? - powtórzył. - Płatki różane... - spojrzał z pytającym, a zarazem figlarnym uśmiechem na Venetię. - Moja droga, o tej porze roku?

- Niech pan przestanie, niegodziwcze - powiedziała rumieniąc się.

- No właśnie. - potwierdził pan Hendred. - Właśnie tak

uzasadniła swój wyjazd. Może zresztą chodziło jej o to, żeby zniechęcić pana do ulegania takim zachciankom... Nie wiem. Mogę tylko stwierdzić, że równie bezsensownej historyjki nigdy nie słyszałem! Zresztą to, co powiedziałaś cioci, nie ma znaczenia. Dla mnie najważniejsze jest, że ty, moja droga bratanico, dziewczyna, nie mów mi tylko, że jesteś dorosła, bardzo proszę, dziewczyna przebywająca w moim *domu*, *pod moją* opieką, pozwoliłaś sobie uciec samotnie, i to z zamiarem szukania schronienia pod takim dachem! I w dodatku mówisz, że postąpiłem nierozsądnie, próbując ustrzec cię przed katastrofą, a siebie przed upokorzeniem.

- Nie, nie - powiedziała uspokajająco. - Myślę tylko, że wuj chyba nie zapomniał o tym, że pod tym dachem mieszka mój brat. Powiedziałam przecież służbie, że dostałam wiadomość o jego chorobie, i na pewno...

- Ani nie zapomniałem o Aubreyu, ani też nie przyjechałem po to, żeby usankcjonować twoje zachowanie - przerwał jej surowym tonem. - Przybyłem tutaj, jak się zapewne domyślasz, żeby zapobiec popełnieniu przez ciebie pewnego nieodwracalnego a wysoce nierozsądnego czynu. Nie krępuję się mówić tak jasno, gdyż pan, milordzie, zna już moje zdanie w tej sprawie.

- Proszę się nie krępować, może pan mówić, co pan zechce - powiedział Damerel. - Przecież zgadzamy się we wszystkim.

Venetia zauważyła, że wuj przyciska dłonie do skroni. Wstała i bez słowa wyszła z pokoju. Kiedy wróciła po kilku minutach, dowiedziała się od niego, że właśnie omawiają z Damerelem jej wizytę u państwa Steeple.

- Bez wahania mogę cię, droga bratanico, zapewnić, że to, co o swojej matce usłyszałaś od jego lordowskiej mości, jest prawdą. Tobie to jednak nie przynosi ujmy, a chociaż regularne kontakty z sir Lambertem i lady Steeple uważałbym za wysoce niepożądane, to nic nie byłoby bardziej niewłaściwe niż wypieranie się znajomości z własną matką. Nie będę przed tobą ukrywał, że w tej bolesnej sprawie nigdy w pełni nie zgadzałem się z twoją ciotką, a nawet z twoim ojcem. Moim zdaniem ta zabawa w tajemnice była równie szkodliwa, jak absurdalna.

- To prawda. - Venetia z wyrazem rozbawienia w oczach patrzyła na obydwo panów. - O czym jeszcze rozmawialiście? Czy

już ustaliliście między sobą, jaka ma być moja przyszłość? A może chcecie wiedzieć, co ja ustaliłam w tej sprawie?

Pan Hendred zauważył, że Damerel też się uśmiecha, więc postanowił nie dopuścić go do głosu.

- Venetio, zastanów się dobrze, zanim zrobisz coś, czego możesz później żałować - powiedział. - Uważasz mnie zapewne za człowieka pozbawionego uczuć, ale uwierz mi, to nieprawda. Jednakże czuję się w obowiązku przestrzec cię, a mam nadzieję, że jego lordowska mość mi to wybaczy, że nie widzę dla ciebie bardziej nieestosownego małżeństwa, niż to, które sobie obmyśliłaś.

- Drogi wuju, nie należy przesadzać - zaprotestowała Venetia.

- Proszę się tylko zastanowić. Mogło być znacznie gorzej. Można lorda Damerela uważać za rozpustnika, ale na pewno nie okaże się, że jest on... na przykład... moim ojcem.

- Twoim ojcem? - powtórzył pan Hendred niebawale zdumiony.

- Co, na Boga?

- Edyp - roześmiał się Damerel. - Przynajmniej domyślam się tego, chociaż panna Venetia poplątała nieco fakty: chciała powiedzieć, że to ona nie okaże się moją matką.

- Och, to na jedno wychodzi - stwierdziła Venetia, zirytowana pedanterią Damerela. - Jest to tak samo niedopuszczalne.

- Wolałbym, Venetio - powiedział cierpko pan Hendred - żebyś porzuciła ten wysoce nieestosowny temat. Jestem wstrząśnięty, gdy pomyślę, że, jak słusznie chyba podejrzewam, Aubrey opowiada swojej siostrze tego rodzaju historie.

- Zauważył chyba wuj, że sir Damerel nie jest wcale tym wzburzony. Czy ten fakt nie pomaga wujowi zrozumieć, że właśnie on byłby najodpowiedniejszym dla mnie mężem?

- Nie, wcale nie - odparł pan Hendred. - Daję słowo, że nie wiem, co robić, żeby przywrócić ci rozsądek! Sprawiasz wrażenie osoby żyjącej w jakimś... jakimś...

- Nierealnym świecie - odpowiedział Damerel.

- No właśnie. W nierealnym świecie - zgodził się pan Hendred.

- Zakochałaś się, Venetio, po raz pierwszy w życiu i w twoich oczach lord Damerel urósł do postaci jakiegoś bohatera z bajki.

Venetia roześmiała się.

- Och nie! Wcale tak nie uważam - zawołała. - Drogi wuju, czy

naprawdę wyglądam na osobę aż tak naiwną? Jeśli zdaniem wuja ten piękny obraz z nierealnego świata kryje straszliwe dla mnie rozczarowanie, to mogę przysiąc, że nie ma wuj powodu do niepokoju.

- Zmuszasz mnie do tego, bym wypowiedział się bez osłonek, a jest to przykre zadanie. Niewykluczone, że lord Damerel szczerze pragnie odmienić swoje życie, ale stare, dobrze utrwalone nawyki, jak i pewne cechy charakteru, nie ulegają łatwo zmianom. Bardzo cię lubię, Venetio, i szanuję, ale byłoby mi niezwykle przykro i czułbym się winny, gdybym zobaczył cię nieszczęśliwą.

- I co pan na to, drogi przyjacielu? - zapytała Venetia patrząc na Damerela.

- A co pani na to, moja radości? - odpowiedział pytaniem Damerel.

- Czy pan uważa, że może uczynić mnie nieszczęśliwą?

- Myślę, że nie... ale niczego nie obiecuję.

- Słusznie, proszę nie obiecywać - powiedziała poważnie Venetia. - Kiedy ktoś obiecuje nie robić czegoś, to potem to coś okazuje się ważniejsze niż wszystko, co kiedykolwiek zamierzał zrobić! - Potem zwróciła się znów do pana Hendreda: - Pragnie mnie wuj ostrzec, że lord Damerel będzie chciał nadal mieć kochanki, urządzać orgie i... i tak dalej, prawda?

- Zwłaszcza przed tym „i tak dalej” - wtrącił Damerel.

- No dobrze, wuju, tylko że on jest dyskretny i zatai przede mną swe szokujące postęпки. Po prostu ja o niczym nie będę wiedzieć.

- O nie, o moich orgiach dowie się pani na pewno - zaprotestował Damerel.

- Ale nic mnie to nie będzie obchodziło. Zresztą postąpiłabym nierozsądnie życząc sobie, żeby pan tak całkiem zmienił swoje nawyki. Poza wszystkim zawsze mogę w takim dniu udawać chorą, nieprawdaż?

- Och, sądziłem, że zechce pani przy takiej okazji pełnić jakąś znaczącą rolę - powiedział udając rozczarowanie.

- Jeśli tylko pan sobie tego życzy... - odparła uśmiechając się do niego. - A czy to będzie zabawne?

Wyciągnął ręce, a kiedy ona położyła na nich swoje dłonie, uściśnął je mocno.

- Urządzimy wspaniałą orgię, moja radości, i na pewno będzie się pani znakomicie bawić.

Na szczęście w momencie, gdy pan Hendred zaczął wykazywać alarmujące oznaki, że zbliża się już do kresu wytrzymałości, otworzyły się drzwi i wszedł Imber z tacą, na której stał dzbanek i filiżanki do herbaty. Postawił ją przed Venetią, a ona natychmiast napełniła filiżankę i podała wujowi.

- Wiem, że wuj nie odważy się nic zjeść, ale herbata zawsze dobrze wujowi robiła, prawda?

Nie zaprzeczył i istotnie, herbata wywarła na tyle zbawienny wpływ, że kończąc drugą filiżankę bliski już był zaakceptowania małżeństwa Venetii jako czegoś nieuniknionego. Zapytał nawet Damerela, czy zdaje sobie sprawę ze stanu swego majątku, a miał co do tego wątpliwości, oraz czy będzie mógł zapewnić żonie stosowne warunki życia.

Pytania zadane zostały nieco ironicznym tonem, ale Damerel potraktował je zupełnie serio.

- Jestem doskonale zorientowany w swoich finansach - powiedział. - Wiem, jakie mam długi i jakich mogę spodziewać się dochodów z majątku, którym dysponuję. Zdaję sobie sprawę, że nie będę mógł zapewnić swojej żonie luksusu, ale na pewno wygodę. Przed niespełna miesiącem o wszystkich majątkowych sprawach rozmawiałem ze swoim pełnomocnikiem. Teraz czeka tylko na moje instrukcje, żeby zacząć działać tak, jak uzgodniliśmy.

- Również w sprawie umowy przedślubnej? - zapytał pan Hendred wykorzystując sytuację.

- Naturalnie! - odparł Damerel unosząc brwi.

W tym momencie Venetia włączyła się do rozmowy.

- Może niewiele wiem o orgiach, ale teraz rozmawiacie o sprawach, w których jestem nieźle zorientowana - stwierdziła. - Nie widzę sensu w tym, co mówicie. Majątek, którym pan dysponuje, to konie wyścigowe, jacht, konie pocztowe rozrzucone w różnych stajniach całej Anglii i sama nie wiem, co jeszcze. Nie widzę powodu, żeby pan z tego majątku, nawet w jakiejś części, zrezygnował na moją korzyść, bo i dlaczego, skoro ja dysponuję własnymi pieniędzmi. Mam zwyczaj płacić swoje zobowiązania,

ale jeśli woli pan żyć w długach, to jest to wyłącznie pańska sprawa. Nic chciałabym, by pan poświęcał się dla mnie, bo mógłby pan potem tego żałować.

- Żyć w długach? - wtrącił poruszony pan Hendred.

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli porozmawiamy o tym później - powiedział Damerel. - A pani, moja najśłodsza, nie musi się przejmować. Moje szczęście nie zależy od majątku, którym dysponuję, ale od pewnej naiwnej dziewczyny.

- Dość tego! - rozkazał pan Hendred. - Pan posuwa się zbyt daleko. Takie małżeństwo...

- Mimo wszystko wydaje mi się to lepsze, niż gdyby miała dołączyć do towarzystwa, w jakim obraca się jej matka - przerwał mu Damerel. - Zapewne będzie pan zdumiony, ale to właśnie jest ten pistolet, który przystawiono mi do głowy.

- Nonsens - stwierdził stanowczo pan Hendred. - Lady Steeple nigdy by na to nie przystała. Aurelia z córką, która mogłaby przyćmić jej urodę? Ha! Ha!

- Ja też tak myślałem. Nie wiem, jak do tego doszło, ale Venetia otrzymała od niej zaproszenie. Miałem zaszczyt przeczytać ten list.

- Dobry Boże! - jęknął pan Hendred.

- Tak więc - powiedział Damerel - powinniśmy teraz, zamiast tracić czas na przekonywanie mojej naiwnej dziewczyny, że popełnia błąd, zająć się problemem, jak nie dopuścić do tego, by została wyklęta przez wyższe sfery.

- Zapewniam was, że wcale mi na ich uznaniu nie zależy - wtrąciła Venetia.

- Ale mnie zależy. - Damerel zwrócił się teraz z powagą do pana Hendreda. - Z pańską pomocą i przy wsparciu mojej ciotki, lady Stoborough, myślę, że sobie z tym jakoś poradzimy. Przypuszczam, że zna pan moją ciotkę?

- Lady Stoborough znam od dwudziestu lat - odparł pan Hendred uśmiechając się z zadowoleniem. - I wiem jedno; postąpi na pewno inaczej, niż będziemy sobie życzyć.

- O właśnie! - powiedział Damerel. - Widzę stąd, że doskonale pan wie, jak sobie z nią radzić.

Zapadło milczenie. Pan Hendred, na którym to, co usłyszała wywarło duże wrażenie, siedział patrząc przed siebie, jak gdyby

oglądał obraz niewidoczny dla innych. Na jego twarzy pojawił się ledwie zauważalny cień uśmiechu. Najwyraźniej rozpamiętywał jakąś zabawną scenę z przeszłości, o której wolał nie opowiadać swoim rozmówcom. Ocknął się wreszcie z zamyślenia, spojrzął niechętnie na Venetię i Damerela, a potem stwierdził, że jest zbyt zmęczony, by dalej przeciągać tę rozmowę. Zapytał bratanicę, czy gotowa jest towarzyszyć mu do Yorku, gdzie spędzą noc w zajęździe, i był pewny, że uzyska odpowiedź twierdzącą. Venetia udzieliła jednak odpowiedzi całkiem nieoczekiwanej.

- Drogi wuju, dalsza podróż byłaby dla wuja z pewnością niewskazana i muszę zdradzić, że nigdzie wuj nie pojedzie. Proszę nie patrzeć tak na mnie, ale kazałam Imberowi odesłać powóz wuja do zajazdu Pod Czerwonym Lwem. Mamy tutaj tak mało służby... to znaczy lord Damerel ma mało służby, że zatrzymanie powozu i forysiów wiązałoby się z dużymi kłopotami. Lokaj lorda Damerela, zresztą bardzo sympatyczny człowiek, przygotował już zapewne pokój dla wuja i rozpakował bagaże. Poleciłam mu odszukać w domowej apteczce proszki, które wuj łyka przy bólu głowy, a on obiecał przynieść jeszcze kleik jęczmienny do wypicia przed snem.

Propozycja była tak atrakcyjna, że pan Hendred uległ jej bez sprzeciwu, chociaż ostrzegł gospodarza, że korzystając z jego uprzejmości wcale nie daje do zrozumienia, że wyraża zgodę na małżeństwo, któremu od początku był przeciwny i któremu nie zamierzał udzielać w jakikolwiek sposób poparcia.

Damerel spokojnie przyjął to oświadczenie i zadzwonił na Marstona. W tym momencie do pokoju wszedł Aubrey, który najwidoczniej podjechał bezpośrednio na dziedziniec przed stajniami i wszedł do domu bocznym wejściem. Sprawiał wrażenie zaskoczzonego.

- Właśnie się zastanawiałem, z kim ty, Jasper, u licha, rozmawiasz o tej porze. — powiedział stając w progu. - Dobry wieczór, sir. Jak się masz, moja droga. Cieszę się, że przyjechałaś. Stęskniłem się za tobą.

Mówiąc to podszedł do Venetii, która wzruszona tym serdecznym powitaniem uściśnęła go czule.

- I ja za tobą tęskniłam... Nawet nie wiesz, jak bardzo.

- Niepotrzebnie - stwierdził uśmiechając się. - Dlaczego nie uprzedziłaś nas o swoim przyjeździe? Co cię tu sprowadza?

- Pozwolisz, że to ja powiem, co sprowadza tu twoją siostrę - odezwał się pan Hendred. - Jesteś już w takim wieku, że potrafisz wyrobić sobie o tym opinię, zresztą, jak słyszałem, masz wyjątkowy umysł. Niech więc wolno mi będzie poinformować cię, młodzieńcze, że twoja siostra wyraziła gotowość przyjęcia oświadczeń lorda Damerela...

- To świetnie! - zawołał Aubrey i twarz mu się rozjaśniła. - Miałem nadzieję, że do tego dojdzie, moja droga. Jasper jest odpowiednim mężczyzną dla ciebie. Poza tym bardzo go lubię. Będę mógł z wami spędzać wakacje, a gdybyś wyszła za Edwarda, byłoby to niemożliwe. Nie zniósłbym tego. A propos, czy w Londynie też cię zanudzał?

- Czy to wszystko, co masz do powiedzenia na ten temat, mój chłopcze? - zapytał pan Hendred nieco rozdrażniony. - Czy chcesz, żeby twoja jedyna siostra wyszła za mąż za człowieka o takiej reputacji jak lord Damerel?

- Oczywiście, już dawno jej to mówiłem. Nigdy nie przywiązywałem wagi do plotek na temat Jaspera. Zresztą jeśli ona się tym nie przejmuje, to dlaczego ja miałbym się martwić?

- No tak - zauważył pan Hendred z goryczą w głosie. - Mogłem spodziewać się, że usłyszę tego rodzaju opinię od młodzieńca, który opowiada swojej siostrze nieprzyzwoite historie.

- Cóż ona, u licha, takiego powiedziała? - zapytał zaskoczony Aubrey. - Jeśli opowiadała jakąś słoną anegdotkę, to musiała słyszeć ją od Jaspera, bo na pewno nie od Edwarda... a ja nie znam żadnej.

- Król Edyp - wtrącił Damerel.

- Król Edyp? Nie przypominam sobie, żebym o nim opowiadał Venetii, ale może tak było, tyle że określenie „nieprzyzwoite” jest najbardziej szokującą opinią na temat tego dramatu, jaką kiedykolwiek słyszałem... nawet od Edwarda!

W tym momencie dalszą wymianę zdań przerwał Marston, który już od pewnego czasu stał w progu.

- Pan dzwonił, milordzie? - zapytał.

- Tak, dzwoniłem - powiedział Damerel. - Zaprowadź pana

Hendreda do jego pokoju. Gdyby pan czegoś potrzebował, sir, to proszę zwrócić się z tym do Marstona. On wszystko załatwi.

Pan Hendred skłonił się i pozwolił się wyprowadzić z pokoju. Zanim lokaj zamknął drzwi, Damerel zawołał za nim:

- Marston!

- Słucham, milordzie? - Lokaj zatrzymał się.

- Możesz mi życzyć szczęścia - powiedział Damerel z uśmiechem.

- Jeśli mi wolno, milordzie, to chciałbym życzyć szczęścia obojgu. Dodam tylko, że są jeszcze inne osoby, które cieszyć się będą razem z wami - powiedział Marston. Na jego twarzy malował się wyraz głębokiego zadowolenia.

- Boże! To i ja powinienem życzyć wam szczęścia, prawda?

- powiedział Aubrey, gdy tylko zamknęły się drzwi za lokajem.

- Życzę wam, chociaż wiem, że nie muszę tego mówić. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli pójde już spać. Jestem bardzo zmęczony.

- Aubrey. zaczekaj chwilę - poprosiła Venetia. - Jest jeszcze coś, co chciałabym ci powiedzieć, i wolę to zrobić od razu. Mam nadzieję, że przyjmiesz to spokojnie. Otóż dwa dni temu dowiedziałam się, że nasza matka żyje.

- Ależ ja wiem o tym - odparł Aubrey.

- Coś podobnego! Czy to znaczy, że ojciec ci to powiedział?

- Nie. Conway.

- Conway? Kiedy?

- Och, kiedy ostatni raz był w domu. Tuż przed wyjazdem do Belgii. Uważał, że powinienem o tym wiedzieć na wypadek, gdyby zginął.

- Co za człowiek! - zawołała ze złością. - Dlaczego mnie nic o tym nie powiedział? Jeśli mógł zdradzić tę tajemnicę czternastoletniemu chłopcu...

- Nie wiem. Pewnie obawiał się, że ojciec będzie zły, jeśli się dowiesz. Tak czy inaczej poprosił mnie, żebym nie mówił o tym nikomu.

- Mogłeś powiedzieć mi później, po śmierci ojca. Dlaczego tego nie zrobiłeś?

- Po prostu nie pomyślałem o tym - odparł. - A właściwie dlaczego miałbym pomyśleć? Nie interesowało mnie to zbytnio. Co

innego, gdybym znał mamę, ale, Venetio, nie wymagaj, żebym interesował się tym, co się zdarzyło, kiedy miałem parę miesięcy. Boże! Jaki jestem senny. Dobranoc, kochanie! Dobranoc, Jasper.

Aubrey wyszedł utykając mocno, a Venetia zauważyła, że jej ukochany uśmiecha się do niej czule, a zarazem kpiąco.

- Niech to będzie dla pani nauczka, moja piękna Venetio - stwierdził, po czym podszedł do niej i wziął ją w ramiona. Nie opierała się, ale położyła mu dłonie na piersi i nie pozwoliła przytulić się.

- Drogi przyjacielu, jest jeszcze coś, o czym muszę panu powiedzieć.

- Co takiego, moja radości? - zapytał patrząc na nią uważnie.

- Widzi pan, ciocia przestrzegła mnie, że nie powinnam się panu narzucać. Wygląda na to, że tak właśnie postępuję i kiedy wuj zaczął mówić o pańskich długach, nagle zrozumiałam, że ona ma rację! Och, mój kochany, mój przyjacielu... Nie chciałabym, żeby pan ożenił się ze mną wbrew swojej woli.

- Okazuje się, że jest pani bardziej bezinteresowna niż ja, gdyż pragnę panią poślubić nie bacząc na to, czy pani tego chce - odpowiedział. - Pani, być może, żałować będzie tego dnia. Ja na pewno nie. Żałuję tylko tego, czego już nie można odmienić. Nawet bogowie nie potrafią cofnąć czasu i zmienić takiego człowieka jak ja w mężczyznę, który godny byłby zostać pani mężem.

Przytuliła się do niego.

- Głuptasie, głuptasie - szepnęła. - Wie pan przecież, że mojego godnego szacunku, „zacnego” kandydata na męża uważałam zawsze za śmiertelnie nudnego. A poza tym czy nie przyszło panu do głowy, że gdyby pan nie uciekł z tą tęgą kobietą...

- Ona nie była tęga - zaprotestował.

- Wtedy może nie, ale teraz na pewno jest. A więc gdyby nie zakochał się pan tak fatalnie, to prawdopodobnie poślubiłby pan jakąś panienkę z dobrego domu i już od lat mieszkaliby pan z żoną i sześciorgiem albo siedmiorgiem dzieci.

- Nie, dzieci nie! Już kiedyś o tym mówiliśmy - przypomniał.

- Panno Lanyon, czy nie przyszło pani do głowy, że chociaż już dwukrotnie byłem o krok od tego, dotychczas nie oświadczyłem się

pani. A więc teraz, kiedy jesteśmy sami, pozwoli pani, że zapytam, czy spotka mnie ten zaszczyt...

- Nic poszliście jeszcze spać? - odezwał się Aubrey wchodząc do pokoju. - To świetnie, bo właśnie przyszedł mi do głowy znakomity pomysł.

- Już drugi raz zjawiasz się w momencie, kiedy chcę się oświadczyć twojej siostrze - powiedział Damerel z udawaną złością.

- Należało zrobić to już dawno. Tak czy inaczej, moja sprawa jest ważniejsza. Powinniście spędzić miodowy miesiąc w Grecji; a ja pojedę z wami.

Venetia, ciągle jeszcze tkwiąca w ramionach Damerela, roześmiała się i zerknęła na niego przez ramię.

- Grecja w środku zimy? Nie ma mowy - powiedział Damerel.

- A musicie się tak śpieszyć? Gdybyście wzięli ślub wiosną...

- Ślub weźmiemy w styczniu albo w grudniu.

- Och, to w tej sytuacji lepszy będzie Rzym - powiedział Aubrey z nutą rozczarowania w głosie. - Szkoda, bo wolałbym Grecję. Trudno. Tam możemy pojechać później... Zresztą to wasz miodowy miesiąc, a nie mój. Myślę, że Venetii Rzym też się spodoba.

- Przy okazji zapytamy ją o to... ale teraz to bez znaczenia! No idź już do łóżka, ty nasz nieznośny dzieciaku.

- Aha, chcesz się oświadczyć Venetii, prawda? W tej sytuacji istotnie nie jestem wam potrzebny. Dobranoc.

Aubrey wyszedł utykając. Damerel szybko podszedł do drzwi i zamknął je na klucz.

- A teraz, moja najukochańsza - powiedział trzymając znów Venetię w objęciach - po raz czwarty...